



JOHN

LE CARRÉ

zdrajca w naszym

typie

JOHN  
LE CARRÉ

zdrajca w naszym

typie

Z języka angielskiego przełożył Jan Rybicki



Tytuł oryginału: OUR KIND OF TRAITOR

Copyright © David Cornwell, 2010

Copyright © 2011 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2011 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga

Zdjęcie na okładce: Sonia Draga

Zdjęcie autora: Stephen Cornwell © for White Hare 2010

Redakcja: Mariusz Kulan Korekta: Magdalena Bargłowska, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-7508-380-4

Sprzedaż wysyłkowa:

[www.merlin.com.pl](http://www.merlin.com.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp, z o, o.

Pl. Grunwaldzki 8-10,40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

Skład i łamanie: Wydawnictwo Sonia Draga

Katowice 2011. Wydanie I

Druk: AbedikS. A.; Poznań

*Pamięci Simona Channing-Williamsa  
- filmowca, magika, szlachetnego człowieka.*

*Władcy w takiej bajce  
Choć kochają zdradę, nienawidzą zdrajcy.*

Samuel Daniel

# 1.

Gdy na karaibskiej wyspie Antigua wybiła siódma rano, niejaki Peregrine Makepiece, zwany również Perrym, wszechstronny i wybitny sportowiec - który do niedawna prowadził seminaria z literatury angielskiej w jednym ze znanych kolegów oksfordzkich - rozegrał trzy sety z muskularnym, łysym, pełnym godności Rosjaninem imieniem Dima, człowiekiem po pięćdziesiątce, o piwnych oczach i sztywnym karku. Okoliczności, w jakich doszło do tego meczu tenisowego, stały się wkrótce przedmiotem szczegółowego śledztwa prowadzonego przez agentów brytyjskich, którzy zawodowo niechętnie wierzą w przypadek. A przecież prowadzący doń ciąg wydarzeń, jeśli chodzi o Perry'ego, był całkowicie niewinny.

Świt w dniu jego trzydziestych urodzin, trzy miesiące wcześniej, stał się dla niego punktem zwrotnym w życiu, choć do zmiany dojrzewał już od co najmniej roku, wcale sobie tego nie uświadamiając. Gdy po porannym siedmiomilowym joggingu - który ani trochę nie wyzwolił go z przemożnego przeczucia nadchodzącej katastrofy - siedział z głową wspartą na rękach w swym skromnym mieszkanku w Oksfordzie, usiłując odpowiedzieć sobie na pytanie, co takiego osiągnął przez jedną trzecią swego naturalnego życia - poza zyskaniem świetnego pretekstu, by nie stawać twarzą w twarz ze światem, leżącym za sennymi wieżycami akademickiego miasta.

\*

Dlaczego?

Postronnym trudno byłoby wyobrazić sobie świetniejszą uniwersytecką karierę. Absolwent szkół państwowych, syn licealnego nauczyciela i nauczycielki, przybywa z Uniwersytetu Londyńskiego do Oksfordu w glorii licznych osiągnięć akademickich i otrzymuje trzyletnie stanowisko w starożytnym, bogatym, ambitnym kolegium. Imię, które tradycyjnie należało do angielskich klas wyższych, otrzymał po populistycznym metodystycznym duchownym z dziewiętnastowiecznego Huddersfield, Arthurze Peregrine.

Podczas roku akademickiego, gdy tylko nie uczy, wyróżnia się jako przełajowiec i w ogóle sportowiec. Nieliczne wolne wieczory spędza na pracy społecznej w miejscowym młodzieżowym domu kultury. W wakacje zdobywa górskie szczyty trudnymi szlakami wspinaczkowymi. Ale gdy kolegium oferuje mu stale zatrudnienie - co w swym obecnym, zgorzkniałym stanie ducha nazywa dożywociem - odmawia.

Jeszcze raz: dlaczego?

W poprzednim semestrze prowadził cykl wykładów o George'u Orwellu pod tytułem „Stłamszona Brytania?”. Któregoś dnia przeraził się własnych słów: czy Orwell dałby wiarę, że te same spalone głosy, które prześladowały go w latach trzydziestych dwudziestego wieku, ta sama beznadziejna niekompetencja, zamięłowanie do prowadzenia zagranicznych wojen i przekonanie, że cały świat do nas należy, będą się miały doskonale w roku 2009?

Nie otrzymawszy odpowiedzi od tępo weń wpatrzonych studentów twarży, odpowiedział sam sobie: nie, Orwell stanowczo nie dałby wiary. A gdyby dał, to zaraz poleciałby na miasto i zaczął wybijając szyby.

\*

Właśnie ten temat wałkował na wszystkie strony z Gail, swą wieloletnią dziewczyną, gdy leżeli w łóżku po urodzinowej kolacji w jej mieszkaniu w Primrose Hill, odziedziczonym - tak naprawdę tylko w części - po ojcu, który poza tym nie zostawił ani pensa.

- Nie lubię tych zapatrzonych w siebie profesorków i szlag mnie trafia, jak sobie pomyślę, że mogę stać się jednym z nich. Nie cierpię życia uczelnianego i poczuję się naprawdę wolny, jeżeli już nigdy nie będę musiał zakładać tej zaszranej togi - pieklił się, przemawiając do ciemnozłotych włosów, spoczywających spokojnie na jego ramieniu.

A uzyskawszy w odpowiedzi tylko współczujący pomruk:

- Nawijając w kółko o Byronie, Keatsie i Wordsworsie bandzie znudzonych studentów, których największa ambicja to dostać papier, pobzykać się i zarobić kupę kasy? Mam tego dość. Mam tego powyżej uszu. Mam to w dupie.

I podbijając stawkę:

- Niech to diabli! Tak naprawdę w tym kraju zatrzymałaby mnie już tylko prawdziwa rewolucja.

Na co Gail, młoda, temperamentna, świetnie zapowiadająca się pani mecenas, obdarzona przez naturę ładną, ale i niewyparzoną buzią - może nawet zbyt niewyparzoną z punktu widzenia i Perry'ego, i jej samej - zapewniła go, że bez niego nie ma prawa odbyć się żadna rewolucja.

Oboje byli *de facto* sierotami. Świętej pamięci rodzice Perry'ego stanowili uosobienie idealistycznej, chrześcijańsko-socjalistycznej ascezy, rodzice Gail - wręcz przeciwnie. Jej tata był przemiłym, ale fatalnym aktorem, którego zabił w kwiecie wieku alkohol, sześćdziesiąt papierosów dziennie i fatalna namiętność do grzesznej żony. Matka, też aktorka, ale już nie przemiła, zniknęła z domu rodzinnego w trzynastym roku życia Gail i podobno nadal wiodła sielski żywot na Costa Brava z drugim już kamerzystą.



\*

Pierwszą reakcją Perry'ego na życiową decyzję, by strząsnąć z nóg akademicki pył - nieodwołalną, jak wszystkie życiowe decyzje Perry'ego - była chęć powrotu do korzeni. Jedyny syn Dory i Alfreda pójdzie wytyczoną przez nich drogą: na nowo poniesie kaganek oświaty, dokończy rozpoczęte przez nich dzieło.

Przestanie się bawić w orła intelektu, zapisze się na porządny kurs pedagogiczny, by na wzór i podobieństwo rodziców swoich znaleźć posadę nauczyciela w którymś w najbardziej zaniedbanych rejonów kraju.

Będzie uczył każdego przedmiotu i każdej dyscypliny sportowej, jaką mu przydzielą - dzieciom, którym jego nauczanie posłuży do odnalezienia się w życiu, nie zaś jako bilet wstępu do świata mieszczańskiego dobrobytu.

Tylko że Gail mniej przestraszyła się tych planów, niż, być może, on miał nadzieję, że się przestraszy. Bo mimo całej jego determinacji, by wieść prawdziwe życie, istniały jeszcze inne, sprzeczne wersje jego własnego ja, Gail zaś większość z nich znała całkiem nieźle.

Oczywiście, istniał Perry - chorobliwie ambitny student z Uniwersytetu Londyńskiego, gdzie się poznali, który pojechał na rowerze na wakacje do Francji bawić się w Lawrence'a z Arabii i tak długo jeździł po tym pięknym kraju, aż padł z wycieńczenia.

Oczywiście, istniał też Perry - alpinista-poszukiwacz przygód, który nie potrafił brać udziału w jakimkolwiek współzawodnictwie, w jakiegokolwiek grze - wszystko jedno, czy chodziło o rugby siedmiu na siedmiu, czy o bożononarodzeniowe konkursy z bratankami i siostrzeńcami - nie pragnąc wygrać za wszelką cenę.

Ale poza tym istniał też Perry - skryty sybaryta, który między jednym a drugim pobytem na studenckim poddaszu fundował sobie

niespodziewane orgie luksusu. I to właśnie ten Perry stał przed południem - nim słońce nie doszło tak wysoko, że nie dało się grać - na najlepszym korcie tenisowym najlepszego, choć boleśnie doświadczonego ogólnoswiatową recesją ośrodka wypoczynkowego na Antigua; po jednej stronie siatki Rosjanin Dima, po drugiej Perry. Gail, w stroju kąpielowym, plażowym kapeluszu z szerokim rondem i jedwabistej narzutce - właściwie niczego nie zakrywającej - siedziała wśród pozostałych, zupełnie nieprawdopodobnie niewzruszonych widzów - niektórzy byli ubrani na czarno - którzy chyba uroczyście przysięgli nie uśmiechać się, nie mówić i nie zdradzać najmniejszego zainteresowania rozgrywanym meczem.

\*

Zdaniem Gail całe szczęście, że ta karaibska eskapada została zaplanowana jeszcze przed podjęciem przez Perry'ego tej jego impulsywnej życiowej decyzji. Pomysł wyjazdu pojawił się pewnego ponurego listopadowego dnia, gdy ojca Perry'ego pokonał ten sam rak, który dwa lata wcześniej pozbawił go matki, a samego Perry'ego pozostawił w stanie jakiejś takiej zamożności. Perry bił się z myślami, bo nie aprobował dziedziczenia kapitału i zastanawiał się, czy by tego wszystkiego nie dać biednym, ale po przeprowadzonej przez Gail wojnie podjazdowej uznali oboje, że lepiej będzie szarpnąć się na wakacje życia - tenis, słońce, oferta *last minute*.

I zaraz się okazało, że był to świetny pomysł, bo tuż po wyjeździe stanęli oko w oko z kolejnymi i jeszcze ważniejszymi decyzjami:

Co Perry ma dalej robić ze swym życiem i czy ma to być ich wspólne życie?

Czy Gail ma porzucić palestrę i podążyć za nim ślepo na kraj świata, czy też powinna kontynuować błyskotliwą karierę w Londynie?

A może właśnie czas uznać, że ta kariera nie jest wcale bardziej błyskotliwa od innych karier młodych prawników i zejść w ciążę, do czego od dawna namawiał ją Perry?

I nawet jeśli Gail - czy to dla kaprysu, czy w odruchu samoobrony - miała w zwyczaju dzielić włos na czworo, nie ulegało wątpliwości, że i razem, i osobno znaleźli się na rozdrożu, że mają wiele do przemyślenia, i że takie wakacje na Antigui to po temu idealne miejsce i czas.

\*

Lot był spóźniony, więc w hotelu zameldowali się dopiero po północy. Ambrose, wszędobylski majordomus ośrodka, zaprowadził ich do domku. Wstali późno, więc nim spożyli śniadanie, zrobiło się też za późno na tenis. Poszli popływać na pustą w trzech czwartych plażę, samotnie zjedli lunch nad basenem, po południu kochali się niespiesznie, a o szóstej stawili się w kantorku pana od tenisa wypoczęci, zadowoleni i chętni do gry.

Ośrodek widziany z daleka wydawał się po prostu skupiskiem białych domków, rozsianych po szerokiej na milę podkowie przyszłowiowo białego jak śnieg piasku. Podkowę ograniczały dwa skaliste klify porośnięte karłowatym lasem. Między nimi ciągnęła się rafa koralowa i linia odbaskowych boi, żeby motorówki za bardzo nie uprzykrzały życia turystom. A na wydartych zboczach, ukrytych tarasach znajdowały się pełnowymiarowe korty tenisowe ośrodka. Od kwitnących krzewów do frontowych drzwi kantorka pana od tenisa prowadziły małe, kamienne schodki. Po ich przebyciu trafiało się do tenisowego rajy - i właśnie dlatego Gail i Perry wybrali ten ośrodek.

Było tam sześć kortów, w tym jeden centralny. Piłeczki do gry trzymano w zielonych lodówkach. W szklanych gablotkach stały srebrne puchary z nazwiskami dawnych czempionów - Mark, nieco otyły pan od tenisa, Australijczyk, był jednym z nich.

- To o jakim poziomie tu mówimy, jeśli wolno spytać? - zapytał z nieco przyciężkawą uprzejmością, bez komentarza taksując wzrokiem jakość wystużonych rakiet Perry'ego, jego grube białe skarpety i znoszone, ale porządne tenisówki. Oraz dekolt Gail.

Jak na dwoje ludzi nie pierwszej już młodości, ale wciąż w kwiecie wieku, Gail i Perry byli rzeczywiście uderzająco atrakcyjną parą. Natura obdarzyła Gail smukłymi, kształtnymi kończynami, wysoko osadzonym, drobnym biustem, zgrabnym ciałem, angielską cerą, bujnymi złotymi włosami i uśmiechem, który potrafił rozświetlić najmroczniejsze zakątki życia. Perry odznaczał się innym gatunkiem angielskości: był chudy jak szczapa i na pierwszy rzut oka jakby niezborny, o długiej szyi i wystającym jabłku Adama. Miał niezgrabny krok - jakby zaraz miał się przewrócić - i odstające uszy. W państwowej szkole, do której chodził, przezywano go Żyrafą, choć ci, którzy byli na tyle nieostrożni, by tak go nazywać, szybko uczyli się trzymać język za zębami. Gdy wszedł w wiek męski, nabrał - całkiem nieświadomie, przez co robiło to jeszcze większe wrażenie - ulotnego, ale niewątpliwego wdzięku. Miał kędzierzawą ciemną czuprynę, szerokie piegowate czoło i wielkie oczy za okularami, nadające jego twarzy wyraz anielskiego zdumienia.

Wiedząc, że Perry niechętnie się chwali, zawsze względem niego opiekuńcza Gail postanowiła sama odpowiedzieć na pytanie Marka.

- Perry grywał w kwalifikacjach do Queen's. Chyba raz nawet przeszedłeś przez eliminacje, prawda? I dotarłeś do Masters. I to

wtedy, kiedy wcześniej złamałeś nogę na nartach i nie grałeś przez pół roku - dodała z dumą.

- A pani, jeśli wolno spytać? - przymilił się do niej Mark, z nieco zbyt dużym naciskiem na „pani” jak na gust Gail.

- Ja nie dorastam mu do pięt - odparła chłodno, na co Perry zareagował słowami „kompletna bzdura”. Australijczyk wciągnął powietrze przez zęby, z niedowierzaniem pokręcił ciężką głową i zaczął przeglądać pomięte kartki notesu.

- No więc mam tutaj taką jedną parę, która może wam pasować. Od razu powiem, że są na o wiele za wysokim poziomie dla innych moich gości. Zresztą w ogóle nie za bardzo jest w czym wybierać. Może zagracie z nimi?

Przeciwnikami okazała się hinduska para z Bombaju, która spędzała tu miesiąc miodowy. Kort centralny był zajęty, ale numer 1 - wolny. Ledwie zaczęli rozgrzewkę, już zebrała się tam grupka przechodniów i graczy z innych kortów, by popatrzeć na płynne uderzenia z linii końcowej i niedbałe returny, passing shoty, za którymi nikt nie gonił, niebroniony smecz od siatki. Perry i Gail wygrali losowanie, Perry oddał pierwszy serwis Gail, a ona dwa razy zrobiła podwójny błąd, więc przegrali pierwszego gema. Potem serwowała Hinduska. Gra była spokojna.

Dopiero przy serwisie Perry'ego okazało się w pełni, jaki jest dobry. Już pierwszy serw był mocny i wysoki; kiedy wszedł w kort, przeciwnicy właściwie nic nie mogli zrobić. Perry'emu wyszły cztery asy pod rząd. Widzów przybywało, grający byli młodzi i przystojni, chłopcy od podawania piłek odkryli w sobie nowe pokłady energii. Pod koniec pierwszego seta niedbałym krokiem przyszedł Mark, stał przez trzy gemy, po czym z zamyślnym i zmarszczonym czołem wrócił do kantorka.

Drugi set był długi, wynik po nim brzmiał 1:1. W trzecim i ostatnim było już 4:3 w gemach, przy widocznej przewadze Gail i

Perry'ego. O ile Gail raczej się nie wysilała, Perry rozhulał się na dobre i do końca meczu nie pozwolił hinduskiej parze wygrać już ani jednego gema.

Widzowie się rozeszli. Czwórka graczy została, by wymienić się komplementami, umówić na rewanż, a może też na drinka wieczorem w barze? No pewnie! Hindusi odeszli, pozostawiając Gail i Perry'ego, ale oni też wkrótce pozbierali swoje zapasowe rakiety i pulowerki.

W tej właśnie chwili powrócił Australijczyk, prowadząc muskularnego, wyprostowanego jak struna, barczystego i całkowicie tysego mężczyznę w szarych spodniach od dresu, utrzymywanymi w pasie przez sznurek ściągacza, zawiązany starannie na kokardkę, i z wysadzonym diamentami złotym roleksem na rękę.

\*

Łatwo wyjaśnić, dlaczego Perry najpierw zobaczył kokardkę w pasie, a potem dopiero całego mężczyznę. Zmieniał stare, ale wygodne tenisówki na plażowe espadryle, więc kiedy usłyszał, że ktoś go woła, był jeszcze zgięty w pół. Unosił głowę długo - jak wszyscy wysocy, kanciąści faceci - i zarejestrował najpierw parę skórzanych mokasynów na drobnych, niemal kobiecych - ale za to rozstawionych po piracku - stopach, potem dwie przysadziste, odziane na szaro łydy, a potem, jeszcze wyżej, zawiązany na kokardkę ściągacz utrzymujący spodnie we właściwym miejscu - zawiązany podwójnie, bo na sznurku spoczywała nie tyle jaka odpowiedzialność.

A nad ściągaczem piękna purpurowa koszulka bawełniana spowijająca brzuch i masywny tułów, który chyba sam nie wiedział, gdzie kończy się żołądek, a zaczyna klatka piersiowa, zwieńczony kołnierzykiem wschodniego kroju, który, gdyby go zapiąć, mógłby

uchodzić za małą koloratkę - tylko że wtedy nie zmieściłby się w nim ten muskularny kark.

A z kolei nad kołnierzykiem uniesione powitalnie brwi na przechylonej proszalnie, pozbawionej zmarszczek twarzy mężczyzny po pięćdziesiątce o uduchowionych, piwnych oczach i delfinim uśmiechu. Brak zmarszczek nie sugerował niedoświadczenia - wręcz przeciwnie. Była to twarz, która wydała się żadnemu przygód na świeżym powietrzu Perry'emu wieczna. Jak później opowiadał Gail, była to twarz człowieka dawno ukształtowanego - do tego stanu sam dążył, ale pomimo najusilniejszych starań jeszcze go nie osiągnął.

- Pozwoli pan, że przedstawię mojego dobrego przyjaciela i dobroczyńcę, pana D i m ę z Rosji - powiedział Mark, sącząc w przyjaznym ton uroczysty akcent. - Pan Dima uważa, że całkiem ładny mecz pan tu rozegrał, dobrze mówię? Myślę, że nie skłamię, mówiąc, że jako świetny znawca tenisa przyglądał się panu z wielkim uznaniem, prawda, panie Dima?

- Pan zagra? - zapytał Dima, nie spuszczając przeproszającego spojrzenia piwnych oczu z Perry'ego, który teraz stał już niezgrabnie, wyprostowany na całą wysokość.

- Dzień dobry - powiedział nieco bez tchu Perry i wyciągnął spoconą dłoń. Dima miał dłoń rzemieślnika, który się roztył, z wytatuowaną na drugim stawie kciuka małą gwiazdką. - A to Gail Perkins, moja współpracownica w tej zbrodni - dodał, czując potrzebę powstrzymania biegu wydarzeń.

Ale nim Dima zdążył zaprotestować, Mark wydał z siebie lizusowsko oburzone prychnięcie:

- Jakiej znowu zbrodni, panie Perry? - zaprotestował. - Proszę mu nie wierzyć, pani Gail! Świetnie sobie pani radziła, nie ma co. Wyszło pani parę takich minięć, że klękajcie narody, prawda, panie Dima? Sam pan tak powiedział. Oglądaliśmy państwa w kantorku. Przez kamerę na korcie.

- Mark mówi, że wygrali na Queen's - powiedział Dima, wciąż uśmiechając się do Perry'ego jak delfin. Głos miał gruby, głęboki i gardłowy, i jakby nieco amerykański.

- No, dobrych parę lat temu - powiedział Perry skromnie, by zyskać na czasie.

- Pan Dima ostatnio nabył Trzy Kominy, dobrze mówię, prawda? - informował Mark, jakby z tego powodu propozycja gry miała się stać bardziej interesująca. - Najlepsza lokalizacja po tej stronie wyspy, no nie? I z tego co wiem, ma względem nich wielkie plany. A państwo mieszkają chyba w Kapitanie Cooku, moim zdaniem to jeden z najlepszych domków w całym ośrodku.

Rzeczywiście tam mieszkali.

- No proszę! W takim razie są państwo sąsiadami, prawda, panie Dima? Trzy Kominy stoją na samym czubku półwyspu po drugiej stronie zatoki. To ostatnia większa wolna działka na wyspie, ale pan Dima zaraz coś na to poradzi, dobrze mówię? Mówi się coś o emisji akcji z preferencjami dla mieszkańców, to chyba bardzo przyzwoity pomysł. Ale na razie zdaje się, że żyje pan tam po spartańsku, jak na biwaku. Z rodziną i przyjaciółmi, którzy też to lubią. Podziwiam pana. Wszyscy pana podziwiamy. Rzadko się zdarza, żeby ktoś tak zamożny...

- Pan zagra?

- Debel? - zapytał Perry, uwalniając się od natarczywego spojrzenia Dimy, by niepewnie zerknąć na Gail.

Ale Mark, zdobywszy przyczółek, parł dalej:

- Dziękuję, ale nie, panie Perry, pan Dima niestety nie gra w debła - wtrącił szybko. - Tylko singel, prawda, proszę pana? Bo pan lubi polegać tylko na sobie. Mówił mi pan kiedyś, że woli pan odpowiadać za własne błędy. Pańskie słowa, całkiem niedawno, wzięłem je sobie do serca...

Widząc, że Perry nie może się zdecydować, a propozycja jest kusząca, Gail pospieszyła mu z pomocą:



- Mną się nie przejmuj, Perry. Chcesz zagrać w singla, graj, wszystko w porządku.

- I niech pan nie ma skrupułów i przyjmie to wyzwanie - nalegał Mark. - Gdyby chodziło o zakład, nie miałbym pojęcia, na kogo stawiać, szczerą prawdą.

Czy Dima odchodząc utykał? Lekko powłóczył lewą nogą? A może dlatego, że przez cały dzień musiał dźwigać tę olbrzymią górną część ciała?

\*

Czy w tej samej chwili Perry zarejestrował obecność dwóch białych mężczyzn stojących bez celu przy wejściu na kort? Jeden ręce miał luźno założone z tyłu, drugi skrzyżowane na piersi. Obaj w adidasach. Jeden był blondynem o dziecinnej twarzy, drugi miał ciemne włosy i leniwe ruchy.

Jeżeli tak, to jedynie podświadomie, niechętnie wyznał mężczyźni, który przedstawił się jako Luke i kobiecie, która przedstawiła się jako Yvonne, gdy dziesięć dni później siedzieli w czwórce wokół owalnego stołu jadalnego w suterenie ładnej kamieniczki w Bloomsbury.

Z mieszkania Gail w Primrose Hill zawiózł ich tam czarną londyńską taksówką wielki dobroduszny mężczyzna w berecie i z kolczykiem w uchu, który z kolei przedstawił się jako Ollie. Luke otworzył drzwi, za Lukiem już czekała Yvonne. W wyłożonym grubym dywanem i woniejącym świeżą farbą holu uściśnięto im dłonie, Luke uprzejmie podziękował im za przybycie i zaprowadził ich do urządzonej w suterenie jadalni, gdzie stał właśnie ów owalny stół, sześć krzeseł i kuchenka. Mleczne szyby w półokrągłych oknach w zewnętrznej ścianie migotały w rytm kroków widmowych stóp przechodniów na chodniku nad nimi.

Następnie odebrano im telefony komórkowe i polecono podpisać oświadczenie o ochronie tajemnicy państwowej.

Prawniczka Gail przeczytała tekst dokładnie i była oburzona.

- Po moim trupie! - zawołała.

Perry mruknął:

- A cóż to za różnica? - I ze zniecierpliwieniem podpisał, gdzie mu kazano.

Gail zrobiła w tekście kilka poprawek i skreśleń, po czym też podpisała, nie przestając protestować. Suterinę oświetlała pojedyncza słaba żarówka wisząca nad stołem. Ceglane ściany wydzyślały lekką woń starego portwajnu.

Luke miał dworne maniery, był ogolony, po czterdziestce i zdaniem Gail trochę za mały. Mężczyźni szpiedzy, powiedziała sobie z humorem, fałszywym, bo wywołanym zdenerwowaniem, powinni być choćby o numer więksi. Wyprostowaną sylwetką, eleganckim, szarym garniturem i sterczącymi znad uszów siwiejącymi włosami przypominał jej raczej doskonale wychowanego arystokratycznego koniarza.

Z kolei Yvonne nie mogła być wiele starsza od Gail. Na pierwszy rzut oka Gail uznała ją za pedantkę, choć nie mogła odmówić jej pewnej sawanckiej urody. W nieciekawym biznesowym kostiumie, z krótko obciętymi włosami i bez makijażu wyglądała starzej, niż musiała, a jak na kobietę szpiega - znów według całkowicie niepoważnych wyobrażeń Gail - również zbyt poważnie.

- Czyli nie przyszło państwu na myśl, że to jego obstawa? - podsunął Luke, obracając swą starannie utrzymaną głowę to do Gail, to do Perry'ego, siedzących po drugiej stronie stołu. - Kiedy zostaliście sami, nie powiedzieliście sobie, na przykład: „No no, trochę to dziwne, że ten Dima, kimkolwiek jest, tak każe się pilnować”. Czy coś takiego...

Czy my z Perryem naprawdę tak ze sobą rozmawiamy? - pomyślała Gail. Nie wiedziałam.

- Pewnie, widziałem ich - przyznał Perry. - Ale skoro pan pyta, czy o nich myśleliśmy, to nie. Pomyślałem sobie, jeżeli w ogóle

cokolwiek pomyślałem, że to pewnie dwaj goście, którzy szukają kogoś, z kim mogliby zagrać. - I gniotąc długimi palcami swoje czoło: - No, bo przecież człowiek nie myśli od razu: obstawa, prawda? To znaczy, wy pewnie tak. To wasz świat. Ale normalnemu obywatelowi raczej takie rzeczy nie przychodzą do głowy.

- A pani Gail? - zapytał Luke z żywą uprzejmością. - Przecież pani spędza całe dnie w sądzie. Zna pani ten świat jak zły szeląg. Pani też nie miała co do nich żadnych podejrzeń?

- Jeżeli w ogóle ich zauważyłam, uznałam pewnie, że to dwaj faceci, którzy robią do mnie oko, więc ich zignorowałam - odpowiedziała Gail.

Ale to bynajmniej nie zadowoliło prymuski Yvonne. - A wieczorem, kiedy wspominaliście cały Boży dzień...

- Czy to nie szkocki akcent? Całkiem możliwe, pomyślała Gail, która szczyła się swym świetnym uchem do ludzkich głosów. - Naprawdę nie zaczęliście zastanawiać się, co to za dwaj goście ciągle za nim chodzą?

- To był tak naprawdę nasz pierwszy wieczór w hotelu - powiedziała Gail nerwowo i niecierpliwie. - Perry zarezerwował nam „Obiad przy świecach” na „Mostku kapitańskim”. W porządku? Były gwiazdy, pełnia, żaby wrzeszczały jak opętane, blask księżycy na wodzie prawie włożył nam na stół... Naprawdę myślicie, że spędziliśmy ten wieczór, patrząc sobie w oczy i rozmawiając o gorylach Dimy? No, bez przesady... - Przestraszyła się, że zabrzmiało to mniej grzecznie, niż chciała. - W porządku, przez chwilę rzeczywiście rozmawialiśmy o Dimie. To nie jest ktoś, kogo się tak od razu zapomina. Najpierw był naszym pierwszym rosyjskim oligarchą, jakiego widzieliśmy na oczy, zaraz potem Perry chciał sobie odgryźć rękę, że zgodził się z nim zagrać singla, już, już leciał do telefonu powiedzieć gościowi od tenisa, że nic z tego. Powiedziałam mu, że zdarzało mi

się tańczyć z takimi facetami jak Dima, i że wszyscy mieli fantastyczną technikę. Wtedy wreszcie dałeś sobie spokój, co, Perry?

Oddzieleni od siebie przepaścią szerszą niż przebyty dopiero co Ocean Atlantycki, ale jakby zadowoleni, że mogą wygadać się przed dwójką zawodowo wścibskich słuchaczy, Gail i Perry wrócili do opowiadania.

\*

Za piętnaście siódma następnego dnia rano. Mark stał i czekał na nich u szczytu kamiennych schodków, ubrany w swój najlepszy strój tenisowy, dzierżąc dwie puszki piłek prosto z lodówki i papierowy kubek kawy.

- Strasznie się bałem, że zaśpicie - powiedział podekscytowany.  
- Słuchajcie państwo, nic się nie dzieje, wszystko w porządku. Jak się pani ma? Niech mi będzie wolno powiedzieć, że wygląda pani świeżutko. Pan przodem, Perry. Ależ nalegam. Piękny dzień, co? Piękny dzień.

Perry ruszył pierwszy drugą stroną schodków i doszedł do miejsca, gdzie alejka biegła w lewo. Gdy skręcił, stanął twarzą w twarz z tymi samymi dwoma mężczyznami w lotniczych kurtkach, którzy poprzedniego dnia snuli się wokół kortu. Stali po obu stronach ukwieconego przejścia, wiodącego niczym weselna pergola do furki na kort centralny, który stanowił jakby osobny świat, zamknięty z czterech stron brezentowymi zasłonami i sześciometrowym żywo-  
płotem z hibiskusa.

Na widok nadchodzącej trójki blondyn o dziecinniej twarzy postąpił pół kroku w jej kierunku i z pozbawionym krztyny wesołości uśmiechem rozłożył ręce w klasycznym geście kogoś, kto zamierza obszukać kogoś innego. Zdumiony Perry zatrzymał się i wyprostował na całą wysokość, ale nie w odległości umożliwiającej

obszukanie, tylko dobre dwa metry wcześniej; za nim zatrzymała się Gail. Gdy mężczyzna postąpił jeszcze krok do przodu, Perry cofnął się, też o krok, pociągnął Gail za sobą i zawołał: - A cóż to, do diabła? - tak naprawdę do Marka, bo ani Dzijdzius, ani jego ciemnowłosy kolega nie dali po sobie poznać, że zrozumieli, czy choćby usłyszeli jego pytanie.

- Ochrona, proszę pana - wyjaśnił Mark, przeciskając się obok Gail, by uspokajająco szepnąć Perry'emu do ucha. - Czysta formalność.

Perry ani drgnął. Wysunął szyję do przodu i lekko w bok, i zastanawiał się nad tym wyjaśnieniem.

- A czyja ochrona? Nie rozumiem. A ty rozumiesz? - Do Gail.

- Też nie - zgodziła się.

- Ochrona pana Dimy. Kogo innego? To wielka szycha. Na światową skalę. Ci chłopcy tylko wykonują rozkazy.

- Czyje rozkazy? Pana? - Odwracając się i patrząc na niego oskarżycielsko zza okularów.

- Pana Dimy, nie moje, proszę się nie wygłupiać. To chłopcy Dimy. Wszędzie za nim chodzą.

Perry skoncentrował się na ochroniarzu blondynie.

- Panowie nie mówicie czasem po angielsku? - zapytał. A gdy dziecinna twarz ani o jotę nie zmieniła wyrazu, poza tym, że stała się jeszcze bardziej stanowcza: - Chyba nie mówi po angielsku. Ani nawet nie słyszy.

- Na miłość boską, panie Perry - mówił błagalnie Mark, a jego żółtawa cera stała się ciemnopurpurowa. - Zerkną tylko panu do torby i po krzyku. To nic takiego. Mówiłem, czysta formalność. Jak na lotnisku.

Perry znów zaapelował do Gail:

- Masz jakieś zdanie na ten temat?

- Jeszcze jak!

Perry przechylił głowę w drugą stronę.

- Bo, widzi pan, chciałbym się upewnić, czy dobrze zrozumiałem - wyjaśnił, wzywając na pomoc cały swój autorytet pedagogiczny. - Mój partner do tenisa, pan Dima, chce się upewnić, że nie rzucę w niego bombą? Czy o to tym panom chodzi?

- Świat jest niebezpieczny, panie Perry. Pan może o tym nie wie, ale my tak, i próbujemy jakoś z tym żyć. Z całym szacunkiem gorąco panu radzę, żeby pan nie utrudniał.

- A może ja chcę go rozwalić moim kałachem? - ciągnął Perry, unosząc lekko torbę tenisową, żeby pokazać, gdzie ukrył broń, na co drugi mężczyzna wyszedł z cienia krzewów i stanął obok pierwszego; ale twarz ani jednego, ani drugiego wciąż nie zdradzała żadnych uczuć.

- Proszę pana, pozwolę sobie stwierdzić, że robi pan z igły widły - przekonywał Mark, a jego nabyta z ciężkim wysiłkiem uprzejmość powoli zaczynała go opuszczać. - Czeka pana wspianiała partia tenisa. Ci chłopcy spełniają swoje obowiązki i moim zdaniem robią to bardzo grzecznie i profesjonalnie. Naprawdę nie rozumiem, w czym problem, proszę pana.

- Aha, problem - zamyślił się Perry, obierając to słowo jako dobry punkt wyjścia do dyskusji ze studentami. - To ja panu zaraz wytłumaczę, w czym problem. Prawdę mówiąc, jak dobrze się zastanowię, to nie problem, tylko kilka problemów. Pierwszy problem to ten, że nikomu nie wolno zaglądać mi do torby tenisowej bez mojego pozwolenia, a ja tego pozwolenia nikomu nie daję. Do torby tej pani też nikt nie będzie zaglądał - dodał, wskazując na Gail. - Są pewne zasady.

- Absolutnie - poparła go.

- Problem drugi. Jeżeli pana przyjaciel Dima uważa, że zamierzam go zabić, to dlaczego prosi mnie, żebym z nim grał? - Odczekawszy dość czasu, by otrzymać odpowiedź, ale nie doczekawszy się niczego poza głośnym wciągnięciem powietrza przez zęby, mówił

dalej: - A trzeci problem jest taki, że propozycja jest jednostronna. Czy ja proszę, żeby pokazano mi zawartość torby pana Dimy? Nie proszę. Ani nie zamierzam prosić. Może mu pan to wyjaśni, kiedy będzie mnie pan przed nim tłumaczył? Gail, co powiesz na to, żebyśmy skorzystali teraz z wielkiego bufetu śniadaniowego, za który zapłaciliśmy?

- Świetny pomysł - zgodziła się skwapliwie Gail. - Nie miałam pojęcia, że już tak zgłodniałam.

Obrócili się i nie zważając na błagania Marka, szli już w stronę schodków, gdy furtka na kort otwarła się i zatrzymał ich bas Dimy.

- Mister Perry Makepiece, wy nie uciekajcie. Wy chcecie mnie rozwalić, to lepiej jebaną rakiętą tenisową.

\*

- No, to ile by mu pani dała lat? - zapytała sawantka Yvonne, z poważną miną zapisując coś w trzymanym przed sobą notesiku.

- Dzidziusiowi? Najwyżej dwadzieścia pięć - odpowiedziała, po raz kolejny żałując, że nie potrafi utrzymać równowagi między swobodą i strachem.

- A pan? Ile pan by mu dał?

- Trzydzieści.

- Wzrost?

- Mniej niż przeciętny.

Jak ktoś ma tyle wzrostu, co ty, kochanie, to wszyscy są mniej niż przeciętnego wzrostu, pomyślała Gail.

- Około metra osiemdziesięciu - odpowiedziała.

A te blond włoski miał obcięte bardzo krótko. W tym byli zgodni.

- I miał złoty łańcuch - przypomniała sobie, czym zadziwiła samą siebie. - Miałam kiedyś klienta, który nosił dokładnie taki

sam. Jak miał kłopoty, rozrywał ogniwa i sprzedawał je jedno po drugim, i w ten sposób zdobywał pieniądze na adwokata.

\*

Rozsądnie przyciętymi, niepomalowanymi paznokciami Yvonne pcha w ich stronę przez owalny stół stertę fotografii prasowych. Na pierwszym planie kilku przypakowanych młodych ludzi w garniturach od Armaniego gratuluje zwycięskiemu koniowi wyścigowemu, unosząc ku obiektywowi kieliszki z szampanem. W tle billboardy cyrylicą i po angielsku. Przy lewej krawędzi zdjęcia ochroniarza z dziecinną buzią i niemal wygoloną głową. W odróżnieniu od swych trzech towarzyszy nie nosi czarnych okularów. Za to na przegubie lewej ręki ma bransoletę ze złotego łańcucha.

Perry odczuwa lekką satysfakcję. Gail - lekkie nudności.



## 2.

Gail nie bardzo wiedziała, dlaczego to ona mówiła najwięcej. Mówiąc, słyszała własny głos, odbijający się z powrotem od ceglanych ścian sutereny, dokładnie tak, jak w salach sądów rodzinnych, gdzie ostatnio przebywało najczęściej jej zawodowe ja: teraz muszę zagrać moralne oburzenie, teraz szydercze niedowierzanie, teraz gadam jak moja zasrana i nieobecna mama po drugim dżinie z tonikiem.

A teraz, choć bardzo starała się to ukryć, przyłapywała się chwilami na całkiem nieudawanych napadach strachu. Nawet jeżeli nie dostrzegała ich jej publiczność za stołem, to ona sama - tak. O ile się nie myliła, Perry też to słyszał, bo od czasu do czasu przekręcał w jej stronę głowę po to tylko, by patrzeć na nią z niespokojną czułością mimo rozdzielających ich trzech tysięcy mil. I od czasu do czasu posuwał się do tego, by przelotnie uścisnąć jej dłoń pod stołem i samemu podjąć opowieść w mylnej, choć usprawiedliwionej wierze, że pozwala jej odpocząć emocjonalnie - podczas gdy jej emocje tylko schodziły do podziemia, przegrupowywały się i powracały do boju z jeszcze większym zapalem niż za pierwszym razem.

\*

Choć Gail i Perry nie poszli na korty powolnym spacerkiem, oboje byli zgodni, że się nie spieszyli. W każdym razie odbył się niespieszny przemarsz ukwieconą alejką, podczas którego rolę straży

honorowej pełnili dwaj ochroniarze. Gail trzymała dłoń na rondzie wielkiego plażowego kapelusza i powiewała kusą spódniczką.

- Trochę się wygłupiałam - przyznała.
- Jeszcze jak - potwierdził Perry, co zostało przyjęte lekkimi uśmiechami po drugiej stronie stołu.

Przy wejściu na kort zrobiło się małe zamieszanie, kiedy mogło się wydawać, że Perry się rozmyślił, dopóki nie okazało się, że cofnął się po to tylko, by przepuścić Gail, ta zaś minęła go godnie i pozwoli, dając do zrozumienia, że choć może nie została celowo obrażona, to jednak incydent sprzed chwili nie poszedł w zapomnienie. Za Perrym kroczył Mark.

Dima stał na centralnym korcie z twarzą zwróconą w ich stronę i ramionami szeroko rozpostartymi w powitalnym geście. Miał na sobie miękką niebieską koszulę bez kołnierzyka i z długimi rękawami oraz długie czarne szorty, sięgające mu za kolana. Daszek przeciwsłoneczny wyrastał mu jak zielony dziób z tysej głowy, która już lśniła w porannym słońcu. Perry powiedział, że zastanawiał się, czy Dima ją naoliwił. Jakby w uzupełnieniu do wysadzanego diamentami roleksa na ręce potężny kark ozdabiał ciężki, złoty łańcuch o nieco mitycznych konotacjach - jeszcze jeden błysk, jeszcze jeden szcze-gół.

Ale ku zdumieniu Gail w chwili jej pojawienia się na korcie to nie Dima stanowił główną atrakcję. Za jego plecami usadowiła się na widowni różnorodna - a według niej dziwaczna - gromada dzieci i dorosłych.

- Jak tłum ponurych figur woskowych - oburzyła się. - I nie chodzi o to, że o tej pogańskiej porze, o siódmej rano, ubrani byli jak na wieczór. To ich całkowite milczenie i te ponure miny... Usiadłam w całkiem pustym rzędzie przy samym korcie i myślałam: Boże, co to ma być? Sąd ludowy, procesja kościelna, czy co?

Nawet dzieci sprawiały wrażenie, że się nie lubią. Zaraz je zauważyła. Zawsze zauważa dzieci. Naliczyła ich czworo.

- Dwie jakby płaczliwe dziewczynki około pięciu i siedmiu lat w ciemnych sukienkach i kapeluszach, ściśnięte obok hożej Murzynki, chyba opiekunki - powiedziała, z determinacją próbując zapanować nad uczuciami. - I dwaj płowowłosi nastoletni chłopcy w strojach tenisowych, cali w piegach. I z takimi minami, jakby ich ktoś wykopał z łóżka i zaciągnął na kort za karę.

Co do dorosłych, opowiadała dalej, ci byli tak obcy, tak ponadwymiarowi i tak inni, jakby należeli do rodziny Addamsów. Nie chodziło tylko o miejskie ciuchy czy fryzury z lat siedemdziesiątych. Albo o to, że mimo upału kobiety były ubrane jak w środku zimy. Tylko o ich jednakową ponurość.

- Czemu nikt nic nie mówi? - szepnęła do Marka, który nieproszony pojawił się na miejscu obok.

Mark wzruszył ramionami.

- To Rosjanie.

- Przecież Rosjanie gadają bez przerwy!

Mark powiedział, że nie ci. W większości przylecieli tu w ciągu ostatnich kilku dni i jeszcze się nie przyzwyczaili do Karaibów.

- Tam się coś dzieje - powiedział, wskazując głową drugą stronę zatoki. - Chodzą plotki, że mają tam jakiś wielki rodzinny zjazd. Niezbyt zgodny, zdaje się. Nie mam pojęcia, jak oni się myją, bo wodociąg jest częściowo nieczynny.

Wybrała dwóch grubasów. Jeden miał na głowie brązowy elegancki kapelusz i szeptał do komórki, drugi nosił szkocką, kraciastą czapeczkę z czerwonym pomponem.

- To kuzyni Dimy - wyjaśnił Mark. - W ogóle sami kuzyni. I wszyscy z Permu.

- Permu?

- Perm. Chodzi o miasto w Rosji, kochana, nie o epokę geologiczną.

Patrząc rząd wyżej, trafiało się na płowłosych nastolatków, żujących gumę z minami pełnymi obrzydzenia. Synowie Dimy, bliźniacy, powiedział Mark. Rzeczywiście - przypatrzysz im się lepiej, Gail dostrzegła rodzinne podobieństwo: wielkie bary, wyprostowane plecy i piwne, o opadających powiekach, kuszące oczy, które już zaczynały zwracać się łakomie ku niej.

Wzięła szybki, głęboki wdech i wypuściła powietrze. Zbliżała się do tego, co w języku prawniczym określono by jako pytanie rozstrzygające - czyli takie, które robi ze świadka roztrzęsioną galaretkę. Czy teraz robi tę galaretkę sama z siebie? Ale gdy znów zaczęła mówić, z zadowoleniem przekonała się, że w jej głosie, który powraca do niej odbity od ceglanych ścian, nie słychać drżenia, wahania ani jakichkolwiek innych zmian:

- A całkiem obok, jakby demonstracyjnie osobno, siedziała taka naprawdę zachwycająca dziewczyna, piętnasto-, może szesnastolatka z kruczoczarnymi włosami do ramion, w szkolnej bluzeczce, granatowej, i szkolnej spódniczce za kolana, i sprawiała wrażenie, jakby do nikogo z obecnych nie należała. Więc naturalnie zaraz zapytałam o nią Marka.

Bardzo naturalnie, uznała z ulgą, wysłuchawszy własnych słów. Nikt z siedzących wokół stołu nawet nie unióśł brwi. Brawo, Gail.

- Ma na imię Natasza, poinformował mnie Mark. Taki kwiatek, co tylko czeka, żeby ktoś go zerwał. Przepraszam, to jego słowa. Córka Dimy, ale nie Tamary. Oczko w głowie tatusia.

A co takiego robiła piękna Natasza, córka Dimy, ale nie Tamary, o godzinie siódmej rano, kiedy przyszła patrzeć, jak tatuś gra w tenisa? - zapytała swych słuchaczy Gail. Natasza czytała oprawny w skórę tom, który trzymała na podołku jak pas cnoty.

- Ale ona na serio była przepiękna, zabójcza po prostu - stwierdziła Gail. I jeszcze raz dodała: - Tak naprawdę piękna. - I zaraz pomyślała: O Boże, zaczynam mówić jak stara lesbijka. A chciałam, żeby to wyszło obojętnie.

Jednak po raz kolejny ani Perry, ani przesłuchujący nie zauważyli niczego podejrzanego.

- No, a gdzie ta Tamara, co nie jest mamą Nataszy? - zapytała Marka z surową miną, wykorzystując okazję, by nieco odsunąć się od niego.

- Dwa rzędy wyżej, po pani lewej stronie. Bardzo pobożna dama. Nazywana tu Panią Zakonnica.

Gail odwróciła się zamasyżycie i skupiła wzrok na widmowej kobiecie, odzianej w czerń od stóp do głów. Włosy, też czarne, choć przyprószone siwizną, były zwinięte w kok. Usta, zatrzaśnięte w opadający łuk, chyba nigdy się nie uśmiechały. Pod szyją miała fiołkowo-różową szyfonową chustkę.

- A na piersiach taki złoty krzyż z dodatkową belką, ale taki duży, że chyba biskupi! - wykrzyknęła Gail. - Pewnie stąd to przezwisko. - A po namyśle: - Ależ ona niesamowicie się prezentowała. Jak primadonna. - To określenie zawdzięczała Gail zapewne swym aktorskim genom. - Każdy od razu wyczuwał jej siłę woli. Nawet Perry.

- Ale dopiero później - upomniał ją, unikając jej wzroku. - Bo państwo pomyślą, że jesteśmy tacy mądrzy po fakcie.

Miała wielką ochotę odciąć się: *No tak, a przed faktem też nie mogę być mądra, co?* Ale dała spokój, bo tak jej ulżyło, że udało jej się jakoś przebrnąć przez wspomnienie o Nataszy.

Mały Luke miał w sobie coś takiego, że nie mogła się skupić: to, że jej wzrok wciąż napotykał jego, choć wcale tego nie chciała; że jego wzrok napotykał jej. Z początku zastanawiała się, czy nie jest gejem, dopóki nie zauważyła, jak pilnie przygląda się jej bluzce

w miejscu, gdzie rozpiął jej się guzik. Uznała, że jest w nim jakaś z góry skazana na porażkę rycerskość. Że potrafiłby walczyć do ostatniego człowieka, sam będąc tym ostatnim. W latach oczekiwania na Perry'ego spała z całkiem sporą liczbą mężczyzn, w tym z paroma takimi, na których zgodziła się z litości, po prostu po to, by im udowodnić, że są lepsi, niż im się wydaje, i Luke trochę jej ich przypominał.

\*

Z kolei Perry - przynajmniej teraz tak twierdził, mówiąc głównie do swych wielkich dłoni, ułożonych płasko na stole - przygotowując się do meczu z Dimą, prawie w ogóle nie zajmował się widzami. Wiedział, że są, pomachał im rękietą, ale bez reakcji. Przede wszystkim był zbyt zajęty zakładaniem soczewek kontaktowych, zawiązywaniem sznurówek, smarowaniem się kremem, martwieniem, że Mark będzie naprzykrzał się Gail i ogólnie zastanawianiem się, jak szybko uda mu się wygrać i wynieść się stąd. A równocześnie przepytywał go jego przeciwnik, stojący o metr od niego:

- Oni wam przeszkadzają? - pytał poważnym półszepsem Dima.
- Moi kibice? Wy chcecie, żebym ja im kazał iść?
- Ależ skąd - odpowiedział Perry, wciąż rozdrażniony zajściem z ochroniarzami. - Przecież to chyba pańscy przyjaciele.
- Wy Brytyjczyk?
- Brytyjczyk.
- Angielski Brytyjczyk? Walijski? Szkocki?
- Prawdę mówiąc zwykły Anglik.

Wybrawszy sobie ławeczkę, Perry rzucił na nią swoją torbę, tę samą, do której nie pozwolił zaglądnąć ochroniarzom, i szarpnął za zamek. Wyciągnął dwie opaski, jedną na czoło, drugą na przegub dłoni.

- Wy kapłan? - zapytał Dima z tą samą śmiertelną powagą.
- A co, potrzebuje pan księdza?
- Doktor? Jakiś tam medyk?
- Niestety, doktor też nie.
- Prawnik?
- Ja po prostu gram w tenisa.
- Bankier?
- Broń Boże - odpowiedział zniecierpliwiony Perry i przez chwilę bawił się znoszoną czapeczką, ale w końcu odrzucił ją z powrotem do torby.

Prawdę mówiąc, był więcej niż zniecierpliwiony. Został wyrolowany; bardzo nie lubił być wyrolowany. Wyrolował go Mark; potem, gdyby na to pozwolił, chcieli go wyrolować ochroniarze. I bardzo dobrze, że nie pozwolił, ale ich obecność na korcie - ustawili się w obu końcach jak sędziowie - wystarczała, by podsycać jego złość. Ale przede wszystkim wyrolował go sam Dima; a już fakt, iż Dima zmusił bandę jakichś popaprańców, żeby przyszli oglądać jego zwycięstwo, jeszcze sprawę pogarszał.

Dima wcisnął dłoń do kieszeni swych długich czarnych spodenek tenisowych i wyciągnął srebrną półdolarówkę z prezydentem Kennedym.

- Wy wiecie? Moje dzieciaki mówią, że ja kazał ją sobie tak zmajstrować, żebym zawsze wygrywał - zwierzył się, wskazując skinieniem łysej głowy dwóch piegusów na widowni. - Jak ja wygrywam rzut monetą, moje dzieciaki myślą, że ja przy głupiej monecie majstrował. U was dzieci?

- Nie.
- A chcieliby?
- Może kiedyś. - Innymi słowy: *odpieprz się, nie twój interes.*
- Orzeł czy reszka?

Majstrował, powtórzył pod nosem Perry. Co to za słownictwo? I skąd ten na wpół bronksowski akcent u gościa, który tak kaleczy angielski? Perry wybrał reszkę, przegrał i usłyszał szyderczy okrzyk - pierwszy objaw zainteresowania, na jaki zdobył się ktokolwiek na widowni. Jego belferski wzrok spoczął na synach Dimy, którzy złośliwie śmiali się w kułak. Dima zerknął na słońce i wybrał ocienioną połowę kortu.

- A u was co to za rakietka? - zapytał z wesołą iskierką w tych swoich uduchowionych piwnych oczach. - Jakby nieprzepisowa. *Niczego*, i tak was ogram. - A kiedy już ruszał na kort: - Niezła ta wasza dziewczyna. Warta wiele wielbłądów. Wy lepiej szybko się żęńcie.

*A ten skąd wie, u licha, że nie jesteście małżeństwem?* - rozsierdził się Perry.

\*

Perry serwuje cztery asy pod rząd, zupełnie jak w meczu przeciwko hinduskiej parze, ale uderza mocno, wie o tym, ma to gdzieś. Gdy odpowiada na serwis Dimy, robi coś, czego zwykle nigdy by nie zrobił, nie będąc w szczytowej formie i nie grając ze znacznie słabszym przeciwnikiem: postępuje do przodu i staje niemal przy linii serwisowej, przyjmuje piłkę półwolejem, podkrecając ją ukosem przez kort lub podcinając ją tuż przy linii, niedaleko miejsca, gdzie stoi z założonymi rękami ochroniarz blondynek. Ale to udaje mu się tylko przy kilku pierwszych zagraniach, bo potem Dima orientuje się i trzyma go w głębi kortu, gdzie jest jego miejsce.

- Więc wtedy chyba zacząłem się trochę uspokajać - przyznał Perry, uśmiechając się wstydliwie do rozmówców i równocześnie pocierając usta wierzchem dłoni.



- Perry zachowywał się jak kompletny cham - poprawiła go Gail. - A Dima miał naturalny talent. Był zadziwiający jak na swoją tuszę, wzrost i wiek. Prawda, Perry? Sam tak powiedziałeś. Sam mówiłeś, że zaprzeczał prawu ciężenia. I że był prawdziwym sportowcem. I był bardzo miły.

- Nie skakał za piłką, tylko lewitował - zgodził się Perry. - Owszem, zachowywał się bardzo honorowo, niczego nie mogę mu zarzucić. Byłem pewny, że będą wybuchy złości i kłótnie o każdą sporną piłkę. Nic takiego. Naprawdę świetnie się z nim grało. A przy tym chytry był jak lis. Odbijał dosłownie w ostatniej chwili albo nawet później.

- A przy tym kulał - dodała podekscytowana Gail. - Trzymał się nieco krzywo i oszczędzał lewą nogę, prawda, Perry? I był sztywny jak patyk. I miał bandaż na kolanie. A mimo to lewitował!

- No tak, pewnie, trochę go oszczędzałem - przyznał się Perry, z zażenowaniem drapiąc się w czoło. - Szczerze mówiąc, trochę się jednak przy grze zasapał.

Ale mimo zasapania Dima nie przestawał wypytywać Perry'ego pomiędzy gemami:

- Wy wielki naukowiec? Rozwalicie cały świat, tak jak tym waszym serwisem? - pytał, pociągając łyk wody z lodem.

- Ależ nie.

- Aparatczyk?

Ta zgadywanka wreszcie się Perry'emu znudziła.

- Prawdę mówiąc, to uczę - powiedział, obierając banan.

- Uczycie? Znaczy, studentów? Uczycie, tak wy profesor?

- No właśnie. Uczę studentów. Ale nie jestem profesorem.

- A gdzie?

- Jak dotąd, w Oksfordzie.

- Na Uniwersytecie w Oksfordzie?
- Tak jest.
- A czego uczycie?
- Literatury angielskiej - odpowiedział Perry, nie mając wielkiej ochoty tłumaczyć się komuś kompletnie nieznanemu, że przyszłość stoi przed nim otworem.

Ale zadowolenie Dimy nie miało granic:

- Słuchajcie. A Jacka Londona znacie? Angielskiego pisarza, pierwsza klasa?

- Osobiście nie. - To był żart, ale Dimy bynajmniej nie rozśmieszył.

- Podoba się wam?

- Podziwiam go.

- A Charlotte Bronte? Ona też wam się podoba?

- Bardzo.

- A Somerset Maugham?

- Ten już mniej.

- U mnie książki każdego z nich! Po sto! Po rosyjsku! Całe szafy!

- To świetnie.

- A Dostojewskiego wy czytali? Lermotowa? Tołstoja?

- Oczywiście.

- U mnie wszystko. Wszyscy najlepsi. I Pasternak. Wiecie wy co? Pasternak pisał o moim rodzinnym mieście. Nazwał je Juriatin. A to Perm. Szajbus nazwał je Juriatin. Nie wiedzieć czemu. Tak to już z pisarzami. Szajbusy jeden w drugiego. A widzicie moją córkę, o, tam? To Natasza. W dupie ma tenis, a książki kocha. Ej, Natasza! Przywitaj pana profesora!

Z pewnym opóźnieniem - by dać do zrozumienia, że się jej przeszkadza - Natasza w roztargnieniu unosi głowę i odgarnia włosy akurat na tak długo, by Perry zdumiał się jej urodą, po czym powraca do lektury oprawnego w skórę tomu.

- Wstydzi się - wyjaśnił Dima. - Nie chce słuchać, jak ja na nią krzyczę. Widzicie, co ona tam czyta? Turgieniew. Ruski pisarz pierwsza klasa. Kupiłem. Jej chce się książki, ja kupuję. Nu, profesor, wasz serw.

- I od tego czasu zostałem profesorem. Powtarzałem mu w kółko, że nie jestem profesorem, nie słuchał mnie, więc w końcu się poddałem. Po paru dniach już pół hotelu mówiło do mnie per „panie profesorze”. To trochę dziwne, jeżeli akurat się zdecydowało rzucić pracę na uczelni.

Zmiana stron następuje przy stanie 2:5 dla Perry'ego. Perry z zadowoleniem skonstatował, że Gail przeniosła się od natrętnego Marka na górną ławkę, między dwie dziewczynki.

\*

Gra nabierała przyzwoitego tempa, opowiadał dalej Perry. Nie był to jakiś wielki mecz, ale - kiedy tylko lekko obniżył poziom - ciekawy i przyjemny w oglądaniu, jeżeli komukolwiek chodziło o przyjemność, bo z wyjątkiem bliźniaków reszta widzów zachowywała się jak na zebraniu kółka parafialnego. Mówiąc o *obniżeniu poziomu*, miał na myśli nieco wolniejszą grę, czasem odbieranie piłek, które zmierzają poza kort czy też zagranie returnu trochę na oślep. Biorąc jednak pod uwagę, że, co tu kryć, jego przewaga - wynikająca z różnicy wieku, umiejętności i sprawności - była oczywista, Perry'emu chodziło już tylko o to, by skończyć mecz, nie odrzucić Dima z godności i zjeść z Gail późne śniadanie na „Mostku kapitańskim”. A przynajmniej tak to sobie planował do chwili, gdy przy kolejnej zmianie stron Dima zacisnął mu dłoń na ramieniu i odezwał się do niego gniewnym pomrukiem:

- Wy, profesor, wy nie bądźcie taki grzeczny.
- Co takiego?

- Ta długa piłka. To był aut. Wy widzicie, że aut, a gracie. Wy co, myślicie, że ja jakaś stara żopa, że ja padnę, jak wy dla mnie niemili?

- Szła w linię.

- Ja kupiec. Ja czegoś chcę, ja biorę. A za darmo nikt mi niczego nie daje, słyszycie? Chcecie grać o tysiąc dolców? Żeby było ciekawiej?

- Nie, dziękuję.

- O pięć tysięcy?

Perry zaśmiał się i pokręcił głową.

- Wy boicie się, tak? Wy boicie się, tak się nie zakładacie.

- Pewnie właśnie dlatego - zgodził się Perry, wciąż czując na lewym przedramieniu odcisk dłoni Dimy.

\*

- Przewaga Wielka Brytania!

Okrzyk rozbrzmiewa i przebrzmiewa na korcie. Bliźniacy wybuchają nerwowym śmiechem i czekają na konsekwencje. Jak dotąd Dima tolerował ich rzadkie objawy dobrego humoru. Teraz już nie. Odkłada rakiety na ławkę, ciężkim krokiem wspina się na schody widowni i podszedłszy do chłopców, przyciska po jednym palcu wskazującym do czubków ich nosów.

- Mam zdjąć pas i zbić was na kwaśne jabłko? - pyta po angielsku, zapewne ze względu na Gail i Perry'ego, bo inaczej czemu nie miałby mówić do nich po rosyjsku?

Na co jeden z chłopców odpowiada lepszą niż ojcowska angielszczyzną:

- Papa, ty nie masz pasa.

To wystarczyło. Dima policzkuje bliższego z synów tak mocno, że ten wykonuje półobrót na ławce, nim zablokują go nogi. Po pierwszym policzku następuje w sekundę potem drugi, równie głośny,

wymierzony tą samą dłonią drugiemu synowi. Gail przypomina to polowania na bażanty w towarzystwie bogatych przyjaciół jej mającego wielkie aspiracje starszego brata - sama nienawidzi tej formy spędzania wolnego czasu - i strzelane przez brata dublety, czyli trafienie dwóch ptaków bezpośrednio jednego po drugim.

- Wstrząsnęło mną, że nawet się nie uchyliłi. Siedzieli i czekali - powiedział Perry, nauczycielski syn.

Ale według Gail najdziwniejsze było to, jak przyjaźnie potoczyła się dalsza rozmowa:

- A potem chcecie lekcję tenisa z Markiem? Czy religii w domu z matką?

- Tenisa, papa, prosimy - mówi jeden z chłopców.

- Nu, to mi tu więcej nie hałasować, bo nie dostaniecie na kolację wołowiny z Kobe. Chcecie na kolację wołowiny z Kobe?

- Pewnie, papa.

- A ty, Wiktor?

- Pewnie, papa.

- Chcecie kibicować, tak kibicujcie profesorowi, nie tej starej żopie, ojcu. No, chodźcie.

Niedźwiedzi uścisk dla każdego z chłopców - po czym mecz toczy się już bez dalszych incydentów do nieuchronnego końca.

\*

Pokonany Dima staje się zenująco wylewny. Nie tylko przyjmuje porażkę z honorem, ale jest wręcz wzruszony do łez, pełen podziwu i wdzięczności. Najpierw musi przyciągnąć Perry'ego do swej potężnej piersi - Perry gotów jest przysiąc, że cała jest z rogu - w potrójnym rosyjskim uścisku. A że przez cały czas łyzy ciekną mu po policzkach, wkrótce przelewają się na kark Perry'ego.

- Słuchajcie, profesor, wy prawdziwy *fair play* Anglik, niech was szlag. Angielski dżentelmen, niech was szlag, jak w książkach. Ja was kocham, słyszycie. Gail, wy też tu chodźcie. - Uścisk przeznaczony dla Gail jest jeszcze bardziej przepełniony szacunkiem i ostrożniejszy, za co jest bardzo wdzięczna. - Wy dobrze pilnujcie tego waszego duraka, słyszycie? W tenisa grać nie umie, ale Bóg świadkiem, prawdziwy dżentelmen. On profesor *fair play*, słyszycie? - Powtarza tę mantrę, jakby sam ją przed chwilą wymyślił.

I odwraca się, by krzyknąć ze zniecierpliwieniem w telefon komórkowy, podsunięty mu przez ochroniarza o dziecinnej twarzy.

\*

Widzowie powoli wychodzą gęsiego z kortu. Dziewczynki koniecznie muszą dać się uściskać Gail. Gail z przyjemnością na to przystaje. Jeden z synów Dimy, idących na lekcję tenisa mija Perry'ego i rzuca przeciągłym amerykańskim angielskim: „*cool play, man*”. Na policzku wciąż ma szkarłatną plamę. Piękna Natasza dołącza do procesji, dźwigając oprawny w skórę tom; używa kciuka jako zakładki w miejscu, w którym jej przerwano. Na samym końcu pochodu kroczy Tamara pod rękę z Dimą. Jej biskupi krzyż prawosławny błyszczy w wysokim już słońcu. Na skutek meczu Dima mocniej kuleje. Gdy idzie, odchyła się do tyłu, wypycha brodę do przodu, wielkie bary czekają na pojawienie się przeciwnika. Ochroniarze sprowadzają grupę krętą kamienną alejką. Za hotelem stoją cztery minivany o zaciemnionych szybach, które zabiorą ich do domu. Ostatni wychodzi Mark.

- Świetny mecz, proszę pana! - Klepie Perry'ego po ramieniu. - I świetna robota na korcie. Troszeczkę tylko bekhendy panu nie wychodzą, jeśli wolno coś powiedzieć. Może trochę nad nimi popracujemy?

Gail i Perry stoją obok siebie i patrzą bez słowa, jak konwój podskakuje na dziurawej drodze i znika wśród cedrów, skrywających przed wścibskimi oczami posiadłość o nazwie Trzy Kominy.

\*

Luke unosi głowę znad spisanych notatek. Jak na komendę Yvonne robi to samo. Oboje się uśmiechają. Gail usiłuje unikać wzroku Luke'a, ale nie może, bo Luke patrzy wprost na nią.

- No, pani Gail - mówi żwawo. - Teraz pani kolej, jeśli łaska. Mark był upierdliwy, wiem, ale był też chyba prawdziwą kopalnią informacji. Czy może pani powiedzieć nam jeszcze coś cennego o rodzinie Dimy? - I równocześnie drobne dłonie wykonują gest, jakby popędzał konia do szybszego biegu.

Gail zerka na Perry'ego, sama nie wie, po co. Perry nie odwzajemnia jej spojrzenia.

- On był po prostu taki oślizgły - skarży się, wybierając Marka, nie Luke'a, na przedmiot swej dezaprobaty, i marszczy twarz na znak, że niesmak pozostał.

\*

Mark jeszcze dobrze nie usiadł przy niej w najniższym rzędzie, a już zaczął nudzić o tym, jakim ważnym milionerem jest jego rosyjski przyjaciel Dima. Jeśli wierzyć Markowi, Trzy Kominy to tylko jedna z jego licznych posiadłości. Drugą ma na Maderze, trzecią w Soczi nad Morzem Czarnym.

- I jeszcze dom w Bernie - mówiła dalej - gdzie ma firmę. Ale nie potrafi długo usiedzieć na jednym miejscu. Część roku spędza w Paryżu, część w Rzymie, część w Moskwie. Jeżeli można wierzyć

Markowi. - Zobaczyła, że Yvonne znów coś zapisuje. - Ale jego obecną ojczyzną jest Szwajcaria, bo tam jego dzieci uczą się w jakiejś międzynarodowej szkole dla dzieci milionerów. - Opowiada o swojej firmie. Mark domyśla się, że Dima jest jej właścicielem. Rzeczywiście, ma działalność gospodarczą zarejestrowaną na Cyprze. I banki. Kilka banków. Banki to jego główna branża. Właśnie przez to trafił na wyspę. Mark wyliczył, że na Antigui są teraz aż cztery rosyjskie banki i jeden ukraiński. Tylko że te banki to tylko mosiężne tabliczki w centrach handlowych i telefon na biurku jakiegoś prawnika. Bank Dimy to jedna z tych tabliczek. Kiedy kupował Trzy Kominy, zapłacił gotówką. I nawet nie przyniósł całej gotówki w walizkach, tylko w koszach na bieliznę, które pożyczono mu w hotelu - według Marka wyglądało to dość przerażająco. W dwudziestodolarówkach, nie w pięćdziesiątkach, bo pięćdziesiątki są zbyt niebezpieczne. Kupił dom z nieczynną cukrownią i półwysep, na którym się znajdują.

- Czy Mark wymienił jakąś sumę? - Teraz znów pytał Luke.

- Sześć milionów dolarów. Amerykańskich. Tenis też nie był z początku dla czystej przyjemności. A przynajmniej nie od początku - ciągnęła zdziwiona, jak wiele zapamiętała z nieprzyjemnego monologu Marka. - Tenis to w Rosji jeden z ważniejszych symboli statusu społecznego. Jeżeli Rosjanin mówi, że gra w tenisa, to chce dać do zrozumienia, że jest cholernie bogaty. Dzięki wspianiałym naukom Marka Dima wrócił do Moskwy, zdobył jakiś puchar, wszystkich zatkało z wrażenia. Tylko że Markowi nie wolno o tym opowiadać, bo Dima lubi się przechwalać, że sam do wszystkiego doszedł. Mark zrobił dla mnie wyjątek, bo całkowicie mi ufał. A jeżeli chciałabym kiedyś wpaść do jego kantorka, to na pięterku ma śliczny pokój, w którym moglibyśmy kontynuować tę konwersację.



Luke i Yvonne kwitują to współczującymi uśmiechami, Perry wcale się nie uśmiecha.

- A Tamara? - zapytał Luke.

- Mówi o niej, że ma fioła na punkcie Boga. I że kompletnie jej odbiło. Tak przynajmniej twierdzą wyspiarze. Nie pływa, nie chodzi na plażę, nie gra w tenisa, nie rozmawia z dziećmi, chyba że o Bogu, całkowicie ignoruje Nataszę, z miejscowymi nie gada, chyba że z Elspeth, żoną majordomusa Ambrose'a. Elspeth pracuje w biurze podróży, ale jak przyjeżdża rodzina Dimy, rzuca wszystko i tam jest za pomoc domową. A podobno nie tak dawno jedna z ich służących pożyczyła sobie trochę biżuterii Tamary, żeby ładnie wyglądać na tańcach. Tamara przytapała dziewczynę, zanim oddała biżuterię i tak ją ugryzła w rękę, że trzeba było założyć dwanaście szwów. Mark powiedział, że gdyby to jego ugryzła, kazałby się od razu zaszczepić na wściekliznę.

- To teraz proszę nam opowiedzieć o tych dziewczynkach, które się do pani przysiadły - zaproponował Luke.

\*

Yvonne była teraz główną oskarżycielką, a Luke bawił się w oskarżyciela posiłkowego. Posadzona na miejscu dla świadków Gail starała się utrzymać nerwy na wodzy, co zresztą zawsze nakazywała swoim świadkom pod groźbą ekskomuniki.

- Czyli te dziewczynki już tam siedziały, czy może podbiegły do pani w podskokach na widok, że taka śliczna pani siedzi sama? - zapytała Yvonne, wsuwając ołówek do ust i studiując notatki.

- Wyszły do mnie na górę i usiadły obok mnie, jedna z jednej strony, druga z drugiej. I nie było żadnych podskoków. Po prostu przyszły.

- Uśmiechając się? Śmiejąc? Psocąc?
- Żadnych uśmiechów. Ani półuśmiechu.
- Czy pani zdaniem dziewczynki zostały do pani przysłane przez kogoś, wszystko jedno kogo, kto się nimi opiekował?
- Przyszły całkowicie z własnej woli. Moim zdaniem.
- Na pewno? - To zabrzmiało bardziej natarczywie, bardziej po szkocku.

- Dobrze widziałam, jak było. Mark zaczął się do mnie przystawiać. Nie miałam na to ochoty, więc uciekłam jak najdalej od niego, czyli do górnego rzędu. Nikt inny tam nie siedział, tylko ja.

- To gdzie przedtem znajdowały się te maleństwa? Niżej? Czy w tym samym rzędzie? Proszę powiedzieć, gdzie dokładnie?

Gail wzięła głęboki wdech, żeby się opanować, po czym po chwili zastanowienia odpowiedziała:

- Maleństwa siedziały w drugim rzędzie razem z Elspeth. Starsza odwróciła się i spojrzała w górę, na mnie, i powiedziała coś do Elspeth. Nie, nie słyszałam, co mówiła. Elspeth odwróciła się i popatrzyła na mnie, i skinęła starszej dziewczynce głową na tak. Dziewczynki naradziły się, wstały i podeszły po schodach do mnie. Powoli.

- Proszę jej nie dręczyć - powiedział Perry.

\*

Zeznania Gail robią się wykrętne. A przynajmniej tak to brzmi w jej własnych, prawniczych uszach, i niewątpliwie też w uszach Yvonne. Tak jest, dziewczynki pojawiły się przed nią. Starsza dygnęła, jakby uczyła się tego na lekcjach baletu, i zapytała bardzo poważnie, po angielsku, z leciutkim tylko obcym akcentem: „Bardzo prosimy, czy możemy przy pani usiąść, *miss*?”. Na co Gail zaśmiała się i odpowiedziała: „Ależ możecie, *miss*”. Jedna siadła z jednej strony,

druga z drugiej, i jedna, i druga wciąż bez uśmiechu.

- Zapytałam starszą, jak ma na imię. Szeptem, bo nikt inny nie rozmawiał. Odpowiedziała: „Katia”, więc zapytałam: „A twoja siostra?”, na co ona: „Irina”. Wtedy Irina obróciła się i tak na mnie spojrzała, jakbym... no, jakbym się im narzucała... Zupełnie nie rozumiałam tej wrogości. Zapytałam: „A jest tutaj wasza mamusia i tatuś?”. Zapytałam obie. Katia bardzo stanowczo pokręciła głową, że nie. Irina w ogóle nic nie powiedziała. Przez chwilę siedziałyśmy, nic nie mówiąc. Całkiem długą chwilę, jak na takie małe dzieci. Myślałam sobie: może je nauczono, że na meczach tenisowych się nie rozmawia. Albo że nie rozmawia się z nieznajomymi. A może więcej nie potrafią po angielsku, a może mają autyzm, albo jakieś inne upośledzenie.

Urywa w nadziei na zachętę lub pytanie, ale widzi tylko dwie pary wyczekujących oczu i siedzącego obok niej Perry'ego, odchylającego głowę do tyłu, ku ceglanyemu murowi, które pachną jak pijackie zwyczaje jej nieboszczyka ojca. Bierze w myśli głęboki dech i skacze na głęboką wodę:

- Akurat była zmiana stron, więc spróbowałam znowu: Katia, gdzie ty chodzisz do szkoły? Kręci głową Katia, kręci głową Irina. Nie chodzicie do szkoły? W ogóle czy tylko teraz? Zdaje się, że tylko teraz. Dawniej chodziły do Brytyjskiej Szkoły Międzynarodowej w Rzymie, ale już nie chodzą.

Nie powiedziały dlaczego, bo ich nie pytałam. Nie chciałam ich męczyć, ale miałam złe przeczucia, choć nie wiedziałam jakie. To czy mieszkają w Rzymie? Już nie. To znowu Katia.

I w Rzymie nauczyłyście się tak świetnie mówić po angielsku? Tak. W Szkole Międzynarodowej można było wybrać między angielskim a włoskim. Angielski lepszy. Wskazałam na dwóch synów Dimy. To wasi bracia? Znowu kręcą głowami. Kuzyni? Tak, coś jakby kuzyni. Tylko „jakby”? Tak. Oni też chodzili do Szkoły Międzynarodowej? Tak, ale w Szwajcarii, nie w Rzymie. A ta piękna

dziewczyna, zatopiona po uszy w książce, pytam, to też kuzynka? Odpowiada Katia, jakbym wydarła z niej wyznanie: Natasza to nasza kuzynka, ale też tylko jakby. I przez całą rozmowę nie uśmiechnęły się ani razu. Tylko Katia gładzi mnie po jedwabnym wdzianku. Jakby pierwszy raz dotykała jedwabiu.

Gail bierze oddech. To nic, powtarza sobie. To dopiero przystawka. Poczekajcie na pełny, pięciodaniowy horror. Poczekajcie, aż będę mogła być mądra po fakcie.

- A jak już sobie dość pogładziła jedwab, opiera mi głowę na ramieniu, trzymając tam i zamyka oczy. Na tym nasza konwersacja kończy się na całe pięć minut. Tylko Irina, która siedzi po mojej drugiej stronie, naśladuje Katię i bierze mnie za rękę. Ma takie ostre, twarde łapki, trzyma się mnie nimi z całej siły. Potem przyciska sobie moją dłoń do czoła i przesuwając po niej całą twarzą, jakby chciała mi pokazać, że ma gorączkę, tylko że jej policzki są mokre, i wtedy uświadamiam sobie, że płakała. Potem puszcza moją rękę, a Katia mówi: „Ona czasem płacze. To normalne”. I wtedy właśnie kończy się mecz, Elspeth wspina się po nie do górnego rzędu, a ja tymczasem chcę zawinąć Irinę w mój sarong i zabrać ją do siebie, najlepiej razem z siostrą, ale nie mogę i nie mam pojęcia, dlaczego jest smutna, i niczego o nich nie wiem. Koniec.

\*

Wcale nie koniec. Na Antigui nic tak łatwo się nie kończy. Ta historia toczy się dalej. Gail Perkins i Perry Makepiece nadal spędzają najszczęśliwsze wakacje życia, dokładnie tak, jak to sobie obiecali jeszcze w listopadzie. By przypomnieć sobie to szczęście, Gail odtworzyła na własny użytek wersję nieocenzurowaną:

Około dziesiątej: powrót z tenisa, Perry musi wziąć prysznic.

Seks. Jak zawsze wspaniały, jeszcze nam to wychodzi. Perry niczego nie robi na pół gwizdka. Jego zdolność do koncentracji pozwala na skupienie się na jednej tylko sprawie naraz.

Południe lub trochę potem: spóźnienie na bufet śniadaniowy z powodów technicznych (patrz powyżej), pływanie w morzu, lunch nad basenem, powrót na plażę, bo Perry musi pokonać mnie w bule.

Około szesnastej: powrót do domku ze zwycięskim Perrym - dlaczego on nigdy nie da mi wygrać? - drzemka, czytanie, znowu seks, drzemka, utrata poczucia czasu. Wypicie całego chardonnay z minibaru podczas wylegiwania się na balkonie w płaszcach kąpielowych.

Około dwudziestej: uznanie, że nie chce nam się ubierać, zamówienie kolacji do domku.

Wakacje życia trwają. Wciąż jesteśmy w raju, ale już gryziemy to cholerne jabłko.

Około dwudziestej pierwszej: pojawia się kolacja, przywieziona na wózku nie przez byle kelnera, ale przez czcigodnego Ambrose'a we własnej osobie. Oprócz zamówionej przez nas butelki kalifornijskiego sikacza przynosi nam zmrożoną butelkę rocznikowego szampana, Kruga, w srebrnym wiaderku z lodem, wycenionego w liście win na 380 dolarów plus VAT, i zaraz obok dwóch oszronionych kieliszków kładzie talerzyk z bardzo smakowicie wyglądającymi tartinkami i dwie serwetki z adamaszku. I wygłasza z pamięci mowę, na cały głos, z rękoma przyciśniętymi do boku, jak woźny sądowy.

- Ta butelka wspaniałego szampana trafia do państwa za sprawą jedyne w swoim rodzaju pana Dimy we własnej osobie. Pan Dima kazał podziękować państwu za... - Tu wydobywa z kieszeni koszuli kartkę i okulary do czytania. - Za, jak twierdzi, cytuję:

„Profesor, I wam serdecznie dziękuję za piękną lekcję tenisowego *fair play* i za to, że wy angielski dżentelmen. Ja wam dziękuję też, że ja nie stracił pięciu tysięcy dolarów na zakład”. Ponadto ukłony dla bardzo pięknej panny Gail, i to cała wiadomość.

Pijemy parę kieliszków Kruga i uzgadniamy, że dokończymy w łóżku.

\*

- Co to jest wołowina z Kobe? - pyta mnie Perry w pewnej chwili bardzo pracowitej nocy.

- A masowałeś kiedyś dziewczynie brzuch? - pytam.
- W życiu bym się nie ośmielił - mówi Perry, właśnie to robiąc.
- Jałówki - tłumaczę mu. - Karmione sake i najlepszym piwem.

Bydło z Kobe masuje się co wieczór brzuszki, zanim wreszcie pójdzie pod topór. Poza tym to świetny przykład z dziedziny prawa własności intelektualnej. Nasza kancelaria prowadziła im jedną sprawę, wygraliśmy w cudłach.

Gdy zasypiam, mam proroczy sen, że jestem w Rosji, gdzie małym dzieciom dzieje się krzywda. Wszystko jak na czarno-białym filmie z czasów wojny.

### 3.

Niebo Gail ciemnieje, podobnie jak pokój w suterenie. W miarę jak światło przygasa, słaba żarówka u sufitu płonie nad stołem jakby jeszcze bardziej ponuro, ceglane ściany stały się czarne. Powyżej, na ulicy, ruch jest coraz bardziej sporadyczny i coraz rzadziej przez mleczone szyby półokrągłych okien przebiegają cienie stóp. Wielki dobroduszny Ollie, nadal z kolczykiem, ale bez beretu, wpadł przed chwilą z czterema filiżankami herbaty i talerzykiem sucharków - i zniknął.

Choć to ten sam Ollie przywiózł ich tego samego popołudnia z mieszkania Gail czarną taksówką, wiadomo już oficjalnie, że nie jest prawdziwym taksówkarzem - mimo identyfikatora z licencją, który nosi na szerokiej piersi. Według Luke'a Ollie „prowadzi nas do zbawienia wąską drogą”, ale Gail tego nie kupuje. Szkocka sawantka kalwinistka nie potrzebuje moralnej podpory, a dla dżentelmena koniarza z zezem i całym arsenałem arystokratycznego wdzięku jest już i tak za późno.

Poza tym Ollie ma we wzroku coś takiego, że według Gail nie może grać tak małej roli. I Gail nie wie jeszcze, co sądzić o tym jego kolczyku - czy to sygnał seksualny, czy tylko żart. Poza tym ma kłopoty z jego akcentem. Kiedy pierwszy raz usłyszała go w swym domofonie w Primrose Hill, mówił jak typowy londyński *cockney*. Potem, gdy Ollie rozmawiał z nimi przez wewnętrzną szybę w taksówce o paskudnej pogodzie jak na maj - a przecież kwiecień był

taki piękny, mój Boże, czy kwiaty na drzewach przyjdą do siebie bo tej ulewie zesłej nocy - wyczuła obce tony i jeszcze zaczął mieć problemy ze składnią. W takim razie jaki jest jego ojczysty język? Grecki? Turecki? Hebrajski? A może akcent, podobnie jak ten pojedynczy kolczyk, to kolejna próba mydlenia oczu nam, zwykłym ludziom?

Teraz żałuje, że podpisała to zasrane oświadczenie. I że Perry też podpisał. W dodatku Perry nie podpisywał, kiedy podpisywał, tylko zaprzedawał się duszą i ciałem.

\*

Piątek był ostatnim dniem hinduskich nowożeńców, mówi teraz Perry. Dlatego umówili się z nimi, że zagrają do trzech wygranych setów zamiast do dwóch, i w efekcie znowu spóźnili się na śniadanie.

- Więc postanowiliśmy, że pójdziemy popływać w morzu, a jeżeli będziemy głodni, to może zjemy *brunch*. Wybraliśmy zatłoczony koniec plaży. Zwykle tam nie chodziliśmy, ale zastanawialiśmy się, czy potem nie wstąpimy do Baru na Wraku.

Gail rozpoznaje ten pewny ton. To Perry - wykładowca literatury angielskiej. Fakty i krótkie zdania. Żadnych abstrakcyjnych pojęć. Niech opowiadanie broni się samo. Właśnie opowiada, że wybrali parasol. Rozłożyli rzeczy. Szli już do wody, kiedy na przylegającym do plaży asfalcie - pomalowanym w napis „ZAKAZ PARKOWANIA” - zatrzymał się minivan z przyciemnionymi szybami. Wysiadł z niego najpierw ochroniarz o dziecinniej twarzy, potem ten w szkockiej czapeczce z meczu tenisowego, teraz w szortach i żółtej skórzanej kamizelce, ale z czapeczką wciąż mocno osadzoną *in situ*. Potem Elspeth, małżonka Ambrose'a, a potem nadmuchany, gumowy krokodyl z otwartą paszczą, za którym pojawiła się Katia, mówi Perry,



popisując się swoją genialną pamięcią. A po Katii wyszła z samochodu olbrzymia czerwona piłka do skakania z twarzą Śmieszka i uchwytami; okazało się, że piłka należy do Iriny, również w stroju plażowym. A na końcu pojawiła się Natasza, dodaje Perry, co oznacza, że teraz będzie mówić Gail. *Natasza to moja sprawa, nie twoja:*

- Ale najpierw chwilę odczekała, żeby mieć odpowiednie wejście. Już myśleliśmy, że w samochodzie nikogo nie ma - mówi Gail.

- Cała odstrzelona: chiński kapelusz, sukienka cheongsam z wielkimi podłużnymi guzikami i greckie sandały, zawiązane na kostkach. I dźwiga to swoje tomiszcze. Przeszedłszy przez piasek na paluszkach i tak zgrabnie, żeby każdy mógł podziwiać, sadowi się leniwie pod najdalszym parasolem w rzędzie i z okropnie poważną miną zabiera się do lektury. Tak było, Perry?

- Skoro tak mówisz - odpowiada z zażenowaniem Perry i gwałtownie cofa się na krzesło, jakby chciał się od niej odsunąć.

- Mówię. Ale naprawdę najdziwniejsze, naprawdę najbardziej przerażające było to - mówi pewnym tonem, bo udało jej się odwrócić uwagę od Nataszy - że oni wszyscy, i dorośli, i dzieci, wiedzieli dokładnie, dokąd mają iść i co robić, gdy tylko znaleźli się na plaży.

Ochroniarz o dziecinnej twarzy ruszył prosto do Baru na Wraku i zamówił puszkę piwa korzennego, która starczyła mu na następne dwie godziny, opowiada Gail, ani na chwilę nie oddając inicjatywy. Ten w szkockiej czapeczce, pomimo swych rozmiarów - według Marka kuzyn, jeden z licznych kuzynów z Permu - miasta, nie epoki geologicznej - wspiął się po trzeszczącej drabince na wieżyczkę ratownika, wyciągnął z kieszeni skórzanej kamizelki gumowy krążek, nadmuchał go i usiadł na nim - pewnie hemoroidy. Dwie dziewczynki, za którymi szła w pewnym oddaleniu Elspeth,

dźwigając krokodyla i piłkę, zeszły w dół po piaszczystym zboczu do miejsca, gdzie rozłożyli się Gail i Perry.

- I znowu szły - podkreśla Gail na użytek Yvonne. - Bez podskoków, podrygów czy krzyków. Szły. Tak samo poważne i osowiałe jak na korcie. Irina z palcem w buzi i złą miną; ton Katii był mniej więcej tak serdeczny jak zegarynki: „Czy popływa pani z nami? Proszę, panno Gail”. Więc ja do niej, w nadziei że uda mi się rozluźnić atmosferę: „Panno Katiu, pan Perry i ja będziemy zaszczyceni popływać z paniami”. No i poszliśmy pływać. Zgadza się? - To do Perry'ego, a ten pokiwał głową i koniecznie musiał jeszcze raz położyć swoją dłoń na jej dłoni, nie bardzo wiedziała, czy w geście poparcia, czy uspokojenia, ale efekt był ten sam: musiała zamknąć oczy i odczekać kilka sekund, nim mogła mówić dalej. Ale gdy już mogła, popłynął znów potok słów.

- To było z góry ukartowane. My od razu wiedzieliśmy. Dzieci też. Ale trudno byłoby znaleźć inne dwie dziewczynki, którym bardziej przydałaby się zabawa w wodzie z krokodylem i wielką piłką, prawda, Perry?

- Święta prawda - mówi entuzjastycznie Perry.

- Więc Irina przykleiła mi się do ręki i prawie zmusiła do wejścia do wody. Za nami szli Katia i Perry z krokodylem. A ja myślałam przez cały czas: gdzie, u licha, są ich rodzice i dlaczego my to za nich robimy? Nie spytałam Katii wprost. Chyba miałam przecucie, że to nie byłoby rozsądne pytanie. Rozwód, coś w tym stylu? Za to zapytałam ją, co to za miły pan, ten w czapeczce, na wieży. Wujaszek Wania, mówi Katia. A, to świetnie, mówię, a kim jest wujaszek Wania? Odpowiedź: taki wujek. Z Permu? Tak, z Permu. Więcej wyjaśnień się nie doczekałam. Tak jak przedtem: już nie chodzimy do szkoły w Rzymie. Już zrobiłam błąd stóp, Perry?

- Ależ skąd.

- To mówię dalej.

\*

Gail opowiada, że przez chwilę słońce i morze robią swoje. Dziewczynki chlapią się i skaczą, Perry doprowadza je do zachwyty w roli potężnego Posejzona, który wynurza się z głębin, wydając potworne dźwięki. Serio, Perry, naprawdę, byłeś cudowny, musisz przyznać.

Wyczerpani wracają na brzeg, gdzie dziewczynki zostają wytarte, ubrane i nasmarowane przez Elspeth.

- Ale dosłownie w parę sekund już są z powrotem, już kucają na krawędzi mojego ręcznika. Wystarczyło popatrzeć na ich twarze, od razu było widać, że ponure cienie nie zniknęły, że tylko się ukrywały. W porządku, myślę sobie: lody, oranżadka. Perry, zadanie dla mężczyzny, mówię mu, rób, co do ciebie należy. Tak było, Perry?

Oranżadka? - powtarza sobie w duchu. Dlaczego znowu zacynam mówić jak moja zaszracona matka? Bo ja też jestem niespełnioną aktorką o świetnym głosie, który w dodatku robi się coraz głośniejszy w miarę mówienia.

- Tak było - odpowiada trochę za późno Perry.

- Poszedłeś od razu, prawda? Karmelowo-orzechowe na wafle dla całej czwórki, sok ananasowy dla dziewczynek. Ale kiedy Perry chce podpisać się na rachunku, barman mówi, że wszystko zapłacone. Przez kogo? - rozpęcza się z tą samą sztuczną wesołością. - Przez Wanię! Tego dobrotliwego, grubego wujaszka w szkockiej czapeczce, który wciąż tkwi na wieży ratownika. Ale Perry, jak to Perry, tak tego nie zostawi, no nie?

Zakłopotane kręcenie podłużnej głowy oznacza, że jest już tak wysoko na ścianie, że jej nie słyszy, ale rozumie, o co chodzi.

- On patologicznie nie cierpi, żeby mu cokolwiek fundowano. Prawda, Perry? A tutaj w dodatku chodzi o kogoś, kogo w ogóle nie zna. I Perry już lezie po drabinie do wujaszka Wani, żeby mu

powiedzieć, że to bardzo miłe, ale wolałby sam zapłacić.

Nie ma siły mówić dalej. Perry podejmuje opowieść, ale bez tej jej desperackiej swady:

- Wyszedłem po drabinie do Wani, który dalej siedział na swoim gumowym krążku. Już byłem pod daszkiem i miałem powiedzieć, co miałem do powiedzenia, kiedy zorientowałem się nagle, że patrzę na bardzo duży, czarny pistolet, zatknięty za pazuchę. Bo wujaszek Wania rozpiął kamizelkę, a spod niej wystawała broń. W całej okazałości. Nie znam się na broni, Bogu dzięki zresztą. Wy pewnie się znacie. Ta była w bardzo wielkim numerze - usprawiedliwia się, po czym zapada wymowne milczenie. Perry rzuca żalosne spojrzenie na Gail, ale nie zostaje nagrodzony za swój trud.

\*

- I pan Perry nic nie powiedział? - zřęcznie podsuwa mały Luke, który zawsze chce mieć wszystko do końca dopowiedziane. - No, na temat tej broni.

- Nie, nic. Wydawało mi się, że nie widział, że zauważyłem, więc uznałem, że z taktycznych względów będzie lepiej, jeżeli ja też niczego nie widziałem. Podziękowałem mu za lody i zszedłem na dół, do Gail, która gawędziła z dziewczynkami.

Luke zamyśla się nad tym dość intensywnie. Coś mu nie pasuje. Może dręczy go trudny problem szpiegowskiej etykiety? Co się robi, kiedy zauważy się, że komuś, kogo nie zna się zbyt dobrze, sterczy spod kamizelki pistolet? Czy mówi się, że się zauważyło, czy udaje się, że się nie widzi? To zupełnie tak samo, kiedy widzi się, że ktoś, kogo nie zna się za dobrze, ma rozpięty rozporek.

Szkocka sawantka Yvonne postanawia rozwiązać ten problem za Luke'a:

- Po angielsku? - pyta surowo. - Rozumiem, że podziękował mu pan po angielsku. A czy on cokolwiek odpowiedział po angielsku?

- W ogóle nie odpowiedział. Ale zobaczyłem, że miał przy kamizelce żałobne guziki. Już dawno u nikogo ich nie widziałem. Ale wy pewnie nawet nie wiecie, że jest coś takiego, co? - pyta oskarżycielsko.

Gail kręci głową, zdumiona jego agresywnością. Prawda, Perry, przyznaję się do winy. Nie miałam pojęcia, że istnieją żałobne guziki. Ale teraz wiem, więc możesz dalej opowiadać. Tak czy nie?

- Panie Perry, a nie przyszło panu na myśl zgłosić tego w hotelu? - pyta uparcie Luke. - Jakoś tak: „na wieży ratownika siedzi Rosjanin z wielkich rozmiarów pistoletem”?

- Wiele pomysłów przyszło mi do głowy, ten oczywiście też - odpowiada Perry, któremu jeszcze nie przeszedł napad agresji. - Tylko po co? Wiele wskazywało na to, że jeżeli Dima nawet nie był właścicielem hotelu, to miał tam wszystkich w kieszeni. Zresztą chodziło też o dzieci, trzeba było się zastanowić, czy urządzać awanturę przy wszystkich. I uznaliśmy, że nie.

- A policja na wypie? To wam nie przyszło na myśl? - Znowu Luke.

- Zostały nam jeszcze trzy dni. Nie zamierzaliśmy zmarnować ich na składanie dramatycznych zeznań na policji, która pewnie i tak była w tym umaczana po uszy.

- I to była wasza wspólna decyzja?

- To była decyzja wiążąca. Moja. Nie chciałem iść do Gail i mówić: „Wania ma za pasem pistolet, jak uważasz, czy nie powinniśmy iść z tym na policję?”. A już na pewno nie przy dziewczynkach. Kiedy zostaliśmy sami i zastanowiłem się nad tym, powiedziałem jej, co widziałem. Przedyskutowaliśmy to sobie racjonalnie i doszliśmy do decyzji, że nic nie robimy.

Ulegając mimo woli przyptywowi czulej opiekuńczości, Gail popiera go prawniczą opinią:

- Może Wania miał całkowicie legalne, miejscowe pozwolenie na broń? Skąd Perry miał wiedzieć? A może Wania nie potrzebował pozwolenia? Może broń dostał właśnie na policji? W końcu nie za bardzo znamy się na przepisach regulujących posiadanie broni na Antigui, prawda, Perry?

Trochę spodziewa się, że Yvonne wejdzie z nią w polemikę, ale ta zbyt jest zajęta przeglądaniem dokumentu w segregatorze:

- A czy mogłabym państwa poprosić o opis tego wujaszka Wani? O ile to nie kłopot - prosi głosem pozbawionym agresji.

- Ospowaty - mówi od razu Gail i po raz kolejny olśniewa ją, że tak to wszystko świetnie pamięta. Jakies pięćdziesiąt lat. Policzki jak pumeks. Brzuch piwny. I nie tylko piwny, bo chyba zauważyła, że na korcie ukradkiem pociąga z piersiówki, ale nie jest całkiem pewna.

- Pierścienie na każdym palcu prawej ręki - mówi Perry, gdy przychodzi jego kolej. - Razem wyglądały jak kastet. Czarne włosy, rozczochrane jak u stracha na wróble, wystające spod tej jego szkockiej czapki, ale pewnie łysiał, więc dlatego ją nosił. Nieźle obrośnięty sadłem.

No tak, Yvonne, to on, mruczą zgodnie, stykając się czołami, że aż iskrzy, gdy patrzą na wielkie zdjęcie, które przed chwilą podsunęła im pod nos. Tak, to Wania z Permu, drugi od lewej w grupce wesółych, otyłych mężczyzn siedzących w nocnym klubie wśród prostytutek, serpentyn i butelek szampana w sylwestra 2008, Bóg raczy wiedzieć gdzie.

\*

Gail musi iść do ubikacji. Yvonne prowadzi ją wąskimi schodami z sute-reny na niespodziewanie zbyt kownie urządzonej parter. W rozłożystym

fotelu rozwalił się dobroduszny Ollie, bez beretu, zaczytany w gazecie. I to nie byle jakiej gazecie, bo wydrukowanej cyrylicą. Gail wydaje się, że tytuł to „Nowaja Gazieta”, ale nie jest pewna, a nie chce zrobić mu tej przyjemności, że o cokolwiek go zapyta. Yvonne czeka, aż Gail się wysusia. Ubikacja jest elegancka, są tam ładne ręczniczki, pachnące mydło i grafiki ze scenami z polowania ze sławnym koniem, Jorrocksem, w roli głównej, zawieszzone na drogich tapetach. Wracają na dół. Perry nadal garbi się nad swymi dłońmi, ale teraz, ponieważ trzyma obie dłonie wnętrzem ku górze, wygląda, jakby równocześnie przepowiadał dwie przyszłości.

- A więc, pani Gail - mówi inteligentnie mały Luke. - Teraz chyba znowu pani ma głos.

Jeszcze jak, panie Luke. Już ja ci dam głos. Nie głos, tylko wrzask, który od jakiegoś czasu we mnie wzbiera, co pewnie już zauważyłeś, kiedy twój wzrok spoczywał na mnie nieco za często jak na to, czego uczyłeś się ze szpiegowskiego *Podręcznika międzygenerowej etykiety*.

\*

- Po prostu nie miałam pojęcia - zaczyna, mówiąc wprost przed siebie, ale faworyzując Yvonne kosztem Luke'a. - Nie pomyślałam. Powinnam była się domyśleć. Nie domyśliłam się.

- Nie masz sobie nic do zarzucenia - gorąco zapewnia ją z boku Perry. - Nikt ci nie powiedział, nikt cię nie uprzedził. Jeżeli to czyjaś wina, to ludzi Dimy.

Ale Gail nie daje się pocieszyć. Jest prawniczką. Siedzi w ceglanej suterenie w środku nocy, przygotowuje akt oskarżenia, tylko że oskarżonym jest ona sama. Leży twarzą do ziemi na plaży na Antigu-i, pod parasolem, z rozwiązaną górą od kostiumu, obok kucają

obie dziewczynki, z jej drugiej strony leży wyciągnięty na całą długość Perry, w starych szortach jeszcze ze szkoły i w okularach na nosie - oprawka po ojcu, z ubezpieczalni, ale przeciwsłoneczne szkła od porządnego optyka, na receptę.

Dziewczynki zjadły swoje darmowe lody i wypily darmowe napoje. Wujaszek Wania z Permu wciąż jeszcze siedzi na drabinie z tym wielkim pistoletem za pasem, a Natasza - której imię to dla Gail wyzwanie za każdym razem, gdy się przed nią pojawia; musi zebrać się w sobie i przeskoczyć przeszkodę jak na lekcjach jeździectwa w szkole - Natasza leży na drugim końcu plaży w swojej *splendid isolation*. Elspeth też zdążyła oddalić się na bezpieczną odległość. Może wie, co się zaraz stanie. Teraz, po fakcie, Gail jest tego pewna, choć nie może się przyznać.

Zauważa, że na twarze dziewczynek powróciły cienie. Skrzywienie zawodowe sprawia, że boi się, czy nie skrywają jakiejś smutnej tajemnicy. Tyle się tego zawsze nasłucha w sądzie, prawie codziennie, że to właśnie nie daje jej spokoju, to właśnie budzi jej ciekawość: dzieci, które nie są rozgadane, dzieci, które nie są niegrzeczne. Dzieci, które nie zdają sobie sprawy, że dzieje im się krzywda. Dzieci, które nie patrzą w oczy. Dzieci, które winią się za to, co robią im dorośli.

- Ja żyję z tego, że zadaję pytania - broni się. Teraz wszystko mówi pod adresem Yvonne. Luke to teraz zamazana plama, Perry'ego w ogóle nie ma na obrazku, bo świadomie go usunęła. - Pracowałam w sądzie rodzinnym, musiałam czasem wzywać dzieci na świadków. Jak coś takiego robi się w pracy, to robi się też poza pracą. Nie można rozdzielić się na dwie osoby. Jest się jedną osobą.

Gestem, który ma rozładować jej stres, nie jego, Perry wyciąga się do góry i rozprostowuje długie ręce jak pływak przed wyścigiem.



- Więc najpierw poprosiłam je: powiedzcie mi więcej o wujku Wani. Tak mało o nim mówiły, że pomyślałam, czy to czasem nie jest zły wujek. „Wujek Wania gra nam na bałałajce, bardzo go kochamy, jest śmieszny, jak się upije”. To powiedziała Irina. Postanowiła być bardziej rozmowna niż starsza siostra. Ale myślę sobie: gra im po pijaku na bałałajce, to może jeszcze na czymś innym?

- I rozumiem, że rozmowa cały czas odbywa się po angielsku? - pyta Yvonne, polując na każdy szczegół. Ale teraz łagodniej, jak kobieta do kobiety. - Nie przeszłyście na szkolny francuski ani nic takiego?

- Angielski to tak naprawdę ich rodzinny język. Typowy, międzynarodowy amerykański angielski, z nieznaczną domieszką włoskiego akcentu. Więc zapytałam wtedy, czy Wania to wasz prawdziwy wujek, czy tylko przyszywany? Odpowiedź: Wania to brat naszej mamy, a dawniej był żonaty z ciocią Raisą, która teraz mieszka w Soczi z drugim mężem, którego nikt nie lubi. Zaczynamy sobie opowiadać całe drzewo genealogiczne, co jest mi bardzo na rękę. Tamara to żona Dimy, jest bardzo surowa i dużo się modli, bo jest święta i dobra, że nas przyjęła. Dobra? I w jakim sensie przyjęła? I zaraz pytam, bo teraz cwana ze mnie prawniczka, zadaję pytania oględnie, nie wprost: czy Dima jest dobry dla Tamary? A dla swoich synów?

Co ma znaczyć: czy Dima nie jest troszeczkę zbyt dobry dla was? I Katia na to, że tak, Dima jest dobry dla Tamary, bo jest jej mężem, a jej siostra nie żyje, jest dobry dla Nataszy, bo jest jej tatą, a jej mama nie żyje, i dla swoich synów, bo jest ich tatą. Dzięki temu teraz już mogę zadać to pytanie, na którym najbardziej mi zależy, i zadaję je Katii, bo jest starsza: To kto jest waszym tatą, Katiu? A Katia na to, że tata nie żyje. Tu wtrąca się Irina i mówi, że mama też nie żyje. Oboje nie żyją. Ja mówię coś w stylu: „Co, naprawdę?”. A kiedy nic nie mówią, tylko na mnie patrzą, mówię, że bardzo im

współczuję. A od jak dawna nie żyją? Właściwie jeszcze im nie wierzyłam. Ciągle miałam nadzieję, że to jakiś makabryczny, dziecinny żart. Teraz zresztą rozmowę prowadzi Irina, bo Katia zapadła w jakiś taki trans. Ja też, ale to nieważne. Nie żyją od środy, mówi Irina. Z wielkim naciskiem na dzień. Jakby dzień tygodnia był wszystkiemu winien. Nie żyją od środy, mniejsza z tym, od której. Więc pytam - ale robi mi się z tym wszystkim coraz straszniej - jak to, od ostatniej środy? A Irina mówi, że tak, że od zeszłej środy, od dwudziestego dziewiątego kwietnia, bardzo wyraźnie mówi, żebym na pewno zrozumiała. Mówi o zeszłej środzie, o jakimś wypadku samochodowym, a ja siedzę i patrzę na nie, Irina bierze mnie za rękę i klepie po dłoni, Katia kładzie mi głowę na podołku, a Perry, o którym kompletnie zapomniałam, obejmuje mnie za ramiona, i tylko ja jedna płaczę.

\*

Gail przygryzła kłykieć palca wskazującego. Tak często robi w sądzie, gdy chce bronić się przed nadmiarem nieprofesjonalnych uczuć.

- Jak to potem omówiłam z Perrym w domku, wszystko zaczęło się mniej więcej zgadzać - mówi, podnosząc głos, by zabrzmiał jeszcze obojętniej, ale wciąż nie patrzy na Perry'ego i równocześnie usiłuje przejść do porządku nad tym, że dwie dziewczynki mogą się świetnie bawić nad morzem w parę dni po wypadku, w którym ich rodzice zostali rozerwani na strzępy. - Ich rodzice zginęli w środę. Mecz tenisowy odbył się w następną środę. Ergo, rodzina trwała w żałobie przez tydzień i Dima uznał, że czas wszystkich wypuścić na świeże powietrze. Czyli: no, dość tego, kto ma ochotę na tenis? Jeżeli są żydami... W końcu to było całkiem prawdopodobne... Albo tylko niektórzy z nich są żydami, na przykład ci nieżyjący rodzice...

Więc może odbywali sziwę i właśnie następnej środy powinni powoli zaczynać wracać do życia. Trochę to nie pasowało do chrześcijańskiej dewocji Tamary i jej krzyża, ale w przypadku takiej gromadki nie mogło być mowy o jakiegokolwiek konsekwencji w sprawach religii. W dodatku Tamara była powszechnie uważana za dziwaczkę.

Znowu Yvonne, z szacunkiem, lecz stanowczo:

- Przepraszam, że tak drążę, ale Irina mówiła o wypadku. Czy powiedziała tylko tyle? Czy powiedziała na przykład, gdzie to się stało?

- Gdzieś pod Moskwą. Żadnych szczegółów. Że to przez drogi. Że tyle w nich dziur. Że każdy jedzie środkiem, żeby je ominąć, więc nic dziwnego, że auta na siebie wpadają.

- A czy była mowa o szpitalu? Czy też mama i tata zginęli na miejscu? Co mówiła?

- Zginęli na miejscu. „Środkiem drogi przyjechała taka wielka ciężarówka i zabiła ich na śmierć”.

- Czy poza rodzicami były jeszcze jakieś ofiary?

- Bardzo mi przykro. Miałam pewne opory przed ich wypytywaniem. - Bo już czuje, że się rozkleja.

- Ale może był z nimi kierowca? A jeżeli kierowca też zginął, to przecież jakoś należy do opowiadania?

Yvonne nie doceniła Perry'ego:

- Ani Katia, ani Irina nie wspominały o żadnym kierowcy, żywym czy umarłym, wprost czy nie wprost - mówi powoli mentorским tonem, który zwykle zachowuje dla leniwych studentów i agresywnych ochroniarzy. - Nikt ani słowem nie wspomniał o innych ofiarach, szpitalach ani o tym, jakim kto jechał samochodem. - Jego głos nabierał siły. - Ani o tym, czy mieli OC, ani...

- Dość - mówi Luke.

\*

Gail znów poszła na górę, tym razem bez eskorty. Perry został na miejscu, trzymając głowę w klatce z palców jednej dłoni, drugą niecierpliwie stukając w stół. Gail wróciła i usiadła. Perry jakby jej nie zauważył.

- No, panie Perry... - powiedział Luke, tryskając energią i żądzą czynu.

- No co?

- Teraz o krykicie.

- To było dopiero dzień później.

- Zdajemy sobie sprawę. Tak było w pana dokumencie.

- Więc nie wystarczy, że pan go przeczytał?

- Myślę, że to już rozstrzygnęliśmy, prawda?

- W porządku. To było następnego dnia, o tej samej porze, na tej samej plaży, ale w innej części - zaczyna niechętnie Perry. - Na zakazie parkowania stanął ten sam minivan z zaciemnionymi szybami, z wnętrza wyłoniły się nie tylko Elspeth, dziewczynki i Natasza, ale też chłopcy.

Mimo wszystko Perry zaczął rozchmurzać się na dźwięk słowa „krykiet”.

- Chłopcy sprawiali wrażenie żrebaków, które za długo trzymano zamknięte w stajni i którym w końcu pozwolono cwałować - powiedział nagle, rozchmurzając się na samo wspomnienie.

Podczas następnej wizyty na plaży wybrali z Gail miejsce tak daleko od posiadłości zwanej Trzy Kominy, jak tylko się dało. Wcale nie unikali Dimy i jego gromadki; po prostu mieli za sobą bardzo męczącą noc i obudzili się późno z piekielnym bólem głowy - skutki prostego błędu, jakim jest wypicie rumu, dostarczonego za darmo do domku.

- Zresztą przed nimi nie dało się ukryć - wtrąciła Gail, uznając, że teraz znowu jej kolej. - Nigdzie, na całej plaży. No co, Perry, źle mówię? A jak się dobrze zastanowić, to i na całej wyspie. I dlaczego ci wszyscy Dimowie tak cholernie interesowali się nami? I kim byli? Czego od nas chcieli? I dlaczego właśnie od nas?

Zjawiali się za każdym rogiem. Zaczynaliśmy się w tym orientować. Byli dokładnie naprzeciw naszego domku po drugiej stronie zatoki, i chyba wciąż nas stamtąd obserwowali. A przynajmniej tak nam się zdawało, co było równie nieprzyjemne. A na plaży już nawet nie potrzebowali lornetek. Wystarczyło, że się wychylili zza murku w ogrodzie i już mogli się na nas gapić. A musieli się ciągle gapić, bo kiedy my rozkładaliśmy się na plaży, nie mijało kilka minut, już podjeżdżał minivan z czarnymi szybami.

Znowu ten sam ochroniarz o dzidziusiowatej twarzy, powiedział Perry, na nowo podejmując opowieść. Tym razem nie w barze, tylko w cieniu drzewa trochę powyżej plaży. I nie wujaszek Wania z Permu w szkockiej czapeczce i z gigantycznym gnatem, ale chudy jak szczapa dubler, chyba maniak na punkcie fitnessu, bo zamiast wleźć na wieżyczkę truchtał z jednego końca plaży na drugi, mierzył sobie czas i zatrzymywał się na każdym końcu na odrobinę tai chi:

- Miał utapirowane włosy - powiedział Perry, a jego uśmiech powoli rozszerzał się do pełnych rozmiarów. - I był bardzo ruchliwy. Obsesyjnie ruchliwy. Pięciu sekund nie potrafił na miejscu usiedzieć. I nie chudy jak szczapa, tylko wręcz kościotrup. Uznaliśmy go za nowego domownika w rodzinie Dimy. I że Dima ma duży asortyment kuzynów z Permu.

- Więc wystarczyło, że Perry raz tylko popatrzył na dzieci, prawda? - odezwała się Gail. - Szczególnie na chłopców. I pomyślała: Jezu, czym mamy ich zająć? I wtedy przyszedł ci do głowy jeden z twoich najgenialniejszych pomysłów tych wakacji: krykiet. No, może nie taki genialny, jeżeli zna się Perry'ego. Wystarczy dać mu wyrwaną psu z gardła piłkę i kawałek starego patyka wyłowionego z morza, i już jest stracony dla całego nie-krykietowego świata. Prawda, że tak z tobą jest?

- Grę traktowaliśmy bardzo poważnie, jak należy - zgodził się Perry, nieprzekonująco marszcząc brwi i uśmiechając się. - Zbudowaliśmy bramki z drewniaków walających się po plaży, ludzie znaleźli nam kij i byle jaką piłkę, z patyczków zrobiliśmy poprzeczki, do gry w polu zgoniliśmy bandę rastafarian i starych Angoli, i nagle okazało się, że gramy sześcioro na sześcioro, Rosja kontra reszta świata, pierwsze takie wydarzenie w historii sportu. Posłałem chłopców, żeby namówili Nataszę na stanie za bramką, ale wrócili, mówiąc, że czyta jakiegoś gościa nazwiskiem Turgieniew i udawali, że nie wiedzą, o kogo chodzi. Naszym następnym zadaniem było wyłożenie świętych Zasad Krykieta - powoli rozszerzający się uśmiech - no, ludziom raczej bez zasad. Nie chodzi mi o staruszków Anglików ani rastafarian. Jedni i drudzy mieli krykiet we krwi. Ale młodzi Dimowie chodzili do międzynarodowych szkół, więc zdarzało im się już grać w baseball i wcale im się nie podobało, że piłkę mają rzucać z rozbiegu, a nie z miejsca. Dziewczynkom trzeba było trochę tłumaczyć, ale przydawały się do łapania piłki, bo odbijanie załatwiali staruszkowie. Jeżeli dziewczynki miały dość, Gail zabierała je na napoje i pływanie, prawda?

- Uznaliśmy, że najlepiej będzie nie dawać im chwili wytchnienia - wyjaśniła Gail, starając się dorównać w optymizmie Perry'emu. - Ani chwili, żeby mogły się zamyślić. Chłopcy bawili się świetnie, niezależnie od tego, co robiliśmy. A jeśli chodzi o dziewczynki... Moim zdaniem wydobyć z nich choćby jeden uśmiech, to było... No, bo na miłość boską... - I nie dopowiedziała.

Widząc, że Gail jest w opałach, Perry szybko się wtrącił:

- Bardzo ciężko było urządzić porządne boisko do krykieta w tym miękkim piasku - tłumaczył Luke'owi, podczas gdy Gail dochodziła do siebie. - Rzucający grzęzną, odbijający się potykają, może pan to sobie wyobrazić.

- Rzeczywiście mogę - zgodził się skwapliwie Luke, szybko przejmując ton Perry'ego.

- Oczywiście nie miało to najmniejszego znaczenia. Wszyscy bawili się świetnie, zwycięzcom obiecaliśmy lody. A potem ogłosiliśmy remis, więc lody dostali wszyscy - powiedział Perry.

- A za lody zapewne zapłacił kolejny pilnujący wujek? - podsunął Luke.

- Nie pozwoliłem - powiedział Perry. - Lody stawialiśmy my i tylko my.

Kiedy Gail przysła już do siebie, głos Luke'a zabrzmiał poważniej:

- A właśnie kiedy obie strony wygrywały, i to już pod koniec meczu, zobaczył pan kogoś wewnątrz zaparkowanego minivana? Dobrze zrozumiałem?

- Właśnie mieliśmy powyciągać bramki z piasku - zgodził się Perry. - A tu nagle otwierają się drzwi, a w środku siedzą oni. Może chcieli zaczerpnąć świeżego powietrza. Albo mieć lepszy widok. Bóg raczy wiedzieć. Prawdziwa królewska wizyta, choć incognito.

- Jak długo boczne drzwi były otwarte?

Perry na pełnych obrotach swej świetnej pamięci. Perry, świadek idealny, który nigdy do końca sobie nie ufa, który nigdy nie odpowie za szybko, który zawsze ręczy za swe słowa. Jeszcze jedna wersja uwielbianego przez Gail Perry'ego.

- Wie pan, dokładnie nie pamiętam. Dokładnie nie powiem. Nie powiemy - zerkając na Gail, która kręci głową na znak, że ona też nie powie. - Popatrzyłem, Gail zobaczyła, że patrzę, prawda? Więc wtedy ona też popatrzyła. Oboje ich zobaczyliśmy. Dimę z Tamarą, jedno obok drugiego, sztywno wyprostowani, jedno ciemne, drugie jasne, jedno chude, drugie grube, gapiące się na nas z vana. A potem trzask, i drzwi się zasuwały.

- I raczej nie uśmiechali się do państwa, tylko się na was gapili - podsunął lekko Luke, coś zapisując w notesie.

- Było w nim coś... Zresztą już to mówiłem... Coś królewskiego. Tak. W nich obojgu. Król i królowa. Wcałe bym się nie dziwił, gdyby któreś z nich sięgnęło po jedwabny sznurek i dało woźnicy znak do odjazdu. - Rozważał tę myśl, po czym zaaprobował ją skinieniem głowy. - Na każdej wyspie duzi ludzie wydają się więksi. No, a Dimowie byli... No właśnie, duzi. I nadal tacy mi się wydają.

Yvonne ma jeszcze jedno zdjęcie, które poleca ich uwadze, tym razem policyjne, czarno-białe: z profilu i *en face*, dwoje podbitych oczu, jedno podbite oko. I rozkwaszone, opuchnięte wargi kogoś, kto właśnie przed chwilą złożył dobrowolne zeznania. Gail na ten widok marszczy z dezaprobatą nos. Zerka na Perry'ego i są zgodni: tego nie znamy.

Ale Szkotka Yvonne się nie zniechęca:

- No, a jakbym założyła mu kręconą perukę? Spróbujcie to sobie państwo wyobrazić... I gdybym troszeczkę podreperowała mu twarz, to zastanówcie się państwo, czy to czasem nie ten zwolennik fitnessu zwolniony z włoskiego więzienia w grudniu zeszłego roku?

Wydaje im się, że to całkiem możliwe. A potem, przysuwając się do siebie, są tego pewni.

\*

O zaproszeniu uprzedził ich z wyprzedzeniem czcigodny Ambrose jeszcze tego samego wieczora w restauracji Mostek Kapitański, kiedy nalewał Perry'emu wina do spróbowania. Perry, syn purytanów, nie naśladuje głosów. Gail, córka aktorów, naśladuje wszystkie. Sama obsadza się w roli czcigodnego Ambrose'a:

- „A jutro wieczorem będę musiał się obejść bez przyjemności obsłużenia młodych państwa. A młodzi państwo wiedzą dlaczego?”



Bo młodzi państwo będą honorowymi, niezapowiedzianymi gośćmi pana Dimy i jego pani małżonki z okazji czternastych urodzin ich bliźniaków, których, jak słyszę, uczyli państwo osobiście szlachetnej sztuki krykieta. A moja Elspeth zrobiła największy i najwspanialszy tort orzechowy. A gdyby był jeszcze większy, to zdaje się, panno Gail, że te dzieciaki chciałyby, żeby to pani z niego wyskoczyła, tak panią kochają”.

I by efektownie zakończyć tę przemowę, Ambrose wręczył im kopertę podpisaną: „Dla pana Perry'ego i panny Gail”. W środku były dwie wizytówki Dimy, białe i na czerpanym papierze, o nierównych brzegach, trochę jak zaproszenia ślubne. Widniało na nich jego pełne miano: „Dimitri Władymirowicz Krasnow, dyrektor regionalny na Europę, Arena Multi Global Trading Conglomerate, Nikozja, Cypr”. A poniżej adres internetowy firmy i zwykły adres jej siedziby w Bernie, z wyjaśnieniem „Domowy i biurowy”.

## 4.

Jeżeli któremuś z nich przyszło do głowy, by odmówić Dimie, nie przyznali się nawzajem do tego. Jak powiedziała Gail:

- Zgodziliśmy się ze względu na dzieci. Urodziny dwóch wielkich nastolatków bliźniaków: wspaniale. To w takim opakowaniu sprzedano nam to zaproszenie, i my je kupiliśmy. Ale mnie chodziło o dwie dziewczynki. - Jeszcze raz pogratulowała sobie w duchu, że nie wspomniała o Nataszy.

- A jeśli chodzi o Perry'ego... - Rzuciła mu powątpiewające spojrzenie.

- To co? - zapytał Luke, gdy Perry nie zareagował.

Już się wycofywała, chroniąc swojego mężczyznę.

- Jego to po prostu strasznie fascynowało. Prawda, Perry? Sam Dima. To, kim był. Jego żywotna siła. Taki uformowany człowiek. Ta cała banda wyjętych spod prawa Rosjan. Niebezpieczeństwo. I sama ta ich odmienność. Zaczynałeś... no... identyfikować się z nim. Dobrze mówię?

- Trochę jak psychoanalityk - mruknął Perry i zamknął się w sobie.

Mały Luke, wieczny mediator, pośpieszył z interwencją.

- Czyli, w gruncie rzeczy, obie strony miały najróżniejsze powody - podsunął głosem kogoś, komu nie jest obca skomplikowana motywacja. - I przecież chyba nic w tym złego? To bardzo złożona sytuacja. Pistolet Wani. Opowieści o rosyjskiej forsie w koszach na bieliznę. Dwie małe sierotki, które rozpaczliwie was potrzebują...

Zresztą dorośli może też, bo czemu nie? W dodatku urodziny tych bliźniaków... No bo jak, będąc porządnymi ludźmi, mogliście państwo odmówić?

- I to jeszcze na wyspie - przypomniała mu Gail.

- Właśnie. A poza tym, to trzeba przyznać, że byliście państwo mocno zaciekawieni. Zresztą czemu nie? Przecież to była bardzo pociągająca mieszanka. Sam bym się dał złapać, jestem tego pewny.

Gail też była tego pewna. Miała wrażenie, że mały Luke zdążył się już złapać na wiele rzeczy i że dlatego bardzo teraz na siebie uważa.

- No i ten Dima... - Nie ustępowała. - Perry, musisz przyznać, że Dima był dla ciebie wielką atrakcją. Sam mówiłeś. Tak jak dla mnie dzieci. Ale dla ciebie tak naprawdę liczył się tylko Dima. Rozmawialiśmy o tym zaledwie parę dni temu, pamiętasz?

Ale tak naprawdę mówiła: *Wtedy, kiedy spisywałeś ten swój zaszraną dokument, a ja miałam być twoją posłuszną połowicą.*

Perry na chwilę się zamyślił - tak jak zamyślał się nad każdym problemem literackim - a potem honorowo przyznał słuszność temu argumentowi.

- To prawda. Czuję się przez niego wybrany. Albo raczej podniesiony do zbyt wysokiej rangi. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co wtedy czułem. Może wtedy też tego nie wiedziałem.

- Ale Dima wiedział. Byłeś jego profesorem *fair play*.

\*

- Więc po południu, zamiast iść na plażę, poszliśmy na zakupy do miasta. Po prezenty - podjęła na nowo Gail, zwracając się obok odwróconej głowy Perry'ego do Yvonne, choć swoją opowieść wciąż

kierowała pod adresem Perry'ego.

- Co do solenizantów, sprawa była oczywista: komplet do krykieta. I to była twoja działka. Z przyjemnością wybierałeś im komplet do krykieta. I w ogóle strasznie ci się podobał ten sklep sportowy. I ten stary sprzedawca. I zdjęcia największych gwiazd krykieta z Indii Zachodnich, Leariego Constantine'a i kogo tam jeszcze?

- Martindale'a.

- I Sobersa. Przecież Gary Sobers też tam był. Sam mi pokazałeś zdjęcie.

Pokiwał głową. Rzeczywiście, był Sobers.

- I pomyśl z niespodzianką też nam się podobał. Ze względu na dzieci. A to, co mówił Ambrose o mnie i o torcie, wcale nie było takie bezsensowne, prawda? No, więc ja zajęłam się prezentami dla dziewczyn. Ty trochę pomagałeś. Chusty dla małych i całkiem ładny naszyjnik dla Nataszy, z muszelek na przemian z półszlachetnymi kamieniami.

- Udało się. Wprowadziła z powrotem Nataszę i znów się jej upiekło. - Mi też chciałeś kupić, ale ci nie pozwoliłam.

- A to dlaczego, pani Gail? - Yvonne, z tym swoim skromnym, inteligentnym uśmiechem, chcąc wprowadzić lżejszy ton.

- Na zasadzie wyłączności. To miło ze strony Perry'ego, ale nie chciałam być porównywana z Nataszą - odpowiedziała Gail, tyle Perry'emu, co Yvonne. - I jestem pewna, że Natasza nie chciała być porównywana ze mną. Dziękuję, milutki pomysł, ale zachowaj go na inną okazję. Tak ci powiedziałam, prawda? Poza tym proszę spróbować kupić porządny papier na prezenty w Saint John's na Antigui!

Brnęła dalej:

- A potem cała ta afera z tym naszym skradaniem się do domu, prawda? Bo to my byliśmy tą wielką niespodzianką. To też miała być wielka atrakcja. Zastanawialiśmy się, że może pójdziemy przebrani za piratów z Karaibów. To znaczy ty chciałeś, ale uznaliśmy,

że to pewna przesada, szczególnie, że oni tam jeszcze mieli żałobę, chociaż oficjalnie nie wiedzieliśmy, że mają. Więc poszliśmy tak, jak staliśmy, tylko trochę ogarnięci. Perry, ty miałeś na sobie starą marynarkę i te szare, szerokie spodnie, w których tam przyjechałeś. À la *Powrót do Brideshead*. Perry ma gdzieś modę, ale tym razem się postarał. I oczywiście wziął kąpielówki. A ja nałożyłam na kostium kąpielowy bawełnianą sukienkę i zapinany sweter, na wypadek, gdyby zrobiło się chłodno, bo wiedzieliśmy, że Trzy Kominy mają własną plażę i mogło się zdarzyć, że w planie będzie kąpiel.

Yvonne pisze drobiazgowo memorandum. Dla kogo? Luke, z brodą wspartą na dłoni, chłonie każde słowo Gail, trochę zbyt zachłannie jak na jej gust. Perry z ponurą miną wpatruje się w cegły na pociemniałym murze. Wszyscy poświęcają całą uwagę jej łabędziej pieśni.

\*

Kiedy Ambrose powiedział im, że mają się stawić gotowi do wymarszu przed wejściem do hotelu o szóstej, opowiadała Gail spokojniejszym głosem, zrozumieli, że zostaną porwani do Trzech Kominów jednym z minivanów o zaciemnionych szybach i wpuszczeni bocznym wejściem. Źle zrozumieli.

Przeszedłszy od tyłu na parking zgodnie z instrukcjami, zastali tam Ambrose'a, czekającego na nich za kierownicą terenówki. Plan jest taki, objaśnił im w konspiracyjnym podnieceniu, że niespodziewanych gości wprowadzi się ukradkiem przez starą ścieżkę krajoznawczą biegnącą wzdłuż grzbietu półwyspu aż do tylnego wejścia do posiadłości, gdzie oczekuje ich sam pan Dima.

Znowu zaczęła udawać głos Ambrose'a:

- „Państwo drodzy, oni w tym swoim ogrodzie mają i kolorowe światełka, i kapelę *steel pan*, i wielki namiot, i dowieźli im wołowinę

Kobe, taką mięciutką jak żadna. Nie mam pojęcia, czego jeszcze tam nie mają. A pan Dima to wszystko załatwił i zapiął na ostatni guzik. Wywiózł moją Elspeth i tę całą swoją wesołą rodzinę na wielkie wyścigi krabów na drugim końcu Saint John's, żeby można było państwa przemycić tylnym wejściem. Taka to ma być z państwa niespodzianka!”.

Gdyby zależało im na przygodzie, to wystarczyłaby sama przechadzka ścieżką krajoznawczą. Byli chyba pierwszymi ludźmi, którzy od wielu lat tamtędy szli. Perry musiał wręcz kilka razy torować im przejście przez zarośla:

- Co oczywiście bardzo mu się podobało. Tak naprawdę najchętniej byłbyś farmerem, prawda? W końcu znaleźliśmy się w takim długim zielonym tunelu. Na drugim końcu stał Dima. Wyglądał jak zadowolony Minotaur. Jeżeli może być coś takiego.

Kościsty palec wskazujący Perry'ego niby ostrzegawczo podskoczył w górę:

- I wtedy pierwszy raz zobaczyliśmy Dimę samego - stwierdził z powagą. - Bez ochroniarzy, bez rodziny. Bez kogokolwiek, kto by nas pilnował. Albo bez kogokolwiek, kogo mogliśmy zobaczyć. Staliśmy w trójkę na skraju lasu. Wydaje mi się, że oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Z tej niespodziewanej ekskluzywności.

Ale wszelkie znaczenie, jakie Perry przypisywał tej uwadze, zagubiło się w zawrotnym pędzie opowieści Gail:

- On nas wyściskał, proszę pani! I to jak! Najpierw Perry'ego, potem odepchnął go na bok, potem mnie, potem znowu Perry'ego. I nie było to jakieś obleśne obściskiwanie, tylko takie rodzinne, serdeczne. Jakby całe wieki nas nie widział. Albo jakby już nigdy nie miał się z nami zobaczyć.

- Albo jakby był w sytuacji bez wyjścia - podsunął Perry z tą samą zaangażowaną, refleksyjną nutą. - Trochę tak to wyczuwałem.

Ty może nie. Że tyle dla niego znaczymy. Że tacy jesteśmy dla niego ważni.

- Naprawdę nas kochał - ciągnęła Gail niezrażona.

- Stał tam i wyznawał nam miłość. I był przekonany, że Tamara też nas kocha. Tylko że nie umie tego wysłowić, bo trochę jej odbiło, od kiedy ma te swoje problemy. Ani słowa, co to za problemy, a nam przecież nie wypadało pytać. I Natasza nas kocha, ale nic nie mówi, bo tylko czyta i czyta. I cała rodzina kocha Anglików za ludzkość i za *fair play*. Tylko że nie użył słowa ludzkość. Jak on to powiedział?

- Za serce.

- Stoimy na końcu tunelu, ściskamy się jak na wyścigi, a on wygłasza całą mowę na cześć naszych serc. A w końcu ile można wyznawać miłość komuś, z kim się dotąd zamieniło sześć słów?

- Panie Perry? - wtrącił Luke.

- Pomyślałem sobie, że on jest jakiś taki bohaterski - odpowiedział Perry, a jego długa dłoń uleciała do czoła w klasycznym geście niepokoju. - Tylko że nie wiedziałem dlaczego. Czyja tego tak właśnie nie wyraziłem gdzieś w tym moim tekście? Że to bohater? Tak mi się zdawało - tu wzruszenie ramion nad bezwartościowością własnych odczuć. - A dokładnie pomyślałem: zagrożona godność. Nie wiedziałem tylko, przez kogo zagrożona. Albo dlaczego. Niczego nie wiedziałem, tylko...

- Tylko wydawało ci się, że wspinać się razem, spięci tą samą liną - podsunęła całkiem łagodnie Gail.

- O tak. No właśnie. I że on ma kłopoty. I że nas potrzebuje.

- Ciebie - poprawiła.

- Niech będzie. Mnie. Tyle tylko chciałem powiedzieć.

- To teraz ty opowiadaj.

\*

- Wyprowadził nas z tunelu na coś, co, jak się okazało, było tyłem jego domu - zaczął Perry i zaraz urwał. - Domyślałam się, że oczekujecie państwo ode mnie dokładnego opisu posiadłości? - zapytał zdawkowo Yvonne.

- Jak najbardziej, proszę pana - odpowiedziała Yvonne równie lakonicznie. - Jeśli pan może, bardzo proszę, z najdrobniejszymi, najnudniejszymi szczegółami. - I powróciła do swych drobiazgowych notatek.

- Tam, gdzie wynurzyliśmy się z lasu, jest stara droga dojazdowa, utwardzona jakimś takim czerwonym żużlem, pewnie z czasów, kiedy budowano dom. Trzeba było iść pod górę i omijać dziury.

- I dźwigać prezenty! - wykrzyknęła Gail. - Ty ten komplet do krykieta, ja owinięte w papier paczuszki dla dzieci w najelegantszej torbie, jaką udało mi się znaleźć, co wcale wiele nie znaczy.

Czy ktoś mnie słucha? - zastanawiała się. Mnie - nie. To Perry wie wszystko z pierwszej ręki, ja tu tylko sprzątam.

- Dom widziany od strony, z której się zbliżaliśmy, wyglądał jak sterta starych kości - mówił dalej. - Wiedzieliśmy już, że nie mamy spodziewać się pałacu, wiedzieliśmy, że był przeznaczony do rozbiórki. Ale nie mieliśmy pojęcia, że to taka rudera. - Oksfordzki wykładowca na wylocie przeistoczył się w reportera terenowego: - Ceglany, zapadający się budynek z kratami w oknach, więc domyśliłem się, że to dawne pomieszczenia dla niewolników. Cały otoczony był wysokim otynkowanym murem, pięciometrowym, zwieńczonym drutem kolczastym. Drut był nowy i paskudny. W rogach muru stały słupy z białymi reflektorami, jak na stadionie piłkarskim, które zapalały się, kiedy ktoś obok nich przechodził. To ich blask widzieliśmy z balkonu naszego domku. Między nimi rozpięto kolorowe światełka, zapewne z myślą o wieczornych obchodach. Kamery, ale skierowane nie na nas, tylko na zewnątrz, bo my byliśmy po niewłaściwej



stronie. I chyba taki właśnie był zamiar. Nowy, lśniący talerz anteny, sześciometrowy, skierowany mniej więcej na północ, o ile dobrze się zorientowałem w drodze powrotnej. W stronę Miami. Albo może Houston. Trudno się domyślić. - Zastanowił się. - To znaczy, wam nietrudno, wy przecież podobno znacie się na takich rzeczach.

Czy to miało zabrzmieć jak wyzwanie, czy jak żart? Ani jedno, ani drugie. Perry po prostu popisuje się, jak świetnie radzi sobie w ich dziedzinie - na wypadek, gdyby sami tego nie zauważyli. Taki już jest Perry, zdobywca przewieszek na północnych ścianach - musi się chwalić, że nigdy nie zapomina przebytej trasy. Taki już jest Perry, który nigdy nie przegapi wyzwania, szczególnie jeżeli jest ono trudne.

- Potem w dół, znowu przez las, na trawiastą łączkę, za którą już wyrastał sam cypel. Prawdę mówiąc, ten dom nie ma tyłu. Albo ma sam tył, jak kto woli. To pseudoelżbietański miszmasz, bungalow z dykty i azbestu, o trzech ścianach. Szare mury ze stiukami. Małe okna witrażowe. Płyta pilśniowa udająca drewnianą, tylne wejście ze schodkami i dyndającą nad nimi latarnią. Nadążasz, Gail?

*Jakże bym mogła nie.* - Świetnie ci idzie - powiedziała. Co nie było tak do końca odpowiedzią na pytanie.

- Dobudowane sypialnie, łazienki, kuchnie i jakieś inne pokoje, wszystkie z osobnymi drzwiami na zewnątrz, co sugeruje, że kiedyś była tam jakaś komuna czy coś takiego. Krótko mówiąc, ruina. Nie można za to winić Dimy. To wiedzieliśmy dzięki Markowi. Dimowie przedtem tam nie mieszkali. I niczego jeszcze tam nie zrobili, poza błyskawicznym zainstalowaniem wszystkich tych zabezpieczeń. Nie przeszkadzało nam to, wręcz przeciwnie. Potrzeba nam było takiego powrotu do rzeczywistości.

Wielce dociekliwa dr Yvonne unosi wzrok znad opisu choroby.

- Ale czy tam w ogóle nie było kominów, panie Perry?

- Były. Dwa przy resztkach cukrowni na zachodniej krawędzi półwyspu, trzeci na skraju lasu. Mam wrażenie, że o tym też pisałem w naszym tekście.

*W naszym tekście?! Ile razy już to powiedziałaś? W naszym tekście, który ty napisałaś i którego ja nie mogłam zobaczyć, choć oni - tak? To twój zasrany tekst! To ich zasrany tekst!* Policzki jej gorzeją, ma nadzieję, że zauważyli.

- Potem, jak poszliśmy w stronę domu, pewnie jakieś dwadzieścia metrów przed nim, Dima pokazał, żebyśmy nie szli tak szybko - mówił Perry z coraz większym napięciem w głosie. - Rękami pokazał: wolniej.

- I czy to też wtedy położył palec na ustach gestem spiskowca? - zapytała Yvonne, szybko unosząc ku niemu głowę, lecz nie przestając pisać.

- Tak jest! - przerwała Gail. - Właśnie wtedy.

Wielki spisak. Najpierw „wolniej”, potem „cicho”. Myśleliśmy, że z tym palcem na ustach to ciągle chodzi o zrobienie niespodzianki dzieciom, więc usłuchaliśmy. Ambrose mówił co prawda, że wysłano je na te wyścigi krabów, więc wydało nam się trochę dziwne, że jeszcze są w domu. Ale uznaliśmy, że coś się zmieniło i że nie pojechały. Przynajmniej ja tak uznałam.

- Dziękujemy pani.

*Za co, na miłość boską? Za to, że powiedziałam coś za Perry'ego? Nie ma za co, Yvonne, cała przyjemność po mojej stronie.* I pośpiesznie mówiła dalej:

- Teraz już Dima kazał nam iść na palcach. I wstrzymywać oddech. Nie podejrzewaliśmy go o nic, to chyba chciałam powiedzieć. Robiliśmy, co nam kazał, to do nas niepodobne, ale jednak. Podprowadził nas do drzwi, wejściowych, ale bocznych. Nie były zamknięte, pchnął je tylko i wszedł pierwszy, potem natychmiast odwrócił się do nas z jedną dłonią w powietrzu, drugą przy ustach

jak... - Chciała powiedzieć: *jak mój tatuś w Kocie w butach, tylko na trzeźwo*, ale nie powiedziała. - No, i to naprawdę napięte spojrzenie, błagające o ciszę. Tak było, Perry? Teraz ty.

- Wtedy, przekonawszy się, że robimy, co nam każe, skinął, żebyśmy poszli za nim. Poszedłem pierwszy. - Perry mówi niemal beztonowo, świadomie kontrapunktując jej głos. Zawsze tak mówi, kiedy jest naprawdę podekscytowany, ale udaje, że nie jest. - Zaczęliśmy się skradać przez pustą sień. Ładna mi sień! Trzy na cztery metry, popękane okno na zachód, zaklejone na ukos taśmą maskującą, przez którą wlewa się do środka wieczorne słońce. Dima ciągle trzymał palec na ustach. Kiedy wszedłem do środka, chwycił mnie za ramię tak, jak wtedy na korcie. Silny był nie do opisania. Nie dałbym mu rady.

- A myślał pan, że mogło do tego dojść? - zapytał Luke z męskim współczuciem.

- Nie wiedziałem, co myśleć. Bałem się o Gail i chciałem tylko znaleźć się między nią a nim. Tylko przez chwilę.

- Ale wystarczyło, żeby zrozumieć, że nie chodzi o żadne dzieci - podsunęła Yvonne.

- No, zaczynałem rozumieć - wyznał Perry i urwał, bo jego głos utonął w wyciu syreny przejeżdżającej karetki. - Musicie zdać sobie sprawę, że w środku było zupełnie niespodziewanie *głośno* - powiedział z naciskiem, jakby ten dźwięk wywołał wspomnienie tamtego. - Byliśmy dopiero w tym małym holu, ale słyszeliśmy, że wiatr trzęsie całą ruderą. A oświetlenie było, co tu kryć, *fantasmagoryczne*, to ulubione słowo moich studentów. Lało się na nas warstwami przez zachodnie okno. Bo była taka matowa poświata od niskich chmur, napływających od morza, a powyżej jakby sunąca po niej warstwa jaśniejącego słońca. I czarny jak smoła cień wszędzie, gdzie światło nie padało.

- I było tam zimno - poskarżyła się Gail, teatralnie otulając się rękoma. - Tak, jak tylko może być zimno w pustym domu. I ten

typowy, chłodny, cmentarny zapach. Ale ja myślałam tylko o jednym: gdzie dziewczynki? Dlaczego nie widać ich ani nie słyszeć? Dlaczego nie słyszeć nikogo i niczego, tylko wiatr? A skoro nikogo nie ma, to po co ta cała tajemnica? Kogo chcemy oszukać? Siebie? Perry, ty też myślałeś tak samo, prawda? Bo potem mi powiedziałeś.

\*

A za uniesionym palcem Dimy już inna twarz, opowiadał dalej Perry. Zniknęła z niej wesołość. Z całej twarzy i z oczu. Twarz była nieruchoma, sztywna. Naprawdę zależało mu, żebyśmy się bali. Bali razem z nim. Stoimy tam, zdziwieni i rzeczywiście przestraszeni, aż tu w kącie maleńkiego holu materializuje się widmowa postać Tamary, która cały czas stała, niezauważona przez nas, w najciemniejszym zakamarku po drugiej stronie słonecznych promieni. Ma na sobie tę samą długą czarną suknię, w którą była ubrana na meczu tenisowym i potem, kiedy razem z Dimą podpatrywała nas z minivana, a wygląda jak swój własny duch.

Gail z powrotem odebrała mu opowieść:

- Najpierw zobaczyłam jej biskupi krucyfiks. Potem wokół niego uformowała się reszta. Na przyjęcie urodzinowe zaplotła włosy w warkocze, uróżowała policzki i obsmarowała się szminką wokół warg, dosłownie wokół warg.

Wyglądała na niezłą wariatkę. Nie trzymała palca na wargach, bo nie musiała. Całe jej ciało było jak czerwono-czarny znak ostrzegawczy. Pomyślałam sobie, że Dima to nic. Że to jest dopiero coś. I oczywiście ciągle zastanawiałam się, jaki był ten jej problem. Bo że był, to jasne.

Perry chciał się odezwać, ale ona uparcie mówiła dalej:

- Trzymała w ręce kartkę papieru maszynowego A4, złożoną na pół, i wyciągała ją ku nam. Po co? Czy to była jakaś religijna ulotka?

Gotujcie się na spotkanie z Panem? A może wręczała nam pozew?

- A Dima co wtedy robił? - zapytał Luke, zwracając się ponownie do Perry'ego.

- Wreszcie puścił moje ramię - powiedział Perry, krzywiąc się. - Ale dopiero wtedy, gdy upewnił się, że widzę kartkę Tamary. Którą ona właśnie zaczynała mi wtykać w rękę. A Dima kiwał głową: przeczytaj. Ale ciągle z palcem na ustach. Tamara była na serio nawiedzona. W sumie to oboje byli nawiedzeni. I chcieli, żebyśmy dzielili ich strach. Ale przed czym? Więc przeczytałem. Oczywiście nie na głos. I nawet nie od razu. Nie stałem w świetle, musiałem wziąć kartkę do okna. Na palcach, co pokazuje, jak bardzo byliśmy przez nich zakłęci. A nawet potem musiałem odwrócić się plecami do okna, bo słońce tak raziło. Wtedy Gail podała mi z torebki zapasowe okulary do czytania...

- ...bo jak zwykle zapomniał ich w domku...

- Wtedy Gail podeszła na palcach i stanęła za mną...

- Bo mnie przywołałeś.

- Bo przy mnie było trochę bezpieczniej... I przeczytała mi nad ramieniem. Więc pewnie oboje przeczytaliśmy to przynajmniej dwa razy.

- Nawet więcej - powiedziała Gail. - No bo przecież takie zaufanie! Co im się stało, że tak nam ufali? Co sprawiło, że pomyśleli, żeby właśnie do nas się zwrócić? Taki... taki cholerny przymus!

- Wielkiego wyboru nie mieli - cicho zauważył Perry, do czego Luke dodał mądre kiwnięcie głową, dyskretnie powielone przez Yvonne. A Gail poczuła się jeszcze bardziej samotna niż przez resztę wieczoru.

\*

Być może napięcie w nie najlepiej wentylowanej suterenie staje się dla Perry'ego nie do wytrzymania. A może - to myśl Gail - ponieważ zaczyna odczuwać wyrzuty sumienia. Z powrotem rzucił swe długie ciało na krzesło, spuścił kanciaste ramiona, żeby je rozluźnić i palcem wskazującym stuknął w teczkę do akt, leżącą między drobnymi piąstkami Luke'a:

- Zresztą macie tu to, co napisała, przed oczami, więc nie potrzebujecie, żebym wam to recytował z pamięci - powiedział zaczepnie. - Możecie sobie czytać, ile dusza zapagnie. I pewnie się nacytaliście.

- Mimo wszystko - powiedział Luke. - Jeżeli to nie za wielki kłopot, panie Perry, tak dla porządku, co było na kartce?

Czy Luke wystawia go na próbę? Gail była pewna, że tak. Nawet w akademickiej dżungli, którą Perry tak bardzo był zdecydowany porzucić, znano go z umiejętności cytowania całych stron literatury angielskiej po jednym zaledwie czytaniu. Tak podrażniony w próżność, Perry zaczął recytować powoli i bez wyrazu:

- Dimitri Władymirowicz Krasnow, zwany Dima, dyrektor regionalny na Europę Arena Multi Global Trading Conglomerate z siedzibą w Nikozji (Cypr) gotów negocjować za pośrednictwem profesora Perry'ego Makepiece'a i pani mecenas Gail Perkins obojawnie korzystny układ z władzami Wielkiej Brytanii w sprawie przyznania stałego prawa pobytu dla niego i całej jego rodziny w zamian za pewne informacje, bardzo ważne, bardzo pilne i o zasadniczym znaczeniu dla Wielkiej Brytanii Jej Królewskiej Mości. Dzieci i domownicy wracają za około półtorej godziny. Jest wygodne miejsce, w którym Dima i Perry mogą swobodnie rozmawiać bez ryzyka podsłuchu. Gail proszona o towarzyszenie Tamarze do innej części domu. *Możliwe, że w domu dużo mikrofonów.* PROSIMY NIE ROZMAWIĄĆ, dopóki wszystkie osoby nie powrócą na urodziny

z wyścigów krabów.

- I wtedy zadzwonił telefon - powiedziała Gail.

\*

Perry siedzi wyprostowany w krześle, jakby go ktoś przywołał do porządku, z dłońmi rozpostartymi na stole, z wyprostowanymi plecami, lecz pochylonymi ramionami, i zastanawia się nad słusznością tego, co ma zaraz zrobić. Szczeka tkwi w pozycji na „nie”, choć nikt jeszcze nie poprosił go o nic, czego mógłby odmówić - poza Gail, która spogląda na niego błagalnie, ale z godnością. A przynajmniej ma nadzieję, że on to tak odbiera - a nie, na przykład, że ona patrzy na niego spode łba - do tego stopnia nie jest już pewna wysyłanych przez siebie sygnałów.

Ton Luke'a jest lekki, wręcz niedbały, i jemu najwyraźniej o to chodzi:

- Bo widzą państwo, usiłuję sobie wyobrazić was oboje, stojących tam razem - wyjaśnia żywo. - Bo to przecież zupełnie niezwykła chwila, prawda, Yvonne? Stoicie jedno obok drugiego w holu, czytacie, pan trzyma list, pani zagląda panu przez ramię... I oboje dosłownie zaniemówiliście. Ta niezwykła propozycja spada na państwa jak grom z jasnego nieba, a państwu nawet nie wolno w żaden sposób na nią zareagować. Koszmar. Bo z punktu widzenia Dimy i Tamary sam fakt, iż nic państwo nie mówią, sprawia, że są już państwo na wpół zverbowani. Zakładam, że żadne z was nie ma zamiaru z oburzeniem wybiec na zewnątrz. Nie mają państwo żadnego pola manewru i fizycznie, i emocjonalnie. Mam rację? Więc z ich punktu widzenia na razie idzie świetnie: już mają państwa milczącą zgodę. Chcąc nie chcąc takie właśnie wrażenie na nich robicie. Kompletnie bezwiednie. Nic nie robiąc, samą swoją obecnością,

stają się państwo częścią ich wielkiej gry.

- Szczerze mówiąc, to ja raczej pomyślałam sobie, że im kompletnie odbiło - mówi Gail, by zbić go z tropu. - Że oboje są parą paranoików.

- A w jakiej formie miałyby się przejawiać ta paranoja? - Luke nie dawał się zbić z tropu.

- Skąd mam wiedzieć? Choćby to, że tam miał niby być podsłuch. I że podsłuchują ich zielone ludziki.

Ale Luke jest twardszy, niż się spodziewała. Ostro się odgryza:

- Czy to rzeczywiście było tak mało prawdopodobne, pani Gail, po tym, co już państwo zobaczyli i usłyszeli? Przecież musieliście już państwo zdawać sobie sprawę, że wdepnęliście co najmniej jedną nogą w rosyjski świat przestępczy. A przecież, niech mi będzie wolno zwrócić uwagę, jest pani doświadczonym prawnikiem.

\*

Nastało długie milczenie. Gail nie spodziewała się, że będzie musiała zmierzyć się z Lukiem, ale skoro chciał wojny, to będzie ją miał:

- To doświadczenie, o którym pan mówi - zaczęła wściekle - niestety nie obejmuje... - Ale Perry już zdążył jej przerwać.

- Zadzwoił telefon - przypomniał jej łagodnie.

- Tak. No dobrze. Więc zadzwonił telefon - przyznała. - Był jakiś metr od nas, może mniej. Może pół metra. Dzwonek miał taki, jakby się paliło. Aż podskoczyliśmy. Oni nie, my tak. Aparat był czarny, sfatygowany, taki z lat czterdziestych, z tarczą i kręconym kablem słuchawki. Stał na chwiejnym, rattanowym stoliku. Dima podniósł słuchawkę, ryknął do niej coś po rosyjsku i zobaczyliśmy, że jego twarz wykrzywia się w lizusowski, całkowicie nieszczerym



uśmiechu. Wszystko, co robił w tej chwili, było wbrew jego woli. Wymuszone uśmiechy, wymuszony śmiech, fałszywa wesołość i mnóstwo „tak, proszę pana”, „nie, proszę pana”, „mój dobry panie” i „to ja was uduszę gołymi rękami”. I cały czas wpatrzony w Tamarę, cały czas robi to, co ona mu każe. I cały czas z palcem na ustach, żebyśmy nic nie mówili, bardzo proszę, kiedy on rozmawia. Zgadza się, Perry? - Z rozmysłem nie zwracając uwagi na Luke'a.

Zgadza.

- Więc myślimy sobie: czyli to pewnie tych ludzi się boją. I chcą, żebyśmy też się bali. A Tamara wciąż dyryguje. To potakuje, to kręci głową z tymi uróżowanymi policzkami, robi minę jak Meduza, kiedy chce wyrazić meganiezadowolenie. Dobrze to opisałam, Perry?

- Kwieciście, ale dokładnie - przyznał niezręcznie Perry. A potem, dzięki Bogu, posłał jej prawdziwy, pełny uśmiech. To nic, że pełen wyrzutów sumienia.

- Niech zgadnę: to był pierwszy z licznych telefonów tego wieczoru? - podsunął zręczny Luke, skacząc swymi szybkimi, dziwnie martwymi oczami od Gail do Perry'ego i z powrotem.

- Zanim wróciła rodzina, było ich chyba z pięć - przytaknął Perry. - Ty też słyszałaś, prawda? - To do Gail. - A to był dopiero początek. Bo przez cały czas, kiedy siedziałem sam na sam z Dimą, słyszałem, że telefon znów dzwoni, i albo Tamara przybiegała, wrzeszcząc na Dimę, żeby odebrał, albo Dima sam zrywał się na równe nogi i biegł odebrać, przeklinając po rosyjsku. Jeżeli tam były inne aparaty, to nie zauważyłem. Potem powiedział mi, że komórki nie mają tam zasięgu przez drzewa i skały, i dlatego wszyscy dzwonią do niego linią naziemną. Nie uwierzyłem mu. Pomyślałem sobie, że ktoś sprawdza, gdzie jest, i że dlatego oni dzwonią do niego na staroświecki, naziemny telefon.

- Jacy oni?

- Ludzie, którzy mu nie ufają. A on im też nie. Ludzie, którym podlega. I których nienawidzi. Których się boi, i których my też mamy się bać.

Innymi słowy: ludzie, o których mogą wiedzieć Perry, Luke i Yvonne, ale nie ja. Ludzie z tego naszego zasranego tekstu, który wcale nasz nie jest.

- Czyli w tym momencie pan i Dima odchodzą w dogodne miejsce, gdzie można porozmawiać i nie zostać podsłuchanym - podsunął Luke.

- Tak.

- A pani Gail idzie kumać się z Tamarą.

- Ładne z nas kumy.

- Ale poszła pani?

- Do tandetnego saloniku, który śmierdział szczurzymi sikami. I gdzie w telewizorze plazmowym szła msza prawosławna. A Tamara niosła ze sobą lodówkę.

- Lodówkę?

- Perry państwa nie poinformował? W tym naszym wspólnym tekście, którego nie widziałam? Tamara chodziła wszędzie z małą czarną torbą-lodówką. Kiedy ją odkładała, coś w niej stukało. Nie wiem, gdzie kobiety noszą broń w normalnym towarzystwie, ale odniosłam wrażenie, że trzyma tam pistolet podobny do tego, jaki miał wujaszek Wania.

*Skoro ma to być mój labędzi śpiew, to mogę dać z siebie wszystko:*

- Prawie całą jedną ścianę zajmował telewizor plazmowy. Pozostałe w całości pokrywały ikony. Takie podrózne. I w bogato zdobionych ramach, żeby były jeszcze świętsze. Sami święci, żadnych Matek Boskich. Gdzie Tamara, tam święci, tak się domyślam. Mam ciotkę, która jest taka sama. Była dziwką, a potem została katoliczką. Każdy z jej świętych jest od czego innego. Gubi klucze: Antoni. Ma

jechać pociągiem: Krzysztof. Brakuje jej paru funtów: Marek. Zachoruje ktoś w rodzinie: Franciszek. A jak już jest za późno: święty Piotr.

Pauza. Wystrzelała się: znowu nędzne aktorstwo, wypalone, nie w roli.

- A jak minęła reszta wieczoru, w skrócie? - zapytał Luke, co prawda nie patrząc na zegarek, ale prawie.

- Dziękuję, same pyszności. Kawior z bielugi, homary, wędzony jesiotr, oceany wódki, błyskotliwe, półgodzinne pijackie toasty po rosyjsku dla dorosłych, wielki tort urodzinowy, zagryzany dobroczywnymi kłębami paskudnego dymu rosyjskich papierosów. Wołowina Kobe i krykiet w sztucznym świetle w ogrodzie, fajerwerki, których nikt nie oglądał, morska kąpiel po pijaku dla tych, co jeszcze trzymali się na nogach, a potem do domku, gdzie przy drinku na dobranoc wesoło rozpamiętujemy przemiły wieczór.

\*

Sterna błyszczących zdjęć Yvonne pojawia się już na pewno po raz ostatni. Bardzo proszę zidentyfikować wszystkich, których pamiętacie z uroczystości - mówi Yvonne, jakby wygłaszała rotę przysięgi.

Ten i ten, pokazuje znużona Gail.

No i ten przecież też, mówi Perry.

*Tak, Perry, ten też. Jeszcze jeden zasrany ten. Ale kiedyś nadejdzie czas, że kobiety zrównają się prawami z mężczyznami w rosyjskim świecie przestępczym.*

Cisza. Yvonne kończy kolejną ze swych szczegółowych notatek i odkłada ołówek. Dziękuję pani, bardzo nam pani pomogła, mówi Yvonne. Dla małego, jurnego Luke'a to sygnał, że ma być energiczny. Miłosiernie energiczny:

- Pani Gail, obawiam się, że musimy panią wypuścić.

Była pani bardzo miła i wspianiale pani zeznawała, resztę dowiemy się od pana Perry'ego. Jesteśmy pani bardzo wdzięczni. Oboje. Dziękujemy.

Gail stoi w drzwiach, niepewna, jak się tam znalazła. Obok niej stoi Yvonne.

- Perry?

Czy on jej odpowiedział? Nie zauważyła. Wchodzi po schodach, strażniczka Yvonne tuż za nią. W zbytkownym i przeładowanym holu wielki Ollie, ten od cockneyowskiego akcentu i obcojęzycznych nutek w głosie, składa rosyjską gazetę, gramoli się z fotela i zatrzymawszy się na chwilę przed zabytkowym lustrem, starannie poprawia oburącz swój beret.

## 5.

- Podprowadzić panią do drzwi? - zapytał Ollie, odwracając się na siedzeniu kierowcy, by zwrócić się do niej przez przegrodę w taksówce.

- Wszystko w porządku, dziękuję.

- Kiedy na panią patrzę, nie wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Pani wygląda mi na zaniepokojoną. Pani chce, żebym wszedł na herbatkę?

*Herbatkie? Herbatkę? Herbatę?*

- Nie, dziękuję. Nic mi nie jest. Po prostu muszę się przespać.

- Nie ma to jak mała drzemka, żeby się zaraz lepiej poczuć, nie?

- No właśnie. Nie ma nic lepszego. Dobranoc panu. Dziękuję za podwiezienie.

Przechodzi przez jezdnię i nie może się doczekać, by odjechał, ale on nie odjeżdża.

- A torebkę to kto weźmie, kochana?

Zapomniała. Teraz jest na sobie wściekła. I na Olliego - za to, że odczekał, by znalazła się na progu własnego domu, nim popędził za nią. Wykrztusiła jakieś podziękowanie i powiedziała, że jest idiotką.

- Ależ proszę nie przepraszać, ja jestem jeszcze gorszy. Zgubiłbym własną głowę, gdyby nie była przyczepiona do szyi. Na pewno wszystko w porządku, kochana?

Prawdę mówiąc, niczego już nie jestem pewna, kochany. Przy najmniej w tej chwili. Nie wiem na przykład, czy jesteś szefem

siatki, czy tylko pomagierem. Nie wiem, dlaczego na jazdę do Bloomsbury w dziennym świetle zakładasz okulary o grubych szklach, a na drogę powrotną w ogóle nie zakładasz okularów, choć ciemno jak w studni. A może szpiedzy dobrze widzą tylko w ciemności?

\*

Mieszkanie, które współdziedziczyła po nieboszczyku ojcu, zajmowało dwa górne piętra ładnej wiktoriańskiej kamieniczki - jednej z tych, które nadają Primrose Hill charakterystycznego wdzięku. Druga połowa mieszkania należała do jej pnącego się po drabinie społecznej brata, zajmującego się zabijaniem bażantów w towarzystwie bogatych przyjaciół; za pięćdziesiąt lat, jeżeli do tego czasu brat nie zapije się na śmierć, a Gail i Perry wciąż będą razem - w co w tej chwili wątpiła - może uda im się go spłacić.

Klatka schodowa śmierdziała wołowiną po burgundzku spod dwójki i rozbrzmiewała połajankami i telewizorami innych lokatorów. Rower górski, który Perry trzymał u niej na swoje weekendowe odwiedziny, tkwił w zwykłym, niewygodnym miejscu, przypięty do pionu kanalizacyjnego. Wielokrotnie go ostrzegąca, że jakiś przedsiębiorczy złodziej ukradnie rower razem z rurą. Ale Perry uwielbiał pedałować o szóstej rano na Hampstead Heath i rozbijać się tam po alejkach z napisem ZAKAZ JAZDY ROWERAMI.

Wykładzina na czterech wąskich biegach schodów prowadzących do drzwi frontowych jej mieszkania była w ostatnim stadium rozkładu, ale lokator z parteru nie potrafił zrozumieć, dlaczego ma się do tego dołożyć, a dwaj pozostali postanowili nie płacić, dopóki pierwszy się nie zdecyduje; Gail - jako darmowy radca prawny kamienicy - miała wypracować jakiś kompromis, ale trudno o kompromis, gdy strony uważają za punkt honoru nie ustąpić innym ani na jotę.

Jednak tego wieczoru była wręcz wdzięczna za to wszystko: niech się kłóć, niech puszczają tę swoją zasraną muzykę, ile dusza zapagnie, niech otoczą ją całą swoją normalnością, bo - oj, mamó! - tak bardzo potrzebowała teraz normalności właśnie. Wszystko, byle tylko przeniesiono ją z sali operacyjnej do sali wybudzeń. Byle tylko powiedziano jej, że koszmar już się skończył. Gail, kochanie, dość szkockich sawantek o cichym głosie, dość niedorośniętych szpiego-kratów z akcentem z Eton, dość sierotek, dość pięknych jak marzenie Natasz, wujków ze spluwą za pasem, Dimów i Tamar. A Perry Makepiece, mój zesłany z niebios kochanek i ślepy naiwniak wcale nie zamierza owinąć się całunem z narodowej flagi dla Orwellowskiej miłości do swej utraconej Anglii, dla podziwu godnego szukania kontaktu z Rzeczywistością przez duże R - jaką rzeczywistością, na miłość boską? - ani dla swej domorosłej odmiany purytańskiej próżności *à rebours*.

Wchodząc na schody, poczuła, że trzęsą jej się kolana.

Na pierwszym, zaniedbanym półpiętrze trzęsły się jeszcze bardziej.

Na drugim trzęsły się tak strasznie, że musiała oprzeć się o ścianę, nim się trochę uspokoiły.

A przed ostatnim podestem musiała wciągać się za poręcz, żeby dotrzeć do drzwi, nim automat wyłączy światło.

Stojąc w maleńkim holu tyłem do zamkniętych drzwi, nasłuchiwała; czuła w powietrzu woń alkoholu, ludzkiego smrodu lub dymu papierosowego, po których kilka miesięcy temu poznała, że było u niej włamanie, nim jeszcze wspięła się po spiralnych schodach i zobaczyła, że ktoś nasikał do jej łóżka, pociął poduszki i powypisywał szminką obsceniczne hasła na lustrze.

Dopiero gdy do końca przeżyła to jeszcze raz, otworzyła drzwi do kuchni, powiesiła płaszcz, sprawdziła łazienkę, wysiusiała się, naląła sobie pełną szklanekę riojy, upiła wielki łyk, dopełniła szklanekę po

brzegi i niepewnie zaniósła ją do salonu.

\*

Stała. Nie usiadła. Biernego siedzenia miała już dość na całe życie, wielkie dzięki.

Stała przed nieczynną imitacją georgiańskiego kominka, całego w sośnie, zamontowanego przez któregoś z poprzednich właścicieli, i gapiła się na to samo wysokie, podnoszone do góry okno, przy którym sześć godzin temu stał Perry: Perry o przekrzywionej, ptasiej sylwetce, dwuipółmetrowy, wyglądający na ulicę, czekający na zwykłą, czarną taksówkę ze zgaszonym napisem „Wolny”, ostatnie dwie cyfry na rejestracji to 7 i 3, kierowca nazywa się Ollie.

Nie mamy zasłon w oknach. Tylko okiennice. Perry woli surowy wystrój, ale dorzuci się w połowie do zasłon, jeżeli naprawdę jej na nich zależy. Perry, który nie aprobeuje centralnego ogrzewania, ale martwi się, że nie jest jej dość ciepło. Perry, który to mówi, że mogą mieć tylko jedno dziecko z powodu ziemskiego przeludnienia, to znów domaga się szóstki. Perry, który gdy tylko wylądowali w Anglii po całkowicie zapieprzonych, najlepszych wakacjach w życiu, zmyka do Oksfordu, nie wyłazi ze swojego mieszkania i przez czterdzieści sześć godzin porozumiewa się z nią wyłącznie zdawkowymi doniesieniami z frontu walk:

tekst prawie gotowy... skontaktowałem się z odpowiednimi ludźmi... przyjeżdżam do Londynu około południa... zostaw klucz pod wycieraczką...

- Powiedział, że to elitarny zespół, nie jakieś urzędasy - mówi do niej, odprowadzając wzrokiem nie te taksówki.



- Kto powiedział?
- Adam.
- Ten, który do ciebie oddzwonił? Ten Adam?
- Tak.
- To jego imię czy nazwisko?
- Ja nie pytałem, on nie powiedział. Mówi, że mają własny lokal na takie sprawy. Mieszkanie operacyjne. Nie chciał mówić przez telefon gdzie. Taksówkarz będzie wiedział.
- Ten Ollie.
- Tak.
- A tak konkretnie, to na jakie sprawy?
- Takie jak nasza. Tyle tylko wiem.

Przejeżdża czarna taksówka, ale światełko się pali. Czyli to nie szpiegowska taksówka. Tylko zwykła. Prowadzona przez kogoś, kto nie jest Olliem. Rozczarowany jeszcze raz, Perry odgrywa się na niej:

- Słuchaj. Masz jakiś pomysł, jak mogłem inaczej postąpić? Jeżeli masz lepszy, proszę bardzo. Od kiedy wróciliśmy do Anglii, traktujesz mnie jak wroga.

- A ty cały czas trzymasz mnie na dystans. Aha, i traktujesz mnie jak dziecko. Dziecko słabszej płci. O tym zapomniałam.

Znów zaczął wyglądać przez okno.

- Czy ten Adam to jedyna osoba, która czytała ten twój tekst, raport, zeznanie? - pyta go.

- Nie sądzę. I nie byłbym taki pewny, że naprawdę nazywa się Adam. Powiedział, że Adam, ale tak jakby podawał hasło.

- Naprawdę? Ciekawe, jak to zrobił.

Usiłuje powiedzieć „Adam” tak, jakby podawała hasło, ale Perry nie daje się wciągnąć do zabawy.

- Jesteś pewny, że Adam to mężczyzna, tak? A nie kobieta o niskim głosie?

Bez odpowiedzi. Zresztą się jej nie spodziewała.

Przejeżdża następna taksówka. Wciąż nie nasza. Ale jak należy się ubrać na spotkanie ze szpiegami, kochanie? - jak niewątpliwie zapytałaby jej matka. Przeklinając samą siebie, że w ogóle się nad tym zastanawia, zamieniła strój, w którym zwykle chodzi do pracy, na spódnicę i bluzkę bez dekoltu. I spokojne buty, nic takiego, co mogłoby kogoś podniecać - no, poza Lukiem, ale skąd miała wiedzieć?

- Może utknął w korku - sugeruje i znów nie dostaje odpowiedzi. Dobrze jej tak. - Ale wracając do sprawy. Ty dałeś list Adamowi. A Adam go odebrał. Inaczej chyba by do ciebie nie zadzwonił. - Jest irytująca i doskonale o tym wie. On też wie. - Ile stron? W tym naszym tajnym tekście? Twoim?

- Dwadzieścia osiem - odpowiada.

- Odręcznie czy na komputerze?

- Odręcznie.

- Dlaczego nie na komputerze?

- Uznałem, że odręcznie będzie bezpieczniej.

- Serio? Kto ci tak poradził?

- Wtedy jeszcze nikt mi nic nie radził. Dima i Tamara byli przekonani, że wszędzie jest podsłuch, więc uznałem, że trzeba wziąć pod uwagę ich obawy i nie używać elektroniki. Żeby nikt się nam nie włamał.

- Czy to nie jest trochę paranoja?

- Oczywiście, że jest. Oboje mamy teraz paranoję. Tak samo jak Dima i Tamara. Wszyscy mamy paranoję.

- No to nie kryjmy się z tym. Miejmy razem paranoję.

Bez odpowiedzi. Głupiutka Gail próbuje jeszcze inaczej:

- Chcesz mi opowiedzieć, jak to się stało, że w ogóle znalazłeś pana Adama?

- Każdy może go znaleźć. W naszych czasach to nie problem. Można go znaleźć w Internecie.

- A ty go znalazłeś w Internecie?

- Nie.
- Nie ufałeś Internetowi?
- Nie.
- A mnie ufasz?
- Pewnie, że ufam.
- Codziennie wysłuchuję w zaufaniu najdziwniejszych rzeczy.

Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak.
- I jakoś na razie nie słyszałeś, żebym na imprezach raczyła naszych znajomych tajemnicami własnych klientów, prawda?
- Nie.

Nowy magazynek:

- Wiesz również, że będąc młodą prawniczką pracującą jako wolny strzelec i wiecznie przerażoną, czy dostanę kolejne zlecenie, jestem zawodowo przeciwna prowadzeniu tajemniczych spraw, które nie dają nadziei ani na podniesienie prestiżu zawodowego, ani na dobry zarobek.

- Nikt ci nie daje żadnej sprawy, Gail. Nikt niczego od ciebie nie chce. Masz tylko przyjść i gadać.

- Na tym u mnie polega prowadzenie sprawy.

Jeszcze jedna taksówka, nie ta. Jeszcze jedna chwila ciszy - zła.

- No, przynajmniej pan Adam zaprosił nas oboje - mówi, siłąc się na dobry humor. - A już myślałam, że całkiem mnie wyciąłeś z tego twojego tekstu.

I właśnie wtedy Perry znów staje się Perrym, a ostrze w jej dłoni obraca się przeciwko niej, kiedy on patrzy na nią z tak urażoną miłością, że bardziej boi się o Perry'ego niż o siebie.

- Próbowałem cię wyciąć, Gail. Zrobiłem, co mogłem, żeby cię wyciąć. Myślałem, że uda mi się ciebie w to nie wplątywać. Nie udało się. Musimy tam być oboje. Przynajmniej na początku. Był... Był nie do przejścia. - Sztuczny śmiech. - Tak jak ty dla świadków.

„Skoro było państwa dwoje, musicie przyjść we dwójkę”. Naprawdę bardzo mi przykro.

I rzeczywiście było mu przykro. Wiedziała o tym dobrze. Jeżeli nadejdzie kiedyś dzień, że Perry nauczy się kłamać na temat własnych uczuć, to wtedy nie będzie już Perrym.

Jej zresztą też było równie przykro. Albo jeszcze bardziej. Mówiła mu to w jego ramionach, gdy na zewnątrz pojawiła się czarna taksówka ze zgaszonym napisem „Wolny”, ostatnie dwie cyfry 7 i 3, i niemal cockneyowski męski głos poinformował ich przez domofon, że nazywa się Ollie i że ma zawieźć dwie osoby do Adama.

\*

A teraz znowu jest odsunięta. Wykluczona, wyłączona, zapomniana.

Posłuszna kobietka, czekająca na powrót mężczyzny, nalewa sobie jeszcze jedną męską porcję riojy, żeby go doczekać.

No dobra, od początku wiadomo było, że tak będzie. Nie powinna była mu na to pozwolić. Co nie znaczy, że musiała siedzieć beczynie i kręcić młynka palcami. I nie siedziała.

Bo Perry nie wiedział, że tego samego ranka, kiedy on czekał posłusznie na Głos Adama, ona zawzięcie stuknęła w klawiaturę komputera w swojej kancelarii, i tym razem nie miało to nic wspólnego ze sprawą Samson versus Samson.

To, że wołała odczekać, dopóki nie znajdzie się w kancelarii, zamiast skorzystać z laptopa w domu - to, że w ogóle z tym czekała - wciąż było dla niej samej zagadką, jeśli nie wręcz powodem do wyrzutów sumienia. Pewnie to wina wytworzonej przez Perry'ego konspiracyjnej atmosfery.

To, że wciąż miała wizytówkę Dimy na czerpanym papierze - którą Perry przecież kazał jej zniszczyć - było przestępstwem zagrożonym najwyższym wymiarem kary.

To, że użyła medium elektronicznego - do którego ktoś mógł się włamać - też podlegało najwyższemu wymiarowi kary. Ale skoro on nie poinformował jej z wyprzedzeniem o tej konkretnej odmianie paranoi, nie powinien narzekać.

Arena Multi Global Trading Conglomerate z siedzibą w Nikozji (Cypr) - jak słabą i niechlujną angielszczyzną poinformowała ją strona internetowa - była firmą konsultingową „specjalizującą się w usługach dla aktywnych inwestorów”. Główne biuro znajdowało się w Moskwie, przedstawicielstwa w Toronto, Rzymie, Bernie, Karachi, Frankfurtach, Budapeszcie, Pradze, Tel Awiwie i Nikozji. Ale nie na Antigui. I żadnych banków, będących tylko mosiężnymi tabliczkami. A przynajmniej o niczym takim strona internetowa nie wspominała.

“Arena Multi Global szczeni się poufnością i wyczóciem [z błędnym „u”] w interesach [z dodatkowym „r”] na każdym szczeblu działalności. Oferuje nieskończone możliwości [brak „ś”] i wszelkie udogodnienia bankowości prywatnej [wyjątkowo bez błędu]. Uwaga: strona w przebudowie. Więcej informacji w moskiewskiej siedzibie firmy”.

Amerykanin Ted był kawalerem. Handlował kontraktami terminowymi w Morgan Stanley. Zatelefonowała do niego z kancelarii.

- Gail, kochanie!
- Firma nazywa się Arena Multi Global Trading Conglomerate. Możesz wynaleźć mi jakieś haki?

Haki? Nikt nie umiał tak wynajdować haków jak Ted. Oddzwonił po dziesięciu minutach.

- Pytałaś o tych Ruskich...
- Ruskich?
- Są jak ja. Podejrzani jak diabli, bogaci jak cholera.

- Ale jak bogaci?  
- Tego nie wie nikt. Chyba bardzo. Ponad pięćdziesiąt filii, wszystkie mają fantastyczne wyniki. Zajęłaś się praniem brudnych pieniędzy, Gail?

- Skąd wiesz?  
- Bo te ruskie macie tak szybko przerzucają pieniądze z ręki do ręki, że nikt nie wie, co jest u kogo i na jak długo. Tylko tyle się dowiedziałem, ale i tak musiałem zapłacić własną krwią. Czy odąd już zawsze będziesz mnie kochać?

- Zastanowię się, Ted.

Teraz Ernie, pomysłowy sekretarz kancelarii, pan po sześćdziesiątce. Poczekala do przerwy obiadowej, kiedy jest największy spokój.

- Ernie, mam prośbę. Podobno jest taka paskudna stronka internetowa, na którą się wchodzi, jeżeli chce się sprawdzić firmy naszych wielce szanowanych klientów.

Jestem głęboko wstrząśnięta i chciałabym, żebyś coś mi tam sprawdził.

Pół godziny później Ernie sprezentował jej odpowiednio wyedytowany wydruk paskudnych komentarzy na temat Arena Multi Global Trading Conglomerate.

Który dupek wie, kto prowadzi ten bajzel? Goście zmieniają dyrektorów jak rękawiczki. P. BROSNAN

Czytaj, rozważ, chłoń i przetraw wewnętrznie mądre słowa Maynarda Keynesa: Rynek dłużej zachowuje się nonsensownie niż ty zachowujesz płynność finansową. Sam jesteś dupek. R. CROW

Co jest, k\*\*\*\*, ze stroną MG? Padła. B. PITT

Strona MG padła, ale nie na zawsze. G\*\*\*\*o zawsze wypływa na powierzchnię. Trzymajcie się z daleka, dupki. M. MUNROE

Ale mnie naprawdę to ciekawi. Najpierw mają na mnie straszną chćicę, a potem zostawiają mnie na lodzie. RB.

Ej, ludzie, słuchajcie! Właśnie się dowiedziałem, że MGTC otwiera biuro w Toronto. R.C.

Biuro? Co ty se jaja robisz! To jest k\*\*\*\* ruski nocny klub. Tańce na rurze, stolicznaia, barszcz. M.M.

Cześć, dupku, to znowu ja. Czy to biuro, co otwarli w Toronto, to jest to samo, co zamknęli w Gwinei Równikowej? Jeżeli tak, lotnik kryj się. Ale już. R.C.

Arena Multi k\*\*\*\* Global ma zero trafień w Google'u. Kompletnie zero. Ta cała firma to taka amatorszczyzna, że aż serce boli. P.B.

A nie wierzysz czasem w życie pozagrobowe? No, to najwyższy czas. Bo właśnie nadepnąłeś na największą łupę od ruskiego bana na w pralniczym interesie. Oficjalnie potwierdzone. M.M.

Tak się najpierw na mnie napalili, a teraz nic. P.B.

Trzymaj się z daleka. Z bardzo daleka. R.C.

\*

Jest na Antigui, przeniesiona tam z kuchni kolejną szklanką riojy.

Słucha pianisty w fioletowej muszce, mrużącego Simona i Garfunkela podstarzałej amerykańskiej parze w płóciennych strojach, samotnie wirującej na parkiecie.

Opędza się od spojrzeń pięknych kelnerów, którzy nie mają nic lepszego do roboty, niż rozbierać ją wzrokiem. Słyszy, że siedemdziesięcioletnia teksańska wdowa po tysiącu operacji plastycznych zamawia u Ambrose'a czerwone wino, byle nie francuskie.

Stoi na korcie tenisowym i po raz pierwszy nieśmiało wymienia uścisk dłoni z łysym bykiem imieniem Dima. Wspomina jego pełne wyrzutu, piwne oczy, twardą szczękę i sztywne odchylenie do tyłu tułowia, trochę à la Erich von Stroheim.

Jest w suterenie w Bloomsbury, to jako towarzyszka życia Perry'ego, to jako zbędny bagaż, którego nie bierze się w podróż. Siedzi tam z trojgiem ludzi, którzy dzięki naszemu tekstowi i temu, co potem dopowie im Perry, wiedzą znacznie więcej niż ona.

Siedzi sama w salonie swej eleganckiej rezydencji w Primrose Hill. Jest wpół do pierwszej w nocy. Na podołku trzyma akta sprawy Samson versus Samson, obok stoi pusta szklanka, z której piła wino.

Zrywa się na nogi - oj, bo się przewrócę - wspina się po spiralnych schodach na górę, do sypialni, idzie śladem porzuconej na podłodze brudnej garderoby Perry'ego - upycha ją do kosza na bieliznę. Ostatni raz kochał się ze mną pięć dni temu. Nowy rekord?

Wraca na dół, schodząc po jednym stopniu naraz, trzymając się poręczy jak na kiwającym się statku. Znów jest przy oknie, patrzy i patrzy na ulicę, modląc się, by jej mężczyzna wrócił do domu czarną taksówką o ostatnich cyfrach 7 i 3. Pod rozgwieżdżonym niebem jedzie o północy podskakującym minivanem o zaciemnionych szybach, ściśnięta pośladek w pośladek z Perrym - po zakończonych szaleństwach urodzinowych w Trzech Kominach odwozi ich do hotelu Dzidzius, ten krótkowłosa blondynek, ochroniarz ze złotym łańcuchem na przegubie.



- Wy dobrze bawili się, Gail?

To mówi kierowca. Dzidzius dotąd nie ujawniał się ze znajomością angielskiego. Nie powiedział ani słowa, gdy Perry postawił mu się przed wejściem na kort. Więc dlaczego teraz się ujawnia? - zastanawia się Gail, czujna jak nigdy w życiu.

- Dziękuję, przemiły wieczór - oznajmia głosem ojca, zastępując Perry'ego, który jakby ogłuchł. - Rozkoszny po prostu. Tak mi miło ze względu na tych wspaniałych chłopców.

- Mnie nazywają Niki, okej?

- Okej. Świetnie. Jak mi miło, Niki - mówi Gail. - Skąd jesteś?

- Z Permu, z Rosji. Ładne miasto. A Perry, proszę? Wy też dobrze się bawili?

Gail już ma kuksnąć Perry'ego łokciem, ale on ożywa sam z siebie.

- Tak, świetnie, dziękuję, Niki. Świetne jedzenie. Naprawdę mi-li ludzie. Super. Jak dotąd, najlepszy wieczór całego pobytu.

Jak na początkującego, nieźle, myśli Gail.

- Wy kiedy przyjechali do Trzech Kominów? - pyta Niki.

- O mały włos prawie w ogóle byśmy tam nie dotarli - woła Gail i chichocze, by odwrócić uwagę od wahania Perry'ego. - Prawda, Perry? Poszliśmy ścieżką krajoznawczą i musieliśmy wycinać sobie drogę przez zarośla! A gdzie ty tak świetnie nauczyłeś się angielskiego, Niki?

- W Boston, Massachusetts. U ciebie nóż?

- Nóż?

- Żeby zarośla ciąć, trzeba mieć duży nóż.

Te martwe oczy w lusterku, co one już widziały? A co widzą teraz?

- Żałowałam, że nie mam - woła Gail, wciąż w skórze ojca. - Niestety, my, Anglicy, nie nosimy noży. - Co za bzdury wygaduję? To nic, gadaj dalej. - No, prawdę mówiąc, niektórzy noszą, ale nie

tacy ludzie jak my. Bo my jesteśmy w niewłaściwej klasie. Społecznej. Słyszałeś o naszym systemie klasowym? No więc w Anglii nóż nosi się tylko, jeżeli się jest w niższej klasie średniej albo jeszcze niżej! - I kolejne wybuchy śmiechu, byle przebyć rondo i znaleźć się na podjeździe przed głównym wejściem.

Oszołomieni, mają kłopoty ze znalezieniem drogi do domu wśród podświetlonych hibiskusów, jakby szli tędy pierwszy raz. Perry zamyka za nimi drzwi, ale nie włącza światła. W ciemności stoją naprzeciw siebie po obu stronach łóżka. Ścieżka dźwiękowa milknie na całą wieczność. Co nie znaczy, że Perry nie może zdecydować się, co powiedzieć:

- Muszę wziąć papier do pisania. Ty też. - To jego głos w stylu „ja tu rządzę”. Gail ma nadzieję, że zwykle tak przemawia tylko do mało pilnych studentów, którzy nie oddali pracy w terminie.

Zasuwa żaluzje. Włącza zbyt słabą lampkę po mojej stronie łóżka, pozostawiając resztę pokoju w ciemności.

Jednym szarpnięciem otwiera szufladę mojej szafki nocnej i wyciąga z niej blok żółtego papieru - też mój. Kartki zdobią moje błyskotliwe przemyślenia w sprawie Samson versus Samson - moja pierwsza sprawa jako głównej asystentki adwokata prowadzącego, mój siedmiomilowy krok ku natychmiastowej sławie i bogactwu.

Albo nie.

Wyrwawszy kartki, na których zapisałam perły mojej prawniczej mądrości, i upchnięciu ich z powrotem w szufladzie, rozrywa resztę bloku na dwie części i wręcza mi jedną z nich.

- Ja idę tam - wskazuje na łazienkę. - Ty zostań tu. Siadaj za biurkiem i spisz wszystko, co zapamiętałaś. Wszystko, co się wydarzyło. Ja zrobię to samo. W porządku?

- A co w tym złego, że zostaniemy w jednym pokoju? Jezu, Perry. Boję się jak cholera. Ty nie?

Nie mówiąc już o jak najbardziej wybaczalnej potrzebie jego towarzystwa, moje pytanie jest całkowicie uzasadnione. W naszym domu jest - oprócz ciągle przez nas wykorzystywanego łóżka wielkości boiska do rugby - biurko, dwa fotele i stół. Perry odbył szczerą rozmówkę z Dimą, ale o czym ja mam pisać po nasiadówce z wariatką Tamarą i jej brodatymi świętymi?

- Dwoje świadków to dwa osobne zeznania - wyrokuje Perry, kierując się do łazienki.

- Perry! Stój! Wracaj! Zostań! To ja tu jestem prawnikiem, kurwa mać, nie ty. Co ci ten Dima nagadał?

Nic mu nie nagadał, sądząc po wyrazie twarzy Perry'ego. Albo braku wyrazu.

- Perry.

- Co?

- Kurwa mać, przecież to ja. Gail. Pamiętasz mnie jeszcze? Siadaj na tyłku i mów, co takiego powiedział ci Dima, że zmieniłeś się w żywego trupa. W porządku, nie siadaj. Powiedz mi na stojąco. Zaraz ma być koniec świata? Dima jest babą? Co takiego zaszło między wami, że nie możesz mi powiedzieć?

Grymas cierpienia. Całkiem wyraźny. Na tyle wyraźny, że dający nadzieję. Płonną.

- Nie mogę.

- Czego nie możesz?

- Wplątywać w to siebie.

- Nie pierdol.

Drugi grymas. Taki sam, i równie bezproduktywny.

- Słuchasz mnie, Gail?

A ty myślisz, kurwa, że co ja robię? Śpiewam arię z *Mikada*?

- Jesteś świetną prawniczką, masz przed sobą wielką karierę.

- Dziękuję.

- A twoja wielka sprawa wchodzi na wokandę za dwa tygodnie? Tak czy nie?

*Tak, Perry, oczywiście, że tak. Mam przed sobą wielką karierę, chyba że zamiast tego postanowimy mieć sześcioro dzieci, sprawa Samson versus Samson zaczyna się za piętnaście dni, ale o ile znam mojego prowadzącego, to wiele sobie nie pogadam.*

- Jesteś prawdziwą gwiazdą znanej kancelarii adwokackiej. Masz roboty po uszy. Sama mi to mówiłaś.

*Tak, to wszystko prawda. Tak, jestem piekielnie przepracowana. Taki los młodego adwokata, właśnie mamy za sobą najgorszy wieczór życia, co ty chcesz mi wmówić, nabrawszy wody w usta? Perry, tak nie można! Wracaj!* Ale ona tylko to sobie myśli. Bo słów zabrakło.

- Musi być wyraźna granica. Nie do przekroczenia.

Wszystko, co wiem od Dimy, to moja sprawa. Wszystko, co ty wiesz od Tamary, to twoja sprawa. Nie mówimy sobie.

Tajemnica zawodowa.

Odzyskała mowę.

- Chcesz mi powiedzieć, że Dima jest teraz twoim klientem? To już ci odbiło tak jak im!

- To taka prawnicza metafora. Z twojego, nie z mojego świata. Chodzi mi o to, że w pewnym sensie Dima jest moim klientem, a Tamara twoim.

- Tamara nic mi nie mówiła, Perry. Ani jednego zasranego słowa. Jej się wydaje, że tutaj nawet ptaki mają podслuch. Od czasu do czasu zanosila modły po rosyjsku do któregoś z tych swoich brodatych opiekunów, pokazywała mi, że mam klęknąć razem z nią, a ja się godziłam. Już nie jestem anglikańską ateistką, jestem ateistką prawosławną. Poza tym między mną a Tamarą nie wydarzyło się absolutnie nic, czego nie mogłabym ci powiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami, i właśnie ci powiedziałam. Najbardziej się bałam, że mi w którymś momencie odgryzie rękę albo coś takiego. Nie odgryzła.

Ręce mam na swoim miejscu. Teraz twoja kolej.

- Bardzo mi przykro, Gail. Nie mogę.

- Co takiego?

- Nie powiem ci. Nie zamierzam wciągać cię jeszcze bardziej w tę sprawę. Chcę, żebyś była czysta. Bezpieczna.

- Chcesz?

- Nie chcę. Nalegam. Nie dam ci się omamić.

*Omamić? Czy to naprawdę mówi Perry, czy ten jakiś opętany kanonodzieja z Huddersfield, po którym ma imię?*

- Mówię to śmiertelnie poważnie - dodaje na wypadek, gdyby jeszcze w to wątpiła.

I wtedy pierwszy Perry zmienia się w drugiego. Mój ukochany, troskliwy Jekyll zmienia się w nieskończenie mniej apetycznego pana Hyde'a z brytyjskiego Secret Service:

- Zauważyłem, że rozmawiałaś też z Nataszą. Całkiem długo.

- Tak.

- W cztery oczy.

- Niedokładnie. Były z nami obie dziewczynki, tylko spały.

- Czyli tak naprawdę w cztery oczy.

- Czy to zbrodnia?

- Ona jest źródłem.

- Ona jest czym?

- Opowiadała ci o ojcu?

- Co proszę?

- Pytam, czy opowiadała ci o swoim ojcu?

- Pas.

- Poważnie, Gail.

- Ja też jestem poważna. Śmiertelnie poważna. Pas.

Albo pilnuj własnego nosa, albo mi powiedz, co ci mówił Dima.

- Czy mówiła ci, jak Dima zarabia na życie? Z kim się bawi, komu ufa, kogo tak się boją? Jeżeli dowiedziałaś się czegokolwiek na ten temat, też musisz to spisać. To może być niezwykle ważne.

Co powiedziawszy, wchodzi do łazienki i - na swoją wieczną hańbę - zamyka się w niej.

Przez następne pół godziny Gail siedzi na balkonie skulona pod prześcieradłem, bo jest zbyt wyczerpana, by się rozebrać. Przypomina sobie o butelce rumu, kac gwarantowany, ale mimo to nalewa sobie do szklanki i przysypia. Budzi się i widzi, że drzwi do łazienki są otwarte, stoi w nich krzywo Perry, as wywiadu, niepewny, czy wyjść, czy nie. Za plecami trzyma oburącz połowę jej bloku. Jeden róg kartki wystaje, jest cały zapisany.

- Napij się - proponuje mu, wskazując butelkę rumu.

On nie reaguje.

- Przepraszam - mówi. Chrząka i powtarza: - Naprawdę bardzo cię przepraszam, Gail.

Ona porzuca wszelką dumę i rozsądek, impulsywnie zrywa się z miejsca, podbiega i przytula się do niego. On dla bezpieczeństwa trzyma ręce z tyłu. Nigdy jeszcze nie widziała, by Perry się bał, ale teraz się boi. Nie o siebie. O nią.

\*

Zaspana spogląda na zegarek. Wpół do trzeciej. Wstaje z zamiarem poczęstowania się kolejną porcją riojy, zmienia zdanie, pada na ulubiony fotel Perry'ego i znów siedzi pod jednym kocem z Nataszą.

- To co on robi, ten twój Max? - pyta.

- Kompletnie mnie kocha - odpowiada Natasza. - Fizycznie też.

- Ja pytam, co robi poza tym, jak zarabia na życie? - wyjaśnia Gail, pilnując się, by się nie uśmiechnąć.

Dochodzi północ. Dla ochrony przed zimnem i dla rozrywki dwóch bardzo zmęczonych sierotek Gail wzniosła namiot z koców i poduszek pod osłaniającym od wiatru murem na skraju ogrodu. Nie wiadomo skąd pojawiła się Natasza z książką. Gail najpierw zidentyfikowała przez szparę między kocami jej greckie sandały, oczekujące na wkroczenie na scenę. Stoją tak parę dobrych minut. Nasłuchuje? Zbiera się na odwagę? Na co? Czy planuje nagły napad, by zabawić dziewczynki? Ponieważ Gail nie zamieniła jeszcze z Nataszą ani słowa, nie potrafi bliżej określić jej motywacji.

Jeden z koców odchyła się, jeden z greckich sandałów ostrożnie wsuwa się do środka, za nim pojawia się kolano i odwrócona głowa Nataszy, z twarzą zakrytą jej długimi czarnymi włosami. Potem drugi sandał i cała reszta. Dziewczynki śpią już tak mocno, że nawet się nie poruszyły. Potem przez parę dobrych minut Gail i Natasza leżą głowa w głowę, niemo patrząc przez rozchylone koce na salwy rakiet, detonowane z niepokojącą sprawnością przez Nikiego i jego towarzyszy broni. Natasza drży. Gail okrywa siebie i ją kocem.

- Wydaje mi się, że od niedawna jestem w ciąży - zauważa Natasza wyćwiczoną angielszczyzną rodem z powieści Jane Austen, zwracając się nie do Gail, lecz do olśniewających pawich piór, rozpościerających się na nocnym niebie.

*Gdy ma się szczęście wysłuchiwać zwierzeń ludzi młodszych od siebie, lepiej wraz z nimi patrzeć na coś niż na nich samych:* Gail Perkins, *ipsissima verba*. Zanim poszła na studia prawnicze, uczyła w szkole dla dzieci opóźnionych w nauce, i tego sama się tam nauczyła. A jeżeli zwierzenia te składa piękna dziewczyna, która dopiero co skończyła szesnaście lat, i która mówi ni stąd, ni zowąd, że wydaje się jej, że jest w ciąży, to lekcja ta ma wręcz podwójne znaczenie.

\*

- W chwili obecnej Max jest instruktorem narciarskim - odpowiada Natasza na ostrożne i niby od niechcenia zadane pytanie Gail o ojca domniemanego dziecięcia. - Ale to tymczasowo. Będzie architektem, będzie budował domy dla biednych ludzi, co nie mają pieniędzy. Max jest bardzo twórczy i też bardzo czuły.

W jej głosie nie słysząc humoru. Prawdziwa miłość jest na to zbyt serio.

- A jego rodzice co robią? Tak tylko jestem ciekawa - pyta Gail.

- Mają hotel. Dla turystów. Niskiej kategorii, ale Max kompletnie filozoficznie podchodzi do spraw materialnych.

- Hotel w górach?

- W Kanderstegu. To taka wieś w górach, bardzo turystyczna.

Gail mówi, że nigdy nie była w Kandersteg, ale że Perry brał tam udział w biegach narciarskich.

- Matka Maksa nie jest wykształcona, ale sympatyczna i uduchowiona jak syn. Ojciec całkiem negatywny. Idiota.

Trzymać się banałów.

- A Max uczy w jakiejś oficjalnej szkółce narciarskiej - pyta Gail - czy, jak to się mówi, tylko prywatnie?

- Max jest kompletnie prywatny. Jeździ na nartach tylko z tymi, których szanuje. Najbardziej lubi jeździć *off piste*, bo to estetyczne. Albo po lodowcach.

W górach nad Kanderstegiem jest samotna chatka, opowiada Natasza, to tam zadziwili się nawzajem swą namiętnością:

- Byłam dziewczcą. I to niedouczoną. Max był kompletnie wyrozumiały. On jest z natury wyrozumiały dla ludzi. Nawet w namiętności był kompletnie wyrozumiały.

Z uporem utrzymując rozmowę w niezobowiązującym tonie, Gail pyta Nataszę o naukę, jakie ma ulubione przedmioty i na jakie studia chce zdawać. Od kiedy jest u Dimy i Tamary, odpowiada Natasza,



chodzi do przyklasztornej katolickiej szkoły w kantonie fryburskim i przez pięć dni w tygodniu mieszka w internacie:

- Niestety nie wierzę w Boga, ale to bez znaczenia. W życiu często trzeba symulować przekonania religijne. Najbardziej lubię sztukę. Max też ma bardzo artystyczną duszę. Może oboje pojedziemy na artystyczne studia do Petersburga albo Cambridge. Okaże się.

- A on jest katolikiem?

- Praktyki religijne Max wykonuje tak jak jego rodzina. To dlatego, że ma duże poczucie obowiązku. Ale w głębi duszy wierzy we wszystkich bogów.

A w łóżku? Zastanawia się Gail, ale nie pyta, czy Max w łóżku też robi to, co rodzina.

- To kto jeszcze wie o tobie i Maksie? - pyta tym samym spokojnym, lekkim tonem, który wciąż jakoś udało się jej utrzymać. - Oczywiście poza jego rodzicami. A może oni też nie wiedzą?

- Sytuacja jest skomplikowana. Max przysięgł, że nikomu nie powie o naszej miłości. Nalegałam na to.

- Nawet swojej mamie?

- Na matce Maksa nie można polegać. Pozostaje pod wpływem swych burżuazyjnych instynktów. I jest gadatliwa. Gdyby uznała za stosowne, powiedziałaaby mężowi i wielu innym burżuazyjnym osobom.

- A to by było takie złe?

- Gdy Dima dowie się, że Max jest moim kochankiem, możliwe, że go zabije. Dima nie stroni od przemocy. Taka jego natura.

- A Tamara?

- Tamara nie jest moją matką - ucina ostro Natasza, ukazując przez moment, jak jest podobna do ojca.

- To co zrobisz, kiedy okaże się, że rzeczywiście będziesz mieć dziecko? - pyta swobodnie Gail, podczas gdy cały krajobraz rozjaśnia się blaskiem rzymskich ogni.

- Kiedy będziemy wiedzieć na pewno, natychmiast daleko uciekniemy. Może do Finlandii. Max to załatwi. Teraz się nie da, bo latem pracuje jako przewodnik. Poczekamy jeszcze miesiąc. Może będziemy mogli studiować w Helsinkach. A może się zabijemy. Zobaczmy.

Gail zostawia najgorsze pytanie na koniec, może dlatego, że jej burżuazyjne instynkty już przewidują odpowiedź:

- A ile ma lat ten twój Max?
- Trzydzieści jeden. Ale w duszy to jeszcze dziecko.

Podobnie jak ty, Natasza. Czy pod tym rozgwieżdżonym karaibskim niebem opowiadasz mi bajkę, swoje marzenia o cudownym kochanku, którego kiedyś poznasz? Czy też rzeczywiście poszłaś do łóżka z trzydziestojednoletnim narciarskim gnojkiem, który nie mówi takich rzeczy mamie? Bo jeżeli poszłaś, to dobrze trafiłaś - do mnie.

Gail była tylko trochę starsza - niewiele. A chłopak nie był narciarzyną, tylko wylanym z elitarnego liceum mulatem bez grosza przy duszy i z rodzicami w RPA. Matka porzuciła rodzinne gniazdo trzy lata wcześniej, bez podania nowego adresu. Ojciec alkoholik nie stanowił fizycznego zagrożenia, bo leżał w szpitalu z krańcowym stadium marskości wątroby. Gail pożyczyła pieniądze od koleżanek, poddała się aborcji, która została przeprowadzona niezbyt fachowo, i nie powiedziała chłopcu ani słowa.

Jak dotąd nie powiedziała też ani słowa Perry'emu. W obecnej sytuacji nie ma pojęcia, czy kiedykolwiek mu powie.

\*

Z torebki, której o mało nie zostawiła w taksówce Olliego, Gail wydobywa swój telefon komórkowy i sprawdza, czy nie ma nowych wiadomości. Nie ma, więc przewija stare. Te od Nataszy pisane są wielkimi literami dla spotęgowania dramatyzmu. Z ostatniego tygodnia są cztery:

ZAWIODŁAM OJCA WSTYD

WCZORAJ POCHOWALIŚMY MISZE I OLGE  
W PIĘKNEJ CERKWI MOZE MNIE NIEDŁUGO TEZ

PROSZĘ INFORMACJE KIEDY NORMALNE WYMIOTOWAĆ RANO

- po czym pojawia się odpowiedź Gail (w wystanych):

Mniej więcej przez pierwsze trzy miesiące ale jeśli źle się czujesz  
idź do lekarza NATYCHMIAST, xxxx GAIL

- co nie przypada do gustu Nataszy:

NIE MOW ZE ZLE SIE CZUJE. MILOSC TO NIE CHOROBA NATA-  
SZA

Jeżeli jest w ciąży, potrzebuje mnie.

Jeżeli nie jest w ciąży, potrzebuje mnie.

Jeżeli jest zwariowaną nastolatką, która ma myśli samobójcze, to  
potrzebuje mnie.

Jestem jej prawniczką i powiernicą.

Ma tylko mnie.

\*

Perry nakreślił wyraźną granicę.

Granica nie podlega negocjacom ani zmianom.

Nawet tenis nie pomaga. Hinduscy nowożeńcy już wyjechali.  
Singel budzi zbyt wielkie namiętności. Mark jest wrogiem.

Choć gdy się kochają, na chwilę zapominają o granicy, to zaraz  
potem na nowo ich dzieli.

Siedząc na balkonie po kolacji, wpatrują się w łuk białych świateł reflektorów na drugim krańcu półwyspu. Gail ma nadzieję wypatrzeć dziewczynki, a co ma nadzieję wypatrzeć Perry?

Dimę, swego Wielkiego Gatsby'ego? Dimę, swego osobistego Kurtza? Albo jakiegoś innego tragicznego bohatera, stworzonego przez jego ukochanego Josepha Conrada?

Poczucie, że ktoś ich słucha i obserwuje, nie opuszcza ich ani na chwilę w ciągu doby. Nawet jeśli Perry chciałby złamać ustanowioną przez siebie regułę milczenia, obawa przed podsłuchem zamyka mu usta.

Na dwa dni przed wyjazdem Perry wstaje o szóstej i rusza na poranną przebieżkę. Gail dłużej zostaje w łóżku, po czym gotowa zadowolnić się samotnym śniadaniem, znajduje Perry'ego w Mostku Kapitańskim, pogrążonego w konspiracyjnej rozmowie z Ambrosem na temat przyspieszenia daty odlotu. Ambrose żałuje, ale biletów nie da się już wymienić:

- Gdyby mi pan powiedział wczoraj, to co innego. Mógłby pan wylecieć razem z panem Dimą i jego rodziną. Tylko że oni wszyscy lecą pierwszą klasą, a państwo zwykłą, ekonomiczną. Coś mi się wydaje, że muszą państwo jeszcze wytrwać jeden dzień na naszej wysepce.

Robili, co mogli. Poszli do miasta i oglądali wszystko, co było do oglądania. Perry zrobił jej wykład o wszystkich grzechach niewolnictwa. Wybrali się na plażę po drugiej stronie wyspy i nurkowali z fajką, ale byli tylko kolejną angielską parą, która nie miała pojęcia, jak sobie radzić w takim słońcu.

Gail straciła panowanie nad sobą dopiero podczas kolacji w Mostku Kapitańskim. Zupełnie niespodziewanie Perry złamał embargo na rozmowy w domku i zapytał ją, czy przypadkiem nie zna kogoś „w środowisku brytyjskich służb specjalnych”.

- Przecież dla nich pracuję - odparła. - Że też do tej pory się nie domyśliłeś! - Ale jej sarkazm przeszedł bez echa.

- Pomyślałem sobie właśnie, że może ktoś w twojej kancelarii ma jakieś kontakty - powiedział zrezygnowanym głosem Perry.

- Aha. A niby jakie? - rzuca Gail i czuje, że robi jej się gorąco w twarz.

- Bo ja wiem... - Nieco zbyt niewinne wzruszenie ramion. - Pomyślałem sobie, że przy tym, ile się mówi o porwaniach i torturach, o śledztwach, procesach i tak dalej, szpiedzy muszą teraz często kontaktować się z adwokatami.

Tego już było za wiele. Rzuciwszy dźwięczne: „Odpieprz się, Perry”, pobiegła alejką do ich domku i rozryczała się na dobre.

Oczywiście potem okropnie go przepraszała. On ją też. Oboje wstydzili się za siebie. To wszystko moja wina. Nie, moja. Wracajmy do siebie, do Anglii, miejmy to świństwo już za sobą. Na chwilę złączeni na nowo chwytają się siebie jak tonący i kochają z taką samą desperacją.

\*

Znowu stoi przy wysokim oknie i marszcząc brwi, wygląda na ulicę. Cholerna taksówka nie przyjeżdża. W ogóle żadna.

- Sukinsyny - mówi głośno, naśladując ojca. A potem, po cichu, do siebie i do wspomnianych sukinsynów:

*Co wy mu tam robicie?*

*Czego od niego chcecie?*

*Na co on nie zgadza się, ale zgadza, kiedy przyglądacie się, jak wykonuje przed wami moralny bieg w miejscu?*

*Jak byście się czuli, gdyby Dima nie Perry'ego wybrał na spowiednika, tylko mnie? Gdyby rozmowa była nie chłop z chłopem, tylko chłop z babą?*

*Jak Perry by się czuł, tkwiąc tutaj jak jakiś wyrzutek, czekając, aż wrócę z kolejnymi tajemnicami w głowie, których „niestety, tak mi przykro, nie mogę ci ujawnić, to dla twojego dobra”?*

\*

- Czy to ty, Gail?

*Czy to ja?*

Ktoś wsadził jej telefon w dłoń i kazał z nim porozmawiać. Ale nikt nie mógł tego zrobić - jest sama. Rozmowa z Perrym idzie na żywo - to nie retrospekcja. Ona wciąż stoi zjedną ręką na okiennej framudze i wciąż gapi się na ulicę.

- Słuchaj, przepraszam. Wiem, że jest późno i w ogóle.

*W ogóle?*

- Hector chce rozmawiać z nami, z tobą i mną, jutro o dziewiętej rano.

- Hector?

- Tak.

Zachowaj rozsądek. Kiedy świat zaczyna szaleć, trzeba trzymać się tego, co się wie.

- Ja nie mogę. Wiem, że to niedziela, ale mam robotę. Sprawa Samsonów nigdy nie śpi.

- To zadzwoń do kancelarii i powiedz, że jesteś chora. To ważne, Gail. Ważniejsze niż Samson versus Samson. Serio.

- Hector tak uważa?

- Tak naprawdę to obaj tak uważamy.

## 6.

- A przy okazji: on będzie nazywał się Hector - powiedział mały, kompetentny Luke, zerkając znad swojego egzemplarza segregatora.

- To ostrzeżenie czy boski wyrok? - zapytał Perry pomiędzy rozpostartych dłoni, kiedy Luke dawno już przestał liczyć na odpowiedź.

W ciągu całego wieku, który upłynął od wyjścia Gail, Perry nie wstawał od stołu. Ani nie uniósł głowy, ani nie zmienił pozycji na swym miejscu przy jej pustym krześle.

- Gdzie Yvonne?

- Poszła do domu - powiedział Luke, już z powrotem zagłębio-  
ny w segregatorze.

- Sama poszła czy została odesłana? Bez odpowiedzi.

- Czy Hector to pana wódz naczelny?

- Powiedzmy, że ja gram w drugiej lidze, a on w pierwszej. - Tu robi jakiś znaczek ołówkiem.

- Czyli Hector to pana szef?

- Tak też można powiedzieć.

Tak też można nie odpowiedzieć na pytanie.

Prawdę mówiąc, Perry musiał przyznać na podstawie dotychczas zgromadzonych dowodów, że Luke jest osobą, z którą nawet da się żyć. Może nie jakiś orzeł - jak sam przyznał, drugoligowiec. Trochę snob, trochę bufon, ale mimo to w porządku gość.

- Czy Hector słuchał, co mówiliśmy?

- Myślę, że tak.  
- A patrzył?  
- Czasem lepiej tylko słuchać. Jak słuchowiska w radio. - A po chwili: - Fantastyczna dziewczyna, ta pańska Gail. Długo jesteście razem?

- Pięć lat.  
- No, no.  
- Dlaczego no, no?  
- No, chyba zgodzę się z Dimą. Niech się pan szybko z nią ożeni.

Ten teren był zakazany i Perry zastanawiał się, czy by mu tego nie powiedzieć, ale potem mu wybaczył.

- Pan od dawna w tej pracy? - zapytał zamiast tego.  
- Mniej więcej od dwudziestu lat.  
- W kraju czy za granicą?  
- Głównie za granicą.  
- Czy to człowieka wypacza?  
- Co takiego?  
- Taka praca. Czy to nie rzuca się na mózg? Czy nie zauważa pan u siebie, jak by to powiedzieć, *déformation professionnelle*?  
- Chodzi panu o to, czy jestem psycholem?  
- Nie, nie aż tak drastycznie. Po prostu... Chciałem wiedzieć, jak to wpływa na człowieka na dłuższą metę.

Głowa Luke'a jest wciąż pochylona, ale ołówek przestał wędrować. W jego bezruchu jest jakieś wyzwanie.

- Na dłuższą metę? - powtórzył z wyszukaniem zadziwieniem. - Wydaje mi się, że na dłuższą metę to wszyscy umieramy.

- Mnie chodzi tylko o jedno. Co pan czuje, reprezentując kraj, który nie jest wypłacalny? - wyjaśnił Perry, orientując się zbyt późno, że mówi o czymś, na czym kompletnie się nie zna. - Czytałem gdzieś, że porządny wywiad to teraz nasz jedyny tytuł do zasiadania



za stołem z najlepszymi - brnął dalej. - A to przecież musi być straszny stres dla tych, którzy się tym zajmują, i tyle. To jak walka w za wysokiej klasie wagowej - dodał, czyniąc nieumyślną aluzję do nikłej postury Luke'a, której zaraz pożałował.

Ich niezręczną rozmowę przerwał odgłos powolnego powłóczenia nogami - jakby w domowych bamboszach - znad sufitu, a potem ta sama osoba rozpoczęła ostrożne zejście po schodach do sutereny. Jak na komendę Luke wstał, podszedł do kredensu, wyciągnął butelkę porządnej whisky, wodę mineralną i trzy szklanki, ustawił to wszystko na tacy i przeniósł na stół.

Kroki dotarły na dół schodów. Drzwi otwały się. Perry instynktownie wstał. Nastąpiły wzajemne oględziny. Byli obaj tego samego wzrostu, co dla obu było dość niezwykle. Hector mógłby być nawet wyższy, gdyby się nie garbił. Swym klasycznie szerokim czołem i długimi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu w dwie niesforne fale przypominał Perry'emu dziekana college'u, jednego z tych akademickich wariatów starej daty. Wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, ale ubierał się jak starzec w sfatygowaną brązową tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach i skórzanymi obszyciami na mankietach. Za to bezkształtne szare spodnie mogłyby równie dobrze pochodzić z garderoby Perry'ego, podobnie jak nie pierwszej młodości buty ze świńskiej skóry. Z kolei zwyczajne okulary w rogowej oprawie mogły być znalezione w pudle z rzeczami po ojcu, które Perry trzymał na strychu.

Wreszcie, po bardzo długim milczeniu, Hector przemówił:

- Zastrany Wilfred Owen - oznajmił głosem, który miał być równocześnie ożywiony i pełen szacunku. - Zastrany Edmund Blunden. Zastrany Siegfried Sassoon. Zastrany Robert Graves. *Et al*

- O co chodzi? - zapytał zdumiony Perry, nawet nie zdążywszy pomyśleć.

- Jak to, kurwa? O pana fantastyczny artykuł o nich wszystkich w *London Review of Books* zeszłej jesieni! „Poświęcenie dzielnych ludzi nie może usprawiedliwiać niesłusznej sprawy. P. Makepiece *scripsit*”. Cudownie powiedziane!

- Cóż, dziękuję panu - powiedział bezradnie Perry i poczuł się jak idiota, że wcześniej nie skojarzył.

Znów nastąpiło milczenie, podczas którego Hector kontynuował oględziny swej najnowszej zdobyczy.

- No, to ja teraz powiem panu, panie Perry Makepiece - oświadczył, jakby doszedł do wniosku, na który obaj czekali. - Powiem panu, że jest pan, kurwa, bohaterem - zamykając dłoń Perry'ego w sflaczałym uścisku obu dłoni i potrząsając nią niemrawo. - I nie mówię tego po to, żeby panu wchodzić w dupę. Wiemy, co pan o nas sądzi. Niektórzy z nas mają dokładnie to samo zdanie, i mamy rację. Sęk w tym, że innego wyjścia nie ma. Rząd to popaprańcy, połowa urzędników państwowych za cholerę niczego nie robi. Z Foreign Office pożytek taki, jak ze zmyślenia nocnej, państwo to bankrut, bankierzy zabierają nam kasę i pokazują palec. I co tu robić? Lecieć na skargę do mamusi, czy próbować temu zaradzić? - Nie czekał na odpowiedź Perry'ego. - Założę się, że srał pan krwią, zanim zdecydował się pan do nas przyjść. Ale pan przyszedł. Tylko symbolicznie. - Puścił już dłoń Perry'ego i zwracał się do Luke'a w sprawie whisky. - A dla pana Perry'ego minimalnie. Mnóstwo wody, a gorzały tylko tyle, żeby zdjął majtki. Będzie pan miał coś przeciw temu, że siądę tu, przy Luke'u, czy za bardzo zacznie to przypominać scenę z filmu? Pieprzyć tego Adama, nazywam się Meredith. Hector Meredith. Wczoraj rozmawialiśmy przez telefon. Mam mieszkanie w Knightsbridge, żonę i dwa bachory, ale już dorosłe. Poza tym szwedzki domek w Norfolk, pod jednym i drugim adresem jestem w książce telefonicznej. Luke, a ty kim jesteś, jak nie jesteś jakąś inną świnią?

- Naprawdę nazywam się Luke Weaver. Mieszkamy trochę za Gail na Parliament Hill. Ostatni przydział: Ameryka Środkowa. Jestem drugi raz żonaty, nasz wspólny syn właśnie dostał się do University College School w Hampstead, więc jesteśmy z żoną w skowronkach.

- A trudne pytania dopiero na koniec - zarządził Hector.

Luke nalał trzy mikroskopijne porcje. Perry szybko usiadł z powrotem i czekał. Pierwszoligowiec Hector siedział dokładnie naprzeciw, drugoligowiec Luke trochę z boku.

- No, to kurwa - powiedział radośnie Hector.

- Jak kurwa, to kurwa - zgodził się Perry, nieco zmieszany.

\*

Ale prawdę mówiąc, bojowy okrzyk Hectora nie mógł być bardziej na czasie i wpłynąć bardziej ożywczo na Perry'ego; jego entuzjastyczne pojawienie się nie mogło być lepiej zaplanowane. Zamknięty w czarnej dziurze powstałej po wymuszonym odejściu Gail - sam je wymógł, ale przecież były powody, mniejsza z tym, jakie - jego rozdarłe, podzielone serce poddawało się w tej chwili wyrzutom sumienia i złości na samego siebie.

Nie powinien był zgodzić się, żeby tu przyjść, z Gail czy bez Gail.

Powinien był wręczyć im swój tekst i powiedzieć im: „Proszę bardzo. Reszta należy do was. Jestem, więc nie szpieguję”.

Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie, że przez całą noc wydeptywał i tak już wydeptywany dywan w swojej oksfordzkiej kawalerce, rozważając krok, co do którego wiedział - choć wolał nie wiedzieć - że i tak go zrobi?

Albo że myślał o swym nieżyjącym ojcu, purytańskim pastorze, wolnomyślicielu i walecznym pacyfiście, który maszerował, pisał

i wykrzykiwał przeciwko całemu złu świata od zbrojeń jądrowych po wojnę w Iraku, za co nie raz i nie dwa lądował w policyjnej celi?

Albo o swym dziadku ze strony ojca, z zawodu skromnym murarzu, z przekonań socjaliście, który stracił nogę i oko, walcząc po stronie republikańskiej w wojnie domowej w Hiszpanii?

Albo o tym, że Siobhan, irlandzką dziewczę, rodzinny skarb Makepiece'ów przez dwadzieścia lat cztery godziny w tygodniu, została tak zastraszona, że zgodziła się dostarczać zawartość kosza na śmieci ojca Perry'ego ubranemu po cywilnemu policjantowi z komisariatu w Hertfordshire? Co położyło się tak ciężkim kamieniem na jej sumieniu, że któregoś dnia, zalewając się łzami, wyznała wszystko matce Perry'ego i już nigdy się u nich nie pojawiła?

Albo że niespełna miesiąc temu sam Perry ułożył całostronicowe płatne ogłoszenie do „Oxford Times”, podpisane przez pośpiesznie zgromadzoną i stworzoną przez siebie samego organizację o nazwie „Akademy Przeciwko Torturom”, nawołujące do działań przeciwko Tajnemu Rządowi Wielkiej Brytanii i jego podstępnyemu zamachowi na nasze ciężko wywalczone prawa człowieka?

Otóż dla Perry'ego to wszystko miało olbrzymie znaczenie.

I nadal miało, gdy nazajutrz po długich, nocnych wahaniach, z wciśniętym pod pachę uniwersyteckim segregatorem, zmusił się, by o ósmej rano ruszyć przez dziedziniec swego starożytnego oksfordzkiego college'u - który wkrótce miał porzucić na zawsze - i wspiąć się po przeżartych przez korniki, drewnianych schodach do pokoju Basila Flynna, doktora praw i dyrektora dydaktycznego, w dziesięć minut po umówieniu się z nim na krótką rozmowę w poufnej sprawie osobistej.

\*

Były między nimi tylko trzy lata różnicy, ale Flynn stał się już - według Perry'ego - typowym zaprzyjaźnionym członkiem rady wydziału.

- Jeszcze cię wcisnę, jeśli przyjdiesz zaraz - powiedział Flynn ważnym tonem. - Ale potem o dziewiątej mam zebranie rady wydziału, a to może potrwać. - Miał na sobie ciemny garnitur i czarne półbuty z wypolerowanymi sprzączkami, i tylko starannie wyszczotkowane, opadające na ramiona włosy odróżniały go od zwykłego urzędnika. Perry nie zastanawiał się specjalnie, jak rozpocznie rozmowę, więc pierwsze słowa - musiał teraz przyznać - były dobrane dość nieszczęśliwie:

- W zeszłym semestrze nagabywałeś jednego z moich studentów - wyrzucił z siebie, ledwie przekroczył próg.

- Co robiłem?

- Dicka Bensaona. To ten pół Egipcjanin, pół Anglik. Matka Egipcjanka, ojciec Anglik. Mówi po arabsku. Starał się o grant na badania, ale mu powiedziałaś, żeby lepiej pogadał z jakimiś twoimi znajomymi z Londynu. Nie do końca zrozumiał, o co chodzi. Poprosił mnie o radę.

- Która brzmiała...?

- Jeżeli ci znajomi z Londynu są tym, kim myślę, że są, to niech będzie ostrożny. Miałem ochotę powiedzieć mu, żeby nie zbliżał się do nich choćby na milę, ale nie uznałem tego za stosowne. W końcu to jego wybór, nie mój. Mam rację?

- Co do czego?

- Co do tego, że dla nich werbujesz. Że wyszukujesz talenty.

- Dla nich, czyli dokładnie dla kogo?

- Dla szpiegów. Dick Benson nie wiedział, o co chodzi, więc skąd ja miałem wiedzieć. Ja cię nie oskarżam, tylko pytam. Czy to prawda? Że masz takie kontakty? A może Benson zmyślał?

- Po coś tu przyszedł i czego chcesz?

W tej chwili Perry omal nie poszedł sobie. Potem żałował, że nie poszedł. Prawdę mówiąc, już nawet skierował się ku drzwiom, ale zatrzymał się i wrócił.

- Muszę skontaktować się z tymi twoimi znajomymi - powiedział, ściskając pod ręką szkarłatny segregator i oczekując na pytanie „dlaczego?”.

- Chcesz się przyłączyć? Wiem, że teraz przyjmują byle kogo, ale ciebie? Jezu!

Perry znów o mało nie skierował się do wyjścia. I znowu pożałował, że nie. Ale opanował się, wziął głęboki wdech i tym razem znalazł jakoś właściwe słowa:

- Przypadkowo natrafiłem na pewne informacje. - Długimi, niespokojnymi palcami stuknął w segregator, a jego pierścienie wydały brzęczący dźwięk. - Niechcący i wbrew własnej woli. - Chwilę zastanawiał się. - I są to informacje tajne.

- Kto tak twierdzi?

- Ja tak twierdzę.

- Dlaczego?

- Jeżeli to wszystko prawda, czyjeś życie może być zagrożone. Może nawet uda się kogoś uratować. To nie moja działka.

- Ani moja, na całe szczęście. Ja wyszukuję talenty, porywam dzieci z kołyski. Moi znajomi mają bardzo piękną stronę internetową. I jeszcze umieszczają kretyńskie reklamówki na własny temat w czasopiśmie. Ty też możesz skorzystać z jednego i drugiego sposobu.

- Moja sprawa jest na to zbyt pilna.

- Nie dość, że tajna, to jeszcze pilna?

- Jeżeli w ogóle coś, to właśnie pilna.

- Los narodu wisi na włosku? A to, co trzymasz pod pachą, to pewnie *Czerwona książeczka*?

- To zeznanie.

Przyglądali się sobie z niesmakiem.

- Ty chyba nie zamierzasz mi tego wręczyć, co?
- A właśnie, że zamierzam. Czemu nie?
- Chcesz obarczyć Flynn'a swymi tajnymi, pilnymi informacjami? Który naklei na nie znaczek pocztowy i wyśle do swoich znajomych w Londynie?
- Mniej więcej. Skąd mam wiedzieć, jak wy działacie?
- A ty tymczasem pójdziesz na poszukiwanie swojej nieśmiertelnej duszy?
- Co zrobię, to zrobię. Oni niech zrobią to, co zrobią. Co w tym złego?
- Wszystko. W tej zabawie, która wcale nie jest zabawą, posłaniec jest co najmniej tak samo ważny jak wiadomość, a czasem sam wystarczy za całą wiadomość. Gdzie się teraz wybierasz? To znaczy teraz, zaraz?
- Z powrotem do siebie.
- Masz komórkę?
- No pewnie, że mam, do diabła.
- To zapisz mi tu swój numer - podając mu kartkę papieru. - Niczego nie powierzam pamięci, to zbyt niebezpieczne. Mam nadzieję, że masz u siebie dobry zasięg? Ściany nie są za grube ani nic takiego?
- Zasięg mam bardzo dobry, dziękuję.
- Zabieraj swoją *Czerwoną książeczkę*. Wróć do siebie, zatelefonuj do ciebie ktoś, facet albo baba, kto przedstawi się jako Adam. Pan Adam albo pani Adam. Tylko przydałaby się jakaś zajawka.
- Co by się przydało?
- Coś, co ich podnieci. Przecież nie mogę powiedzieć tylko: „Trafił mi się jeden szampański socjalista, któremu się wydaje, że wykrył ogólnoswiatowy spisek”. Muszę im powiedzieć, czego spisek dotyczy.

Perry przełknął obelgę i wykonał pierwszą świadomą próbę zareklamowania swoich rewelacji.

- Powiedz im, że chodzi o nieuczciwego rosyjskiego bankiera, który nazywa się Dima - powiedział, gdy nie wiadomo dlaczego nie miał innych pomysłów. - Chce się z nimi dogadać. Dima to zdrobnienie od Dimitri, na wypadek, gdyby nie wiedzieli.

- Co ty nie powiesz - skomentował sarkastycznie Flynn, chwytając ołówek i zapisując coś na tej samej kartce.

Perry spędził u siebie zaledwie godzinę, gdy zadzwoniła jego komórka. Usłyszał ten sam szelmowski, nieco chrapliwy, męski głos, który teraz przemawiał do niego w pokoju w suterenie.

- Perry Makepiece? Cudownie. Nazywam się Adam. Właśnie dostałem wiadomość od pana. Pozwoli pan, że zadam panu parę szybkich pytań, po prostu żeby sprawdzić, czy nadajemy na tej samej fali? Nie trzeba wspominać imienia naszego wspólnego kumpla. Wystarczy, że się okaże, że to ten sam kumpel. Czy przypadkiem on nie jest żonaty?

- Jest.

- Z taką grubą blondyną? Taką trochę... bufetową?

- Brunetka. Chuda jak szczapa.

- A w jakich dokładnie okolicznościach natknął się pan na niego? Kiedy i gdzie?

- Na Antigui. Na korcie tenisowym.

- Kto wygrał?

- Ja.

- Cudownie. Teraz trzecie pytanko. Jak szybko może pan zjawić się w Londynie, na nasz koszt oczywiście, i jak szybko możemy dostać od pana to całe szemrane *dossier*?

- Od drzwi do drzwi pewnie w dwie godziny. Tam jest też taka mała paczuszka. Przykleiłem ją od środka.

- Mocno?

- Myślę, że tak.

- To niech pan sprawdzi. Na okładce proszę napisać wielkimi



czarnymi literami ADAM - ołówkiem chemicznym albo czymś takim, co nie zejdzie nawet w praniu. Potem proszę tym wymachiwać w recepcji, póki ktoś pana nie zauważy.

*Ołówek chemiczny?* Kto tak jeszcze mówi? Jakiś stary kawaler? I czy to o praniu to nie chytra aluzja do podejrzanych praktyk finansowych Dimy?

\*

Ożywiony bliską, na wyciągnięcie ręki obecnością rozpartego na krześle Hectora, Perry mówił szybko i z natężeniem, nie gdzieś w powietrze, gdzie zwykle chronią się wykładowcy, ale prosto w orłoką twarz Hectora; i nieco mniej bezpośrednio w stronę schludnego Luke'a, siedzącego na baczność u boku Hectora.

Gail nie było przy nim, by go powstrzymać, więc mógł spokojnie nawiązywać kontakt z tamtymi. Spowiadał się im tak, jak Dima spowiadał się jemu: mężczyzna mężczyźnie, twarzą w twarz. Wytwarzał między nimi synergie spowiedzi. Przytaczał całe partie dialogu z tą samą precyzją, z jaką cytował literaturę, wszystko jedno, dobrą czy złą, i nie musiał przerywać, by się poprawiać.

W przeciwieństwie do Gail, która niczego nie robiła równie chętnie, jak udawania cudzych głosów, on albo tego nie potrafił, albo nie pozwalała mu na to jakaś niemądra duma. Mimo to w pamięci wciąż rozbrzmiewał mu silny rosyjski akcent Dimy, a przed oczyma duszy wciąż widział spoconą twarz - tak blisko swojej, że gdyby zbliżyła się jeszcze bardziej, zderzyliby się czołami. Gdy opisywał tamtym dwóm całą scenę, ani na chwilę nie przestawał czuć przepojonego oparami wódki oddechu Dimy. Widział, jak Dima dolewa sobie do kieliszka, spoziera nań groźnie, po czym odrzuca głowę w tył i wypija jednym haustem. Zdawał sobie sprawę, że daje się wciągnąć

w niechciane poczucie wspólnoty: ową szybką i konieczną więź, jaka rodzi się w trudnych chwilach wspinaczki na skalnej ścianie.

- Ale, jak to się mówi, nie zalewał się w trupa? - podesunął Hector, upijając łyżeczkę whisky. - Powiedziałby pan raczej, że to było takie picie dla towarzystwa, tylko na wysokich obrotach?

Jak najbardziej, zgodził się Perry: żadnego bredzenia, bełkotu, nieartykułowanych dźwięków, pełna swoboda:

- Gdybyśmy następnego dnia grali w tenisa, założę się, że grałby tak samo jak zawsze. On ma wielki silnik, który chodzi na alkohol. Jest z tego dumny.

Perry mówił to tak, jakby sam był z tego dumny.

- Albo, parafrazując Mistrza - okazało się, że Hector również uwielbiał P.G. Wodehouse'a - „to gość, który już taki się urodził, że kilka pierwszych drinków po prostu mu się nie liczy”?

- „Z ust mi to wyjąłeś, Bertie” - przytaknął Perry wprost z kart Wodehouse'a, więc znalazł się i czas, by szybko się pośmiać. Dzielnie sekundował im drugoligowiec Luke, który poza tym od przybycia Hectora przyjął rolę milczącego współnika.

\*

- Czy będzie bardzo nie na miejscu, jeżeli wtrączę tu pytanko na temat Przczystej Gail? - odezwał się po chwili Hector. - Nie bardzo trudne. Średnio trudne.

Bardzo trudne, średnio trudne - Perry od razu miał się na baczności.

- Kiedy wy dwoje wróciliście z Antigui do Anglii... - zaczął Hector. - Na Gatwick, tak?

Rzeczywiście na Gatwick, potwierdził Perry.

- Rozstaliście się. Mam rację? Pani Gail odjechała do swoich prawniczych obowiązków i mieszkania w Primrose Hill, pan do siebie do Oksfordu, by tam stworzyć to literackie arcydzieło.

Dalej wszystko się zgadza, przyznał Perry.

- To czego w tym momencie postanowiliście się trzymać... Może ładniej będzie powiedzieć: jak się umówiliście... jeśli chodzi o dalsze kroki?

- Jakie kroki?

- No, w sumie to kroki prowadzące do nas.

Perry zawahał się, bo nie wiedział, do czego zmierza jego rozmówca.

- Raczej nie umawialiśmy się - odpowiedział ostrożnie - w żaden konkretny sposób. Gail zrobiła swoje, teraz ja miałem zrobić swoje.

- Całkiem niezależnie od siebie?

- Całkiem.

- Bez porozumiewania się?

- Porozumiewaliśmy się. Tylko nie na temat Dimów. - A to dlatego, że...?

- Ona nie słyszała tego, co ja usłyszałem w Trzech Kominach.

- Czyli ona wciąż jeszcze była w Arkadii?

- W sumie tak.

- I z tego, co pan wie, nadal tam jest. Tak długo, jak uda się panu ją tam utrzymać.

- Tak.

- Jest pan niezadowolony, że zaprosiliśmy ją na nasze dzisiejsze spotkanie?

- Powiedział pan, że musimy być oboje. Powiedziałem jej, że musimy być oboje. Zgodziła się przyjść ze mną - odpowiedział Perry z ciemniejącą z irytacji twarzą.

- Ale ona pewnie chciała z panem przyjść. Bo inaczej odmówiłaby. To kobieta o silnych przekonaniach. Nie uznaje ślepego posłuszeństwa.

- Nie, nie uznaje - zgodził się Perry i z ulgą przyjął promienny uśmiech Hectora.

\*

Perry opisuje maleńką izdebkę, do której Dima zabrał go na rozmowę: nazywał ją bocianim gniazdem, trzy metry na dwa, u szczytu okrętowych schodów wiodących z jednego z kątów jadalni; tandetna wieżyczka z drewna i szkła, zwieńczająca zwrócony ku zatoce półsześcian, gdzie wiatr od morza trząsał okiennicami i wył w szparach okien.

- To musiało być najgłośniejsze miejsce w całym domu. Pewnie dlatego je wybrał. Nie wierzę, żeby na całym świecie istniał mikrofon, który usłyszałby nas w tym hałasie. - A teraz zdumionym głosem kogoś, kto opowiada własny sen: - To był naprawdę gadatliwy dom. Trzy kominy i trzy wiatry. A my siedzimy w tej klitce głowa przy głowie.

Twarz Dimy była nie dalej niż o szerokość dłoni od mojej, powtarza, i przez stół pochyla się ku Hectorowi, jakby chciał pokazać, jak blisko.

- Przez całą wieczność siedzieliśmy tylko i patrzyliśmy na siebie. Myślę, że zaczynał w sobie wątpić. I we mnie. Wątpić, czy jednak ma to wszystko zrobić. Czy wybrał właściwego człowieka. A ja chciałem, żeby uwierzył, że tak. Czy to brzmi choć trochę sensownie?

Według Hectora najsensowniej w świecie.

- Usiłował przewyciężyć w myśli jakąś olbrzymią przeszkodę. Pewnie na tym właśnie polega spowiedź. W końcu wyrzucił z siebie pytanie, choć zabrzmiało bardziej jak rozkaz: „Wy szpion, profesor? Angielski szpion”? W pierwszej chwili myślałem wręcz, że to oskarżenie. Potem uświadomiłem sobie, że zakładał, czy nawet miał nadzieję, że to potwierdzą. Więc powiedziałem, że niestety nie, nie

jestem szpiegiem, nigdy nie byłem i nigdy nie będę. Jestem wykładowcą, niczym więcej. Ale to mu nie wystarczyło: „Dużo Anglików to szpiony. Lordowie, dżentelmeni, inteligenci. Ja wiem! Wy ludzie *fair play*. U was państwo prawa. U was dobre szpiony”.

Musiałem mu jeszcze raz tłumaczyć: nie, Dima, nie jestem, naprawdę nie jestem szpiegiem. Jestem twoim partnerem do tenisa i wykładowcą uniwersyteckim, który właśnie postanowił odmienić swoje życie. Powinienem być poczuć się urażony. Ale co to znaczy powinienem? Znalazłem się w nowym świecie.

- I założę się, że pan od razu połknął haczyk! - wtrąca Hector. - Wszystko bym dał, żeby znaleźć się na pana miejscu! Nawet zacząłbym grywać w tego zasranego tenisa!

To prawda. Połknąłem, potakuje Perry. A skryty w półmroku Dima to był fascynujący widok. I fascynujące było to, co mówił, przekrzykując wiatr.

\*

Pytanie Hectora - trudne, łatwe lub średnie - zostało postawione tak lekko i tak miło, że zabrzmiało jak pociecha:

- I przypuszczam, że mimo uzasadnionych wątpliwości co do nas przez chwilę żałował pan, że nie jest szpiegiem, prawda? - zasugerował.

Perry zmarszczył brwi, z zażenowaniem podrapał się w kędzierzawą głowę i nie miał gotowej odpowiedzi.

\*

- Wy znacie Guantánamo, profesor?

Owszem, Perry zna Guantánamo. Ma wrażenie, że przeciwko Guantánamo protestował już na każdy sposób, jaki mu przyszedł do głowy. Ale o co chodzi temu Dimie? Dlaczego Guantánamo ma

być nagle czymś *bardzo ważnym, bardzo pilnym i o zasadniczym znaczeniu dla Wielkiej Brytanii* - by zacytować kartkę, pokazaną im przez Tamarę?

- Wy znacie tajne loty, profesor? Które ci z CIA wynajęli, co by wozić terrorystów z Kabulu do Guantánamo?

Tak, Perry zna te tajne loty. Wpłacił całkiem spore pieniądze pewnej organizacji, która zamierza pozwać do sądu zamieszane w sprawę linie lotnicze za łamanie praw człowieka.

- A z Kuby do Kabulu w samolotach *niet* ładunku, okej? Wiecie dlaczego? Bo ani jeden zasrany terrorysta nie lata Guantánamo-Afganistan. Ale u mnie przyjaciele...

Słowo przyjaciele jakby go niepokoiło. Powtarza je, urywa, mruczy coś pod nosem po rosyjsku i bierze haust wódki, nim może mówić dalej.

- Ci moi przyjaciele pogadali z pilotami, dogadali się, tak tylko między sobą, tylko ten jeden raz, okej?

Okej. Tylko raz.

- Wy znacie, profesor, co oni wożą tymi pustymi lotami? Bez cła, franco statek, dostawa do klienta, Guantánamo-Kabul, gotówka z góry?

Nie, Perry nie potrafi wymyślić, co takiego można wozić z Guantánamo do Kabulu za gotówkę z góry.

- Homary, profesor! - I plaśnięcie dłoni o wielkie udo do wtóru wybuchowi opętańczego śmiechu. - Kilka tysięcy zasranych homarów z Meksykańskiej Zatoki! A kto kupi takie zasrane homary? Watażkowie w Afganistanie! A od watażków CIA kupi więźniów. A sprzeda im zasrane homary. Za gotówkę. A może jeszcze parę kilo heroiny dla strażników w Guantánamo. Najlepszej. 999. Nie byle co. Wy mi wiercie, profesor!

Czy Perry ma być wstrząśnięty? Stara się być. Czy to naprawdę usprawiedliwia zaciągnięcie go na chwiejną wieżyczkę, targaną przez wiatr? Raczej nie. I ma wrażenie, że Dima jest podobnego

zdania. A to opowiadanie to tylko wstęp do czegoś, co będzie potem.

- A wy znacie, co moi przyjaciele robią z tą gotówką, profesor?

Nie, Perry nie wie, co przyjaciele Dimy robią z dochodami z przemycania homarów z Zatoki Meksykańskiej afgańskim watażkom.

- Oni przynoszą gotówkę Dimie. A czemu? Bo Dimie ufają. Dużo, dużo ruskich firm ufa Dimie! I nie tylko ruskich! Duże, małe, *wsio rawno!* My bierzemy *wsio!* Ty powiedz swoim angielskim szpionom: u was brudne pieniądze? Dima wypierze, *no problem!* Wy chcecie oszczędzać, przechować? Do Dimy! Dima z dużo małych drózek zrobi jedną wielką drogę. Wy to powiedzcie waszym zasranym szpionom, profesor.

\*

- To jak pan wyczuwa na tym etapie, o co skurwielowi chodzi? - pyta Hector. - Poci się, przechwala, pije, żartuje.

Mówi panu, że jest bandziorem, że pierze brudne pieniądze, przechwala się, jakich to ma kumpli... A co tak naprawdę pan widzi i słyszy? Co dzieje się w nim w środku?

Perry zastanawia się nad tym pytaniem, jakby dostał je od promotora albo recenzenta, bo właśnie w ten sposób zaczyna postrzegać Hectora.

- Gniew? - sugeruje. - Skierowany przeciwko jeszcze nieokreślonej osobie lub osobom?

- Jeszcze, jeszcze - domaga się Hector.

- Desperacja. Też jeszcze nieokreślona.

- A może tak po bożemu: nienawiść? Piękne uczucie - podsuwa Hector.

- Tego też można się spodziewać prędzej czy później.

- Zemsta?

- Jak najbardziej, też się znajdzie - zgadza się Perry.  
- Wyrachowanie? Ambiwalencja? Zwierzęca chytryść? Proszę się skupie! - wypowiedziane jako żart, przyjęte na serio.

- Wszystkie z powyższych. Nie ma dwóch zdań.  
- A wstyd? Pogarda dla samego siebie? To nie?

Zaskoczony Perry zastanawia się, marszczy brwi, rozgląda dookoła.

- Owszem - przyznaje, cedząc słowa. - Owszem. Wstyd. Wstyd apostaty. Wstyd, że w ogóle ze mną rozmawia. Wstyd z własnej zdrady. Dlatego tak musiał się przechwalać.

- Widzi pan, jaki ze mnie jasnowidz? - zauważa z satysfakcją Hector. - Niech pan spyta, kogo pan chce.

Perry nie musi.

\*

Perry opisuje długie chwile milczenia, walczące ze sobą o lepsze grymasy na pogrążonej w półmroku, spoconej twarzy Dimy; jak nalewa sobie kolejną wódkę, wypija naraz, ociera twarz, uśmiecha się krzywo, patrzy wilkiem na Perry'ego, jakby kwestionował jego prawo do obecności, wyciąga rękę i chwyta go za kolano, by skupić na sobie jego uwagę przy kolejnym wyznaniu, potem puszcza i znowu całkiem o Perrym zapomina. I jak wreszcie, głosem pełnym najgłębszej podejrzliwości, zadaje chrapliwym pomrukiem pytanie, na które musi dostać jasną odpowiedź, zanim może być mowa o jakichkolwiek układach między nimi:

- Wy widzieli moją Nataszę?

Perry widział jego Nataszę.

- Piękna?

Perry nie ma najmniejszych kłopotów z zapewnieniem Dimy, że Natasza rzeczywiście jest bardzo piękna.



- Dziesięć, dwanaście książek w tydzień, dla niej to jak splunąć. Wszystko czyta. Jakby u was choć parę takich studentów, wy cieszylibyście się, że ha!

Perry mówi, że rzeczywiście bardzo by się cieszył.

- Konno jeździ, tańczy w balecie. A na nartach jeździ pięknie, jak jaki ptak. Wiecie wy co? Jej matka. Ona umarła. Ja ją kochał. Okej?

Perry wydaje z siebie współczujący dźwięk.

- Może być, ja za wiele bab pierdolił. Są tacy, którym trzeba dużo bab. A dobra baba chce być jedyna. Ty pierdolisz na lewo i prawo, ona od rozumu odchodzi. Żal.

Perry zgadza się, że żal.

- Panie Jezu, profesor! - Teraz pochyla się do przodu i kłuje Perry'ego w kolano palcem wskazującym. - Mama Nataszy, ja kochał tę babę, kochał tak, że bym pęknął, słyszycie? Jak tak się kocha, w środku ogień. Chuj, jaja, serce, mózg, dusza... Wszystko żyje tylko dla tego kochania. - Jeszcze raz przesuwa wierzchem dłoni po wargach, mruży: - Jak ta wasza Gail, piękna. - Wypija kolejny kieliszek i mówi dalej: - Jej mąż, sukinsyn, zabił ją - wyznaje. - Wiecie czemu?

Nie, Perry nie wie, dlaczego sukinsyn mąż matki Nataszy zabił matkę Nataszy, ale chętnie poczeka, żeby się dowiedzieć, podobnie jak chętnie poczeka, by się dowiedzieć, czy rzeczywiście znalazł się w domu wariatów.

- Natasza, ona moje dziecko. Kiedy matka Nataszy jemu powiedziała, bo nie umiała kłamać, sukinsyn ją zabił. Kiedyś ja może znajdę sukinsyna. I zabiję. Nie zastrzelę. Tymi rękami.

Unosi swe nieprawdopodobnie delikatne dłonie, by Perry je sobie obejrzał. Perry podziwia je, jak należy.

- Moja Natasza pójdzie do szkoły Eton, okej? Wy powiedzcie to tym waszym szpionom. Bo jak nie, to umowy *niet*.

Przez bardzo krótką chwilę, w wirującym wokół niego świetle, Perry wie, na czym stoi.

- Nie jestem do końca pewny, czy Eton już przyjmuje dziewczęta - mówi ostrożnie.
  - Dobrze zapłacę. Basen im kupię. *No problem.*
  - Mimo to nie sądzę, żeby dla niej zmienili regulamin.
  - To gdzie ma iść? - pyta rozdrażniony Dima, jakby to Perry robił mu wbrew, nie szkoła.
  - Jest Roedean. To zdaje się odpowiednik Eton dla dziewcząt.
  - Numer jeden w Anglii?
  - Tak się mówi.
  - Dzieci inteligencji? Lordów? Nomenklatury?
  - Powiedzmy, że to szkoła dla śmietanki społeczeństwa brytyjskiego.
  - Dużo kosztuje?
  - Bardzo dużo.
- Dima uspokaja się, ale tylko trochę.
- Okej - warczy. - Jak wy będziecie gadać z waszymi szpionami, to warunek numer jeden: szkoła Roedean.

\*

Hectorowi opada szczęka. Gapi się na Perry'ego, potem zerka na Luke'a, potem znów na Perry'ego. Z szczerym niedowierzaniem przesuwa dłonią po niesfornej siwej czuprynie.

- Ja pierdolę - mruczy. - To może od razu po stopniu oficerskim w Dworskiej Gwardii Konnej dla tych jego bliźniaków? Co mu pan powiedział?
- Obiecałem zrobić, co będzie w mojej mocy - odpowiada Perry i czuje, że tym samym staje po stronie Dimy. - Jemu się wydaje, że taka jest Anglia, którą kocha. A co miałem mu powiedzieć?
- Świetnie się pan spisał - entuzjazuje się Hector. A mały Luke potakuje, obaj używają słowa *świetnie*.

\*

- Wy pamiętacie Bombaj, profesor? Zeszłego roku, w listopadzie? Pakistańskie szajbusy wszystkich powystrzelali? Rozkazy przez komórki? Co całą kawiarnię rozwalili, nazabijali Żydów, zakładników, po hotelach i dworcach? Dzieci, kurwa, matki rozwalili? Jak to zrobili, szajbusy jedne, skurwysyny?

Perry nie ma żadnych sugestii.

- Mój dzieciak zatnie się w palec, mnie się rzygać chce - unosi się gniewem Dima. - Ja dość mam śmierci na całe życie, słyszycie? Po jaką cholere oni to zrobili, szajbusy jedne?

Niewierny Perry chciałby powiedzieć, że „na chwałę bożą”, ale nie mówi nic. Dima walczy z samym sobą, wreszcie rzuca:

- Okej. Wy to raz powiedzcie waszym zasranym szpionom, profesor - nalega, po raz kolejny tak agresywnie. - Październik dwa tysiące osiem. Zapamiętajcie tę datę, do cholery. Dzwoni do mnie przyjaciel. Okej, przyjaciel?

Okej. Jeszcze jeden *przyjaciel*.

- Pakistańczyk. Z firmy, z którą robię interesy. Trzydziesty październik, środek nocy, cholera, on do mnie dzwoni. Ja w Bernie, w Szwajcarii, spokojne miasto, kupa bankierów. Tamara śpi przy mnie, budzi się, podaje mi telefon, cholera: do ciebie. A to ten Pakistańczyk. Słyszycie?

Perry słyszy.

- „Dima”, on do mnie. „Tu twój przyjaciel Khalil”. A gówna prawda, bo on Mohamed. Khalil, to takie specjalne imię do takiego interesu, gotówkowego, chuj z tym. „Mam dla ciebie pewną informację, Dima. Bardzo dobrą informację. Bardzo specjalną. Wy pamiętajcie, że to ode mnie ją macie. Będziecie pamiętać, że ode mnie?” Okej, mówię. Pewno. Cholera, czwarta rano, on mi pieprzy o

giełdzie w Bombaju. No nic. Mówię mu, okej, pamiętamy, że ty, Khalil. U nas dobra pamięć. Nikt cię nie oszuka. Co za informacja?

„Dima, ty spierdalaj z indyjskich interesów, bo jak nie, to się przeziębisz”. „Co?”, mówię, „co, Khalil? Ty z *uma soszol*? A czemu mamy się przeziębic w Bombaju? U nas kupa dobrych interesów w Bombaju. Porządnych, czystych jak łąza interesów, pięć lat trwało, zanim wyczyściłem: usługi, czaj, drewno, hotele, takie białe i takie wielkie, że sam papież skurwysyn mszę mógłby tam odprawiać”. A mój przyjaciel nie słucha. „Dima, wierz mi, spierdalaj z Bombaju. A za jaki miesiąc ty znowu będziesz miał silną pozycję, parę milionów zarobisz. Ale najpierw spierdalaj z tych hoteli”.

Przez twarz Dimy znów przesuwają się jego pięści, jakby chciał jednym uderzeniem pozbyć się potu. Szepcze do siebie kolejne „Panie Jezus” i rozgląda się po izdebce, jakby szukał pomocy.

- Wy to powiecie waszym angielskim aparatczykom, profesor? Perry zrobi, co się da.

- W noc trzydziestego października dwa tysiące osiem, jak mnie ten pakistański gnojek zbudził, ja za dobrze nie spałem, okej?

Okej.

- Rano, trzydziestego pierwszego, ja dzwonię do moich szwajcarskich banków. „Wysprzedać mi Bombaj, kurwa”. Usługi, drewno, herbatę. Nie wiem, trzydzieści procent ceny. Za hotele siedemdziesiąt. Parę tygodni później, ja w Rzymie, dzwoni Tamara. „Ty telewizor włącz, *durak*”. I co ja widzę? Pakistańskie szajbusy strzelają po całym Bombaju, indyjska giełda zawiesza się. Następnego dnia Indian Hotels spadły o szesnaście procent, do czterdziestu rupii, i dalej lecą w dół. W marcu tego roku doszły do trzydziestu jeden. Dzwoni Khalil: „Okej, przyjacielu, to ty teraz kupuj, ale już. I pamiętaj, kto ci dał cynk”. Tak ja kupuję. - Pot ścieka strumieniami po łysinie. - Na

koniec roku Indian Hotels są na stu rupiach. Dwadzieścia milionów zysku na czysto. Żydzi nie żyją, zakładnicy nie żyją, ja geniusz, kurwa. Wy to powiedzcie waszym angielskim szpionom, profesor. Panie Jezu.

Spocona twarz to teraz maska obrzydzenia do samego siebie. Skrzywienie spróchniałych okiennic na morskim wietrze. Dima powiedział już tyle, że nie ma powrotu. Perry został poobserwowany, sprawdzony i zaaprobowany.

\*

Myjąc ręce w ślicznie urządzonej łazieneczce na górze, Perry patrzy w lustro i jest pod wrażeniem szczerego zapału na twarzy, której zaczyna nie poznawać. Szybko wraca na dół po wyłożonych grubym chodnikiem schodach.

- Jeszcze troszeczkę? - pyta Hector, niedbałym ruchem wskazując tacę z napojami. - Luke, kochany, a może by się nam kawa przydała?

## 7.

Jezdnią nad suteroną przejeżdża ambulans, wycie jego syreny jakby chciało wyrazić ból całego świata.

W smaganej wiatrem półośmiobocznej wieżyczce Dima podwija lewy rękaw jedwabnej koszuli. W ukazującej wszystko inaczej księżycowej poświacie, która zastąpiła nieobecne już słońce, Perry dostrzega madonnę z nagą piersią, otoczoną przez ponętne anielice w sugestywnych pozach. Tatuaz rozciąga się od potężnego ramienia Dimy po złotą bransoletę zdobnego w kamienie szlachetne roleksa.

- Wy chcecie wiedzieć, kto mi to zrobił, profesor? - szepcze głosem schrapliwiałym z emocji. - Godzinę dziennie przez sześć zasranych miesięcy?

Tak, Perry chce wiedzieć, kto wytatuował madonnę w toplesie w otoczeniu chóru anielic na potężnym ramieniu Dimy, i komu zajęło to sześć miesięcy. Chce wiedzieć, co ma Matka Boska do starań Dimy o miejsce w Roedean dla Nataszy albo o karty stałego pobytu w Wielkiej Brytanii dla całej rodziny w zamian za ważne informacje, ale jest też literaturoznawcą, więc nie może nie zauważyć, że opowieść Dimy ma specyficzną strukturę narracyjną i rozwija się w sposób wielokierunkowy.

- Moja Rufina mi to zrobiła. Ona była *zek*, jak ja. Dziwka w gułagu, gruźliczka. Godzinę dziennie. A jak skończyła, tak umarła. Chryste Panie, co? Chryste Panie.

W pełnej szacunku ciszy obaj panowie kontemplują arcydzieło Rufiny.

- Wy wiecie, co to Kołyma, profesor? - pyta Dima równie chrapliwie. - Wy słyszeli?

Tak, Perry wie, co to Kołyma. Przecież czytał Sołżenicyna. Przecież czytał Szałamowa. Wie, że Kołyma to rzeka za kołem polarnym, od której wzięły nazwę najgorsze - przed i po Stalinie - obozy Archipelagu Gulag. I wie też, co to *zek*: to rosyjski więzień, jeden z milionów.

- Mnie było czternaście lat, ja był już *zek* w Kołymie. Kryminalny, nie polityczny. Polityczny gówno. Kryminalny czysty. Ja tam był piętnaście lat.

- Piętnaście lat w Kołymie?

- A jak, profesor. Garowałem piętnaście.

Żał w jego głosie ustępuje dumie.

- Inni tam szanowali kryminalnego Dimę. Za co ja był w Kołymie? Ja morderca. Dobry morderca. Kogo zamordował? Zasranego sowieckiego aparaczyka w Permie. Mój ojciec zabił się. Miał dość, dużo pił. Matka, co by dać nam jeść, co by nas myć, musiała jebać się z aparaczykiem. W Permie mieszkaliśmy we wspólnym mieszkaniu. Osiem parszywych pokoi, trzydzieści ludzi, jedna parszywa kuchnia, jeden sracz na dworze, wszyscy śmierdzieli, wszyscy palili. Dzieci nie lubiły zasranego aparaczyka, co jebał ich matkę. Musieli iść do kuchni, tam cienkie ściany, jak aparaczyk przychodził, przynosił jedzenie, jebał matkę. Wszyscy nas wytykali: słyszycie, co wasza matka tam robi, to dziwka. Uszy zatykaliśmy, cholera. Wy wiecie co, profesor?

Perry wie.

- Ten aparaczyk, wy wiecie, skąd on miał jedzenie?

Perry nie wie.

- Bo on był, kurwa, oficer zaopatrzenia! Od jedzenia w koszarach. Miał nagana. Ładna broń, skórzana kabura, wielki *gieroj*. Wy próbowali jebać z pasem z bronią na dupie? Trzeba by akrobatą być. Tak ten oficer zaopatrzenia, ten aparaczyk, zdejmował

buty, zdejmował ładną broń, kładł w but. Ja pomyślał raz: okej, może tobie już dość jebania mojej matki. Może ty już jej więcej jebać nie będziesz. Może już nikomu nie patrzeć na nas jak na skurwysyny. Ja zapukał do drzwi, otworzył, ale grzecznie. „Wybaczcie”, mówię, „To ja, Dima. Wybaczcie, towarzyszu zaszary aparatczyk. Pozwolicie pożyczyć waszą ładną broń? Łaskawie popatrzcie jak raz w moją twarz. Wy nie popatrzycie, jak ja was zabiję? Dziękuję bardzo, towarzyszu”. Matka patrzy, nic nie mówi. Aparatczyk patrzy. Zabiłem skurwiela. Jednym strzałem.

Wskazujący palec Dimy spoczywa u nasady jego nosa, pokazując, którądy weszła kula. Perry przypomina sobie, że ten sam palec spoczął na nosach jego synów w trakcie meczu tenisowego.

- Czemu ja zamordował tego aparatczyka? - pyta retorycznie Dima. - Za moją matkę, co wszystko robiła dla dzieci. Za ojca, co się zabił, a ja go kochał. Za Rosję. Za to wszystko ja zabił skurwiela. A może po to, co by tak na nas nie patrzyli w korytarzu. Dlatego w Kołymie ja ważny więzień. Ja *krutoj* - swój chłop, żadnych problemów, czysty. Ja nie polityczny. Ja kryminalny. Ja *gieroj*, ja *bojec*. Ja zabił armijnego aparatczyka, może nawet czekistę. Bo czemu mi dali piętnaście? U mnie *honor*. Ja nie...

\*

Doszedłszy do tego punktu opowieści, Perry zawahał się, a jego głos brzmiał teraz mniej pewnie:

- Ja nie dzięcioł. Ja nie pies, profesor - powiedział nieśmiało.  
- Chodzi mu o to, że nie donosił - wyjaśnił Hector. - Dzięcioł, pies, kura, wszystko jedno. Znaczą to samo: donosiciel. Usiłuje pana przekonać, że nim nie jest, kiedy jest.

Perry pochylił głowę przed wiedzą Hectora i mówił dalej.



\*

- W jeden dzień trzeciego roku zuch chłopak Dima zostanie mężczyzną. Jak zostanie mężczyzną? Mój przyjaciel Nikita zrobi mnie mężczyzną. Kto Nikita? Nikita też honorowy, też *bojec*, wielki kryminalny. On będzie ojciec dla tego zucha Dimy. On będzie mu brat. On będzie Dimę chronił. On będzie Dimę kochał. To będzie czysta miłość. Jednego dnia, to bardzo dobry dzień dla mnie, Nikita przyprowadził mnie do tych, co się nazywają *wory*. Wy znacie, co to takiego *wory*, profesor? Wie znacie, co to *wor*?

Owszem, Perry wie nawet, co to *wory*. Wie, co to *wor*. Czytał Sołżenicyna, czytał Szalamowa. Czytał, że w gułagach *wory* to arbitrzy i stróże sprawiedliwości, bractwo honorowych przestępców, którzy przysięgli postępować zgodnie z surowym kodeksem zachowania, wyrzec się małżeństwa, własności prywatnej i posłuszeństwa organom państwa; że *wory* wielce poważają kapłaństwo i kierują się podobnym mistycyzmem; i że *wor* to liczba pojedyncza od liczby mnogiej *wory*. I że *wory* szczytą się tym, że są zakonem przestępców, arystokracją niemającą nic wspólnego z ulicznym motłochem, który nie wie, co to prawdziwe prawo.

- Mój Nikita przemówił przed wielkim *worskim* komitetem. Na zebraniu wielu wielkich przestępców, wielu dobrych *bojcow*. Powiedział *worom*: „Bracia drodzy, oto Dima. Dima gotów, bracia. Przyjmijcie go”. Tak przyjęli Dimę, zrobili z niego mężczyznę. Zrobili z niego przestępcę z honorem. Ale Nikita nadal musi chronić Dimę. Dlatego, że Dima jest jego...

Gdy Dima, przestępca z honorem, szuka *le mot juste*, Perry, oksfordzki wykładowca na wylocie, przychodzi mu z pomocą:

- Uczniem?

- Uczniem! Tak, profesor! Jak u Jezusa! Nikita będzie chronił swojego ucznia Dimę. To normalne. Takie *worskie* prawo. Zawsze będzie go chronił. Taka przysięga. Nikita zrobił ze mnie *worra*. I tak mnie chronił. Aż umarł.

Dima przytyka chustkę do tysego czoła, potem przeciąga przegubem dłoni po oczach i wreszcie ściska nozdrza palcem i kciukiem jak wynurzający się z wody pływak. A gdy ręka opada, Perry widzi, że Dima oplakuje śmierć Nikity.

\*

Hector zarządził przerwę. Luke zrobił kawę. Perry przyjmuje filiżankę, a do tego czekoladkę na lepsze trawienie. Tkwiący w nim wykładowca rozruszał się na dobre, panuje nad faktami i spostrzeżeniami, przedstawia je z całą dokładnością i precyzją, na jaką go stać. Tylko że nic nie potrafi ugasić do końca isierki podniecenia w oczach ani rumieńca na chudych policzkach.

I być może, że tkwiący w nim autoredaktor zdaje sobie z tego sprawę i niepokoi się tym. I właśnie dlatego decyduje się na styl narracji staccato, niemal obojętny, bardziej licujący z pedagogiczną obiektywnością niż z żądzą przygód:

- Nikita złapał tyfus. Był środek zimy. Minus sześćdziesiąt stopni Celsjusza, albo coś takiego. Umierało wielu więźniów. Strażnicy mieli to gdzieś. Szpitale tam nie są od leczenia, tylko od umierania. Nikita był twardy, umierał długo. Dima opiekował się nim. Zaczął opuszczać się w pracy, zarobił karcer. Za każdym razem, jak go wypuszczali, wracał do Nikity do szpitala, póki znów go stamtąd nie wyciągnęli. Bicie, kara głodu, ciemnica, przykucie do ściany na mrozie. To wszystko, co wy zlecacie do zrobienia w mniej wybrednych krajach i potem udajecie, że nikt o niczym nie wie - dodaje w nagłym przypiływie na wpół żartobliwej wojowniczości, która jednak

nie robi żadnego wrażenia. - A kiedy on pielęgnował Nikitę, *wory* zgodziły się, by Dima wprowadził do Bractwa własnego protegowanego. To na pewno była bardzo uroczysta chwila: umierający Nikita wyznaczał następcę za pośrednictwem Dimy. Takie przekazanie pałeczki przez trzy pokolenia przestępców. Protegowanym Dimy, jego uczniem, bo tak lubił o nim mówić, zdaje się, że niestety dzięki mnie, był niejaki Michał, czyli Misza.

I Perry odtwarza dla nich tę chwilę:

- „Misza człowiek honorowy, jak ja!”. Ja im tak mówię. - Dima wygłasza tę mowę przed wysoką komisją wtajemniczonych. - „Kryminalny, nie polityczny. Misza kocha prawdziwą Matuszkę Rosję, nie Związek Radziecki. Misza szanuje wszystkie kobiety. On silny, on czysty, on nie dzięcioł, nie pies, nie wojskowy, nie strażnik, nie KGB. Nie milicjant. On zabijał milicjantów. I pogardza aparaczkami. Misza mój syn, a wasz brat. Przyjmijcie Dimowego syna na *worskiego* brata!”.

\*

Perry ani na chwilę nie wychodzi z trybu wykładowego. To należy zapisać, drodzy państwo. To, co państwu teraz odczytam, to skrócona wersja autobiografii Dimy, opowiedziana mi przez niego w wieżycze obserwacyjnej domu zwanego Trzy Kominy między jednym a drugim haustem wódki:

- Kiedy tylko zwolniono go z Kołymy, pośpieszył do siebie, do Permu i zdążył w sam raz, by pochować matkę. Początek lat osiemdziesiątych to były złote lata dla przestępców. Takie szybkie życie było krótkie i niebezpieczne, ale opłacalne. Dzięki nieskazitelnej opinii Dima został przyjęty przez miejscowych *worów* z otwartymi rękami. Przekonawszy się, że ma naturalny dar do liczb, szybko zajął się nielegalnym handlem walutą, oszustwami ubezpieczeniowymi

i przemysłem. Szybkie rozszerzanie się pola działalności sprawiło, że zaczął robić interesy w NRD: specjalizował się w kradzieży samochodów, produkcji fałszywych paszportów i waluciarstwie. Przy okazji osiągnął w języku niemieckim biegłość w mowie. Kobiety bierze, jak się nawiną, ale jego stałą partnerką jest Tamara, mieszkanka Permu, handlująca na czarnym rynku takimi rzadkimi towarami jak odzież damska i podstawowe artykuły spożywcze. Z pomocą Dimy i paru innych współników dorabia też na boku wymuszeniami, porwaniami i szantażem. To sprowadza na nią konflikt z konkurencją, która najpierw więzi ją i torturuje, potem wrabia i przekazuje milicji, która jeszcze trochę bardziej ją torturuje. Dima tak wyjaśnia problem Tamary: „Nigdy nikogo nie wydała, słyszycie, profesor? Dobra z niej kryminalna, lepsza niż męczyzna. Wsadzili ją do celi nacisku. Wy znacie, co to taka cela? Powiesili ją do góry nogami, gwałcili dziesięć, dwadzieścia razy, zbili jak psa, a ona ani słowa. Mówi im, idźcie się jebać. Tamara, ona bojec, nie suka”.

Perry znów nieśmiało wypowiada to słowo, i znów Hector spokojnie przychodzi mu z pomocą:

- Suka to nawet coś jeszcze gorszego niż pies czy dzieciół. Suka zdradza podziemny kodeks. Dima ma w tym momencie niezłe wyrzuty sumienia.

- To może dlatego zająknął się na tym słowie - podsunął Perry, na co Hector, że może rzeczywiście.

Perry znów w roli Dimy:

- Raz milicja tak już miała jej dość, że rozebrali ją do rosołu i zostawili w śniegu, kurwa. A ona dalej nic, słyszycie? Trochę jej odbiło, okej? Gada z Bogiem, kupuje mnóstwo ikon. Zakupuje pieńiądze w ogrodzie, nie może ich znaleźć, to i co z tego? Ta baba wierna, słyszycie? Nigdy jej nie zostawię. Matkę Nataszy ja kochał. Ale Tamary nigdy nie zostawię, słyszycie?

Perry słyszy.

Kiedy tylko Dima zaczyna zarabiać duże pieniądze, wysyła Tamarę do kliniki w Szwajcarii na odpoczynek i rehabilitację, po czym się z nią żeni. Nie mija rok, rodzą się bliźniaki. Zaraz po tym weselu odbywają się zaręczyny sensacyjnie pięknej, znacznie młodszej siostry Tamary, Olgi, pierwszorzędnej prostytutki z wielkim wzięciem wśród *worów*. A szczęśliwym oblubieńcem jest nie kto inny, tylko ukochany uczeń Dimy, Misza, który teraz też wrócił z Kołymy.

- Małżeństwo Olgi z Miszą przypieczętowało sprawę - oświadczył Perry. - Od tej pory Dima i Misza stali się prawdziwymi braćmi. Misza był już synem Dimy zgodnie z *worskim* prawem, ale małżeństwo czyniło z nich najbliższych krewnych. Dzieci Dimy będą odtąd dziećmi Miszy, dzieci Miszy dziećmi Dimy - powiedział Perry i rozparł się na krześle, jakby skończył wykład i czekał na pytania z sali.

Ale Hector, który od jakiegoś czasu z rozbawieniem obserwował chowanie się Perry'ego w akademicką skórę, wolał zareagować charakterystycznym dla niego, suchym komentarzem:

- No i dziwna sprawa z tymi *worami*, nie uważa pan? To wyrzekają się małżeństwa, polityki, państwa i tak dalej, to znów maszerują przed ołtarz do wtóru weselnych dzwonów. Niech się pan jeszcze napije, ale tylko kropelkę. Wody?

Chwilowe zamieszanie z butelką i dzbankiem wody.

- I to właśnie oni, prawda? - zapytał niepotrzebnie Perry, popijając swoją bardzo słabą whisky. - Ci wszyscy dziwaczni kuzyni i wujowie na Antigui. Przestępcy z Bractwa, którzy przyjechali złożyć wyrazy współczucia z powodu Miszy i Olgi.

\*

Perry znów w swoim trybie wykładowym. Perry bada kapsułę czasu, nic więcej go nie interesuje:

Perm już nie wystarcza Dimie ani Bractwu. Prowadzą coraz większe interesy. Syndykaty zbrodni łączą się w alianse. Trwają układy z zagranicznymi mafiami. Co najlepsze, Dima, kołymska *bête intellectuelle*, człowiek kompletnie bez wykształcenia, odkrył w sobie naturalny talent do prania pieniędzy pochodzących z działalności kryminalnej. Kiedy bractwo Dimy decyduje się otworzyć filię w Ameryce, to właśnie Dima jedzie do Nowego Jorku, by założyć łańcuszek pralni brudnych pieniędzy z siedzibą w Brighton Beach. Bierze ze sobą Miszę jako ochroniarza. Kiedy bractwo postanawia pracować pieniądze również w Europie, stanowisko to też przypada Dimie. Dima uzależnia jego przyjęcie od tego, czyjego zastępcą, tym razem w Rzymie, będzie Misza. Prośba zostaje uwzględniona. Teraz Dimowie i Miszowie są naprawdę jedną rodziną: pracują razem, razem się bawią, wymieniają się domami, odwiedzają się, podziwiają nawzajem swoje dzieci.

Perry pociąga jeszcze jeden łyżeczek whisky.

- Tak było w czasach starego Księcia - mówi Perry niemal z nostalgią. - Dla Dimy był to złoty wiek. Stary Książę był prawdziwym *worem*. Wszystko, co robił, było dobre.

- A nowy Książę? - pyta prowokacyjnie Hector. - Ten młody? Wiadomo coś na jego temat?

Perry'emu nie podoba się ten żart.

- Dobrze pan wie, że wiadomo - warczy. I dodaje: - Nowy, młody Książę to suczysko nad suczyska. Zdrajca nad zdrajcami. Jest Księciem, który wydaje *wory* państwu, najgorsza rzecz, jaką może uczynić *wor*. Zniszczyć kogoś takiego to dla Dimy obowiązek, nie zbrodnia.

\*

- Wy lubicie te dzieciaczki, profesor? - pyta Dima myśląco obojętnym

tonem, odrzucając głowę do tyłu i udając, że przygląda się odłączającemu tynkowi na suficie. - Katię? Irinę? Lubicie?

- Oczywiście. Są przemiłe.

- Gail, ona też je lubi?

- Wie pan, że tak. Bardzo jej ich żal.

- Co one mówiły jej, jak zginął ich ojciec?

- Że w wypadku. Dziesięć dni temu. Pod Moskwą. Straszna tragedia. Równocześnie i ojciec, i matka.

- Pewnie. Tragiczny wypadek samochodowy. Bardzo zwykły wypadek. Bardzo normalny. U nas w Rosji dużo takich wypadków. Czterech ludzi, cztery kałachy, jakieś sześćdziesiąt kul, *normalno*. Ot, wypadek samochodowy, profesor. Dwadzieścia, może trzydzieści kul na ciało. Mój Misza, mój uczeń, zuch, czterdzieści lat. Dima przyprowadził go do *worów*, zrobił z niego mężczyznę.

Nagły wybuch wściekłości:

- To czemu ja nie ochronił mojego Miszy? Czemu ja puścił go jechać do Moskwy? Pozwolił zabić go skurwielom od tego suczego Księcia, dwadzieścia, trzydzieści kul? Zabić Olgę, piękną siostrę mojej żony, Tamary, matkę córeczek Miszy? Czemu ja go nie chronił? Wy profesor! Wy powiedzcie mi, czemu ja nie ochronił mojego Miszy?

Nieziemska moc jego słów brała się nie z siły głosu, lecz z wściekłości, ale kameleonowa natura Dimy pozwala mu zastąpić tę wściekłość słowiańską, refleksyjną rezygnacją:

- Okej. Może Tamary siostra, Olga, nie taka pobożna - mówi, przyznając rację niewypowiedzianej uwadze Perry'ego. - Ja mówił Miszy: „Może ta twoja Olga ciągle za bardzo patrzy się na innych facetów, ma piękną dupę. Może ty już nie goń na lewo i prawo, Misza, zostań w domu, jak teraz ja, popilnuj jej trochę”. - Głos znów cichnie do szeptu: - Trzydzieści jebanych kul, profesor. Ta suka Książę zapłaci mi kiedyś za trzydzieści kul w moim Miszy.

\*

Perry umilkł. Zupełnie jakby gdzieś daleko rozległ się już dzwonek na koniec zajęć, a on poniewczasie sobie o tym przypomniał. Przez chwilę wydawało się, że dziwi się swą obecnością przy stole. A potem wzdrygnął się całym swym długim, kanciastym ciałem i powrócił do terażniejszości.

- No i to właściwie byłoby na tyle - powiedział tonem podsumowania. - Dima schował się na chwilę w sobie, ocknął się, nie wiedział, co ja przy nim robię, miał mi to za złe, potem uznał, że jestem swój chłop, potem znowu o mnie zapomniał, ukrył twarz w dłoniach i mamrotał do siebie po rosyjsku. Potem wstał, pomacał się po kieszeniach jedwabnej koszuli i wyciągnął tę paczuszkę, którą dołączyłem do tekstu - mówił dalej Perry. - Wręczył mi ją, uściskał mnie. To była wzruszająca chwila.

- Dla was obu.

- Na różny sposób, ale tak. Myślę, że tak.

Nagle sprawia wrażenie, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się przy Gail.

- A z paczuszką nie były związane żadne instrukcje? - zapytał Hector, podczas gdy siedzący obok drugoligowiec Luke uśmiechał się do siebie nad równo złożonymi łapkami.

- Pewnie. „Wy zabierzcie to dla waszych aparatczyków, profesor. Prezent od numer jeden światowego specjalisty od prania brudnych pieniędzy. Powiedzcie im, ja chcę *fair play*”. Dokładnie tak, jak napisałem w tekście.

- A wie pan, co to jest?

- Właściwie to tylko się domyślam. Było zawinięte w watę, potem w taśmę samoprzylepną. Jak widać. Uznałem, że to kasetka magnetofonowa z jakiejś elektronicznej niani czy czegoś takiego. Przy najmniej tak mi to wyglądało.

Hector nie dawał się przekonać.



- I nie próbował pan tego otwierać?
- Broń Boże. To było do was. Ja sprawdziłem tylko, czy jest dobrze przyklejone od wewnętrznej strony oprawy *dossier*.

Hector pokiwał głową w roztargnieniu, powoli przerzucając strony tekstu Perry'ego.

- Trzymał to pod koszulą - mówił dalej Perry, najwyraźniej starając się nie dopuścić do dłuższego milczenia.

- Zaraz pomyślałem o Kołymie. O tych wszystkich sztuczkach, które musieli robić. O ukrywaniu listów i tak dalej. Było mokre od potu. Musiałem to wytrzeć ręcznikiem, kiedy wróciliśmy do domku.

- I nie otwierał pan?
- Już mówiłem, że nie. Po co? Nie mam w zwyczaju czytania cudzej korespondencji. Albo słuchania.

- Nawet przed kontrolą na Gatwick?
- Bezwzględnie nie.
- Ale macał pan.
- No pewnie. Przecież mówiłem. O co chodzi? Macałem przez folię. I przez watę. Kiedy mi to dał.

- I jak już panu to dał, to co pan z tym zrobił?
- Schowałem w bezpieczne miejsce.
- Czyli gdzie?
- Słucham?
- To bezpieczne miejsce. Gdzie?
- W mojej kosmetyczce. Jak tylko wróciłem do domku, poszedłem prosto do łazienki i schowałem.
- Tak jakby przy własnej szczoteczce do zębów?
- Tak jakby.

Znów długie milczenie. Czy im dłużyło się ono tak bardzo jak jemu? Perry obawiał się, że wcale nie.

- Dlaczego? - zapytał wreszcie Hector.
- Co dlaczego?
- Dlaczego do kosmetyczki? - odparł cierpliwie Hector.

- Pomyślałem, że tam będzie najbezpieczniej.
- W razie kontroli na Gatwick?
- Tak.
- Pomyślał pan, że wszyscy chowają tam swoje kasety?
- Pomyślałem, i już - wzruszył ramionami.
- Że w kosmetyczce nie będzie się rzucać w oczy?
- Mniej więcej.
- A Gail wiedziała?
- Co? Ależ skąd! Nie.
- Mam nadzieję. Nagranie jest po rosyjsku czy po angielsku?
- A skąd mam wiedzieć? Przecież go nie słuchałem.
- Dima panu nie powiedział po jakimu?
- Nie powiedział nic więcej, poza tym, co przekazałem. Zdrówko.

Pociągnął ostatni łyk swojej bardzo rozcieńczonej whisky, po czym z rozmachem postawił szklankę na stole na znak, że temat uważa za wyczerpany. Ale Hector nie podzielał jego zdania, wręcz przeciwnie. Przerzucił do tyłu jedną stronę tekstu Perry'ego. Potem parę stron w przód.

- Czyli właściwie po co? - drążył.
- Co po co?
- Po co pan to zrobił? Po co przemycił pan przez brytyjską kontrolę celną podejrzaną przesyłkę od rosyjskiego bandyty? Czemu po prostu nie wrzucił pan jej do Morza Karaibskiego i nie dał sobie z tym spokoju?

- Dla mnie to raczej oczywiste.
- Dla mnie tak. Ale w życiu bym nie przypuścił, że dla pana też.

Co w tym takiego oczywistego?

Perry robił, co mógł, ale nie umiał znaleźć odpowiedzi na tak postawione pytanie.

- No to może: przemycił pan tę przesyłkę, bo była? - zaproponował Hector. - Podobno dlatego ludzie wspinają się na góry. Bo są.
- Podobno.

- Głupie pierdoły, prawdę mówiąc. Dlatego się wspinają, że oni tam są. To nie wina głupiej góry, tylko wspinaczy. Zgoda?

- Chyba tak.

- To im się marzą dalekie szczyty. Góra ma to w dupie.

- No tak, chyba rzeczywiście. - Nieprzekonujący uśmieszek.

- Czy Dima w ogóle omawiał pana bezpośredni udział w tych negocjacjach, jeżeli do nich dojdzie? - zapytał Hector po chwili, która dla Perry'ego ciągnęła się przez wieczność.

- Trochę.

- W jakim sensie: trochę?

- Chciał, żebym był przy nich obecny.

- A po co?

- Zdaje się, po to, by dopilnować *fair play*.

- Czyjej, kurwa, *fair play*?

- No, niestety waszej - powiedział z ociąganiem Perry. - Chciał, żebym dopilnował, że dotrzymacie słowa. Zapewne zauważył pan, że ma awersję do aparaczyków. Chce was podziwiać, bo jesteście angielskimi dżentelmenami, ale wam nie wierzy, bo dla niego jesteście aparaczkami.

- A pan też tak uważa? - Patrząc na Perry'ego swymi za dużymi, szarymi oczyma. - Że jesteśmy aparaczkami?

- W sumie tak - znów przyznał Perry.

Hector zwrócił się do Luke'a, który wciąż siedział sztywno u jego boku.

- Luke, stary, ty chyba masz jakieś spotkanie. Nie będziemy cię zatrzymywać.

- Jasne - powiedział Luke i z dziarskim, pożegnalnym uśmiechem pod adresem Perry'ego posłusznie wyszedł z pokoju.

\*

Whisky była jednosłodowa, z wyspy Skye. Hector nalał dwie solidne porcje i zachęcił Perry'ego, by dolał sobie wody.

- No - oznajmił. - To teraz czas na trudne pytania. Gotowy?

Jakże mógłby nie być gotowy?

- Jest w tym wszystkim jedna sprzeczność. Za to duża.

- Nie widzę żadnej sprzeczności.

- A ja widzę. Chodzi o to, czego pan nie napisał w tym swoim wypracowaniu na szóstkę z plusem i o to, co do tej pory opuścił pan w swoim poza tym bezbłędnym *viva voce*. Mam panu powiedzieć czy sam pan to robi?

Perry, wyraźnie zaniepokojony, znów wzruszył ramionami.

- Niech pan mówi.

- Proszę bardzo. W obu wystąpieniach zapomniał pan wspomnieć o podstawowej klauzuli na liście warunków i zasad Dima przekazanej w przesyłce, którą tak pomysłowo przemycił pan przez kontrolę na lotnisku Gatwick w kosmetyczce, którą my, ludzie starej daty, wolimy nazywać saszetką. Dima nalega... I to wcale nie tak trochę, jakby wynikało z pana wersji, tylko stawia ultimatum... I Tamara też nalega... Co wbrew pozorom liczy się jeszcze bardziej... Oboje nalegają, by przy negocjacjach obecny był pan, i by te negocjacje odbywały się po angielsku, właśnie po to, by mógł pan w nich w pełni uczestniczyć. Czy wspominał o tym warunku w swojej gaudanie?

- Tak.

- Ale pan nie uznał za stosowne wspomnieć nam o tym.

- Zgadza się.

- Czy nie przypadkiem dlatego, że Dima i Tamara zakładają uczestnictwo nie tylko profesora Makepiece'a, ale również pewnej osoby, którą określają mianem pani Gail Perkins?

- Nie - powiedział Perry drewnianym głosem.
- Nie? Co nie? Nie, pan wcale nie dokonał jednostronnej zmiany warunków waszej pisemnej i ustnej umowy?

Odpowiedź Perry'ego była tak stanowcza i precyzyjna, że od razu zdradziła długie przygotowanie. Mimo to najpierw zamknął oczy, jakby naradzał się z własnymi, wewnętrznymi demonami.

- Zrobię to dla Dimy. Nawet dla was to zrobię. Ale albo sam, albo w ogóle.

- Podczas gdy w tej samej rozwlekłej, adresowanej do nas diatrybie - ciągnął Hector takim tonem, jakby w ogóle nie brał pod uwagę wygłoszonego właśnie przez Perry'ego dramatycznego oświadczenia - Dima wspomina też o planowanym spotkaniu w czerwcu w Paryżu. A konkretnie siódmego czerwca bieżącego roku. I ma to być spotkanie wcale nie z nami, pogardzanymi aparaczkami, tylko z panem i z Gail, co nas trochę dziwi. Ale może ma pan na to jakieś wytłumaczenie?

Perry albo nie miał, albo nie chciał powiedzieć. Z groźną miną patrzył w półmrok, trzymając jedną ze swych długich dłoni na ustach, jakby chciał je sobie zakneblować.

- Zdaje się, że proponuje wam randkę - ciągnął Hector. - A dokładniej chodzi mu o to, że on już państwu ją zaproponował, a państwo się zgodzili. Ciekawe, gdzie się spotkacie? Pod wieżą Eiffla punktualnie o północy? Ma pan przynieść wczorajszy numer „Le Figaro”?

- Ależ skąd, do cholery.

- No, to gdzie?

Perry zmełł w ustach przekleństwo, wsunął rękę do kieszeni marynarki, wyciągnął niebieską kopertę i bez ceregieli rzucił ją na stół. Była niezaklejona. Hector podniósł ją, delikatnie rozchylił swymi chudymi, białymi koniuszkami palców, wyciągnął dwie niebieskie zadrukowane karteczki i rozłożył je. A potem białą kartkę, też złożoną na pół.

- A na co dokładnie są te bilety? - zapytał po tak długich i dokładnych oględzinach, że w normalnych warunkach już dawno znalazłby odpowiedź.

- Nie umie pan czytać? Finał singla mężczyzn French Open. Korty Rolanda Garrosa w Paryżu.

- A pan je zdobył jak?

- Płaciłem rachunek w hotelu. Gail się pakowała. Ambrose mi je dał.

- Razem z tym przemiłym liścikiem od Tamary?

- Zgadza się. Razem z przemiłym liścikiem od Tamary. Brawo.

- Rozumiem, że liścik od Tamary znajdował się w kopercie razem z biletami. Czy osobno?

- Liścik od Tamary był w osobnej zaklejonej kopercie, którą w międzyczasie zniszczyłem - powiedział Perry i głos stężał mu z gniewu. - Dwa bilety na stadion tenisowy imienia Rolanda Garrosa znajdowały się w niezaklejonej kopercie. Tę kopertę trzyma pan teraz w ręce. Kopertę, która zawierała list Tamary, wyrzuciłem, i umieściłem jej liścik wewnątrz tej z biletami.

- Cudownie. Mogę przeczytać?

Ale obył się bez pozwolenia:

„Serdecznie zapraszamy razem z Gail jako osobą towarzyszącą. Z przyjemnością jeszcze raz się zobaczymy”.

- Na miłość boską - mruknął Perry.

„Proszę stawić się na Allée Marcel-Bernard na kortach Rolanda Garrosa na 15 (słownie: piętnaście) minut przed rozpoczęciem meczu. W tej allée dużo sklepów. Proszę zwrócić szczególną uwagę na wystawę sprzętu Adidasa. Będzie to dla Was niespodzianka, jakby zrządzenie boskie. Proszę omówić sprawę z urzędnikami brytyjskimi. Zrozumieją tę sytuację.

Proszę też przyjąć zaproszenie do specjalnej łoży przedstawiciela firmy Arena. Byłoby dobrze, żeby w tym samym okresie przebywał w Paryżu pełnomocny przedstawiciel władz brytyjskich służb do prowadzenia bardzo dyskretnych rozmów. Proszę to umożliwić.

Polecamy Was miłości Bożej,  
Tamara”.

- To wszystko?
- Wszystko.
- A pan jest zły. I wściekły. Wkurwiony, że musiał mi pan to powiedzieć.
- Szczerze mówiąc, rzeczywiście jestem niezłe wkurwiony - przyznał Perry.
- No, to zanim pan całkiem mi tu eksploduje, pozwoli pan, że ukażę panu nieco szersze tło. Więcej się pan może nie dowiedzieć. - Mówiąc to, przechylał się przez stół, a jego szare oczy fanatyka lśniły w podnieceniu. - Dimę czekają już wkrótce dwie ważne ceremonie, na których oficjalnie przekaze cały swój niezwykle pomysłowy system prania brudnych pieniędzy w młodsze ręce: w ręce Księcia i jego ludzi. Chodzi o astronomiczne sumy. Podpisanie pierwszej umowy jest przewidziane na poniedziałek, ósmego czerwca, w dzień po waszej imprezie na kortach. Drugie i ostatnie, by nie rzec ostateczne podpisanie ma nastąpić dwa dni później, w środę dziesiątego czerwca, w Bernie. A kiedy Dima już przekaze dzieło swojego życia, właśnie podczas ceremonii dziesiątego czerwca w Bernie, czeka go taka sama nieuprzejmość, jaka spotkała już jego przyjaciela Miszę: czyli, innymi słowy, czapa. Wspominam o tym nawiasem, żeby pan zrozumiał zakres jego planów, rozpaczliwą sytuację, w której się znalazł, i że gra idzie, całkiem dosłownie, o miliardy. Dopóki nie podpisze, jest nietykalny. Nie zabija się kury znoszącej złote jaja. W chwili, gdy podpisze, jest trupem.

- To po co jechał na pogrzeb do Moskwy? - zaproponował głucho Perry.

- No tak. Żaden z nas by nie pojechał, prawda? - zgodził się Hector. - Ale my nie jesteśmy *wory*, a zemsta ma swoją cenę. I życie też. Dopóki nie podpisze, kule się go nie mają. Możemy teraz wrócić do pana?

- Jeśli to konieczne...

- Konieczne. Przed chwilą wspomniał pan, że jest pan nieźle wkurwiony. No, więc uważam, że ma pan pełne prawo być nieźle wkurwiony, ale na siebie, bo w pewnym sensie, w sensie zwykłych stosunków międzyludzkich, zachowuje się pan jak antyfeministyczny duppek. Oczywiście tłumaczą pana trochę niezwykle okoliczności, niech się pan od razu tak nie obraża. No, ale proszę zobaczyć, jak pan narozrabiał. Nie chce pan wciągać Gail, choć ona aż się do tego pali. Nie mam pojęcia, co się panu wydaje, w jakich czasach pan żyje, ale ona ma prawo, takie samo jak pan, podejmować decyzje. Czy naprawdę chciał pan ją wyrolować z darmowego biletu na finał singla mężczyzn French Open? Ją, Gail? Swoją partnerkę w deblu, nie tylko w życiu?

Znów trzymając dłoń na ustach, Perry wydał z siebie stłumiony jęk.

- No właśnie. A teraz w innym sensie: w sensie anormalnych stosunków międzyludzkich. W sensie zrozumiałym dla mnie, dla Luke'a, dla Dimy. Zdał pan sobie sprawę, jak najbardziej słusznie, że wraz z Gail znalazł się pan przez zupełny przypadek na bardzo gęsto usianym polu minowym. Jak dla każdego porządnego człowieka pana pokroju, pierwszą reakcją jest zabrać stamtąd Gail i więcej już jej tam nie wpuścić. Poza tym zrozumiał pan, o ile się nie mylę, że wysłuchawszy propozycji Dimy, przekazawszy ją nam i zostawszy uznanym za mediatora, obserwatora, czy jak jeszcze by to nazwać, w oczach *worskiego* prawa, w oczach ludzi, na których chce



donieść Dima, stał się pan kimś, względem kogo ekstremalne rozwiązania są jak najbardziej uzasadnione. Zgoda? Zgoda.

- Do jakiego stopnia może być zagrożona również Gail, pozostaje pytaniem otwartym. Pan na pewno o tym też pomyślał.

Pomyślał.

- To teraz podsumujmy najważniejsze kwestie. Kwestia pierwsza: czy pan, panie Perry, ma moralne prawo nie uprzedzać Gail o grożącym jej niebezpieczeństwie? Moim zdaniem odpowiedź brzmi: nie. Kwestia druga: czy ma pan moralne prawo pozbawiać ją możliwości przyłączenia się do nas, skoro zaangażowała się emocjonalnie w dzieci, będące domownikami Dimy, nie mówiąc już o jej uczuciach do pana? Moim zdaniem odpowiedź brzmi: jeszcze raz nie, ale o tym możemy podyskutować. Po trzecie, choć to trochę obciachowe pytanie, czy i panu, i Gail, jako parze, uśmiecha się myśl zrobienia czegoś cholernie niebezpiecznego dla ojczyzny, i to bez żadnej nagrody, a jedynie w imię honoru, i to ze świadomością, że jeżeli kiedykolwiek piśnecie o tym choćby słówko, nawet najbliższym i najukochańszym, będziemy was ścigać po krańce ziemi? - Zrobił pauzę, by Perry mógł coś powiedzieć, ale Perry nic nie powiedział, więc mówił dalej: - Dobrze znamy pana wypowiedzi, w których twierdzi pan, że nasz zielony, wyspiarski kraik trzeba ratować przed nim samym. Tak się składa, że podzielam tę opinię. Ja widzę, co nas toczy, ja żyję w tym bagnie. Mam doskonałe powody po temu, by twierdzić, że nasz niegdyś wielki kraj toczą teraz pasyżycy wielkiego biznesu. I nie jest to tylko zdanie starego pierdoły. W naszej instytucji wiele osób zawodowo nie widzi świata w białoczarnych barwach. Proszę mnie z nimi nie mylić. Ja jestem anachronicznym, drapieżnym radykałem, któremu jeszcze nie obcięli jaj. Słucha mnie pan?

Niechętnie potaknięcie.

- Dima daje panu okazję, i ja też, żeby coś zrobić, zamiast tylko o tym truć. A pan tymczasem rwie się do działania, tylko udaje pan, że wcale nie, a ja tę postawę uważam za głęboko nieuczciwą. Dlatego serdecznie panu radzę: niech pan natychmiast dzwoni do Gail, pocieszy ją, a po powrocie do Primrose Hill zaznajomi ją z wszystkimi, nawet najdrobniejszymi szczegółami, które pan dotąd przed nią zataił. A potem proszę ją tu znowu przywieźć jutro rano, na dziewiątą. Zdaje się zresztą, że chodzi już o dzisiaj rano.

Ollie państwa przywiezie. Potem podpiszecie oboje jeszcze bardziej drakoński i niezrozumiały dokument, niż ten, który podpisaliście dziś, a my dopowiemy państwu na tyle dużo z całej tej historii, na ile możemy, żeby nie namieszać wam w głowach, na wypadek, gdybyście rzeczywiście zdecydowali się jechać na wycieczkę do Paryża, i na tyle mało, żeby się państwu upiekło, gdybyście postanowili nie jechać.

Jeżeli Gail uzna za stosowne odmówić osobiście, jej sprawa, ale stawiam sto przeciw dziewięciu, że wytrwa do końca.

Perry wreszcie odzyskał mowę.

- Jak?  
- Co jak?  
- Jak mamy ocalić Anglię? Przed czym? Wiem, przed samą sobą. Ale jaką sobą?

Teraz to Hector musiał się zastanowić.

- Po prostu będzie pan musiał nam zaufać.  
- Komu? Waszej służbie?  
- Na razie tak.  
- Na jakiej podstawie? Przecież to chyba wy jesteście dżentelmenami, do których należy kłamanie dla dobra kraju?  
- To dyplomaci. My nie jesteśmy dżentelmenami.  
- Wy kłamiecie, żeby ocalić skórę.  
- To politycy. Też zupełnie inna para kaloszy.

## 8.

W pewne słoneczne niedzielne południe - tego samego dnia, którego Perry Makepiece powrócił do Primrose Hill pogodził się z Gail - Luke Weaver wymówił się od udziału w rodzinnym obiedzie - choć jego żona Eloise specjalnie przyrządziła tłustego kurczaka wolnego chowu w sosie chlebowym, a syn Ben zaprosił szkolnego kolegę z Izraela - i z wciąż brzmiącymi mu w uszach własnymi przeprosinami opuścił domek z czerwonej cegły w szeregowej zabudowie na Parliament Hill, na którego utrzymanie raczej nie było go stać, i wyruszył na spotkanie, które w jego mniemaniu miało stać się przełomowym momentem jego nierównej kariery w wywiadzie.

Eloise i Ben byli przeświadczeni, że wyruszył do obrzydliwej kwatery głównej Intelligence Service w Lambeth, nazywanej przez Eloise, pochodzącą z arystokratycznej, francuskiej rodziny, *la Lubianka-sur-Tamise*. W rzeczywistości udawał się - podobnie jak przez ostatnie trzy miesiące - do Bloomsbury. Jako środek transportu - pomimo całego napięcia, a może właśnie z tego powodu - wybrał nie metro czy autobus, lecz własne nogi. Przyzwyczał się do tego w moskiewskich czasach, gdy trzy godziny wydeptywania chodników przy każdej pogodzie nie było niczym specjalnym, jeżeli musiał wyczyścić spaloną skrzynkę kontaktową albo wsunąć się ukradkiem w otwartą bramę na trzydziestosekundowe, przeprowadzone z zapartym tchem przekazanie gotówki i materiałów.

Idąc do Bloomsbury z Parliament Hill, na który to spacer przeznaczają zwykle dobrą godzinę, Luke starał się, o ile to możliwe, wybierać codziennie inną drogę, nie po to, by zgubić ewentualnych prześladowców - choć myśl ta nigdy tak naprawdę go nie opuszczała - lecz by nacieszyć się uliczkami miasta, które tak chętnie poznawał na nowo po wielu latach służby za granicą.

Dziś, ze względu na słoneczny dzień i konieczność rozjaśnienia umysłu przed akcją, zdecydował się na przechadzkę przez Regent's Park, a następnie wędrowkę na wschód przez miasto; w tym celu przewidział dodatkowe pół godziny na drogę. Jego nastrój, choć niepozbawiony niecierpliwości i podniecenia, składał się jednak i z niepokoju. Niewiele spał ostatniej nocy. Musiał choć trochę powrócić do stanu równowagi. Musiał popatrzeć na zwykłych ludzi, nie takich z tajnych służb; na kwiaty, na cały zewnętrzny świat.

- Zdecydowane tak z jego strony, z jej strony zdecydowane tak i niech was diabli - nie posiadał się z radości Hector w słuchawce telefonu na szyfrowanej linii. - Billy przyjmie nas dziś o drugiej po południu, a wtedy śpiewajcie, aniołowie!

\*

Pół roku wcześniej, gdy Luke powrócił do kraju po trzech latach spędzonych w Bogocie, Królowa Działu Kadr, znana w całej Firmie pod niezbyt uprzejmym przezwiskiem Pierwszej Kadrowej, poinformowała go, że on, Luke, idzie w odставку. Niczego innego zresztą się nie spodziewał. Mimo to potrzebował kilku nieprzyjemnych sekund, by odszyfrować treść jej wypowiedzi:

- Firma znosi recesję ze swym zwykłym, przysłowiowym spokojem, Luke - zapewniła go tonem radośnie optymistycznym, który byłby całkowicie usprawiedliwiony, gdyby zamiast wyrzucenia na

bruk zaoferowano mu stanowisko jednego z dyrektorów regionalnych. - Z przyjemnością mogę ci zakomunikować, że nasze akcje w Whitehall nigdy tak naprawdę nie stały lepiej i że rekrutacja idzie nam wprost wspaniale. Osiemdziesiąt procent naszego najnowszego naboru wśród młodej, entuzjastycznej młodzieży posiada dyplomy z wyróżnieniem z porządnych uniwersytetów i nikt już nie gada o Iraku. A niektórzy mają nawet po dwa fakultety, też z wyróżnieniem. Nie do wiary!

Luke wierzył, ale powstrzymał się od uwagi, że przez ostatnie dwadzieścia lat radził sobie całkiem nieźle mimo skromnego dyplomu bez wyróżnienia.

Nasz jedyny prawdziwy kłopot polega na tym, tłumaczyła mu tym samym, zdecydowanie pozytywnym tonem, że dla ludzi pokroju Luke'a, ludzi w jego widelkach płacowych, ludzi, którzy osiągnęli już szczyt swych możliwości, coraz trudniej znaleźć jakiegokolwiek stanowisko. A dla niektórych wręcz nie da się nic znaleźć, uzałoiła się nagle. No ale co ona biedna ma zrobić, niech on jej powie, skoro młody szef woli, by jego pracownicy nie mieli żadnych zimnowojennych obciążeń? To takie smutne.

Więc, drogi Luke, naprawdę nie udało się jej załatwić nic innego - choć on tak świetnie spisał się w Bogocie i taki był dzielny (a przecież jego prywatne życie to kompletnie nie jej interes, o ile nie wpływa na jakość pracy, i najwyraźniej nie wpływa), i nawias ten w jej ustach osiągnął całkiem spore rozmiary - jak tylko chwilowe zastępstwo w administracji, dopóki etatowa pracownica nie powróci z urlopu macierzyńskiego.

A tymczasem może przydałoby się pogadać z ludźmi od przekierowania, którzy powiedzą mu na pewno, na co może liczyć poza Firmą; bo mimo tych wszystkich bzdur, które można wyczytać w gazetach, sytuacja wcale nie przedstawia się w takich czarnych

barwach. Wojna z terrorem, no i niebezpieczeństwo wystąpienia zaburzeń społecznych też, to cudowna okazja dla branży ochroniarskiej. Niektórzy z jej najlepszych byłych oficerów zarabiają teraz po dwa razy tyle, co kiedyś w Firmie, i są zachwyceni nową pracą. A z taką przeszłością, jak jego - i po uporządkowaniu życia osobistego, co zdaje się już nastąpiło, choć to przecież nie jej sprawa - nie ma najmniejszych wątpliwości, że Luke byłby wspaniałą zdobyczą dla każdego pracodawcy.

- Bo chyba nie uskarża się pan na żadne zaburzenia potraumatyczne ani inne takie? - zapytała troskliwie, gdy już wychodził.

Na pewno nie tobie, pomyślał Luke. A moje życie prywatne wcale nie jest uporządkowane.

\*

Dział administracji wiódł swój nędzny żywot na parterze. Luke dostał biurko tak blisko poziomu ulicy, jak to tylko możliwe - niewiele dzieliło go od wyrzucenia na bruk. Po trzech latach spędzonych w światowej stolicy porwań dla okupu niełatwo skupić się nad takimi zagadnieniami jak limity zwrotów za paliwo dla młodszego personelu krajowego, ale robił, co mógł. Dlatego tym większe było jego zdumienie, gdy po miesiącu odbywania kary podniósł słuchawkę, nim jeszcze telefon rozdzwonił się na dobre, i usłyszał w niej wezwanie przed oblicze Hectora Mereditha, zapraszającego go natychmiast na lunch w jego londyńskim klubie, słynącym z wystroju w bardzo złym guście.

- Dziś, Hector? Jezu!
- Przyjdź jak najwcześniej. Tylko, kurwa, nikomu nie mów. Powiedz, że masz miesięczkę, czy coś takiego.
- Najwcześniej, czyli kiedy?
- O jedenastej.

- O jedenastej? Na lunch?
- A co, nie jesteś głodny?

Wybór czasu i miejsca okazał się nie tak bezsensowny, jak mogło się wydawać w pierwszej chwili. W dzień powszedni o jedenastej przed południem podupadły klub na Pall Mail rozbrzmiewa skowytami odkurzaczy, śpiewnym gaworzeniem źle opłacanych emigrantów, nakrywających stoły na lunch i właściwie niczym innym. We wspartym na kolumnach holu nikogo nie było z wyjątkiem zniechęconego portiera w recepcji i Murzynki mopującej marmurową podłogę. Hector, zasiadający na starym rzeźbionym tronie z nogą założoną na nogę, czytał „Financial Times”.

\*

W Firmie, pełnej tułaczy związanych przysięgą dochowania tajemnicy, zawsze bardzo trudno o informacje na temat kolegów. Jednak nawet w takim środowisku niegdysiejszy zastępca dyrektora ds. Europy Zachodniej, potem zastępca dyrektora ds. Rosji, następnie zastępca dyrektora ds. Afryki i Azji Południowo-Wschodniej - a obecnie, i bardzo tajemniczo, dyrektor ds. specjalnych - był chodzącą zagadką lub, według niektórych kolegów, chodzącym okazem indywidualizmu.

Piętnaście lat temu Luke i Hector razem brali udział w intensywnym kursie języka rosyjskiego, prowadzonego przez starą księżną w jej porośniętym bluszczem dworku w starej części Hampstead, niepełna dziesięć minut marszu od obecnego mieszkania Luke'a. Co wieczór odbywali oczyszczający spacer po tamtejszym wielkim parku. Hector był wówczas prawdziwą gwiazdą zarówno pod względem fizycznym, jak zawodowym. Gdy wyciągał swe długie nogi, małemu Luke'owi trudno było za nim nadążyć. W swych wypowiedziach, upstrzonych wulgaryzmami i opiniami,

wygłaszanych często na zbyt wysokim poziomie dla Luke'a - w jednym i drugim znaczeniu - potrafił zajmować się to „dwoma największymi cwaniakami w historii świata” - czyli Karolem Marksem i Zygmuntem Freudem - to znów palącą potrzebą znalezienia takiej formuły brytyjskiego patriotyzmu, która dawałaby się pogodzić ze współczesnym sumieniem - po czym następowała typowa dla Hectora wolta, czyli pytanie o to, czym tak naprawdę jest sumienie.

Od tego czasu ich drogi krzyżowały się bardzo rzadko. Bo o ile kariera Luke'a w terenie rozwijała się w sposób przewidywalny - Moskwa, Praga, Amman, znowu Moskwa, od czasu do czasu Kwaterna Główna, wreszcie Bogota - szybki awans Hectora na czwarte piętro wydawał się z góry zawyrokowany przez Boga, sam zaś Hector stawał się dla Luke'a kimś całkowicie nieosiągalnym.

Ale wraz z upływem czasu zaczął dawać o sobie znać przekorny charakter Hectora. Nowe pokolenie możnowładców Firmy domagało się wyraźniejszego zaznaczenia obecności służby w westminsterskiej wiosce. Na zamkniętym spotkaniu wysokich oficerów - które okazało się nieco mniej zamknięte, niż się spodziewano - Hector wygłosił miazdzącą krytykę Mądrych Głupców z czwartego piętra, którzy „mieli ochotę poświęcić święty obowiązek Firmy mówienia politykom prawdy”.

Dym jeszcze nie zdążył się rozwiać, gdy Hector, przewodnicząc burzliwej naradzie zwołanej po jakimś niepowodzeniu operacyjnym, bronił winnych przed planistami Połączonych Służb, których perspektywa, jak twierdził, „została nienaturalnie ograniczona przez fakt włożenia z głową do amerykańskiej dupy”.

Nic dziwnego, że jakoś w roku 2003 zniknął z pola widzenia. Nie było pożegnalnych przyjęć, klepsydry w firmowym miesięczniku, nikomu nieznanego odznaczenia ani nawet nowego adresu. Najpierw w operacyjnych rozkazach przestał pojawiać się jego zaszyfrowany



podpis. Potem jego nazwisko zniknęło z rozdzielnika, potem z e-mailowej książki adresowej w zamkniętym obiegu i wreszcie z zaszyfrowanej książki telefonicznej - co równało się aktowi zgonu.

Gdy zniknął żywy człowiek, pojawiły się plotki.

Hector przewodził buntowi w sprawie Iraku na szczytach władzy i został za to zwolniony. Nieprawda, mówili inni. Poszło o bombardowania w Afganistanie i wcale nie został zwolniony, tylko sam złożył rezygnację.

Doszło do awantury, w trakcie której nazwał jednego z ministrów „kłamliwym bękartem”, i to w obecności tegoż ministra. Znowu bzdura, oświadczyła druga strona. Nie ministra, tylko prokuratora generalnego, i nie „kłamliwym bękartem”, tylko „lizusem pozbawionym kręgosłupa moralnego”.

Inne osoby - te, które miały dostęp do konkretnych informacji - wskazywały na osobistą tragedię, która wydarzyła się na krótko przed odejściem ze służby, gdy jego marnotrawny jedyny syn Adrian, nie po raz pierwszy zresztą, będąc pod wpływem silnych substancji odurzających, rozbił skradziony i prowadzony z wielką prędkością samochód. To cud, że jedyną ofiarą był sam Adrian, który odniósł obrażenia klatki piersiowej i twarzy; ale jeszcze większym cudem było to, że uniknęła śmierci młoda matka ze swym niemowlęciem, ale **ULICZNY HORROR Z UDZIAŁEM SYNA WYSOKIEGO URZĘDNIKA PAŃSTWOWEGO** fatalnie wygląda w gazetach. Sąd wziął tym razem pod uwagę również cały szereg drobniejszych incydentów; krążyły plotki, że Hector, załamany całą tą sprawą, wycofał się z świata tajnych służb, by wspomagać syna przebywającego w więzieniu.

Ale choć wersja taka była całkiem prawdopodobna - przynajmniej stały za nią jakieś fakty - nie mogła stanowić pełnego wytłumaczenia, bo kilka miesięcy po zniknięciu Hectora na okładkach tabloidów pojawiła się już jego własna twarz, tym razem nie w roli

zrozpaczonego ojca Adriana, lecz nieugiętego twardziela, dzielnie ratującego stare rodzinne przedsiębiorstwo przed zakusami tych, których sam Hector określił mianem KAPITALISTYCZNYCH SĘPÓW, co natychmiast zapewniło mu miejsce na czołówkach gazet.

Przez całe tygodnie kibice Hectora raczeni byli wzruszającymi opowieściami o owym starym, przyzwoicie prosperującym, portowym przedsiębiorstwie importu zboża i jego sześćdziesięciorgu pięciorgu pracownikach-współdziałowcach, którym „z dnia na dzień zakręcono tlen” - jeśli wierzyć wypowiedziom Hectora, który również z dnia na dzień odkrył w sobie talent do *public relations*: „U naszych bram stoją chciwcy i oportuniści, a sześćdziesiąt pięć porządnych Angielek i Anglików czeka wyrzucenie na śmietnik” - informował prasę. Jak można się było spodziewać, nie minął miesiąc, a szpalty gazet obwieszczały wszem i wobec: ZWYCIĘSTWO MEREDITHA NAD SĘPAMI KAPITALIZMU - RODZINNE PRZEDSIĘBIORSTWO PRZETRWAŁO PRÓBĘ PRZEJĘCIA.

A potem nie minął rok, a Hector znów siedział w swym dawnym gabinecie na czwartym piętrze i - jak sam to określał - znów nieźle rozrabiał.

\*

W jaki sposób Hectorowi udało się przekonać Firmę, żeby przyjęła go z powrotem w swe szeregi, czy też Firma sama przyszła do niego w worku pokutnym, i wreszcie, jakie konkretne zadania realizował ów tak zwany dyrektor ds. specjalnych - były to tajemnice, co do których Luke mógł snuć jedynie mgliste domysły, gdy powoli wdrapywał się za nim po paradnych schodach klubu, mijał pociemniałe portrety imperialnych bohaterów, prowadzony do zatęchłej biblioteki pełnej przez nikogo nieczytanych książek. Snuł te domysły jeszcze

wtedy, gdy Hector zamknął z wysiłkiem wielkie mahoniowe drzwi, przekręcił klucz w zamku, wsunął go do kieszeni, odpiął sprzączki starej brązowej aktówki i wepchnąwszy Luke'owi w dłoń zapieczętowaną, ale bez znaczka kopertę z nadrukiem Firmy, podszedł do sięgającego sufitu okna z widokiem na St James's Park.

- Pomyślałem sobie, że to dla ciebie lepsze niż pieprzenie się w administracji - zauważył obojętnie, stojąc na tle brudnych, siatkowych firanek.

W środku firmowej koperty znajdował się wydruk od tej samej Królowej Działu Kadr, która niespełna dwa miesiące temu wydała wyrok na Luke'a. Martwa proza tym razem przenosiła go - ze skutkiem natychmiastowym i bez wyjaśnienia - na stanowisko koordynatora powstającej dopiero jednostki pod nazwą „nadzwyczajny zespół ds. roszczeń wzajemnych”, odpowiedzialnego przed dyrektorem ds. specjalnych. Zespół miał zajmować się „prognozami ściągalności kosztów operacyjnych od działów, które wygenerowały znaczne zyski z działalności Firmy”. Nominacja zawierała półtoraroczne przedłużenie kontraktu z zaliczeniem na poczet wysługi lat i praw emerytalnych. W razie pytań proszę o kontakt pod poniższym adresem e-mailowym.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał Hector ze swego miejsca pod wysokim oknem.

Zdumiony Luke powiedział coś o tym, że łatwiej mu będzie teraz spłacić hipotekę.

- Podoba ci się, że masz prognozować? Lubisz „prognozy”?  
- Nie bardzo - powiedział Luke, śmiejąc się niepewnie.  
- Pierwsza Kadrowa uwielbia „prognozy” - odparł Hector. - Podnieca ją to jak kotkę w marcu. A jak jeszcze dodasz słowo „nadzwyczajny”, to jest twoja.

Jak zareagować? Co on wymyślił? Ściąga go tu, do tego zapyzianego klubu o jedenastej przed południem, wręcza mu pismo, którego

nawet nie ma prawa wręczyć i pozwala sobie na drobne żarciki z angielszczyzny Pierwszej Kadrowej?

- Słyszałem, że miałeś ciężkie przejścia w Bogocie - powiedział Hector.

- No cóż, raz na wozie, raz pod wozem, wiesz, jak to jest - odparł nieco urażony Luke.

- Raz na wozie, raz pod wozem, to aluzja do tego, że rznąłeś żonę swojego zastępcy? O to ci chodzi?

Wpatrując się w trzymane w dłoni pismo, Luke zobaczył, że zaczyna drżeć, ale udało mu się opanować i nie powiedział nic.

- A może o to, że zostałeś porwany przez wymachujących bronią maszynową ludzi jakiegoś zasranego barona narkotykowego, o którym myślałeś, że jest twoim agentem - ciągnął Hector. - O takie „raz na wozie”?

- Najprawdopodobniej i takie, i takie - odpowiedział sztywno Luke.

- A możesz mi powiedzieć, co było najpierw: porwanie czy rżnięcie?

- Niestety rżnięcie.

- Dlatego niestety, że podczas gdy baron narkotykowy trzymał cię do własnej dyspozycji w swojej *redoute* w dżungli, twoja biedna żona, która została w Bogocie, dowiedziała się, że rzniesz sąsiadkę?

- Tak. To prawda. Dowiedziała się.

- A skutek był taki, że kiedy tobie udało się uwolnić od gościnności barona narkotykowego i wrócić do domu po paru dniach przygód na łonie natury, wbrew temu, czego się spodziewałeś, nie zostałeś powitany jak bohater?

- Nie zostałem.

- Wyznałeś wszystko?

- Baronowi?

- Eloise.

- No, nie wszystko - powiedział Luke, nie do końca wiedząc, dlaczego godzi się na takie traktowanie.

- Przyznałeś się do tego, co już wiedziała albo czego na pewno mogła się dowiedzieć - podsunął z aprobatą Hector. - Częściowe zeznanie udające pełną i szczerą spowiedź. Dobrze zgadłem?

- Mniej więcej.

- Luke, stary, przecież ja nie chcę ci włożyć z butami w twoje życie. Ja cię nie osądzam, tylko chcę wiedzieć, jak było. W dawnych, lepszych czasach można było z tobą konie kraść. Według mnie jesteś świetnym oficerem i dlatego teraz cię tu ściągnąłem. Co sądzisz, tak ogólnie, o tym piśmie, które trzymasz w dłoni? Chciałbyś coś dodać?

- Dodać? No, trochę jestem zdziwiony.

- Zdziwiony? Czym konkretnie?

- No, zacznijmy od tego, że to tak nagle... Świetnie, ze skutkiem natychmiastowym. Przecież tego etatu nawet nie ma.

- Nie musi być. Tekst jest prosty. Pustki w komorze, więc szef idzie do Ministerstwa Skarbu w wyciągniętą łapą i żebrze o więcej kasy. Ministerstwo się zapiera. „Nic się nie da zrobić, teraz nikt nie ma pieniędzy, musicie sobie odebrać, co się da, od gnojków, dla których robicie za darmo”. Myślę, że to nawet nieźle brzmi w naszych czasach.

- Pewnie, świetny pomysł - powiedział z zapalem Luke, w tej chwili zdezorientowany bardziej niż kiedykolwiek od swego nie triumfalnego powrotu do Anglii.

- No, bo jak ci się nie podoba, to mów od razu, na miłość boską. Możesz mi wierzyć, drugi raz taka fucha się nie znajdzie.

- Pewnie, że się podoba. I jestem ci bardzo wdzięczny. Dzięki, że o mnie pomyślałeś. Dzięki za pomoc.

- Pierwsza Kadrowa zamierza przydzielić ci gabinet. Widzisz, jaka dobra? Prawie drzwi w drzwi z działem finansowym. No nic,

nie można jej odmówić, to byłoby świństwo. Ale radzę ci trzymać się od finansowego z daleka. Oni nie chcą, żeby im się wpieprzać, my nie chcemy, żeby oni nam się wpieprzali. No nie?

- Pewnie, że nie.

- Zresztą i tak nie będziesz wiele siedział w pracy. Ciągłe będziesz gonił to tu, to tam, po całym Whitehall, i naprzykrzał się jak cholera co bogatszym ministerstwom. Pokażesz się za biurkiem parę razy na tydzień, napiszesz mi jakiś raport, podliczysz wydatki, i tyle. Dalej rozumiesz?

- Nie bardzo.

- Czego nie rozumiesz?

- No więc zacznijmy od tego, dlaczego tu się spotykamy? Nie wystarczyłby e-mail do mnie na parter albo telefon na wewnętrznej linii?

Luke pamiętał, że Hector nie lubił, kiedy się go krytykuje, i to się nie zmieniło.

- No dobra, niech to szlag. Powiedzmy, że rzeczywiście najpierw wysłałbym ci e-mail. Albo nawet, kurwa, zatelefonował. Wtedy byś zrozumiał? Zrozumiałbyś, o co chodzi w tym piśmie Pierwszej Kadrowej, na miłość boską?

Dopiero teraz, z pewnym opóźnieniem, w umyśle Luke'a zaczął tworzyć się inny i znacznie bardziej atrakcyjny scenariusz.

- Jeżeli pytasz, założmy, czy przyjąłbym propozycję Pierwszej Kadrowej taką jak ta w piśmie, to odpowiedź brzmi: tak. Znowu założmy, że pytasz mnie, czy zacząłbym coś podejrzewać, gdybym znalazł ten list na biurku albo na ekranie, odpowiedź brzmi: nie.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru.

Przerwało im gwałtowne szarpnięcie za klamkę drzwi, po którym nastąpiło gniewne stukanie. Z niecierpliwym „a niech ich szlag” Hector nakazał Luke'owi gestem, by ukrył się między regałami,

otworzył drzwi i wysunął głowę na zewnątrz.

- Wybacz, stary, dziś nic z tego - usłyszał Luke. - Nieoficjalny remanent. Kompletna głupota, jak zwykle.

Członkowie biorą książki i nie wpisują do zeszytu. Mam nadzieję, że nie ty. Spróbuj w piątek. Chyba pierwszy raz w życiu cieszę się, że jestem tu, kurwa, honorowym bibliotekarzem - mówił dalej, nie zadając sobie nawet trudu, by ściszyć głos, gdy z powrotem zamykał drzwi i przekręcał klucz w zamku. - Możesz wyjść. A jeżeli podejrzewasz, że ja tu majstruję jakiś spisek à la jedenasty września, to przeczytaj sobie to drugie pismo, tylko oddaj, żebym mógł je, kurwa, zjeść.

Druga koperta była białoniebieska, wyłożona od wewnątrz czarną, nieprzepuszczalną bibułą, i na skrzydełku miała wytłoczone godło Wielkiej Brytanii, trzymane przez lwa i jednoroźca w pozycji stojącej. Wewnątrz znajdowała się kartka takiego samego, białoniebieskiego papieru, w najmniejszym wymiarze, z uroczystym nadrukiem „Biuro Sekretariatu”.

Drogi Luke,

Proszę przyjąć wszelkie zapewnienia, że ta bardzo poufna rozmowa, którą prowadzisz z naszym wspólnym kolegą podczas lunchu w jego klubie, odbywa się za moją nieoficjalną aprobatą.

Pozdrowienia,

- a pod spodem maleńki podpis, wyglądający, jakby został wymuszony pod groźbą użycia broni: William J. Matlock (Kierownik sekretariatu), znany powszechnie jako Billy Matlock. Albo, jak kto woli - jeżeli ten ktoś miał nieszczęście popaść u niego w niełaskę - po prostu Kill Bill, najbardziej nieprzejednany i o najdłuższym stażu

specjalista od rozwiązywania kłopotów w Firmie, lewa ręka samego szefa.

- Prawdę mówiąc, to wszystko kupa łąjna, ale czy biedak miał jakieś wyjście? - zauważył Hector, wsuwając list do koperty i wpychając kopertę do wewnętrznej kieszonki swej sfatygowanej sportowej marynarki. - Wiedzą, że mam rację, nie chcą, żebym miał, nie wiedzą, co zrobić, jeżeli mam. Nie chcą, żebym zajmował się tym w Firmie i nie chcą, żebym wyszedł z tym na zewnątrz. Mają jeden pomysł: włożyć mi knebel, aleja się na to nie godzę i nigdy nie zgodziłem. Z tego, co wiem, ty też nie. Jak to się stało, że cię tam nie zżarły tygrysy, czy co oni tam mają?

- Głównie owady.
- Pijawki?
- Też.
- Nie stój tak. Siadaj.

Luke posłusznie usiadł. Ale Hector wciąż stał z rękoma wepchniętymi głęboko w kieszenie, zgarbiony, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w nieużywany kominek, jego staroświeckie, mosiężne pogrzebacze i szczypce, i spękane obramowanie z kurdybanu. Luke'owi nagle wydało się, że atmosfera wewnątrz biblioteki zaczyna go przytłaczać, a może nawet staje się groźna. Hector chyba odniósł to samo wrażenie, bo opuściła go jego beztroska, a jego wychudła, chorowita twarz przybrała iście karawaniarską ponurość.

- Muszę cię o coś zapytać - oznajmił gwałtownie, przemawiając bardziej do kominka niż do Luke'a.

- Pytaj.
- Jaka była najstraszliwsza, najbardziej kurewsko okropna rzecz, jaką widziałeś w swoim życiu? Tam, gdzie byłeś? Poza wyłotem lufy uzi barona narkotykowego, skierowanym w twoją twarz? Opuchnięte dzieciaki w Kongo z odrąbanymi dłońmi, skowyczące z głodu, zbyt wyczerpane, żeby płakać? Wykastrowani ojcowie z



chujami wepchniętymi do ust i oczodołami pełnymi much? Kobiety z bagnetami wepchniętymi w dupy?

Luke nigdy nie służył w Kongo, więc domyślił się, że Hector opisuje własne przeżycia.

- Mieliśmy własne odpowiedniki - powiedział.

- Na przykład? Wymień parę.

- Rozrywki władz kolumbijskich. Naturalnie z pomocą amerykańską. Palenie wiosek. Gwałty zbiorowe na ich mieszkańcach, tortury, siekanie na kawałki maczetami. Same trupy, przeżył tylko jeden świadek.

- No tak. Tośmy obaj widzieli trochę świata - przyznał Hector. - Nie byle co.

- Nie byle co.

- I wielki strumień brudnych pieniędzy, zyski z cierpienia innych, też to znamy. Miliardy w samej Kolumbii. Znasz to. Pan Bóg raczy wiedzieć, ile był wart ten twój klient. - Nie czekał na odpowiedź. - Miliardy w Kongo. Miliardy w Afganistanie. Jedna ósma gospodarki światowej - czarna jak u Murzyna w dupie. Wiemy.

- Owszem, wiemy.

- Na tej kasie jest krew. I tyle.

- Prawda.

- Wszystko jedno, gdzie ta kasa. W pudle pod łóżkiem watażki w Somalii czy w banku w londyńskim City, tuż obok skrzyneczki z portwajnem. Koloru nie zmienia. To ciągle kolor krwi.

- Prawda.

- Tu nie ma żadnej chwały, nie ma wymówek. To kasa z wyzysku, narkotyków, zastraszania, morderstw, masowych gwałtów, niewolnictwa. Jest na niej krew. Powiedz mi, jeżeli uważasz, że przesadzam.

- Na pewno nie przesadzasz.

- Są tylko cztery sposoby, by to powstrzymać. Pierwszy: dobrać się do skóry gościom, którzy to robią. Łapać ich, zabijać,

przyskrzyniać. Jak się uda. Drugi: dobrać się do towaru. Przejmować go, zanim trafi na ulicę i na rynek. Jak się uda. Trzeci: przejmować zyski, zrujnować skurwysynów.

Niepokojąca chwila ciszy, podczas której Hector zdawał się rozmyślać o sprawach wykraczających daleko poza kompetencje kogoś na stanowisku Luke'a. Czy myślał o handlarzach heroiną, którzy zmienili jego syna w więźnia i narkomana? Czy o sępach kapitalizmu, które usiłowały przejąć jego rodzinne przedsiębiorstwo i wyrzucić na bruk sześćdziesięcioro pięcioro najlepszych Angielek i Anglików?

- No i jest jeszcze czwarty sposób - mówił dalej Hector. - Ten naprawdę najgorszy. Najbardziej wypróbowany, najłatwiejszy, najczęściej stosowany i najmniej kłopotliwy. Zabrać się za tych, którzy głodują, są gwałceni, torturowani, umierają z nałogu. Co tam ludzkie koszty. Pieniądz nie śmierdzi, jeśli tylko jest go dość i jest nasz. Przede wszystkim nie można się ograniczać. Wyłapywać płotki, zostawiać rekiny w spokoju. Ktoś wyprał parę milionów? A to zbrodniarz! Nasłać na niego kontrolę, zakuć w kajdany. Ale parę miliardów? To już inna rozmowa. Miliardy to już całkiem niezła statystyka. - Z przymkniętymi oczyma i zatopiony w myślach, Hector przypominał przez chwilę własną maskę śmiertelną. A przy najmniej tak się zdawało Luke'owi.

- Luke, kochany, wcale nie musisz się z tym wszystkim zgadzać - powiedział łagodnie, ocknąwszy się jak ze snu.

- Wolna droga. Biorąc pod uwagę moją reputację, wielu gości już miałoby dość.

Luke pomyślał, że to raczej ironiczny dobór metafory, skoro klucz do drzwi znajduje się wciąż w kieszeni Hectora, ale zatrzymał tę uwagę dla siebie.

- Chcesz, to wracaj do biura po lunchu, powiedz Pierwszej Kadrowej, że wielkie dzięki, ale wolisz dokończyć wyrok na parterze.

Idź na emeryturę, trzymaj się z daleka od baronów narkotykowych i żon kolegów, leż na plecach, pluj i łap przez resztę życia. Nie ma problemu. Luke wysilił się na uśmiech.

- Jest problem. Ja nie bardzo umiem pluć i łapać - powiedział.

Ale napadu szczerości Hectora już nie dało się zatrzymać:

- Proponuję ci jednokierunkową drogę donikąd - mówił z naciśkiem. - Jeżeli na to pójdziesz, masz przesrane tak czy tak. Bo jak przegramy, to jesteśmy dwaj nieudacznicy, co chcieli ratować Firmę, a tylko ją skompromitowali. Jak wygramy, to jesteśmy spaleni w Whitehall, w dżungli westminsterskiej i wszędzie po drodze. Nie mówiąc już o Firmie, którą staramy się kochać, czcić i słuchać jej za wszelką cenę.

- Czy na razie nic więcej się nie dowiem?

- Nic. Dla własnego i mojego bezpieczeństwa. Żadnych figli, zanim nie staniesz przed ołtarzem.

Stali właśnie przed drzwiami. Hector wyciągnął klucz i już miał obrócić go w zamku.

- Jeszcze jedna sprawa. Billy - powiedział.

- Co z nim?

- Prędej czy później zacznie się do ciebie dobierać. Wiesz, trochę bata, trochę marchewki. „Co ci naopowiadał ten walnięty skurwiel Meredith? Co on kombinuje, gdzie, z kim?”. Jeżeli to się stanie, najpierw mi mówisz, potem też mi mówisz. W tej sprawie nikt nie jest poza podejrzeniem. Wszyscy są winni, dopóki nie udowodnimy, że nie są. Wchodzisz w to?

- Zwykle dobrze sobie radziłem w te klocki - odpowiedział Luke, uznawszy, że najwyższy czas trochę się pochwalić.

- Ale jednak... - powiedział Hector, wciąż czekając na odpowiedź.

- Czy nie chodzi czasem o Rosjan? - zapytał Luke z nadzieją w głosie, co później uważał za niezwykle przyływy natchnienia.

Był rusofilem i zawsze uważał za osobisty afront, gdy zdejmowano go z jakiejś sprawy z podejrzeniem o zbytnią identyfikację z figurantem.

- Może o Rosjan, kurwa, może o coś innego - odburknął Hector, a jego wielkie szare oczy znów rozświetliły się ogniem wiary.

\*

Czy Luke w którymkolwiek momencie rzeczywiście powiedział, że się zgadza? Czy z perspektywy czasu może powiedzieć, że przyszła taka chwila, że powiedział na przykład: „Tak, Hectorze, przyłącz się do ciebie, pójdę za tobą w ciemno, ze związanymi rękoma, dokładnie tak jak tamtej nocy w Kolumbii, tak, wezmę udział w twojej tajemniczej krucjacie...” Albo coś w tym stylu?

Nie, nie może powiedzieć.

Jeszcze gdy zasiadali do lunchu, który Hector zapowiedział jako laureata drugiej nagrody za najgorsze jedzenie na świecie, tylko dlatego, że pierwszej jeszcze nie przyznano, Luke wciąż - szczerze mówiąc - nie mógł wyzbyć się podejrzeń, że daje się wciągnąć w jedną z prywatnych wojen, w które Firma dawała się wmanewrować od czasu do czasu, ale zawsze z katastrofalnymi skutkami.

Pierwsze próby prowadzenia zwykłej rozmowy z Hectorem też nie napawały spokojem. Usiadłszy na zewnętrznym krańcu ponurej jak grobowiec jadalni klubu, przy stoliku najbliższym hałaśliwej kuchni, dał Luke'owi istny kurs mistrzowski w prowadzeniu zawołanych rozmów w miejscach publicznych.

Nad wędzonym węgorzem ograniczył się do pytań o rodzinne sprawy Luke'a, niby przypadkiem od razu zdradzając dobrą znajomość imion żony i syna, co było dla Luke'a kolejnym znakiem, że Hector wertował jego akta. Gdy na stole pojawiła się zapiekanka

pasterska wraz z sałatką z kapusty, przywieziona na rozklekotanym, srebrnym wózku przez starego, zagniewanego Murzyna w czerwonej myśliwskiej kurtce, Hector przeszedł do bardziej intymnego, ale równie nieszkodliwego tematu planów małżeńskich Jenny - okazało się, że Jenny to jego ukochana córka - a raczej tego, że właśnie z nich zrezygnowała, ponieważ, zdaniem Hectora, facet, z którym była związana, okazał się stuprocentowym dupkiem:

- Ze strony Jenny to nie była miłość, tylko uzależnienie. Tak samo jak z Adrianem, tylko na szczęście nie od prochów. Facet był sadystą, ona masochistką, myśleliśmy, że są dobraną parą. I nic nie mówiliśmy, bo co by to dało? Beznadziejna sprawa. Kupiliśmy im śliczny domek w Bloomsbury, od razu z całym wyposażeniem. Cham musiał mieć gruby dywan od ściany do ściany, to Jenny też musiała. Ja tam nie cierpię takich futrzaków, ale co było robić? Parę minut piechotą od Muzeum Brytyjskiego. Pasowało Trockiemu, pasowało temu jej doktorowi filozofii od siedmiu boleści. Ale w końcu, chwała Bogu, Jenny popędziła gnojka, szóstka z plusem dla niej.

Zresztą dobra cena, recesja, właściciel potrzebował kasy, na pewno na tym nie stracę. Ładny ogródek, nie za duży.

Stary kelner znów się pojawił, tym razem z olbrzymich rozmiarów misą sosu do deserów. Wobec odmowy Hectora zmełł w ustach przekleństwo i począł w stronę najbliższego stolika - jakieś sześć metrów dalej.

- W dodatku niezła suterena, rzadka rzecz w naszych czasach. Trochę śmierdzi, ale nie bardzo. Ktoś trzymał tam wina. A sam dom nie przylega do sąsiadów. Ulica nie za bardzo ruchliwa. Całe szczęście, że dziecka z facetem nie miała. Jak znam Jenny, to nie za bardzo się zabezpieczali.

- Chwała Bogu - grzecznie zgodził się Luke.

- Prawda? - z kolei zgodził się Hector, pochylając się do przodu, by na pewno mogli się słyszeć mimo dobiegającego z kuchni

hałasu. Tymczasem Luke już zaczynał zastanawiać się, czy Hector naprawdę ma córkę. - Pomyślałem sobie, że mógłbyś przez jakiś czas tam posiedzieć, za darmo, oczywiście. Ze zrozumiałych powodów Jenny nie chce się tam nawet zbliżyć, ale przydałoby się, żeby ktoś tam był. Zaraz dam ci klucz. A przy okazji: pamiętasz Olliego Devereux? Syn białego emigranta z Rosji, który miał w Genewie biuro podróży, i jednej pani, co prowadziła smażalnię ryb i frytek w Harrow? Gość wygląda na szesnaście lat, naprawdę ma czterdzieści pięć? Wyciągnął cię z gówna, kiedy jakiś czas temu spieprzyłeś robotę z podsłuchem w jednym hotelu w Petersburgu.

Luke doskonale pamiętał Olliego Devereux.

- Jak trzeba, mówi po francusku, rosyjsku, szwajcarsku, niemiecku i włosku. Najlepszy włamywacz w całej branży. Będziesz mu płacił gotówką. Tobie też trochę kapnie. Zaczynasz jutro punktualnie o dziewiątej rano. Zdążysz spakować swoje rzeczy w administracji i przenieść te wszystkie szpilki i spinacze na trzecie piętro. Aha, będziesz robił razem z sympatyczną panią imieniem Yvonne, mniejsza z tym, jak ma na nazwisko: zawodowa charcica, zimna jak gład, jaja ze stali.

Znów nadjechał srebrny wózek. Hector zarekomendował specjalność zakładu, pudding z chleba. Luke powiedział, że to jego ulubiony deser. I jednak z przyjemnością nabierze sobie trochę sosu, dziękuję bardzo. Wózek odjechał w kłębach starczej furii.

- I bardzo proszę, uważaj się za jednego z nielicznych wybrańców, przynajmniej ze względu na twoją pozycję sprzed kilku godzin - dodał Hector, przytykając usta do wyjedzonej przez mole adamszkowej serwety. - Licząc z Olliem, jesteś siódmy na liście, oczywiście gdyby taka lista istniała. I dopóki nie powiem, ósmego ma nie być. Zgoda?

- Zgoda - odpowiedział tym razem Luke.

Więc może jednak powiedział „tak”.

\*

Tego samego popołudnia, odprowadzany ciężkimi spojrzeniami współwięźniów z administracji i lekko się zataczając z powodu parsywego bordeaux z klubu Hectora, Luke zebrał swoje szpilki i spinacze, i przeniósł je w ustronne miejsce na trzecim piętrze, gdzie niezbyt piękny, ale w sumie dość porządny gabinet z drzwiami z tabliczką ROSZCZENIA WZAJEMNE rzeczywiście oczekiwał na swego użytkownika. Użytkownik miał na sobie stary rozpinany sweter i z jakiegoś powodu zapragnął powiesić go na oparciu fotela, gdzie potem spoczywał niczym duch jego drugiego ja, gdy wpadał tam co piątek po południu, by powiedzieć coś wesołego przypadkowo napotkanym na korytarzu osobom albo podrzucić listę fikcyjnych wydatków - pieniądze po rozliczeniu sumiennie wpłacał z powrotem na rachunek domu w Bloomsbury.

A już następnego ranka - właśnie kiedy zaczynał jakoś na nowo sypiać - ruszył po raz pierwszy spacerem do Bloomsbury, dokładnie tak, jak szedł teraz - tylko że podczas tamtego, dziewiczego rejsu Londyn smagał ulewny deszcz, zmuszając Luke'a do ubrania się od stóp do głów w nieprzemakalny strój.

\*

Najpierw sprawdził ulicę - w taką ulewę nie był to wielki problem, ale pewnych operacyjnych przyzwyczajeń nie da się zmienić, choćby było się nie wiem jak wyspanym i wyspacerowanym. Jedno przejście z północy na południe, drugie od przecznicy, dochodzącej do głównej ulicy na wprost obiektu, czyli domu pod numerem 9.

Dom okazał się tak ładny, jak obiecywał Hector, nawet w rzęsiстым deszczu: z końca osiemnastego wieku, o prostej fasadzie z

typowej, londyńskiej cegły na wszystkich trzech poziomach, ze świeżo pobielonymi schodkami, prowadzącymi do ciemnobłękitnych drzwi frontowych pod półkolistym okienkiem i z dwoma przesuwanymi oknami po obu ich stronach; a po obu stronach schodków znajdowały się okna do sutereny.

Ale do sutereny nie było osobnych schodów, zauważył machinalnie Luke, gdy podchodził do frontowych drzwi. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka, po czym stał na wycieracze i najpierw nasłuchiwał, nim ściągnął z siebie przemoczony płaszcz i z trzymanej pod nim torby na ramię wyciągnął parę suchych pantofli.

Hol był wyłożony sutą, grubą i krzykliwie szkarłatną wykładziną - spadek po gnojku popędzonym na czas przez Jenny. Stary głęboki fotel obity równie krzykliwie, ale na zielono. Zabytkowe, starannie na nowo pozłoczone lustro. Hector najwyraźniej nie żałował niczego swej ukochanej Jenny, a po zwycięskim boju stoczonym z sępami kapitalizmu zapewne było go na to stać. Na górę prowadziły podwójne schody, również wyłożone grubym chodnikiem. Zawołał: „Jest tam kto?”. Ale niczego nie usłyszał. Pchnął drzwi do salonu. Oryginalny kominek, grafiki Robertsa, kanapa i fotele w porządnym pokrowcach. Świetnie wyposażona nowoczesna kuchnia, patynowany stół sosnowy. Pchnął kolejne drzwi, do sutereny, i zawołał w dół: „Halo! Przepraszam!”. Bez odpowiedzi.

Wszedł na pierwsze piętro, nie słysząc własnych kroków. Na półpiętrze było dwoje drzwi. Te po lewej miały mosiężny zamek na wysokości ramion i wzmocnienie ze stalowej blachy. Te po prawej były zwykłymi drzwiami. Za nimi znajdowały się dwa łóżka bez pościeli i osobna łazienka.

Do klucza od drzwi frontowych, który dostał od Hectora, dołączony był drugi. Zwrócił się ku drzwiom po lewej, przekręcił drugi klucz w ich zamku i wszedł do pogrążonego w ciemności pokoju,



wonijącego damskim dezodorantem, takim jaki kiedyś lubiła Eloise. Wymacał wyłącznik światła. Ciężkie zasłony z czerwonego aksamitu, świeżo powieszzone, starannie zaciągnięte i spięte wielkimi agrafami, przypomniały mu tygodnie spędzone na rekonwalescencji w Szpitalu Amerykańskim w Bogocie. Tylko że tu nie było łóżka. Na środku pokoju stał kręcony fotel, prosty stół na kozłach z komputerem i biurkową lampą. Na ścianie po przeciwnej stronie zwieszały się od samego sufitu aż po podłogę cztery czarne żaluzje z jakiejś woskowanej tkaniny.

Powróciwszy na półpiętro, przechylił się przez poręcz i jeszcze raz zawołał: „Jest tam kto?”. I znów nie uzyskał odpowiedzi. Jeszcze raz wszedł do pokoju z czarnymi żaluzjami, po kolei podniósł je, starannie wsuwając w schowki na suficie. W pierwszej chwili pomyślał, że patrzy na rozwieszony na całej ścianie architektoniczny plan. Ale plan czego? Potem pomyślał, że to chyba jakieś obliczenia. Ale obliczenia czego?

Staranniej przyglądał się kolorowym liniom i odczytał wykonane kaligraficznym pochyłym pismem podpisy pod czymś, co z początku wziął za miasta. Ale co to za miasta, co nazywają się Pastor, Biskup, Książdz i Wikary? Linie, przerywane i nieprzerywane, czarne, przechodzące w szare, zanikające. Linie fioletowe i niebieskie, schodzące się w pęk gdzieś w dół od środka, a może właśnie stamtąd wybiegające?

A wszystkie robią takie objazdy, cofają się to w jedną, to w drugą stronę, skręcają, zapętłają, zmieniają kierunek, w górę, w dół i na bok i znów do góry, że gdyby jego syn Ben, w jednym ze swych niewytłumaczalnych napadów złości, zamknął się w tym pokoju z pudełkiem kredek woskowych, rezultat nie mógłby być inny.

- Podoba się? - zapytał Hector, stając za jego plecami.
- Jesteś pewny, że to nie jest do góry nogami? - odpowiedział Luke, który postanowił nie okazywać zdziwienia.

- Ona nazwała to *Anarchia pieniądza*. Chyba już się nadaje do Tate Modern.

- Jaka ona?

- Yvonne. Nasza żelazna dziewczyna. Pracuje głównie popołudniami. To jej pokój. Twój jest piętro wyżej.

Razem wspięli się na zaadaptowany strych o odkrytych dźwigarach i oknach w dachu. Stół, taki sam, jak u Yvonne. Hector nie jest zwolennikiem szuflad. Komputer stacjonarny, bez Internetu.

- Nie używamy linii naziemnych, ani szyfrowanych, ani nieszyfrowanych - powiedział Hector z cichą stanowczością, do której Luke zaczynał się już przyzwyczajać. - Nie ma tu ani gorącej linii do Kwatery Głównej, ani e-maila, szyfrowanego, nieszyfrowanego, spalonego. Używamy dokumentów tylko jednego rodzaju: te małe, pomarańczowe sztyfciki Olliego. - Trzymał jeden z nich w dłoni: zwykły pendrive z wypalonym na pomarańczowej plastikowej obudowie numerem siedem. - Każdy z nich jest rejestrowany na trasie przejazdu, rozumiesz? Wychodzi, robi się wpis, przychodzi, też. Jeździ z nimi Ollie, on prowadzi dziennik. Spędzisz parę dni z Yvonne, zaraz się nauczysz. Jak czegoś nie wiesz, pytaj. Jakies problemy?

- Raczej nie.

- Tak też myślałem. W takim razie relaksuj się, myśl o Anglii, nie szlajaj się i nie spieprz czegoś.

I pomyśl też o naszej żelaznej dziewczynie. Zawodowa charcica, jaja ze stali, kosztowny dezodorant Eloise.

\*

Przez ostatnie trzy miesiące Luke robił, co mógł, by stosować się do tej rady, i modlił się w duchu, by udało mu się to również dziś. Billy wzywał go już dwukrotnie, by się do niego przymilać, straszyć go,

lub jedno i drugie. Dwa razy uchylał się, wykręcał i łągał zgodnie z instrukcją Hectora, i jakoś przeżył. Ale łatwe to nie było.

- Yvonne nie istnieje ani w niebie, ani na ziemi - zarządził już pierwszego dnia Hector. - Nie istnieje i nigdy istnieć nie będzie. Rozumiesz? Ni mniej, ni więcej. Choćby cię Billy wieształ za jaja na zyrandolu, ty dalej twierdzisz, że ona nie istnieje.

Nie istnieje? Skromna, młoda kobieta w długiej czarnej pelerynie ze szpiczastym kapturem, która stanęła na progu już pierwszego wieczoru jego pierwszego dnia pracy, bez makijażu, trzymając oburącz wypchaną teczkę, jakby właśnie ocaliła ją z potopu - nie istnieje i nigdy nie będzie istnieć?

- Cześć. Jestem Yvonne.

- Luke. Proszę wejść, na miłość boską!

Uścisk ociekającej deszczem dłoni. Wciągają ją do holu. Ollie, najlepszy włamywacz w branży, znajduje wieszak na pelerynę i wieszka ją w ubikacji, by kapłała na płytki na podłodze. Nieistniejąca trzymiesięczna współpraca właśnie się zaczęła. Luke zorientował się jeszcze tego samego wieczoru, że tyrady Hectora na temat papieru nie dotyczyły zawartości pękatej teczki Yvonne. Dlatego, że wszystko, co w niej przynosiła, zniknęło wraz z nią jeszcze tego samego dnia. A to dlatego z kolei, że Yvonne była nie tylko zwykłym analitykiem, lecz również osobowym źródłem informacji.

Jednego dnia jej teczka mogła zawierać na przykład opasłe akta z Bank of England. Kiedy indziej - z Komisji Nadzoru Finansowego, Ministerstwa Skarbu, Urzędu do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. A pewnego niezapomnianego, ważnego piątku znalazło się w niej sześć grubych tomów i mnóstwo kaset magnetofonowych - teczka o mało nie pękła w szwach - z nienaruszalnych archiwów Centrali Łączności Rządowej. Ollie, Luke i Yvonne strawili cały weekend na kopiowaniu, fotografowaniu i powielaniu tych

materiałów w każdy dostępny sposób, by w poniedziałek o świcie Yvonne mogła zwrócić je prawowitym właścicielom.

Luke do dziś nie miał pojęcia, czy łupy te zdobywała legalnie, czy podstępem, czy wykradała je, czy wyłudzała od kolegów i wspólników. Wiedział jedynie tyle, że gdy tylko przychodziła, Ollie porywał jej teczkę do swej nory za kuchnią, gdzie skanował i zapisywał na pendrive jej zawartość, a potem wszystko zwracał: pod koniec dnia Yvonne odnosiła ją do któregoś z urzędów w Whitehall, który oficjalnie ją zatrudniał.

To zresztą też była tajemnica, nie wyjawiona ani razu w ciągu tych długich popołudniowych godzin, które Luke i Yvonne spędzali razem, porównując sławne nazwiska sędów kapitalizmu z przelewami miliardów dolarów, dokonywanymi z prędkością błyskawicy przez trzy kontynenty dziennie albo rozmawiając w kuchni nad zrobioną przez Olliego zupą - jego specjalnością była pomidorowa, ale francuska cebulowa też całkiem nieźle mu wychodziła. Albo *chowder* z krabami, który przynosił jeszcze niegotowy w piknikowym termosie i kończył na gazowej kuchence

- absolutna rewelacja zdaniem wszystkich zainteresowanych. Ale dla Billy'ego Matlocka Yvonne nie istnieje i nigdy istnieć nie będzie. Jest to całkiem możliwe, jeżeli kiedyś spędziło się całe tygodnie na szkoleniu się w odporności na przesłuchania. I jeżeli spędziło się cały miesiąc w kucki, zakuty w kajdany w *redoute* szalonego barona narkotykowego w dżungli, podczas gdy żona dowiadywała się, że jest się niepoprawnym kobieciarzem.

\*

- No, to mamy już kogoś, kto wszystko nam powie, Luke? - pyta Matlock nad filiżanką pysznej herbaty w miło urządzonej kącie

jego wielkiego gabinetu w *la Lubianka-sur-Tamise*, zaprosiwszy Luke'a na pogaduszki, nie trzeba wspominać o tym Hectorowi. - Ty przecież znasz się na informatorach. Parę dni temu, kiedy zaczęła być mowa o wyznaczeniu nowego instruktora prowadzenia agentów, zaraz pomyślałem o tobie. Niezły pięcioletni kontrakt dla kogoś w twoim wieku - mówi Matlock tym swoim akcentem z Midlands.

- Jeżeli mam być całkiem szczery, Billy, wiem tyle co ty - odpowiada Luke, pomny na to, że Yvonne nie istnieje i nigdy nie będzie istnieć, choćby Billy powiesił go za jaja na żyrandolu. Była to jedna z nielicznych rzeczy, o której nie pomyśleli chłopcy narkotykowego barona. - Prawdę mówiąc, Hector chyba wyczarowuje informacje z powietrza. Niesamowite - dodaje z odpowiednio zdeorientowaną miną.

Matlock jakby nie słyszy tej odpowiedzi albo nie przypada mu ona do gustu, bo dobroduszość znika z jego głosu; jak gdyby nigdy jej nie było.

- Tylko że taka fucha instruktorska to obosieczny miecz. Musimy poszukać doświadczonego oficera, który mógłby służyć przykładem naszym idealistycznym, młodym kursantom. Nie muszą dodawać, że kursanci będą płci obojga. Ktoś musiałby przekonać Radę, że kandydatowi nie można zarzucić niewłaściwego prowadzenia się. A to naturalnie należy do Sekretariatu. W twoim przypadku może okazać się konieczne lekkie i twórcze dostosowanie życiorysu.

- To byłaby dla mnie wielka przysługa, Billy.

- Byłaby, byłaby, Luke - zgodził się Matlock. - A jej wyświadczenie zależy również od twojego obecnego zachowania.

\*

Kim była Yvonne? Przez te trzy miesiące z początku doprowadzała Luke'a - teraz mógł to powiedzieć, mógł się do tego przyznać - do

stanu wrzenia. Uwielbiał jej skromność i intymność, którą pragnął z nią dzielić. Jej dyskretnie perfumowane ciało - jeżeli kiedykolwiek pozwoliłaby je odsłonić - na pewno nie odbiegałoby bardzo od klasycznego wzoru piękna, świetnie potrafił to sobie wyobrazić. Spędzali całe godziny z twarzą przy twarzy przed ekranem jej komputera albo przed jej freskiem do Tate Modern, wzajemnie wyczuwając ciepło swych ciał i od czasu do czasu przypadkowo stykając się na chwilę dłońmi. Potrafili dzielić się każdym nowym odkryciem, każdym nowym fałszywym tropem, każdą ślepą uliczką i chwilowym triumfem. I to wszystko w odległości kilku centymetrów jedno od drugiego w sypialni na piętrze utajnionego domu, który przez większość dnia był domem tylko dla nich dwojga.

I wciąż nic. Aż do pewnego wieczoru, gdy oboje siedzieli wyczerpani przy stole kuchennym, delektując się zupą Olliego i - za sugestią Luke'a - odrobiną jednosłodowej Islay Hectora. Luke zaskoczył sam siebie, gdy zapytał Yvonne wprost, jakie prowadzi życie poza tym wszystkim, i czy dzieli je z kimś, kto umie podtrzymać ją na duchu w tej stresującej pracy - dodając ze smutnym uśmiechem, którego zaraz się zawstydził, że przecież tylko odpowiedzi są niebezpieczne, prawda, wcale nie pytania, jeżeli ona wie, o co mu chodzi?

Przez dłuższą chwilę jej niebezpieczna odpowiedź nie pojawiała się:

- Pracuję dla rządu - powiedziała mechanicznym głosem kogoś, kto przedstawia się do kamery w teleturnieju. - Nie mam na imię Yvonne. Gdzie jestem zatrudniona, nie twój interes. Ale chyba tobie nie o to chodzi, tylko o moją orientację seksualną. A w związku z tym również o to, czy chciałabym pójść z tobą do łóżka.

- Yvonne, wcale mi o to nie chodzi! - kłamliwie zaprotestował Luke.

- Muszę cię poinformować, że jestem żoną człowieka, w którym jestem zakochana, mamy trzyletnią córeczkę i nie puszczam się nawet z tak miłymi ludźmi jak ty. Więc może wracajmy do zupy, dobrze? - zaproponowała. I co najdziwniejsze, oboje wybuchnęli w jednej i tej samej chwili oczyszczającym śmiechem. Napięcie zniknęło i mogli spokojnie wrócić do swych osobnych kątów.

\*

A kim był Hector po trzech miesiącach ciągłych, choć sporadycznych kontaktów? Hector, z tym swoim rozgorączkowanym spojrzeniem i skatologicznymi tyradami przeciw złodziejom z City, którzy są źródłem wszelkiego zła? W Firmie plotkowano, że skutecznie ratując życie rodzinnemu interesowi, Hector zniżył się do metod wypracowanych podczas wielu lat praktykowania sztuk zła, które nawet według spaczonyj moralności City były do gruntu nieuczciwe. Czy więc jego wendeta na złoczyńcach z City motywowana była zemstą - czy poczuciem winy? Ollie, który zwykle stronił od plotek, nie miał najmniejszych wątpliwości: doświadczenie Hectora z grzechami City - i według Olliego, zastosowanie tych samych metod przez niego samego - zmieniło go w jednej chwili w anioła zemsty. - Złożył ślubowanie - zwierzał się im w kuchni, gdy w trójkę czekali na jedno z wieczornych pojawień się Hectora. - Że przed śmiercią zbawi świat, choćby miał zginąć.

\*

Luke wiecznie się czymś zamartwiał. Zamartwiał się wszystkim już od dzieciństwa. Zupełnie tak samo, jak się zakochiwał.

Potrafił zamartwiać się do tego samego stopnia tym, czy zegarek spieszy się, czy spóźnia o dziesięć sekund, co losami własnego małżeństwa, które można było uznać za niebyłe w każdym pomieszczeniu domu poza kuchnią.

Zamartwiał się, że wybuchy złości jego syna Bena to coś więcej niż przejściowe wyrazy buntu młodego człowieka, i że Ben jest pewnie nastawiany do niego wrogo przez mamę.

Zamartwiał się, że w pracy zawsze jest spokojny a że poza pracą, nawet gdy idzie przez miasto, staje się kłębkim nerwów.

Zamartwiał się, że może trzeba było przełknąć dumę i przyjąć złożoną przez Pierwszą Kadrową ofertę pomocy psychiatrycznej.

Zamartwiał się o Gail i o swój popęd do niej lub do jakiejś innej dziewczyny w jej typie: dziewczyny o twarzy rozświetlonej prawdziwym światłem, a nie zakrytej ponurą chmurą, która zdawała się wisieć nad Eloise nawet w pełnym słońcu.

Zamartwiał się o Perry'ego i usiłował nie być o niego zazdrosny. Zamartwiał się tym, która z dwóch natur Perry'ego weźmie górę w sytuacji operacyjnej: dzielny wspinacz czy akademicki, idealistyczny moralista - i czy istnieje jakakolwiek różnica między jednym a drugim.

Zamartwiał się nieuchronną konfrontacją Hectora i Billy'ego Matlocka, i tym, który z nich pierwszy wybuchnie - albo będzie udawał, że wybucha.

\*

Opuściwszy bezpieczny Regent's Park, znalazł się w tłumie niedzielnych zakupowiczów poszukujących okazji. Wyluzuj się, powiedział sobie. Wszystko będzie dobrze. Hector dowodzi, nie ty.



Po kolei rejestrował znaczące miejsca. Od Bogoty było to dla niego bardzo ważne. Jeżeli mnie porwą, to będzie ostatnia rzecz, którą zobaczę, nim założą mi opaskę na oczy.

Chińska restauracja.

Nocny klub Big Archway.

Księgarnia Gentle Readers.

Szamocząc się z napastnikami, czułem zapach zmielonej kawy.

Nim mnie ogłuszyli, zobaczyłem zaśnieżone sosny na wystawie galerii obrazów.

To jest numer dziewięć, dom, w którym urodziłem się na nowo, trzy kroki do drzwi frontowych, zachowuj się jak zwykły lokator.

## 9.

Między Hectorem i Matlockiem nie są konieczne żadne formalności, ani przyjazne, ani jakiegokolwiek inne, i pewnie zawsze tak było: dwóm starym zawodnikom, szykującym się do kolejnych zmagania, wystarczy skinienie głową i milczący uścisk dłoni. Matlock przyszedł na piechotę, bo kierowca podrzucił go tylko do rogu.

- Bardzo ładna ta wiltonowska wykładzina, Hectorze - powiedział, równocześnie powoli rozglądając się dookoła, jakby już teraz potwierdzały się jego najgorsze obawy.

- Nie ma to jak Wilton, jeśli chodzi o stosunek jakości do ceny. Dzień dobry, Luke. Czyli będzie tylko was dwóch, tak? - wręczając Hectorowi swój płaszcz.

- Służba poszła na wyścigi - odpowiedział Hector, wieszając podany płaszcz.

Matlock był wielki jak byki szeroki w ramionach, o wielkiej głowie, i na pierwszy rzut oka dobronuduszy. Chodził lekko schylony, czym przypominał Luke'owi podstarzałego napastnika drużyny rugby. Jego akcent z Midlands - twierdzili plotkarze z parteru - stał się bardziej słyszalny za rządów Nowej Partii Pracy, ale już zaczynał słabnąć w przewidywaniu jej wyborczej porażki.

- Będziemy w suterenie, Billy, jeśli ci to odpowiada - powiedział Hector.

- Nie mam wyjścia, musi mi odpowiadać. Piękne dzięki, Hectorze - odparł Matlock, ani miło, ani niegrzecznie, pierwszy schodząc

po kamiennych stopniach. - A swoją drogą ile płacimy za ten lokal?

- Ani pensa. Jak dotąd ja stawiam.
- To my tobie płacimy, Hectorze, a nie ty Firmie.
- Jak tylko dasz nam zielone światło, zaraz przedstawię rachunek.

nek.

- Który ja sprawdzę - powiedział Matlock. - Co to, rozpiłeś się?
- To była kiedyś piwniczka na wino.

Zajęli miejsca. Matlock przywłaszczył sobie miejsce honorowe. Hector, zazwyczaj uparty technofob, zasiadł po lewej ręce Matlocka, by mieć przed sobą magnetofon i klawiaturę komputera. A po lewej ręce Hectora usadowił się Luke, dzięki czemu każdy z nich miał doskonały widok na ekran plazmowy, który w ciągu poprzedniej nocy zamontował nieobecny w tej chwili Ollie.

- Billy, czy miałeś czas przewertować ten cały materiał, którym cię zarzuciliśmy? - zapytał ze współczuciem Hector.

- Bardzo przepraszam, bo pewnie przez nas nie pograłeś w golfa.

- Jeżeli to, co mi przysłałeś, to wszystko, to tak, Hectorze, przewertowałem, dziękuję - odpowiedział Matlock.

- Choć zdążyłem się już nauczyć, że w twoim przypadku słowo wszystko staje się określeniem nieco względnym. Poza tym nie grywam w golfa i nie jestem wielkim miłośnikiem streszczeń, których unikam, gdy tylko się da.

A specjalnie nie lubię twoich streszczeń. Wolałbym nieco więcej surowego materiału, a nieco mniej hochsztaplerstwa.

- To może damy ci teraz trochę tej surowizny i się pogodzimy? - zaproponował równie słodko Hector. - Rozumiem, że obaj nadal mówimy po rosyjsku, Billy?

- O ile ty wszystkiego nie zapomniałeś, kiedy byłeś zajęty zbieraniem fortuny, to owszem, mówimy.

Są jak stare małżeństwo, pomyślał Luke, gdy Hector przyciskał klawisz magnetofonu. Każda nowa kłótnia to powtórka tej, którą odbyli poprzednim razem.

\*

Sam głos Dimy zadziałał na Luke'a jak początek filmu w technicolorze. Za każdym razem, gdy słuchał kasety, którą niewinny Perry przemycił w kosmetyczce, pozostawał w nim wciąż ten sam obraz Dimy w lesie otaczającym Trzy Kominy, skulonego nad trzymanym w tej jego nieprawdopodobnie delikatnej dłoni dyktafonem, na tyle daleko od domostwa, by nie być słyszany przez prawdziwe lub wymagane przez Tamarę mikrofony, ale na tyle blisko, by pojechać z powrotem, jeżeli ona zawrześnie za nim, by przyszedł odebrać kolejny telefon.

Luke słyszał trzy wiatry, idące o lepsze nad lśniąca łysiną Dimy. Widział trzęsące się nad nim wierzchołki drzew. Słyszał ogłuszający szum liści i chlupot wody, i wiedział, że to ten sam tropikalny deszcz, który jego samego przemakał do suchej nitki w kolumbijskiej dżungli. Czy Dima zrobił to nagranie podczas jednej sesji czy kilku? Czy między jednym a drugim nagraniem musiał podtrzymywać się na duchu kolejnymi kieliszkami wódki, by zwalczyć swe *worskie* zahamowania? Co chwila jego rosyjski warkot przechodzi w angielszczyznę, być może dla pamięci, kim są jego spowiednicy. Co chwila zwraca się do Perry'ego. A czasem do wielu Perrych:

- Wy angielscy dżentelmeni! Proszę! U was *fair play*, u was państwo prawa! Wy czyście! Ja wam ufam. Wy też Dimie zaufajcie!

A potem znów powraca do swej ojczystej, rosyjskiej mowy - ale z taką uwagą dla szczegółów gramatycznych, tak eleganckiej i

wymownej, że w wyobraźni Luke'a Dima usiłuje zmyć z siebie plamę Kołomy, nim zacznie obracać się w towarzystwie *gentlemen* i ich *ladies* na wyścigach w Ascot:

- Człowiek, którego nazywają Dima, numer jeden w praniu brudnych pieniędzy dla Siedmiu Braci, główny doradca finansowy reakcyjnego samozwańca nazywającego się Księciem, pozdrawia sławne angielskie tajne służby i pragnie przedstawić następującą ofertę cennych informacji w zamian za wiarygodne gwarancje udzielone przez rząd Wielkiej Brytanii. Na przykład.

Potem mówi tylko wiatr, więc Luke wyobraża sobie Dimę, ocierającego pot i łyż wielką jedwabną chustką - to głos Luke'a, ale Perry wielokrotnie wspominał o chustkach do nosa - nim pociągnie kolejny łyk z butelki i przejdzie do ostatecznego i nieodwracalnego aktu zdrady.

- Przykład. Działalność przestępczej organizacji Księcia, znanej obecnie pod nazwą Siedmiu Braci, obejmuje:

Po pierwsze: import i rebranding objętej embargiem ropy z Bliższego Wschodu. Ja znam te transakcje. Zamieszani są w to liczni skorumpowani prawnicy, włoścacy i brytyjscy.

Po drugie: wprowadzanie brudnych pieniędzy w wielomiliardowe zakupy ropy. Od tego głównym specjalistą dla wszystkich siedmiu *worskich* Bractw był mój przyjaciel Michaił, zwany Misza. Właśnie w tym celu mieszkał też w Rzymie.

Kolejna pauza, więc może bezgłośny toast ku czci świętej pamięci Miszy, po którym następuje wylewny powrót do łamanej angielszczyzny:

- Przykład: wycinka na czarno, Afryka. Najpierw pomieniali czarne drzewo na białe. Potem brudne pieniądze na czyste pieniądze. *Normalno*. Prosto. W tropikalnej Afryce dużo, dużo ruskich przestępców. A i brudne diamenty, też nowy handel, interesujący dla Bractw.

I dalej po angielsku:

- Przykład czwarty: podrabianie lekarstw, *made in India*. Niedobre lekarstwa, nie leczą, można przyzgać się, nawet umrzeć. Oficjalne państwo Rosja ma bardzo ciekawe stosunki z oficjalnym państwem India. A tak samo interesujące stosunki między indyjskimi i rosyjskimi Bractwami. Ten, którego nazywają Dima, zna wiele interesujących nazwisk, angielskich też, w tych strukturach pionowych, i zna różne poufne układy finansowe w Szwajcarii.

Wiecznie zamartwiający się czymś Luke zмага się teraz, w zastępstwie Hectora, z kryzysem wiary impresaria.

- Głośność w sam raz, Billy? - pyta Hector, zatrzymując magnetofon.

- Głośność w porządku, dziękuję - mówi Matlock, na tyle akcentując słowo głośność, by dać do zrozumienia, że można mieć wątpliwości co do treści.

- No, to jedziemy dalej - mówi Hector, trochę zbyt potulnie jak na gust Luke'a, podczas gdy Dima z ulgą powraca do swej rodzimej ruszczyzny:

- Przykład: w Turcji, na Krecie, Cyprze, Maderze, w wielu ośrodkach na wybrzeżu czarne hotele, bez gości, dwadzieścia milionów brudnych dolarów na tydzień. Te pieniądze też pierze ten, którego nazywają Dima. Uczestniczą w tym pewne brytyjskie przestępcze niby to agencje nieruchomości.

Przykład: osobisty udział skorumpowanych urzędników Unii Europejskiej w transakcjach w przestępczym handlu mięsem. Do handlu mięsem potrzebne certyfikaty najwyższej jakości, żeby eksportować do Federacji Rosyjskiej. Za te transakcje znów osobiście odpowiedzialny był mój przyjaciel Misza.

Hector znów zatrzymuje magnetofon, bo Matlock uniósł dłoń.

- W czym mogę ci pomóc, Billy?
- On to wszystko czyta.
- A co w tym złego, że czyta?
- Nic. Pod warunkiem, że wiemy, z czego czyta.
- Z tego co wiemy, część tekstu przygotowała mu jego żona,

Tamara.

- Ach, tak? To ona dyktuje mu, co ma mówić? - powiedział Matlock. - To mi się nie podoba. A jej kto mówi, co powiedzieć?

- Może przesunę trochę dalej? Teraz będzie tylko o tym, jak nasi unijni koledzy trują ludzi. Jeżeli to poza twoimi kompetencjami, powiedz tylko słowo.

- Bardzo proszę, procedujemy, jak procedujemy, Hectorze. Od tej chwili zachowam swoje uwagi na później. Nie jestem do końca przekonany, czy potrzebujemy materiałów wywiadowczych na temat handlu mięsem z Rosją, ale możesz na mnie liczyć, że szybko się dowiem.

\*

Historia, którą zaraz miał opowiedzieć Dima, była dla Luke'a naprawdę wstrząsająca. Wiele w życiu przeżył, ale to nie stępiło jego świadomości. Nie wiadomo natomiast, co myślał o tym Matlock. Tym razem Dima jeszcze raz posłużył się angielszczyzną Tamary:

- Układ przestępczy robi tak. Po pierwsze: Księżę załatwia przez skorumpowanych urzędników w Moskwie, że część mięsa to „mięso charytatywne”. Żeby takie było, ono musi być tylko dla potrzebujących w społeczeństwie rosyjskim. Dlatego na mięso, z którego robi się przestępstwem charytatywne, nie ma podatku. Po drugie: mój przyjaciel Misza, ten, co nie żyje, kupuje tusze padłych zwierząt w Bułgarii. To mięso niebezpiecznie jeść, bardzo złe, bardzo tanie. Po trzeciej: mój przyjaciel Misza, ten, co nie żyje, załatwia z bardzo skorumpowanymi urzędnikami w Unii Brukselskiej, że wszystkie tusze z Bułgarii dostają „pieczętkę unijnego certyfikatu, że to włoskie mięso, najlepsza jakość i europejski najwyższy standard”.

Za tę przestępczą usługę, ja, Dima, osobiście wpłacam sto euro za tuszę na szwajcarskie konto bardzo skorumpowanego urzędnika z Brukseli, dwadzieścia euro za tuszę na szwajcarskie konto bardzo skorumpowanego urzędnika w Moskwie. Czysty zysk dla Księcia, po odliczeniu wszystkich innych kosztów: tysiąc dwieście euro od tuszy.

Jakieś pięćdziesiąt rosyjskich ludzi, dzieci też, zachorowały i zmarły od tego złego bułgarskiego mięsa. To tylko tak mniej więcej, bo oficjalnie informacja zakazana. Ja znam nazwiska tych bardzo skorumpowanych urzędników, i numery kont w bankach szwajcarskich też.

I surowe postscriptum, wygłoszone dobitnie:

- Moja małżonka, Tamara Lwowna, jest osobiście przekonana, że niemoralna dystrybucja złego bułgarskiego mięsa, dokonywana przez przestępczo skorumpowanych urzędników europejskich i rosyjskich, musi niepokoić wszystkie chrześcijańskie osoby dobrej woli na całym świecie. Taka jest wola Boża.



Niespodziewane pojawienie się Boga w tym kontekście wywołało lekkie zamieszanie.

- Niech mi ktoś przypomni, o co chodzi z tymi czarnymi hotelami? - Matlock zwrócił się z tym pytaniem w powietrze. - Tak się składa, że jeżdżę na wakacje na Madère. W moim hotelu nie zauważyłem nic szczególnie czarnego.

Czując konieczność ochrony przygaszonego Hectora, Luke postanowił zostać tym ktosiem, który wytłumaczy Matlockowi, co to takiego czarny hotel:

- Kupuje się świetną działkę, najczęściej nad samym morzem, Billy. Płaci się gotówką, buduje luksusowy, pięciogwiazdkowy ośrodek wypoczynkowy. Albo kilka ośrodków, zawsze za gotówkę. Jak jest miejsce, to oprócz hotelu stawia się jakieś pięćdziesiąt domków. Sprowadza się najlepsze meble, sztuce, porcelanę, pościel. Od tej pory wszystkie pokoje w hotelach i wszystkie domki są zajęte. Tylko że, widzisz, nikt w nich nie mieszka. Dzwoni biuro podróży: *sorry*, mamy pełne obłożenie. Co miesiąc pod bank zajeżdża furgonetka z pieniędzmi i wyładowuje całą gotówkę za wynajem pokoi, wynajem domków, utarg z restauracji, kasyn, nocnych klubów i barów. Po paru latach taki ośrodek to fantastyczny towar na sprzedaż. Z takimi wynikami finansowymi...

Brak reakcji poza rozszerzeniem się dobrotliwego uśmiechu Matlocka do maksymalnych rozmiarów.

- Zresztą nie tylko ośrodki. To samo można robić z tymi dziwnie pustymi wioskami wakacyjnymi. Na pewno je widziałeś, jak zbiegają tureckimi dolinami nad samo morze: dziesiątki białych wili. Z grubsza wszystko, co można wynająć. To samo z wynajmem samochodów, jeżeli wie się, jak prowadzić dokumentację.

- Dobrze się dziś czujesz, Luke?
- Dobrze, dziękuję, Billy.

- A wiesz, że zastanawiamy się, czy by ci nie dać orderu za ofiarność i odwagę?

- Nie, nie wiedziałem.

- No więc zastanawiamy się. Oczywiście w tajemnicy, nie publicznie. Czyli nic, co mógłbyś przyszpilić sobie na piersi w Dniu Pamięci. To byłoby nieostrożne. I niezgodne ze zwyczajem.

- Oczywiście - powiedział kompletnie skołowany Luke, myśląc równocześnie, że taki order to może jedyna szansa, by wyrwać Eloise z depresji, i że to pewnie kolejny podstęp Matlocka. Mimo to już chciał powiedzieć coś odpowiedniego - wyrazić zdumienie, wdzięczność, radość - gdy zauważył, że Matlock już się nim nie interesuje:

- Wszystko, co do tej pory usłyszałem, Hectorze, to że jak wytnie się te wszystkie pierdoły, a ja raczej bym wyciął, moim skromnym zdaniem zostaje zwykła międzynarodowa przestępczość. W porządku, zgoda, Firma ma w statucie zajmowanie się międzynarodową przestępczością i praniem brudnych pieniędzy. Walczyliśmy o udział w tym rynku w ciężkich czasach, i to jest tych czasów spuścizna. Chodzi mi oczywiście o te ciężkie czasy między upadkiem muru berlińskiego a przysługą, jaką wyświadczył nam Osama bin Laden swoim jedenastym wrześniem. O rynek prania brudnych pieniędzy walczyliśmy tak, jak o największy kawałek Irlandii Północnej i o wszelkie inne drobiazgi, którymi mogliśmy uzasadniać nasze istnienie. Ale tak było kiedyś, Hectorze. A teraz jest teraz, a na teraz, czyli na dzień dzisiejszy, nasza wspólna Firma ma lepsze rzeczy do roboty, niż dawać sobie wciągnąć gacie w bardzo skomplikowane tryby finansów londyńskiego City. Wielkie dzięki.

Matlock urwał, czekając - według Luke'a - nie wiadomo na co, może na brawa, ale Hector, sądząc po jego kamiennym wyrazie twarzy, był jak najdalszy od urządzania owacji, więc Matlock zrobił wdech i mówił dalej.

- Poza tym na dzień dzisiejszy mamy w naszym kraju wielką, w pełni do tego powołaną, nieco przefinansowaną siostrzaną agencję, która skupia się, mniejsza z tym, jak skutecznie, na zwalczaniu poważnej przestępczości zorganizowanej, bo, o ile rozumiem, właśnie coś takiego chcecie tutaj ujawnić. Nie mówiąc już o Interpolu i całym mnóstwie amerykańskich instytucji, które wprost depczą sobie po tych swoich wielkich piętach, by wypełnić to samo zadanie, równocześnie nie narażając na straty swego wielkiego, wspaniałego kraju. Chodzi mi o to, Hectorze... Poczekaj, niech skończę... Chodzi mi o to, że nie mam pojęcia, po co mnie tu sprowadziłeś, i to jeszcze w takim pośpiechu. Wiemy wszyscy, że to, co tu masz, to pilna sprawa, ale nie za bardzo wiem, dla kogo pilna. Bo może nawet to wszystko prawda. Tylko czy to nasza sprawa, Hectorze? Czy nasza?

Pytanie było najwyraźniej retoryczne, bo nie przestawał mówić.

- A może jest wręcz tak, Hectorze, że na własne ryzyko wchodzisz w szkodę naszej bardzo na to wyczulonej, siostrzanej agencji, z którą dopiero co, po wielu miesiącach nieprzyjemnych negocjacji, ja z moim Sekretariatem właśnie wypracowałem z takim trudem linie demarkacyjne? Bo jeśli tak, to oto moja rada: spakuj cały materiał, który właśnie mi odtworzyłeś, i wszystko inne, co masz na ten temat, i natychmiast przekaż naszej siostrzanej agencji wraz z pokornie przepraszającym listem, że ośmieliłeś się wtargnąć w uświęcone obszary jej kompetencji. A jak już to zrobisz, sugeruję przyznanie i sobie, i obecnemu tu Luke'owi, i komukolwiek, kogo jeszcze trzymasz w szafie, dwóch tygodni zasłużonego chorobowego.

Czyżby sławna zimna krew Hectora wreszcie go opuściła? - zastanawiał się z niepokojem Luke. Czy tak zmęczyły go utarczki z Gail i Perrym? A może tak bardzo koncentruje się na szczytnych celach swej misji, że zapomniał o taktyce?

A Hector leniwie wyciągnął palec, pokręcił głową, westchnął i przesunął taśmę w przód.

\*

Dima jest spokojny. Dima czyta z kartki, czy się to Billy'emu podoba, czy nie. Dima, silny i pełen godności, wygłasza uprzednio przygotowaną orację w najlepszej, uroczystej ruszczyźnie:

- Przykład. Szczegóły bardzo tajnego układu, zawartego w roku 2000 w Soczi pomiędzy siedmioma sprzymierzonymi *worskimi* Bractwami, podpisanego przez Siedmiu Braci i nazwanego Porozumieniem. Na mocy tego układu, wynegocjowanego osobiście przez uzurpatorską sukę, Księżcia, ze znacznym udziałem Kremla, wszystkich siedmiu sygnatariuszy zobowiązuje się:

Po pierwsze: wypracować i udostępnić innym sprawdzone i skuteczne kanały przerzutu pieniędzy według planów tego, którego nazywają Dima, a który od tej chwili staje się człowiekiem numer jeden od prania brudnych pieniędzy wszystkich siedmiu Bractw.

Po drugie: prowadzić wszystkie wspólne konta bankowe zgodnie z *worskim* kodeksem honorowym. Każde odstępstwo będzie karane śmiercią winowajcy oraz wiecznym wykluczeniem macierzystego Bractwa winowajcy.

Po trzecie: otworzyć legalne przedstawicielstwa w następujących trzech ośrodkach finansowych: Toronto, Paryż, Rzym, Berno, Nikozja, Londyn. Ostateczne przeznaczenie wszystkich wypranych środków: Londyn. Najważniejsze przedstawicielstwo: Londyn. Najlepsze perspektywy dla długotrwałego zaangażowania bankowego: Londyn. Najlepsze perspektywy dla utrzymania i zachowania zdobytych środków: Londyn. To też zostało uzgodnione.

Po czwarte: zadanie ukrycia pochodzenia brudnych pieniędzy i przekazanie ich do rajów podatkowych będzie wciąż główną i wyłączną odpowiedzialnością tego, którego nazywają Dima.

Po piąte: ten sam Dima zostaje dysponentem dla wszystkich większych przelewów. Każdy sygnatariusz Porozumienia wyznaczy jednego czystego przedstawiciela. Czysty przedstawiciel będzie posiadał jedynie prawo kontrasygnaty.

Po szóste: do wprowadzenia wszelkich istotnych zmian w powyższym systemie konieczna jest obecność wszystkich siedmiu przedstawicieli zgodnie z *worskim* prawem.

Po siódme: niniejszym uznaje się zwierzchnictwo tego, którego nazywają Dima, jako głównego architekta wszystkich mechanizmów prania brudnych pieniędzy w rozumieniu Porozumienia z Soczi z 2000 roku.

- I amen, można powiedzieć - mruczy Hector, znów wyłącza magnetofon i zerka na Matlocka, by widzieć, jak zareaguje. Luke czyni podobnie i natychmiast zostaje poczęstowany dość nieoczekiwanym, pobłażliwym uśmiechem.

- Wiesz co, Hectorze, myślę, że sam też potrafiłbym wymyślić coś takiego - mówi, kiwając głową, jakby z podziwem. - Cóż mogę powiedzieć? Piękna sprawa. Powiedziane płynnie, z wyobraźnią, genialny aktor. Któż mógłby kwestionować prawdomówność tak wspaniałego, wszechogarniającego zeznania? Ja sam na początek dałbym mu Oscara. Co to jest ten „czysty przedstawiciel”?

- Czysty, czyli nienotowany, Billy. Niekarany. Księgowy, prawnik, dorabiający na boku policjant albo oficer wywiadu, każdy porządny *wor*, który może podróżować, podpisywać się, jest wierny swemu Bractwu i wie, że obudzi się z własnymi jajami w gębie, jeżeli będzie kradł ze wspólnego kotła.

\*

Hector, który w tej chwili wciąż bardziej przypomina Luke'owi zaginionego prawnika rodzinnego niż prawdziwego, niezwycięzonego Hectora, zagląda do wymiętej karteczki, na której chyba wypisał sobie plan spotkania i jeszcze raz przewija taśmę do przodu.

- ...*mapa* - warczy po rosyjsku Dima.
- Cholera, za późno - mamrocze Hector i lekko cofa.

- Po otrzymaniu odpowiednich gwarancji brytyjskich zostanie też przekazana bardzo tajna, bardzo ważna mapa.

Dima ciągnie dalej, ale znów czyta, znów szybko, znów po rosyjsku:

- Na mapie będą zapisane międzynarodowe trasy wszystkich brudnych pieniędzy, którymi zawiaduje mówiący do was ten, którego nazywają Dima.

Na prośbę Matlocka Hector znowu pauzuje taśmę.

- Przecież on tu mówi nie o mapie, tylko o schemacie organizacyjnym - narzeka Matlock tonem człowieka, który musi poprawiać niedoskonałe słownictwo Dimy. - Pozwólcie, że wam powiem, co sądzę o schematach organizacyjnych. Wiele już takich schematów w życiu widziałem. Zwykle przypominają wielobarwne zwoje drutu kolczastego, prowadzące, wiem to z doświadczenia, donikąd. Innymi słowy, moim zdaniem są kompletnie bezużyteczne - dodaje z satysfakcją. - Umieszczam je w tej samej

mniej więcej kategorii co rewelacje o mitycznych konferencjach przestępców nad Morzem Czarnym w roku 2000.

*Musisz zobaczyć schemat Yvonne, oszalałbyś z radości, ma ochotę mu powiedzieć Luke w przypiływie wisielczego humoru.*

Matlock, gdy czuje, że wygrywa, larwo nie odpuszcza. Kręci głową i uśmiecha się, niby to z żalem:

- Wiesz co, Hector? Gdybym ja dostawał banknot pięćofuntowy za każdy materiał z niesprawdzonego źródła, na które nasza Firma dała się nabrać przez te wszystkie lata... Z przyjemnością dodam, że nie tylko za moich czasów... No, to byłbym bogatym człowiekiem. Schematy organizacyjne, masoni, teorie spiskowe, no i ta stara, zielona szopa na Syberii, pełna przerdzewiałyh bomb wodorowych... dla mnie to jeden pies. Tak, byłbym bogaty. Może nie tak bogaty, jak ich pomysłowi autorzy, może nawet nie tak bogaty jak ty. Ale jak na mój gust wystarczająco bogaty, w sam raz, dziękuję bardzo.

*Dlaczego, do diabła, Hector nie usadzi tego Kill Billa? Ale Hector sprawia wrażenie, jakby nie miał najmniejszej ochoty się odgryźć. Co gorsza i ku rozpaczy Luke'a, nawet już nie próbuje odtworzyć ostatniej części historycznej propozycji Dimy. Wyłącza magnetofon, jakby chciał powiedzieć: „No, spróbowałem, nie udało się”, i ze smutnym uśmiechem, pełnym żalu głosem: „To może pójdzie lepiej, jak pokażę ci parę filmików, Billy”, bierze do ręki pilot od plazmowego monitora i wyłącza światło.*

\*

W półmroku amatorska kamera wideo drżąc przesuwana się po blankach średniowiecznej fortecy, potem przejeżdża na falochron starego portu, pełnego eleganckich jachtów. Zapada zmierzch, kamera

nie jest najwyższej jakości, nie daje sobie rady z coraz gorszym światłem. Trzydziestometrowy, luksusowy jacht, cały w złocie i błękitach, stoi na kotwicy poza falochronem. Jest w pełnej iluminacji, w każdym bulaju świeci się światło. Woda niesie dalekie dźwięki muzyki tanecznej. Może ktoś obchodzi tam urodziny? A może to wesele? Nad burtą powiewają flagi Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i Rosji. A na maszcie bandera ze złotym wilkiem na szkarłatnym tle.

Kamera robi zbliżenie na dziób. Nazwa statku, wypisana pięknymi, złotymi literami w dwóch alfabetych, łańskim i cyrylicą, to „Księżna Tatiana”.

Hector komentuje obojętnym, spokojnym głosem:

- Należy do świeżo założonej firmy o nazwie First Arena Credit Bank of Toronto, zarejestrowanej na Cyprze, która z kolei należy do pewnej fundacji w Liechtensteinie, która z kolei należy do pewnej firmy zarejestrowanej na Cyprze - oświadcza sucho. - Czyli taki kapitał wzajemny. Co dajesz firmie, ona ci oddaje. Jacht nazywał się do niedawna „Księżna Anastazja”, bo tak miała na imię poprzednia dziewczyna Księcia. Nowa nazywa się Tatiana, możemy dopowiedzieć sobie resztę. Książę musi obecnie dla zdrowia pozostawać w Rosji, więc Ss „Księżna Tatiana” został wyczarterowany międzynarodowemu konsorcjum o dość śmiesznej nazwie: First Arena Credit International, kompletnie niezależnej osobie prawnej, zarejestrowanej... na pewno się zdziwisz... na Cyprze.

- A co mu jest? - pyta napastliwie Matlock.

- Komu?

- Księżciu. Co, głupie pytanie? Czemu nie może wyjechać z Rosji?

- Odczekuje, póki Amerykanie nie wycofają jakichś kompletnie bezsensownych zarzutów o pranie brudnych pieniędzy, które parę lat temu przeciwko niemu wysunęli. Dobra wiadomość jest taka, że nie



będzie już długo czekał. Dzięki skutecznemu lobbowaniu w pałacach waszyngtońskich wkrótce okaże się, że sprawy nie ma. Zawsze dobrze wiedzieć, gdzie wpływowi Amerykanie mają nielegalne, zagraniczne konta.

Kamera przeskakuje na rufę. Załoga ubrana w rosyjskim stylu: pasiaste koszulki, marynarskie czapeczki z pomponem. Helikopter podchodzi do lądowania. Kamera wraca od niego na rufę, niepewnie zjeżdża do linii wody, obraz ciemnieje. Do jachtu przybija motorówka z pasażerami. Załoga skwapliwie pomaga pasażerom, którzy w eleganckich strojach wspinają się po drabince.

Znów powrót na rufę. Helikopter już wylądował, ale łopaty śmigła wciąż powoli wirują. Po wyłożonych czerwonym chodnikiem schodkach wchodzi na pokład pierwsza wielka pani w rozdętej przez podmuch śmigła sukni. Po niej druga wielka pani, a potem cały wianuszek wielkich panów w marynarkach i białych butach, razem sześć osób. Słabo widoczna na ekranie wymiana uścisków. Odległe okrzyki powitań na tle muzyki tanecznej.

Cięcie. Podpływa druga motorówka, przywożąc ładne dziewczęta. Obcisłe dzinsy lub zwiewne spódniczki, mnóstwo nagich nóg i ramion, pną się po drabince. Gdy ładne dziewczęta stoją już na pokładzie, rządkiem słabo widocznych trębaczy w strojach kozackich intonuje powitalne fanfary.

Niezgrabne przejście na gości, zgromadzonych na głównym pokładzie. Jak dotąd osiemnaście osób. Luke i Yvonne już je policzyli.

Film zatrzymuje się i staje się serią paskudnie wykonanych zbliżeń, dodatkowo znacznie powiększonych przez Olliego. Pojawia się napis MAŁY PORT NA ADRIATYKU NIEDALEKO DUBROWNIKA, 21 czerwca 2008. To pierwszy z licznych podpisów i napisów, sporządzonych wspólnie przez Yvonne, Luke'a i Olliego, które mają służyć jako akompaniament do słownego komentarza Hectora.

Ciszę w suterenie można kroić nożem. Zupełnie jakby wszyscy obecni, łącznie z Hectorem, wstrzymali równocześnie oddech. Może wstrzymali. Nawet Matlock pochyla się do przodu i z napięciem wpatruje w plazmowy ekran.

\*

Pogrążeni w rozmowie dwaj świetnie zakonserwowani ludzie interesu w drogich, szytych na miarę garniturach. Za nimi nagi kark i ramiona kobiety w średnim wieku, z podlakierowanym, siwym kokiem na głowie. Stoi tyłem i ma na sobie kolię z czterech rzędów diamentów i kolczyki do kompletu, który razem musiał kosztować Bóg wie ile. Przy lewej krawędzi ekranu haftowany rękaw i dłoń w białej rękawiczce kozackiego kelnera podsuwa srebrną tacę pełną kieliszków szampana.

Zbliżenie na dwóch ludzi interesu. Jeden z nich jest w białym smokingu. Czarnowłosa, o kwadratowej szczęce, wygląda na Latynosą. Drugi ma na sobie bardzo angielską, dwurzędową granatową marynarkę z mosiężnymi guzikami, czyli - jak chętniej określają to brytyjskie wyższe sfery, Luke też, bo takie ma pochodzenie - *boating jacket*. W porównaniu z rozmówcą jest człowiekiem młodym. Jest też przystojny, w taki sam sposób, w jaki przystojni byli osiemnastowieczni młodzieńcy na portretach, które ofiarowywali szkole Luke'a po jej ukończeniu: szerokie czoło, cofnięta linia włosów, dumne, iście bajroniczne spojrzenie pełne zmysłowej pewności siebie, ślicznie odęte wargi i postawa pozwalająca traktować z góry każdego niezależnie od wzrostu.

Hector wciąż nie powiedział ani słowa. Wspólnie zdecydowali, by to podpisy mówiły to wszystko, co widać na pierwszy rzut oka: że dwurzędowy *boating jacket* z mosiężnymi guzikami należy do jednego z przywódców opozycji Jej Królewskiej Mości, sekretarza

stanu w gabinecie cieni, wyznaczonego do objęcia stratosferycznie wysokiego stanowiska po następnych wyborach.

Ku wielkiej uldze Luke'a to Hector przerwał niezręczne milczenie.

- Według partyjnych ulotek jego celem numer jeden będzie „wywalczenie dla brytyjskiego handlu wiodącej pozycji na międzynarodowych rynkach finansowych”, cokolwiek to znaczy - zauważa uszczypliwie z lekkim przypiływem swej dawnej energii. - I oczywiście położenie kresu ekscesom bankowym. No ale to obiecują wszyscy, prawda? Że kiedyś, jak się uda...

Matlock odzyskał głos:

- Hectorze, nie da się robić interesów, nie zawierając znajomości - protestuje. - Tak już jest na tym świecie, o czym akurat ty powinieneś wiedzieć najlepiej, bo sam się w tym babrałeś. Nie możesz potępiać kogoś tylko za to, że był na czyjejs łódce!

Ale powstałego napięcia nie potrafi rozładować ani ton Hectora, ani niezrozumiałe oburzenie Matlocka. I nie jest dla nikogo żadną pociechą, że według sporządzonego przez Yvonne podpisu biały smoking należy do niedobrego francuskiego markiza, rekina finansjery o silnych związkach z Rosją.

\*

- No dobra. Skąd to wszystko masz? - zapytał nagle Matlock po dłuższej chwili obrażonego milczenia.

- Co wszystko?

- Ten film. To amatorskie wideo. Czy cokolwiek to jest. Gdzie to zdobyłeś?

- Znalazło się pod kamieniem w ogrodzie, Billy. Bo gdzieżby indziej?

- U kogo?

- U jednego kolegi. Albo u dwóch.
- Co to był za kamień?
- Scotland Yard.
- Co ty wygadujesz? Policja metropolitalna? Dobrałeś się do policyjnych dowodów rzeczowych, tak? To zrobiłeś?
- Bardzo chciałbym w to wierzyć, Billy. Ale raczej w to wątpię. Chcesz posłuchać całej historii?
- Jeżeli jest prawdziwa.
- Pewna para młodych nowożeńców z londyńskich przedmieść oszczędzała na miesiąc miodowy i wykupiła sobie wakacje nad Adriatykiem. Spacerując po klifach, natknęli się przypadkiem na luksusowy jacht, stojący na kotwicy w pewnej zatoczce i zobaczywszy, że odbywa się na nim spektakularne przyjęcie, postanowili je sfilmować. Wyobraź sobie ich zdumienie i podniecenie, gdy oglądając to dzieło w swym domowym zaciszu, powiedzmy w Surbiton, rozpoznali pewne bardzo znane osoby publiczne ze świata finansjery i polityki. Uznali, że oto okazja, by zwróciły im się wakacyjne wydatki, więc natychmiast wysłali swoją zdobycz do Sky Television News. Nim się zorientowali, już o czwartej rano dzielili sypialnię z oddziałem umundurowanych, uzbrojonych po zęby policjantów w kamizelkach kuloodpornych, którzy zagrozili im zarzutami z ustawy o zapobieganiu terroryzmowi, jeżeli natychmiast nie przekażą policji wszystkich istniejących kopii filmu, więc młodzi małżonkowie postąpili bardzo mądrze, czyli film przekazali. Prawdziwa historia, Billy.

\*

Luke zaczyna się przekonywać, że nie docenił aktorstwa Hectora. Hector może sprawiać wrażenie niezdary. I trzymać w dłoni tylko jedną, sfatygowaną karteczkę. Ale nie ma nic niezdarneego w tym,

jak zaplanował to spotkanie. Chce jeszcze przedstawić Matlockowi dwóch innych dżentelmenów i gdy obraz poszerza się, by ich objąć, okazuje się, że obaj też byli obecni przy poprzednio pokazanej rozmowie. Jeden z nich jest wysoki, elegancki, po pięćdziesiątce; zachowuje się trochę jak ambasador. Niemal o głowę przewyższa sekretarza stanu *in spe*. Ma otwarte usta, może opowiada kawał. A nazywa się, jak podaje podpis Yvonne, Giles de Salis, emerytowany kapitan Royal Navy.

Tym razem Hector zachował dla siebie przebieg jego kariery zawodowej :

- Czołowy lobbysta westminsterski, ma wielkie wpływy, a wśród klientów najgorsze świnię na świecie.
- Twój przyjaciel, Hectorze? - pyta Matlock.
- Przyjaciel każdego, kto chce zapłacić dziesięć tysiąków za *tête-à-tête* z którymś z naszych nieprzekupnych rządzących, Billy - odcina się Hector.

Czwartą i ostatnią postacią tego obrazu - w nieostrym powiększeniu - był chodzący przykład żywotności najwyższych sfer. Kłapy jego idealnie skrojonego białego smokingu obszyte są cienką czarną lamówką. Jego grzywa w kolorze srebrnego lisa zaczesana jest dramatycznie do tyłu. Może to wielki kompozytor? A może kierownik sali znanej restauracji? Uniesiony w żartobliwym napomnieniu palec wskazujący mógłby należeć do tancerza. Drobną, pełną wdzięku dłoń spoczywa lekko i nienarzucająco na ramieniu ministra *in spe*. Na plisowanym gorsie koszuli pyszni się krzyż maltański.

Co takiego? Krzyż maltański? Czyżby ten pan był kawalerem maltańskim? A może to medal za męstwo? Albo zagraniczny order? A może sam go sobie kupił? Luke i Yvonne długo się nad tym zastanawiali któregoś dnia nad ranem. Nie, uznali. Nie kupił. Ukradł.

„Signor Emilio dell Oro, zamieszkały w Lugano włoskojęzyczny obywatel Szwajcarii”, głosi podpis, tym razem sporządzony przez

Luke'a zgodnie z dokładnymi wytycznymi Hectora, by sformułowanie było jak najbardziej neutralne. „Bywalec międzynarodowej elity, koniarz, wpływowy na Kremlu”.

Jeszcze raz Hector sobie rozpisal najlepsze kwestie:

- Naprawdę nazywa się, o ile nam wiadomo, Stanisław Auros. Pochodzenia polsko-armeńskiego, przodkowie z Turcji, błyskotliwy samouk i *selfmademan*. Obecnie majordomus Księcia, jego pośrednik, totumfacki, doradca w sprawach etykiety, osobisty sekretarz. - I od razu, bez zmiany tonu: - Billy, to może teraz dalej ty? Ty wiesz o nim więcej niż ja.

Czy Matlock kiedykolwiek da się wymanewrować? Zdaje się, że nie, bo on też nie zawahał się ani przez chwilę:

- Trochę się pogubiłem, Hectorze. Bądź tak dobry, oświeć mnie, jeśli łaska.

Hector będzie tak dobry. Ożywił się nie do poznania:

- Przypomnij sobie, Billy, nasze niedawne dzieciństwo. Zanim dorośliśmy. O ile pamiętam, był środek lata. Byłem szefem placówki w Pradze, ty szefem operacji w Londynie. Dałeś mi pozwolenie na wrzucenie pięćdziesięciu tysięcy dolarów amerykańskich w drobnych banknotach do stojącego na parkingu białego mercedesa pana Stanisława. Tak na piękne oczy. Tylko że wtedy nie nazywał się Stanisław, tylko Monsieur Fabian Lazaar. On nawet nie odwrócił tej swojej ślicznej główki, żeby mi podziękować. Nie wiem, czym sobie zasłużył na tę kasę, ale ty na pewno to wiesz. Robił wtedy wielką karierę. Kradzione dzieła sztuki, głównie z Iraku. Zajmowanie się bogatymi paniami w Genewie na koszt ich mężusiów. Sprzedawanie zasłyszanych w łóżku plotek dyplomatycznych temu, kto da najwięcej. Może właśnie to od niego kupowaliśmy. Tak?

- Ja nie prowadziłem ani Stanisława, ani Fabiana, Hectorze. Jeszcze by tego brakowało. Ani pana dell Oro, czy jak on się tam

teraz zwie. On n i e był moim agentem. Kiedy płaciłem mu wtedy, robiłem to w zastępstwie.

- W zastępstwie kogo?

- Mojego poprzednika. Czy mógłbyś mnie nie przesłuchiwać, Hectorze? Jeżeli tego nie zauważyłeś, nastąpiła zmiana warty. Moim poprzednikiem, jak doskonale wiesz, Hectorze, był Aubrey Longrigg, i jeśli o to chodzi, tak już będzie, dopóki pozostaję na tym stanowisku. Tylko mi nie mów, że nie pamiętasz Aubreya Longrigga, bo pomyślę, że doktor Alzheimer złożył ci nieprzyjemną wizytę. Aubrey był ostry, najostrzejszy, aż do swego nieco nagłego odejścia. I podobnie jak ty czasem trochę przesadzał.

Luke teraz przypomniał sobie, że dla Matlocka jedyną obroną był zawsze atak.

- Możesz mi wierzyć, Hectorze - szarżował Billy dalej, zbierając po drodze posiłki - że skoro mój poprzednik Aubrey Longrigg chciał wypłacić swojemu agentowi dwadzieścia tysiaków akurat wtedy, gdy odchodził z Firmy, by zająć się ważniejszymi sprawami, i skoro wyraził życzenie, bym sfinalizował za niego jakieś dawne, osobiste zobowiązanie, nie miałem najmniejszego zamiaru odwrócić się na pięcie i powiedzieć: „Czekaj no, Aubrey, przecież ja muszę mieć na to upoważnienie i sprawdzić twoją historię”. Co miałem zrobić? To był Aubrey! Wtedy Aubrey i szef byli jak bracia, papużki nierozłączki, ani mru-mru. Zapłaciłbym głową, rozumiesz?

W głosie Hectora zabrzmiały wreszcie dawne, stalowe nutki:

- No, to zobaczymy, jak się teraz ma Aubrey: podsekretarz stanu, członek parlamentu z jednego z najbiedniejszych okręgów wyborczych, w których jego partia wygrała wybory, niezłomny obrońca praw kobiet, ceniony doradca Ministerstwa Obrony w sprawach handlu bronią oraz... - lekko pstrykając palcami i marszcząc brwi, jak gdyby naprawdę zapomniał - co tam jeszcze było, Luke? Bo wiem

na pewno, że coś było...

Jak na zawołanie Luke może wyszczebiotać swoją kwestię:

- Ostatnio mianowany na przewodniczącego parlamentarnej podkomisji do spraw etyki bankowej.

- I zdaje się, że tak do końca z Firmą nie zerwał, co? - podsunął Hector.

- Zdaje się, że nie - potakuje Luke, choć kompletnie nie wiadomo, dlaczego Hector postanowił uznać właśnie jego za autorytet w tej sprawie.

\*

Może to dobrze, że my, szpiedzy - nawet ci na emeryturze - niechętnie się fotografujemy, rozmyślał Luke. Może zawsze towarzyszy nam skrywany strach, że obiektyw kamery mógłby przebić ten Wielki Mur, który oddziela nasze zewnętrzne i wewnętrzne ja.

Na pewno można było to powiedzieć o parlamentarzystcie Aubreyu Longriggu. Nawet filmowany z ukrycia, w słabym świetle, nędzną kamerą wideo, trzymaną w dłoni w odległości pięćdziesięciu metrów przez wodę, Longrigg sprawiał wrażenie, jak gdyby usiłował wykorzystać najmniejszy choćby skrawek cienia, jaki mógł znaleźć na rześście oświetlonym pokładzie „Księżnej Tatiany”.

A przy tym nie da się powiedzieć, że biedak jest szczególnie fotogeniczny, przyznał w myśli Luke, jeszcze raz dziękując swej szczęśliwej gwiazdzie, że ich drogi nigdy się nie zeszyły. Aubrey Longrigg był łysiejący, antypatyczny i miał wielki nos; wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać ktoś, kto słynie z niskiej tolerancji umysłów mniej lotnych niż jego własny. W adriatyckim słońcu jego nieapetyczna twarz nabrała w dodatku jaskraworóżowej barwy, a okulary bez oprawek raczej nie były w stanie zmienić ogólnego



wrażenia - pięćdziesięcioletni urzędnik bankowy - chyba że, tak jak Luke, znało się opowieści o kierującej nim, niezaspokojonej ambicji, o jego bezlitosnej inteligencji, która uczyniła z czwartego piętra kołującą się wylęgarnię nowatorskich pomysłów i walczących ze sobą baronów, czy o jego nieprawdopodobnej atrakcyjności dla pewnego gatunku kobiet - prawdopodobnie takich, które podnieca poniżanie intelektualne, a którego przedstawiciel stał teraz obok niego: *Lady Janice (Jay) Longrigg, słynąca z organizacji przyjęć i imprez charytatywnych*, po czym następowała zestawiona przez Yvonne lista najważniejszych organizacji dobroczynnych, które miały powody do wdzięczności wobec lady Longrigg.

Ma na sobie stylową wieczorową suknię bez ramion. Jej starannie ufryzowane kruczoczarne włosy podtrzymuje szpilka ozdobiona sztucznymi diamentami. Ma miły uśmiech i królewską, nieco niepewną, pochyloną do przodu postawę, występującą jedynie u Angielek wyższego pochodzenia. W bezkompromisowych oczach Luke'a wygląda na kompletną idiotkę. Jej boku trzymają się dwie jeszcze niedorośle córki w bankietowych sukienkach.

- To ta jego nowa żona, tak? - zaintonował niespodziewanie i z wielkim wigorem Matlock, nieprzejeđnany zwolennik Partii Pracy, gdy ekran zgasł pod dotknięciem Hectora i zapaliło się światło na suficie. - Ta, z którą się ożenił, kiedy postanowił jak najszybciej wejść do polityki bez konieczności robienia dodatkowych świństw. Ależ laburzysta z tego Aubreya Longrigga, nie ma co! Wszystko jedno, czy chodzi o nową, czy o starą Labour Party!

\*

Skąd u Matlocka taki nawrót jowialności? I to tym razem chyba szczerzej? Wszystkiego by się po nim Luke spodziewał, tylko nie

śmiechu, bo był to u Billy'ego bardzo rzadki towar, nawet w najlepszych czasach. A teraz jego wielki, otweedowany tułów trząsł się od bezgłośnej wesołości. Czy to dlatego, że, jak wiadomo, Longrigg i Matlock od lat darli koty? Że zasłużenie sobie na łaskę u jednego z nich natychmiast pociągało za sobą niełaskę u drugiego? Że Longrigg uważany był za mózg szefa, a Matlock, znacznie mniej uprzejmie, za jego ramię? Że po odejściu Longrigga żartownisie w Firmie porównywali ich spór do dziesięcioletniej korridy, w której to byk wbił matadorowi szpadę w samo serce?

- Tak, no cóż, Aubrey zawsze mierzył wysoko - mówił właśnie, jakby wspominał umarłego. - I o ile pamiętam, był geniuszem finansowym. Nie takim jak ty, Hectorze, co stwierdzam z satysfakcją, ale całkiem, całkiem... Jedno jest pewne, że kiedy Aubrey był u steru, z funduszami operacyjnymi nie było najmniejszych kłopotów. No, a skąd on w ogóle wziął się tam, na tej łajbie? - zapytał ten sam Matlock, który jeszcze kilka minut temu twierdził, że nie można potępiać kogoś tylko za to, że był na czyjejś łodzi. - A w dodatku te stosunki towarzyskie z dawnym osobowym źródłem informacji po odejściu ze służby, coś, o czym regulamin mówi bardzo stanowcze rzeczy, szczególnie jeżeli źródłem tym jest tak nieprzyjemny typ, jak... Jak on się tam teraz nazywa?

- Emilio dell Oro - pośpieszył z pomocą Hector. - Warto zapamiętać, Billy.

- A wydawałoby się, że akurat Aubrey powinien wiedzieć, po tym wszystkim, czego go nauczyliśmy, że z takim Emiliem dell Oro zadawać się nie należy. Wydawałoby się, że taki szczywany lis jak Aubrey powinien być ostrożniejszy w doborze przyjaciół. No, to skąd on się tam wziął? Bo może miał jakiś dobry powód. Nie sądzmy pochopnie.

- Taki szczęśliwy przypadek, Billy - wyjaśnił Hector. - Aubrey, jego najnowsza żona i jej córki wybrali się pod namiot w góry wybrzeża adriatyckiego. A tu dzwoni do niego anonimowy kolega,

bankier z Londynu, mówi, że w tym samym ustroniu stoi na kotwicy „Tatiana”, jest impreza, zbiegaj z gór, zabawisz się.

- Pod namiot? Aubrey? Nie wierzę.
- Pod namiotem, na polu biwakowym. Populistyczna wersja życia nowego laburzysty Aubreya, człowieka z ludu.
- A ty też jeździsz na wakacje pod namiot, Luke?
- Tak, ale Eloise nie cierpi angielskich kempingów. Jest Francuzką - odpowiedział, czując się jak idiota.
- To kiedy tak jeździsz pod namiot, Luke, i unikasz angielskich kempingów, też zawsze bierzesz ze sobą smoking?
- Nie.
- A Eloise swoje diamenty?
- Ona nie ma diamentów.

Matlock zamyślił się.

- Pewnie często na niego wpadałeś, co, Hectorze, kiedy zbierałeś obfity plon w City, podczas gdy my dalej wypełnialiśmy nasze obowiązki? Pewnie ty i Aubrey od czasu do czasu spotykaliście się na pogaduszki? Tak, jak to u ludzi z City w zwyczaju?

Hector lekceważąco wzruszył ramionami.

- Natykaliśmy się na siebie od czasu do czasu, tak. Tylko przyznam ci się, że nie mam cierpliwości dla takiej wybujałej ambicji. Nudzi mnie.

Na co Luke, któremu udawanie nie przychodzi ostatnio tak łatwo jak kiedyś, musi siłą powstrzymać się, by nie zacisnąć dłoni na poręczu fotela.

\*

*Natykali się na siebie?* Dobry Boże! Walczyli tak, że zwarli się w uścisku, z którego nie mogli się wyrwać. Bo z wszystkich „sępów kapitalizmu”, złodziei, rekinów i wyzyskiwaczy- według Hectora

- najbardziej dwulicowym, podstępny, niesłowny, nieuczciwy i najlepiej ustosunkowanym był właśnie Aubrey Longrigg.

To właśnie Aubrey Longrigg stał za próbą przejścia rodzinnego przedsiębiorstwa Hectora. To Longrigg wykorzystał swój podejrzany, lecz sprytnie skonstruowany łańcuszek ludzi dobrej woli, aby namówić Urząd Skarbowy Jej Królewskiej Mości do przeprowadzenia w środku nocy rewizji magazynów Hectora, co odbyło się z porozrywaniem setek worków, wyważaniem drzwi i zastraszaniem nocnej zmiany.

To właśnie pajęcza sieć znajomości Longrigga w Whitehall nasyłała kontrole BHP, służb finansowych i migracyjnych, które wywierały naciski na pracowników rodzinnego przedsiębiorstwa Hectora, rewidowały im biurka, zajmowały księgi handlowe i podważały zeznania podatkowe.

Poza tym Aubrey Longrigg był w oczach Hectora nie tylko zwykłym wrogiem - to byłoby zbyt łatwe - lecz wręcz archetypem, klasycznym objawem zepsucia, które toczyło nie tylko City, lecz również najważniejsze instytucje państwowe.

Hector nie walczył osobiście z Longriggiem. Zapewne nie kłamał, mówiąc Matlockowi, że Longrigg go nudzi, bo stanowiło to koronny argument jego tezy, że mężczyźni i kobiety, których ściga, są z definicji nudni: przeciętni, banalni, gruboskórni, niebłyskotliwi - w odróżnieniu od innych nudziarzy, którzy zasłużyli sobie na to miano li tylko tajnym popieraniem się nawzajem i niezaspokojoną chciwością.

\*

Komentarz Hectora stał się pobieżny. Jak magik, który nie chce, by publiczność przyglądała się zbyt uważnie poszczególnym kartom, szybko przerzucał talię międzynarodowych oszustów, zebraną dla niego przez Yvonne.

Rzut oka na pewnego siebie i bardzo niskiego grubasa, ładującego przy bufecie stopy jedzenia na talerz:

- W niemieckich kręgach znany jako Karl der Kleine - mówi pobłaźliwie Hector. - Półkrewi Wittelsbach, nie wiem, jak mam to rozumieć. Bawarczyk, katolik pełną gębą, jak tam mówią, bliskie związki z Watykanem. Ale jeszcze bliższe z Kremlem. Wybrany w niebezpośrednich wyborach do Bundestagu i członek rady całego mnóstwa rosyjskich spółek naftowych, wielki kumpel Emilia dell Oro. W zeszłym roku był z nim na nartach w St. Moritz, przywiózł swojego hiszpańskiego kochasia. Uwielbiany przez Saudyjczyków. A skoro mowa o tym hiszpańskim przyjemniaczk...

Zbyt szybkie przejście na pięknego, brodatego chłopaka w błyszczącej purpurowej pelerynce, wylewnie konwersującego z dwiema obwieszonymi biżuterią matronami.

- Najnowszy ulubieniec Karla der Kleine - przedstawia go Hector. - W zeszłym roku skazany za pobicie na trzy lata ciężkich robót przez madrycki sąd. Zwolniono go z powodu błędów proceduralnych, oczywiście zasługa Karla. Ostatnio mianowany członkiem rady grupy Arena, tej samej, do której należy jacht Księcia... A ten to dopiero ciekawy przypadek - dotknięcie pilota. - Pan doktor Evelyn Popham z Mount Street w Mayfair, dla przyjaciół Bunny. Studia prawnicze we Fryburgu i Manchesterze. Licencja i praktyka w Szwajcarii, sługus i alfons oligarchów z Surrey, jedyny wspólnik świetnie prosperującej kancelarii adwokackiej na West Endzie.

Światowiec, *bon viveur*, fantastyczny adwokat. I pokrętny jak korkociąg. Mam tu gdzieś jego stronę internetową... Czekaj, zaraz znajdę. Odczep się, Luke. O, jest, mam.

Podczas gdy Hector męczy się z komputerem i mamrocze pod nosem, dr Popham (dla przyjaciół Bunny) nie przestaje uśmiechać się cierpliwie do widzów z plazmowego ekranu. Jest krągłym, dobrodusznym dżentelmenem o pucułowatych policzkach, z bokobrodami, i rzeczywiście przypomina Królika z książek Beatrix Potter.

Nie wiadomo, dlaczego ubrany jest w strój tenisowy i z rakiętą w ręce obejmuje kibić przystojnej partnerki.

Strona główna witryny internetowej The Dr Popham & No Partners, gdy wreszcie pojawia się na ekranie, zdominowana jest przez tę samą wesołą twarz, uśmiechającą się nad istic królewskim herbem, na którym widnieje waga sprawiedliwości. Poniżej spisane są szczytne cele działalności pana mecenasa:

Mój zespół specjalistów posiada doświadczenie w dziedzinach takich jak:

- skuteczna ochrona praw czołowych postaci międzynarodowych sfer bankowo-biznesowych przed zarzutami o poważne nadużycia finansowe;

- skuteczne reprezentowanie wybitnych klientów międzynarodowych w dziedzinie jurysdykcji zagranicznej i ich prawa do nieskładania zeznań w sądach krajowych i zagranicznych;

- skuteczne reagowanie na nękające postępowania podatkowe oraz zarzuty niewłaściwych lub nieuzasadnionych wypłat w ramach lobbingu.

- I skurwiele zawsze muszą grać w tenisa - narzeka Hector, gdy poczet przestępców znów zaczyna przewijać się przez ekran z zawrotną prędkością.

\*

Krótko mówiąc, jest to wędrówka po klubach sportowych Monte Carlo, Cannes, Madery i Algarve. Prowadzi też do Biarritz i Bolonii. Trzeba jednocześnie nadążać za napisami Yvonne i zabawnymi zdjęciami zebranymi z czasopism z życia wyższych sfer, ale to trudne

- chyba że się wie, czego się spodziewać i dlaczego. Jak Luke.

Ale choć twarze i kurorty szybko się zmieniają pod niecierpliwym palcem Hectora, choć przez ekran przelatuje mnóstwo kulturalnych postaci w najmodniejszych strojach tenisowych, uparcie powtarza się pięciu graczy:

- żartobliwy Bunny Popham, najlepszy wybór, gdy ma się kłopoty z nękańcymi postępowaniami podatkowymi lub zarzutami niewłaściwych lub nieuzasadnionych wypłat w ramach lobbingu;

- ambitny i nietolerancyjny Aubrey Longrigg, szpieg na emeryturze, członek parlamentu, miłośnik biwaków, oraz jego najnowsza, arystokratyczna i dobroczynna żona;

- sekretarz stanu *in spe* rządu Jej Królewskiej Mości, przyszły specjalista do spraw etyki bankowej;

- samouk i *selfmademan*, czarujący i pełen wigoru światowiec i poliglota Emilio dell Oro, obywatel szwajcarski i finansowy globtroter, pasjonat - jeśli można wierzyć zeskanowanym wycinkom prasowym, które trzeba czytać z szybkością błyskawicy - „sportów ekstremalnych od jazdy na oklep w górach Uralu, przez heliskiing w Kanadzie i wyczynowy tenis po grę na moskiewskiej giełdzie”, który pojawia się na dłużej, niż mu się należy, z powodu usterek technicznych, i wreszcie:

- patrycjusz, mistrz *public relations* o nienagannych manierach, emerytowany kapitan Royal Navy, Giles de Salis, lobbysta o świetnych powiązaniach, szczególnie z co bardziej przekupnymi postaciami, zaprezentowany przez Hectora jako „jeden z najbrzydlivszych skurwieli w Westminsterze”.

Światła. Zmiana pendrive'a. Taki tutejszy regulamin: każdy temat na osobnym pendrivie. Czas jechać do Moskwy.

## 10.

Hector wyjątkowo i na chwilę złożył ślub milczenia. Oznacza to, że wolny od denerwujących kłopotów technicznych rozpiera się w fotelu i daje się wyręczyć rosyjskiemu spikerowi o przyjemnym barytonie. Podobnie jak Luke, Hector jest wielkim miłośnikiem języka rosyjskiego - a z pewnymi zastrzeżeniami również rosyjskiej duszy. I podobnie jak Luke, za każdym razem, gdy ogląda pokazywany właśnie film, przyznaje się bez bicia, że nigdy nie przestaje go oszalać klasyczne, ponadczasowe, wszechruskie, wszechogarniające kłamstwo w żywe oczy.

A moskiewski dziennik telewizyjny doskonale sobie radzi bez Hectora czy kogokolwiek innego. Baryton potrafi wspaniale wyrazić swoją odrazę dla ponurej tragedii, którą relacjonuje: kolejny bezsensowny napad na drodze, bezsensowny mord dokonany na zdolnej i szczerze sobie oddanej parze małżeńskiej z Permu, i to tak jeszcze młodej! Ofiary nie spodziewały się, że decydując się na odwiedzin ukochanej ojczyzny i przyjazd z dalekich Włoch, gdzie do niedawna mieszkały, zakończą swą sentymentalną podróż tu, na swym ulubionym, spowitym w powoje cmentarzu dawnego seminarium duchownego, położonym wśród podmoskiewskich wzgórz, wśród cebulastych kopuł i rzędów tuj, na skraju łagodnie falującego na wietrze lasu.

W to ponure, zbyt zimne jak na maj popołudnie cała Moskwa płacze nad dwojgiem niewinnych Rosjan i ich dwoma córeczkami, które,



dzięki Bogu, nie znajdowały się w samochodzie, gdy został rozpruty kulami przez terrorystyczne elementy naszego społeczeństwa.

Proszę popatrzeć na potłuczone szyby i podziurawione kulami drzwi, na wypalony wrak niegdyś tak szlachetnie wyglądającego mercedesa, tkwiącego na boku wśród srebrnokorych brzoź, na niewinnie przelaną rosyjską krew, w brutalnym zbliżeniu mieszającą się na asfalcie z wyciekłym z baku paliwem, i na zmasakrowane twarze samych ofiar.

Zbrodnia ta, zapewnia spiker, wywołała gniew u wszystkich odpowiedzialnych obywateli Moskwy. Kiedy to się wreszcie skończy? - pytają. Kiedy wreszcie porządni Rosjanie będą mogli spokojnie podróżować po drogach we własnym kraju, nie narażając się na napady ze strony band czeczeńskich maruderów, gotowych na wszystko, by szerzyć terroryzm i chaos?

Michaił Arkadiewicz, wschodząca gwiazda międzynarodowego handlu ropą i kruszcem! Olga Lwowna, altruistycznie zaangażowana w zdobywanie żywności dla potrzeb najbardziej potrzebujących Rosjan! Kochający rodzice małej Katii i Iriny! Prawdziwi Rosjanie, którzy zatęsknili za ojczyzną i którzy już nigdy z niej nie wyjadą!

Do wtóru narastającego oburzenia spikera posuwająca się powoli kolumna czarnych limuzyn eskortuje przeszklony karawan drogą wznoszącą się wśród zalesionych wzgórz w stronę bram seminarium. Kondukt zatrzymuje się, otwierają się drzwi samochodów, wyskakują z nich młodzi ludzie w garniturach od najlepszych projektantów, ustawiają się w dwa szeregi, by odprowadzić trumny na miejsce wiecznego spoczynku. Przebitka na pochmurną twarz zastępcy szefa

milicji w galowym mundurze i przy orderach, upozowanego sztywno za inkrustowanym biurkiem, zastawionym notami kondolencyjnymi i zdjęciowymi portretami prezydenta Miedwiediewa i premiera Putina:

- Pocieszmy się, że co najmniej jeden Czeczen zdążył już dobrowolnie przyznać się do udziału w tej zbrodni

- mówi, a kamera utrzymuje się na jego twarzy dość długo, aby widz mógł podzielać jego oburzenie.

Powrót na cmentarz, gdzie przy dźwiękach gregoriańskich śpiewów żałobnych gromada młodych popów w wysokich czapach, o jedwabistych brodach i z wzniesionymi w rękach ikonami, schodzi po schodach seminarium do podwójnego grobu, przy którym już czekają najważniejsi żałobnicy. Obraz zatrzymuje się, po czym zbliża na każdą z postaci, pod którą zaraz pokazują się po kolei podpisy Yvonne:

TAMARA, żona Dimy, siostra Olgi, ciotka Katii i Iriny: wyprostowana, jakby kij połknęła, pod czarnym, jakby pszczelarskim kapełuszem z szerokim rondem i woalką.

DIMA, mąż Tamary: łysa głowa, rozciągnięta w sztucznym uśmiechu udręczona twarz wygląda tak chorobliwie, jakby sam był trupem - pomimo obecności ukochanej córki.

NATASZA, córka Dimy: długie włosy spływają czarną rzeką na ramiona, a jej szczupłe ciało pokrywają wielkie fałdy bezkształtnego, żałobnego stroju.

IRINA i KATIA, dzieci Olgi i Miszy: buzie bez wyrazu, obie trzymają się kurczowo dłoni Nataszy.

Spiker wylicza nazwiska wielkich i dobrych ludzi, którzy przyjechali oddać zmarłym ostatnią przysługę. Reprezentują takie kraje jak Jemen, Libia, Panama, Dubaj czy Cypr. Nie ma nikogo z Wielkiej Brytanii.

Kamera kieruje się teraz na trawiasty, ocieniony tujami wzgórek w połowie zbrocza. Stoi tam w ścisłej grupce sześciu - nie, siedmiu

- mężczyzn w wieku od dwudziestu do trzydziestu kilku lat, wszyscy w eleganckich garniturach. Ich wygolone twarze - niektóre już trochę otyłe - kierują się ku otwartemu grobowi dwadzieścia metrów niżej, nad którym tkwi samotna, wyprostowana postać Dima, jego tułów odchylony jest do tyłu w jego ulubiony sposób, po wojskowemu, wpatrującego się nie w grób, tylko właśnie w siedmiu mężczyzn zgromadzonych na wzgórku.

Czy to zdjęcie, czy film? Dima nie rusza się, więc trudno powiedzieć. To samo można powiedzieć o mężczyznach na wzgórku. Podpis Yvonne pojawia się z lekkim opóźnieniem:

## SIEDMIU BRACI

Kamera przygląda się im po kolei w zbliżeniu.

\*

Luke już dawno przestał usiłować sądzić ludzi po wyglądzie. Pokazywane teraz twarze oglądał już niezliczoną ilość razy, ale wciąż nie udało mu się znaleźć w nich niczego, czego nie mógłby znaleźć po drugiej stronie biurka w każdej agencji handlu nieruchomościami w Hampstead albo w dowolnym zestawieniu typowych biznesmenów z czarnymi aktówkami w barach każdego eleganckiego hotelu od Moskwy po Bogotę.

Nawet kiedy na ekranie pojawiają się długie ciągi ich rosyjskich imion, patronimików, nazwisk, przestępczych pseudonimów i przezwisk, wciąż nie umie zobaczyć nic takiego, co sprawiałoby, że są bardziej interesujące od kolejnych egzemplarzy ich wspólnych prototypów, powszechnych spośród średniego szczebla kierowniczego na całym świecie.

Ale za to, gdy lepiej się przyjrzeć, zaczyna się zauważać, że szczęściu z nich - czy to przypadkiem, czy celowo - tworzy wokół

stojącego w środku siódmego mężczyzny ochronny krąg. A jeszcze dokładniejsze spojrzenie pozwoli zaobserwować, że ten, którego tak osłaniają, nie jest ani o dzień starszy od reszty, i że na jego pozbawionej zmarszczek twarzy maluje się wyraz szczęścia dziecka w słoneczny dzień - nie do końca coś, czego można by się spodziewać na pogrzebie. Twarz ta jest według Luke'a takim okazem zdrowia, że nie można nie domyślać się równie zdrowego ducha w zdrowym ciele. Gdyby jej właściciel pojawił się u Luke'a w niedzielny wieczór i zaczął użalać się nad swym losem, Luke miałby kłopoty z pozbyciem się go z progu. Jego podpis?

## KSIĄŻĘ

Wspomniany książę gwałtownie oddziela się od braci, zbiega po trawiastym zboczu i ani nie skracając kroku, ani nie zwalniając, kieruje się z wyciągniętymi ramionami ku Dimie, który już zwrócił się ku niemu, gotowy stawić mu czoła, z cofniętymi ramionami, wypchniętą do przodu pierś, z dumnie i wyzywająco wysuniętym do przodu podbródkiem. Ale zwinięte w kułak dłonie - tak delikatne w porównaniu z resztą ciała - jakby nie mają siły podnieść się od boków. Może - i myśl taka przemyka Luke'owi przez głowę za każdym razem, gdy to ogląda - może Dima myśli sobie, że to jedyna szansa uczynienia Księciu tego, co chciał uczynić mężowi matki Nataszy - „tymi rękami, profesor!”. Nawet jeżeli tak było, taktyka i rozważa w końcu wzięły górę.

Stopniowo i jak gdyby z opóźnieniem ręce Dimy niechętnie unoszą się do uścisku, który rozpoczyna się ostrożnie, ale potem siła pasji obu mężczyzn - a może ich wzajemne obrzydzenie - sprawiają, że ten klincz zaczyna przypominać uścisk kochanków.

Pocałunek w zwolnionym tempie: najpierw prawy policzek do lewego, po *worskiemu*. Protektor Miszy całuje mordercę Miszy.

Drugi pocałunek, też w zwolnionym tempie, lewy do prawego.

A po każdym pocałunku krótka chwila na wzajemne kondolencje i refleksje, owe z trudem wypowiedziane wyrazy współczucia między żałobnikami, które - jeżeli w ogóle zostały wypowiedziane - docierają tylko do ich uszu.

I pocałunek w usta - wciąż w zwolnionym tempie.

\*

Przez magnetofon, trzymany w nieruchomych, jakby zmartwiałych dłoniach Hectora, Dima wyjaśnia angielskim aparatczykom, jak to jest, że potrafi uściskać człowieka, którego najchętniej zabiłby na miejscu:

- Pewno, że my smutni, ja mu powiedział! Ale jako dobre *wory* my dobrze *wiemy*, czemu było zabić mojego Miszę. My mu powiemy: „Ten Misza, Książę, zrobił się chciwy! Ten Misza, on kradł twój pieniądze, Książę! Za ambitny był, za bardzo krytykował!”. Nie mówi się: „Książę, ty nie prawdziwy *wor*, ty zeświniona suka”. Nie mówi się: „Książę, ty robisz to, co ci państwo każe!”. Nie mówi się: „Książę, ty płacisz państwu haracz”. Nie mówi się: „Ty zabijasz za pieniądze, kogo ci państwo każe, ty zdradzasz rosyjską duszę przed państwem”. Nie. My pokorni. U nas żal. My godzimy się z losem. U nas szacunek. My mówimy: „Książę, my cię lubimy. Dima przyjmuje twoją mądrą decyzję zabicia swojego krewnego i ucznia, Miszy”.

Hector wciska w magnetofonie *pause* i zwraca się do Matlocka.

- Billy, właściwie to on opisuje tutaj proces, który obserwujemy od jakiegoś czasu - mówi jakby przepraszająco.

- My?

- Specjaliści od spraw kremlofskich, kryminolodzy...

- I ty.

- Tak. Mój zespół. My też.

- I co to za proces, Hectorze, któremu tak dokładnie się przyglądacie?

- W miarę jak przestępcze Bractwa coraz bardziej zbliżają się do siebie, bo tak lepiej prowadzić interesy, równocześnie Kreml coraz bardziej zbliża się do Bractw. Kreml już dziesięć lat temu wystosował ultimatum do oligarchów: lepiej chodźcie z nami, bo jak nie, to tak was opodatujemy, że padniecie, albo wsadzimy was do więzienia. Albo jedno i drugie.

- Mam wrażenie, że sam już to gdzieś czytałem - mówi Matlock, który lubi wbijać szpilki ze szczególnie przyjaznym uśmiechem.

- No więc teraz stosują tę samą metodę względem Bractw - ciągnie niezrażony Hector: - Organizujcie się, uspokójcie, zabijajcie tylko na nasze polecenie, bogaćmy się razem. O, proszę, znowu twój dzielny przyjaciel.

Dalszy ciąg dziennika telewizyjnego. Hector pauzuje klatkę, wybiera jeden jej róg i powiększa. Podczas uścisku Dimy i Księcia patrzy na nich z aprobatą człowiek nazywający się teraz Emilio dell Oro, ubrany na czarno w ambasadorski płaszcz z karakułowym kołnierzem, stojący w połowie zbocza - a z magnetofonu płynie staccato głos Dimy, czytającego po rosyjsku tekst Tamary:

- Głównym organizatorem licznych transakcji Księcia jest Emilio dell Oro, skorumpowany obywatel szwajcarski, posiadający wiele dawnych tożsamości, który przez swoje złe działania zaskarbił sobie zaufanie Księcia. Dell Oro jest doradcą księcia w wielu delikatnych

przestępczych sprawach, w których Księżę, będąc bardzo głupi, nie jest kompetentny. Dell Oro ma wiele korupcyjnych koneksji, również w Wielkiej Brytanii. Kiedy tym brytyjskim koneksjom trzeba wypłacić pieniądze, jest to robione za rekomendacją tej żmii dell Oro za osobistą zgodą Księcia. Po uzyskaniu takiej zgody jest zadaniem tego, którego nazywają Dima, otworzyć konta w bankach szwajcarskich dla tych brytyjskich osób. Kiedy tylko nadejdą wiarygodne brytyjskie gwarancje, ten którego nazywają Dima ujawni również nazwiska tych skorumpowanych brytyjskich osób, które zresztą zajmują wysokie pozycje w państwie.

Hector znów wyłączył magnetofon.

- Ale więcej nie powie? - narzekał sarkastycznie Matlock. - Przyznam, że niezły z niego kusiciel! Powie nam wszystko, jeżeli damy mu wszystko i jeszcze trochę. Nawet jeżeli będzie musiał namyślać.

Inna sprawa, czy Matlock był w stanie przekonać tą uwagą samego siebie. Bo nawet jeżeli tak, to odpowiedź Hectora musiała zabrzmieć w jego uszach jak wyrok śmierci:

- To może to też zmyślił, Billy. Tydzień temu cypryjska firma Arena Multi Global Trading wystąpiła do Komisji Nadzoru Finansowego o pozwolenie na otwarcie nowego banku handlowego w londyńskim City, który ma działać pod nazwą First Arena City Trading i używać teraz, zawsze i na wieki wieków skrótu FACT. Czyli FACT Bank sp. z o.o., albo SA, albo co tam, kurwa, jeszcze. Wnioskodawcy twierdzą, że mają poparcie trzech wielkich banków z City, fundusz gwarancyjny w wysokości pięciuset milionów dolarów i całe miliardy, grube miliardy, kapitału niegwarantowanego. Nie bardzo chcą mówić, ile tych miliardów, żeby ludzi nie straszyć. Starania te są popierane przez wiele szacownych instytucji finansowych, krajowych i zagranicznych, oraz przez liczne wybitne osobistości

krajowe. Tak się składa, że wśród tych ostatnich znajdują się twój poprzednik Aubrey Longrigg i nasz sekretarz stanu *in spe*. Ich z kolei popierają te co zwykle pasożyty z Izby Lordów. Wśród kilku radców prawnych wynajętych przez Arenę do przedstawienia jej sprawy w Komisji jest wybitny dr Bunny Popham z Mount Street w Mayfair. Emerytowany kapitan naszej dzielnej marynarki wojennej, de Salis, był tak miły, że zgłosił się na ochotnika, by kierować ofensywą *public relations* Areny.

\*

Wielki łeb Matlocka opadł w przód. Po dłuższej chwili odzywa się, ale wciąż nie podnosi głowy:

- Tobie to łatwo, Hectorze. Ty umiesz tylko krytykować. Ty i twój przyjaciel Luke. A pozycja naszej służby w sprawach, które naprawdę się liczą? Bo ty już nam nie służysz. Tylko sobie. Po co to całe rozciąganie działalności wywiadowczej na nasze, angielskie w końcu firmy, na nasze przecież banki? Hector, my nie prowadzimy krucjaty. My nie jesteśmy po to, żeby wywracać statek. My mamy pomagać nim sterować. My jesteśmy służbą.

Nie doszukawszy się empatii w ponurych oczach Hectora, Matlock uderza w bardziej osobisty ton:

- Ja zawsze byłem zwolennikiem status quo, Hectorze, i nigdy się tego nie wstydziłem. Ja się cieszę, gdy nasz wspaniały kraj bezpiecznie przesypia kolejną noc. Ale dla ciebie to mało, prawda? To tak, jak w tym starym sowieckim dowcipie, który opowiadaliśmy sobie w czasach zimnej wojny: nie będzie wojny, tylko taka walka o pokój, że kamień na kamieniu nie zostanie. Ja już wiem, Hectorze. Ty jesteś absolutystą. Wszystko przez tego twojego syna, który przysporzył ci tytuł zmartwień. To przez niego tak ci się wszystko pomieszało. Przez Adriana.



Luke wstrzymał dech, bo to był temat tabu. Mimo tylu wspólnie spędzonych z Hectorem godzin - nad zupkami Olliego, nad whisky w kuchni po pracy, przy monitorze, w którym oglądali nakradzione przez Yvonne filmy, albo kolejny raz odsłuchując diatryby Dimy - Luke ani razu nie zaryzykował najcieńszej choćby aluzji do syna marnotrawnego. Dopiero od Olliego dowiedział się, i to przypadkiem, że Hectorowi nie należy zawracać głowy w środowe i sobotnie popołudnie - chyba że dzieje się coś nadzwyczajnego - bo właśnie wtedy przypadają godziny odwiedzin w otwartym więzieniu Adriana w Anglii Wschodniej.

Ale Hector jakby nie słyszał prowokacyjnych słów Matlocka, albo jeżeli słyszał, nie zareagował. Co do Matlocka, ten był tak oburzony, że zapewne nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co powiedział.

- I jeszcze jedno, Hectorze! - warknął. - Skoro już o tym mowa, co komu przeszkadza, że brudne pieniądze stają się czyste? W porządku, to oznacza, że istnieje jakaś szara strefa. Wielka szara strefa. Wiemy o tym. W końcu nie urodziliśmy się wczoraj. I wiemy też, że w niektórych krajach cała gospodarka jest bardziej brudna niż czysta. Na przykład w Turcji. Albo w Kolumbii, działce Luke'a. No dobra, w Rosji też. A gdzie wolisz, żeby szły te pieniądze? Żeby dalej były brudne, i zostawały tam, nie wiadomo gdzie? Czy żeby robiły się czyste i siedziały sobie w Londynie, w rękach ludzi cywilizowanych, i żeby można było z nich korzystać dla celów legalnych i dla dobra publicznego?

- To może sam powinienesz zabrać się za pranie pieniędzy, Billy - mówi cicho Hector. - Dla dobra publicznego.

Teraz z kolei Matlock nie dosłyszał. Gwałtownie zmienia front, to jego stara sztuczka:

- A w ogóle to kim jest ten profesor, o którym tyle słyszeliśmy? - rzuca pytanie wprost w twarz Hectora. - A raczej nie

słyszeliśmy? Czy on jest twoim źródłem w tym wszystkim? Dlaczego dostaję ochłapy, a nie prawdziwe dane? Dlaczego nie zwróciłeś się do nas o dopuszczenie dla niego? A może dla niej? Nie przypominam sobie, żeby na moje biurko trafiło cokolwiek o jakimś profesorze.

- Chcesz sam go prowadzić, Billy?

Matlock mierzy Hectora długim, milczącym spojrzeniem.

- Nie krępuj się, Billy - nalega Hector. - Przejmij go, czy tam ją, kimkolwiek jest. Przejmij całą sprawę, Aubreya Longrigga i tak dalej. Albo, jak wolisz, przekaz ją ludziom od przestępczości zorganizowanej. Wciągnij Scotland Yard, wszystkie ministerstwa siłowe i najlepiej jeszcze Straż Pałacową. Szef może nie będzie ci wdzięczny, ale inni jak najbardziej.

Matlock nie składa broni, ale jego wojownicze pytanie nosi wyraźne cechy ustępstwa:

- W porządku. Dla odmiany porozmawiajmy otwartym tekstem. Czego chcesz? Na jak długo i ile? Zobaczmy, jaki masz plan maksimum, potem najwyżej trochę z niego uszczkniemy.

- Chcę tego, Billy. Chcę spotkać się z Dimą twarzą w twarz, kiedy za trzy tygodnie przyjedzie do Paryża. Chcę dostać od niego próbki materiału, tak samo jak od każdego ważnego defektora: nazwiska z jego listy, numery kont i fragment mapy... Przepraszam, schematu organizacyjnego. Chcę pisemną zgodę, twoją zgodę, na odbycie z nim pierwszej rundy rozmów, z założeniem, że jeżeli dostarczy nam to, co twierdzi, że może dostarczyć, kupujemy od niego wszystko na pniu, za pełną rynkową cenę i nie opierdalamy się z tym, bo on przecież zaraz poleci z tą samą ofertą do Francuzów, Niemców, Szwajcarów... Albo, broń nas, Panie, do Amerykanów, którym wystarczy rzucić okiem na ten materiał, by potwierdzić ich obecne i fatalne zdanie o naszej Firmie, o naszym rządzie i naszym kraju. - Kościsty palec wskazujący przesywa powietrze i tkwi uniesiony w górę, podczas gdy fanatyczny błysk znów pojawia się

w szerokich szarych oczach. - I chcę tam iść na bosaka. Czyli żadnego powiadomienia placówki w Paryżu, że tam będę, żadnego operacyjnego, finansowego ani logistycznego wsparcia na żadnym poziomie, ani od ciebie, ani od Firmy, dopóki sam o to nie poproszę. Zrozumiano? To samo w Bernie. Sprawa ma być nieprzemakalna, lista wtajemniczonych zamknięta na trzy spusty. Żadnych dodatkowych dopuszczeń, żadnego szeptania po korytarzach z najbliższymi kumplami. Sprawę prowadzę sam, po swojemu, przy pomocy Luke'a i jakimikolwiek innymi środkami, które sam wybiorę. No dobra, proszę bardzo, teraz możesz wpaść w szaf.

Czyli Hector jednak usłyszał, pomyślał z satysfakcją Luke: Billy przyłożył mu Adrianem, to teraz dostał za swoje.

Oburzenie Matlocka było przemieszane ze szczerym niedowierzaniem.

- Co, tak bez słowa od szefa? W ogóle bez klepnięcia na czwartym piętrze? Hector Meredith znów walczy sam? Zbiera informacje od niezarejestrowanego źródła, z własnej inicjatywy i dla własnych celów? Ty chyba straciłeś kontakt z rzeczywistością, Hectorze. Zresztą zawsze miałeś z tym kłopoty. Nie patrz na to, co gość daje. Patrz na to, o co prosi! Przesiedlenie dla całego plemienia, nowe tożsamości, paszporty, meliny, amnestie, gwarancje. Nie mam pojęcia, o co nie prosi! Musiałbyś mieć poparcie całej Komisji Uprawnień, i to na piśmie, żebym mógł zgodzić się na coś takiego. Ja ci nie ufam. Nigdy ci nie ufałem. Bo ty nigdy nie masz dość. I nigdy nie miałeś.

- Całej góry? - upewnił się Hector.

- Taki wymóg Ministerstwa Skarbu. Całej Komisji, zebranej na sesji plenarnej, a nie jakiejś podkomisji.

- Inaczej mówiąc: zgrai rządowych prawników, gwiazdorskiej obsady szych z Biura Spraw Zagranicznych, Kancelarii Premiera, Ministerstwa Skarbu, nie mówiąc już o naszym czwartym piętrze.

Billy, i ty myślisz, że nad tym można zapanować? W tym przypadku? A Komisja do Spraw Służb Specjalnych? Chyba żartujesz. Mam mieć na karku obie izby Parlamentu, gości z wszystkich partii, na czele z Aubreyem Longriggiem, podczas gdy świetnie opłacany przez de Salisa chór parlamentarnych najemników śpiewa na cały głos hymn pochwalny ze wspólnej partytury?

- Hectorze, wiesz dobrze, że skład i rozmiary Komisji Upoważnień są płynne i mogą się zmieniać. Nie wszystkie instytucje muszą być zawsze reprezentowane.

- I to jest twoja propozycja, zanim jeszcze pogadam z Dimą? Chcesz mieć skandal, zanim jeszcze skandal wybuchnie? O to ci chodzi? Iść na całego, spalić źródło, zanim pozwoli mu się pokazać, co ma na sprzedaż, niech się dzieje, co chce? Naprawdę to proponujesz? Chcesz, żeby sprawa się rypła, jeszcze zanim zacznie się rypać, a wszystko po to, żeby chronić własną dupę? I jeszcze cały czas twierdzisz, że chodzi ci o dobro Firmy!

Luke musi przyznać, że Matlock to gość, bo nawet w takiej chwili nie poskromił swej agresji.

- A, czyli wreszcie chodzi nam o interes Firmy! No proszę. Cieszę się. Lepiej późno niż wcale. Co proponujesz?

- Przełożyć zebranie Komisji na po Paryżu.

- A w międzyczasie?

- Wbrew sobie i wszystkiemu, co dla ciebie najcenniejsze, czyli na przykład własnej dupie, daj mi tymczasowe przyzwolenie operacyjne, niniejszym przekazując całą aferę w ręce niesubordynowanego oficera, którego zawsze można się wyprzeć, jak operacja pójdzie nie tak. Czyli mnie. Hector Meredith ma swoje zalety, ale wiadomo, że wariat i że przekroczył uprawnienia. Panowie dziennikarze zapisali?

- A jeżeli operacja nie pójdzie nie tak?

- Zbierzesz Komisję w najmniejszym składzie, w jakim się da.

- A ty przed nią staniesz.
- A ty pójdiesz na chorobowe.
- To nie *fair*, Hectorze.
- Wcale nie ma być *fair*, Billy.

\*

Luke nigdy się nie dowiedział, co to za papier Matlock właśnie wyciągał z głębin swej marynarki, co tam było, a co nie było napisane, czy podpisali obaj, czy tylko jeden z nich, czy była jeszcze kopia - a jeśli tak, to u kogo została - ponieważ Hector przypomniał mu, nie po raz pierwszy, że on, Luke, ma coś do zrobienia, więc Luke wyszedł z pokoju akurat w chwili, gdy Matlock zaczynał rozkładać papiery na stole.

Ale wiedział też, że do końca życia zapamięta powrotną drogę do Hamstead, którą pokonał na piechotę w ostatnich promieniach wieczornego słońca - podczas marszu zastanawiał się, że może wpadnie po drodze do mieszkania Gail i Perry'ego w Primrose Hill, by błagać ich, by uciekali, gdzie pieprz rośnie, póki jeszcze czas.

A potem jego myśli powędrowały - co zdarzało mu się często i bez szczególnego powodu - ku owemu zapitemu sześćdziesięcioletniemu kolumbijskiemu baronowi narkotykowemu, który z powodów niezrozumiałych ani dla siebie, ani dla Luke'a postanowił, że zamiast dostarczać Luke'owi informacji wywiadowczych - co robił od lat - zamknie go na miesiąc w śmierdzącym więzieniu w dżungli pod czułą opieką swoich zbirów, po czym przywiezie mu czyste ubranie, butelkę tequili i pozwoli samodzielnie wrócić do Eloise.

# 11.

Z wielu uczuć, których spodziewała się Gail, gdy pewnego pochmurnego sobotniego popołudnia wsiadała do ekspresu Eurostar do Paryża, odjazd 12.29 z dworca St Paneras, ulga była na samym końcu listy. A jednak czuła właśnie ulgę - choć obwarowaną wszelkimi możliwymi zastrzeżeniami i warunkami - a jeśli sądzić po twarzy siedzącego naprzeciw niej Perry'ego, on czuł to samo. Bo jeżeli ulga to jasność sytuacji, jeżeli ulga to przywrócenie harmonii między nimi dwojgiem, stanięcie na powrót po stronie Nataszy i dziewczynek, ocieranie Perry'emu potu z czoła, gdy on odstawia swój numer dla Ojczyzny i Wolności, to Gail rzeczywiście ulżyło; co nie oznacza, że wyzbyła się wszelkich wątpliwości albo że była tak zachwycona tym wszystkim jak Perry, który najwyraźniej zasmakował już w roli wielkiego szpiega.

Nawrócenie Perry'ego nie było dla niej wielkim zaskoczeniem, choć trzeba było prawdziwego eksperta Perry'ologii, by zorientować się, jak wielka była to zmiana: od niezgody z pobudek moralnych po całkowite zaangażowanie w to, co Hector nazywał już Zadaniem przez wielkie Z. Prawda, że od czasu do czasu Perry zgłaszał jeszcze szczątkowe moralno-etyczne zastrzeżenia czy wręcz wątpliwości - czy to naprawdę jedyny sposób załatwienia tej sprawy? Czy nie ma łatwiejszej drogi do tego samego celu? - ale takie pytania potrafił zadawać sobie już wcześniej, na przykład w połowie drogi wspinaczkowej przez trzystumetrową przewieszkę.

Teraz wiedziała już, że pierwsze ziarna tej zmiany zasiał nie Hector, lecz Dima, który od spotkania na Antigui wyrastał w słowniku pojęć Perry'ego do rozmiarów russowskiego szlachetnego dzikusa:

- Wyobraź sobie, że to my urodzilibyśmy się na jego miejscu, Gail. Nie da się ukryć, właściwie to wielki honor, że nas wybrał. A w dodatku pomyśl o tych dzieciach!

Nie ma obawy: ciągle myślała o tych dzieciach. Myślała o nich dzień i noc, a przede wszystkim o Nataszy, i właśnie z tego powodu potrafiła powstrzymać się przed zwróceniem Perry'emu uwagi, że Dima, kulący się ze strachu na antiguańskim cyplu, może po prostu nie miał zbyt wielkiego wyboru co do posłańca, spowiednika, więźniów nawiedzacza, czy na kogo tam w końcu został mianowany - lub sam się mianował - Perry. Ona zawsze wiedziała, że w Perrym tkwi ukryty romantyk, gotowy przebudzić się, gdy tylko pojawi się okazja do altruistycznego poświęcenia. A jeżeli jeszcze będzie w tym trochę ryzyka, tym lepiej.

Dotąd brakowało już tylko jednego elementu: brak również gorliwego towarzysza, który pobudziłby go do czynu, ale tu jak na zamówienie pojawił się Hector, czarujący, dowcipny, fałszywie zrelaksowany, wieczny piniacz - bo za takiego go miała: absolutnie typowy klient z obsesją na punkcie sprawiedliwości, który potrafi strawić całe życie na udowadnianiu innym, że to do niego należy działka, na której stoi teraz opactwo westminsterskie. Całkiem prawdopodobne, że gdyby jej kancelaria pozajmowała się tą sprawą przez jakieś sto lat, udałoby się udowodnić, że ma słuszność i wygrałby sprawę przed każdym sądem. Tymczasem jednak opactwo miało pozostać na swoim miejscu, a życie - toczyć się dalej, jak poprzednio.

A Luke? Cóż, dla Perry'ego Luke to Luke, bezsprzecznie pewny człowiek, świetny profesjonalista, sumienny, pełno oleju w głowie. Mimo to Perry poczuł się znacznie lepiej, sam musiał to przyznać,

gdy okazało się, że Luke nie jest - jak początkowo sądził - szefem zespołu, lecz tylko podwładnym Hectora. A ponieważ - według Perry'ego - wszystko, co robił Hector, było dobre, więc i to, że Luke jest jego podwładnym, musiało być słuszne i dobre.

Gail nie była tego taka pewna. Im lepiej poznawała Luke'a w ciągu tych dwóch tygodni „aklimatyzacji”, tym bardziej była skłonna uważać go - mimo całej jego nerwowości, przesadnej uprzejmości i zatroskanych zmarszczek, które pojawiały mu się na twarzy, gdy myślał, że nikt na niego nie patrzy - za kogoś znacznie pewniejszego od Hectora. Bo Hector - z tą swoją pewnością siebie, rubasznym dowcipem i potężnym darem przekonywania - był dla niej znacznie bardziej od Luke'a nieobliczalny.

A fakt, że Luke się w niej kochał, nie był dla niej ani zaskoczeniem, ani powodem do zażenowania. Mężczyźni ciągle się w niej zakochiwali. Świadomość ich uczuć w pewien sposób zwiększała jej poczucie bezpieczeństwa. Podobnie nie dziwiło jej wcale, że Perry nic nie zauważył. I to też dawało jej jakieś zabezpieczenie.

Najmniejsze poczucie bezpieczeństwa dawała jej pasja, z jaką Hector poświęcał się sprawie - to, że był człowiekiem z misją. Tylko że tym właśnie tak bardzo zachwycił Perry'ego.

- Wiesz, ja jestem jeszcze ciągle niedokończony - powiedział kiedyś Perry w jednej ze swych ulubionych, rzuconych mimochodem, autokrytycznych uwag. - A Hector jest całkowicie uformowany. - Co było dla Perry'ego najwyższym komplementem, na który tak trudno było komukolwiek zasłużyć.

Czy Hector miał być ostateczną wersją Perry'ego? Hector, typowy człowiek czynu, który robił to, o czym Perry tylko mówił? No, a kto teraz był na pierwszej linii? Perry. A kto tylko mówił? Hector.



\*

Ale nie tylko Hectorem zachwycił się Perry. Również Olliem. Perry, który szczyił się, że potrafi zawsze rozpoznać, kto jest dobry w swym zawodzie, a kto nie, po prostu nie mógł uwierzyć - podobnie jak nie mogła w to uwierzyć Gail - że to właśnie Ollie, ociężały, bez kondycji, o fatalnych manierach, z kolczykiem w jednym uchu i nadmiarem inteligencji, i jeszcze z tym obcym akcentem, którego nie udało się jej rozpoznać, a była zbyt dobrze wychowana, by pytać - okaże się istnym wzorem nauczyciela: że będzie w tym dokładny i wymowny, i że będzie się starał, by uczyć, bawiąc, i uczyć dobrze.

To nic, że zabrano im ich bezcenne weekendy; albo że jest późny wieczór po męczącym dniu, spędzonym w sądzie lub w kancelarii; albo że Perry strawił cały dzień w Oksfordzie na śmiertelnie nudnych ceremoniach rozdania dyplomów, na pożegnaniach ze studentami czy na wyprowadzce ze swej kawalerki. Ollie w jednej chwili roztaczał nad nimi swój czar, wszystko jedno, czy siedzieli w suterenie, czy w zatłoczonej kawiarni na Tottenham Court Road - Luke obsta- wiał ulicę, wielki Ollie w berecie przyjeżdżał swą taksówką - podczas gdy oni przebierali wśród zabawek z jego czarnej kolekcji wiecznych piór, guzików od marynarki i spinek do krawata, które wszystkie umiały słuchać, albo przekazywać, albo nagrywać, albo wszystko razem; była też odpowiednia biżuteria dla pań.

- No, Gail, powiedz, w czym ci będzie najbardziej do twarzy? - zapytał Ollie, gdy przyszła kolej na wybranie czegoś dla niej. A gdy powiedziała: - Jeżeli mam być szczerą, to wolałabym umrzeć, niż pokazać się w czymkolwiek z tych rzeczy - to natychmiast zabrał ją do Liberty, żeby wybrała sobie coś bardziej w swoim stylu.

Ale szanse, że choć raz uda im się użyć zabawek Olliego - jak on sam poinformował ją z zalem - były właściwie równe zeru:

- Kochana, Hector to ani myśli, żebyście mogli choć marzyć o założeniu ich na główną imprezę. To raczej tak „na wszelki wypadek”. Na wypadek, że nagle usłyszycie coś cudownego, czego nikt się nie spodziewał, i że nie ma ryzyka śmierci lub kalectwa. I dlatego musimy mieć pewność, że macie dostateczny *know-how*, żeby się nimi posłużyć.

Z perspektywy czasu Gail wątpiła i w to. Podejrzewała raczej, że zabawki Olliego to tak naprawdę rekwizyty służące do psychologicznego uzależnienia osób, które uczy się nimi bawić.

- Wasz kurs aklimatyzacyjny będzie dostosowany do was, nie do nas - poinformował ich Hector, gdy po raz pierwszy przemówił do nich jako do nowego zaciągu w ich pierwszy wspólny wieczór. Głosem tak pompatycznym, jakiego już potem nie używał, więc może on też się denerwował. - Perry, jeżeli utkniesz w Oksfordzie na niezapowiedzianym zebraniu albo co, siedź tam i tylko zadzwoń do nas. Gail, czymkolwiek zajmujesz się teraz w kancelarii, nie ryzykuj. Podstawowa sprawa: zachowywać się jak dawniej, mieć pełne ręce roboty. Jakakolwiek zmiana w stylu życia może się wydać podejrzana, a to by było niekorzystne. Rozumiecie?

Następnie powtórzył na użytek Gail obietnicę uczynioną Perry-emu:

- Będziemy wam mówić jak najmniej się da, ale wszystko, co wam powiemy, będzie świętą prawdą. Jesteście parą twainowskich prostaczków za granicą. Właśnie tego od was oczekuje Dima. Ja też. I Luke i Ollie też. Im mniej się wie, kurwa, tym mniej się naraża. Każda nowa twarz musi rzeczywiście być dla was nowa. Każdy pierwszy raz musi być pierwszy. Plan Dimy polega na tym, żeby was wyprać tak, jak on pierze pieniądze. Tak was wyprać, kurwa, żebyście

wtopili się w krajobraz jego znajomości, zrobić z was walutę wymienną. Prawdę mówiąc, wszędzie gdzie jeździ, Dima ma teraz areszt domowy, przynajmniej od chwili wyjazdu z Moskwy. To jego problem, na pewno dużo i mocno myślał, jak to rozwiązać. Jak zwykle inicjatywa należy do biednego skurwiela na miejscu. To Dima musi pokazać nam, co może załatwić, jak i kiedy. - Potem typowo Hectorowskie podsumowanie: - Wiem, klęę jak szewc. To mnie uspokaja, sprowadza z powrotem na ziemię. Luke i Ollie to dwa świętoszki, więc wychodzi na zero.

I wreszcie homilia:

- Powtarzam jeszcze raz, to nie jest szkolenie. Nie mamy kilku lat, tylko po parę godzin przez parę tygodni.

Czyli to taka aklimatyzacja, żebyście nabrali jakiej takiej pewności siebie, i żebyśmy wszyscy nabrali do siebie zaufania, choćby nie wiem co. Wy do nas, my do was. Ale wy nie jesteście szpiegami. Więc, na miłość boską, nie próbujcie nimi być. Nawet nie myślcie o prowadzeniu jakichś tam obserwacji. Nie macie o tym zielonego pojęcia. Wy jesteście młodą parą, która jedzie do Paryża świetnie się bawić. Więc żebyście mi, kurwa, nie próbowali stawać przed wystawami, oglądać się za siebie, wskakiwać w boczne uliczki. Komórki to trochę inna sprawa. - I bez ostrzeżenia: - Czy ktoś z was używał komórek w obecności Dimy lub jego bandy?

Komórek używali na balkonie domku. Gail dzwoniła do kancelarii w sprawie Samsonów, Perry do swojej gospodyni w Oksfordzie.

- Czy ktokolwiek od Dimy słyszał, jakie macie dzwonki?

Stanowcze nie.

- Czy Dima albo Tamara znają którykolwiek z waszych numerów komórkowych? A może oba?

- Nie - powiedział Perry.

- Nie - dodała Gail, jakby trochę mniej pewnie.

Numer Gail miała Natasza, Gail miała numer Nataszy. Ale na tak zadane pytanie dała przecież prawdziwą odpowiedź.

- W takim razie, Ollie, można im dać te nasze, szyfrowane - oświadczył Hector. - Niebieski dla Gail, srebrny dla niego. Wy dwoje, wręczcie Olliemu swoje karty SIM, on już zrobi, co trzeba. Wasze nowe telefony będą szyfrowane, ale tylko na połączenia w ramach naszej piątki. Macie tam już ustawione trzy nasze numery. Podpisane: John, Paul i George. John to ja. Paul to Luke. George to Ollie. Ringa sobie odpuścimy. Perry, ty nazywasz się Milton, na cześć poety. A Gail jest Doolittle, ale nie na cześć doktora, tylko Elizy z *Pigmaliona*. Już wprowadzone. Wszystko inne w tych telefonach działa normalnie. Tak, Gail?

Gail jako pani mecenas:

- Czy od tej pory będziecie podsłuchiwać nasze rozmowy, jeżeli już tego nie robicie?

Śmiech.

- Tylko z tymi ustawionymi, szyfrowanymi numerami.
- A z innymi nie? Na pewno?
- Na pewno. Jak bum cyk cyk.
- Nawet jak będę dzwonić do moich pięciu sekretnych kochanków?
- Wielka szkoda, ale nawet.
- A nasze osobiste SMS-y?
- Absolutnie nie. Strata czasu, nas to nie interesuje.
- Ale skoro te nasze ustawione numery są zaszyfrowane, to po co te głupie pseudonimy?
- Bo ludzie w autobusach mają wielkie uszy. Czy oskarżenie chce zadać jeszcze jakieś pytania? Ollie, co z tą whisky, do cholery?
- Już mam, szefie. Prawdę mówiąc, to nowa butelka. - Wciąż z tym irytująco niedającym się umiejscowić akcentem.

\*

- Masz rodzinę, Luke? - zapytała go pewnego wieczoru Gail nad zupą i butelką czerwonego wina, nim rozeszli się do domów.

Była zdumiona, że dotąd nie zadała mu tego pytania. Może - mroczna myśl - wcale nie chciała pytać i w ten sposób trzymać go na haczyku. Luke najwyraźniej też się zdumiał, bo jego dłoń powędrowała szybko do czoła, by pogłodzić małą, czerwoną bliznę, która jakby sama z siebie raz pojawiała się, raz znikwała. To od kolby pistoletu jakiegoś innego szpiega? Czy od patelni rozszoszczonej żony?

- Niestety mam tylko jedno dziecko, Gail - powiedział, jakby chciał usprawiedliwić się, że nie ma więcej. - Chłopiec. Wspaniały dzieciak. Nazwaliśmy go Ben. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem o życiu. Muszę się pochwalić, że ogrywa mnie w szachy. Tak. - Drgnięcie powieki. - Problem w tym, że nie bardzo udaje nam się dokończyć partię. Za dużo tego wszystkiego.

*Czego?* Chodzi o alkohol? Szpiegostwo? Czy o zakochiwanie się?

Przez chwilę podejrzewała, że jest coś między nim a Yvonne, głównie dlatego, że Yvonne tak dyskretnie mu matkowała. Potem uznała, że są tylko kolegami z pracy, ale uważała tak do chwili, gdy któregoś wieczoru zobaczyła, że jego wzrok przenosi się to na nią, to na Yvonne, jakby obie były jakąś wyższą formą stworzenia. I pomyślała wtedy, że nigdy w życiu nie widziała smutniejszej twarzy.

\*

Ostatni dzień. Koniec semestru. W ogóle koniec roku szkolnego. Takie dwa tygodnie już nigdy się nie powtórzą. W kuchni Yvonne

i Ollie przygotowują okonia morskiego w soli. Ollie wyśpiewuje fragmenty z *Traviaty*, nawet całkiem ładnie. Luke buduje zaufanie, uśmiechając się do wszystkich i kręcąc głową z przesadnym zachwytem. Hector kupił wspaniałe meursault - i to nie jedną, a dwie butelki. Tylko najpierw musi jeszcze porozmawiać z Perrym i z Gail w krzykliwie urządzonym saloniku dyrektora szkoły. Siadamy czy stoimy? Hector stoi, więc Perry, w gruncie rzeczy formalista, też stoi. Gail wybiera zwykle krzesło pod grafiką Roberta przedstawiającą Damaszek.

- No - mówi Hector.

No, zgadzają się oboje.

- Parę słów na koniec. Bez świadków. Zadanie jest niebezpieczne. Już wam to mówiłem, ale powtórzę jeszcze raz.

Niebezpieczne jak skurwysyn. Ciągłe jeszcze możecie się rozmyślić, nikt nie będzie miał do was pretensji. Jeżeli się nie rozmyślicie, będziemy was niańczyć, jak się da, ale logistycznego wsparcia możemy wam dać tyle, co kot napłakał. Czyli, jak to się u nas w branży mówi, idziemy na bosaka. Nawet nie musicie się żegnać, dajcie sobie spokój z tą rybą Olliego. Weźcie płaszcze z holu, wyjdźcie przez frontowe drzwi, nie było sprawy. Ale to już ostatnia szansa.

Gdyby tylko wiedział: ostatnia z wielu. Gail i Perry rozważali tę kwestię co noc. Każdą z czternastu nocy. Perry koniecznie chce, żeby to ona odpowiedziała za nich dwoje, i tak się też dzieje:

- W porządku. Jesteśmy zdecydowani. Zrobimy to - mówi.

Brzmi to bardziej bohatersko, niż miało, a Perry bardzo powoli i bardzo dobitnie kiwa głową i mówi:

- Tak jest, absolutnie. - To z kolei też nie w jego stylu i najwyraźniej jest tego świadomy, bo zaraz odwraca pytanie Hectora przeciwko niemu: - No, a wy? - pyta ostro. - Wy nigdy nie macie żadnych wątpliwości?

- E, my i tak mamy przesrane - odpowiada niedbale Hector. - I przecież o to chodzi, nie? Jak trzeba mieć przesrane, to lepiej mieć przesrane w dobrej sprawie.

Co dla Perry'ego jest oczywiście balsamem na jego purytańskie sumienie.

\*

Gdy wjeżdżali już na Gare du Nord, balsam wciąż działał - sądząc po wyrazie twarzy Perry'ego, bo jeszcze było w nim trochę skrywanej dumy w rodzaju „ja jestem Anglią”, której dotąd Gail nigdy u niego nie widziała. Dopiero gdy dotarli do Hôtel des Quinze Anges - typowy wybór Perry'ego: obskurny, wąski, pięć pięter po rozklekotanych schodach, maleńkie klitki, pojedyncze łóżka wielkości deski do prasowania i o rzut kamieniem od rue du Bac - wtedy tak naprawdę w pełni dotarło do nich, na co się zgodzili. Zupełnie jak gdyby ich posiedzenia w domu w Bloomsbury, ich koleżeńsko-rodzinna atmosfera - miła godzinka z Oliem, potem druga z Lukiem, na chwilę wpadała Yvonne, zaraz będzie Hector, żeby się z nimi napić na dobranoc - dały im poczucie nietykalności, które teraz, gdy zostali sami, natychmiast wyparowało.

Zauważyli poza tym, że stracili umiejętność naturalnej rozmowy, że przemawiają do siebie jak idealne małżeństwa z reklam telewizyjnych:

- Naprawdę cieszę się na jutro, a ty? - mówi Doolittle do Milтона. - Jeszcze nigdy nie widziałam Federera na żywo. Jestem naprawdę podekscytowana.

- Mam nadzieję, że pogoda się utrzyma - odpowiada Milton Doolittle, z niepokojem wyglądając przez okno.

- Ja też mam taką nadzieję - zgadza się z zapalem Doolittle.

- To może rozpakujmy się i poszukajmy sobie jakiejś restauracyjki? - proponuje Milton.

- Świetny pomysł - mówi Doolittle.

Ale tak naprawdę myślą oboje: jeżeli mecz zostanie odwołany z powodu deszczu, to rany boskie, co zrobi Dima?

Dzwoni komórka Perry'ego. To Hector.

- Cześć, John - mówi idiotycznie Perry.

- Dotarliście do hotelu, Milton? Wszystko w porządku?

- W porządku, wszystko świetnie. Bardzo dobrze się jechało - mówi Perry z entuzjazmem, którym można by obdzielić ich oboje.

- Dziś macie wolne, okej?

- Tak mówiłeś.

- Doolittle w dobrym humorze?

- W skowronkach.

- Zadzwoń, jakbyś coś potrzebował. Obsługa całodobowa.

\*

Gdy wychodzą, w mikroskopijnym holu ich hotelu Perry zwierza się ze swych obaw o pogodę imponującej damie, Madame Mère, tak nazwanej na cześć matki Napoleona. Zna ją jeszcze z czasów studenckich, Madame Mère zaś, jeśli można jej wierzyć na słowo, kocha Perry'ego jak własnego syna. Nawet w domowych bamboszach ma chyba wzrostu nie więcej niż metr trzydzieści; Perry twierdzi, że nikt nigdy nie widział jej bez chustki nałożonej na papiloty. Gail lubi słuchać, jak płynnie Perry trajkocze po francusku, ale jego biegłość w tym języku zawsze jest dla niej pewnym wyzwaniem, może dlatego, że Perry nie bardzo chce powiedzieć, od kogo tak się go nauczył w młodości.

W *bistrot* na rue de l'Université Milton i Doolittle jedzą bardzo przeciętny *steak frites* z przywiedłą sałatą i zgodnie uznają, że



lepszego w życiu nie jedli. Nie są w stanie dopić do końca litra domowego wina, więc biorą je ze sobą do hotelu.

- Róbcie to, co robicie zwykle - przed wyjazdem powiedział im beztrosko Hector. - Jeżeli macie paryskich znajomków i chcecie z nimi pobyc, czemu nie?

Temu nie, że nie mamy zamiaru robić tego, co zwykle robimy. Bo nie zamierzamy wysiadywać w kafejce na St Germain z naszymi paryskimi znajomkami, kiedy mamy na głowie słonia imieniem Dima. Bo nie zamierzamy okłamywać ich, skąd wzięliśmy bilety na jutrzejszy finał.

\*

Po powrocie do pokoju dopijają resztę wina, korzystając z kubków do mycia zębów, po czym długo i namiętnie kochają się bez słowa - tak jest najlepiej. Gdy nastaje ranek, Gail z nerwów śpi do późna, a obudziwszy się, widzi, że Perry patrzy na deszcz, plamiący brudną szybę, i że znów zamartwia się, co zrobi Dima, jeżeli mecz zostanie odwołany. A jeżeli zostanie przesunięty aż na poniedziałek - myśli sobie teraz Gail - to czy będzie musiała zadzwonić do kancelarii i znowu łąć o bólu gardła, co jest u niej w pracy zaszyfowaną informacją o szczególnie dokuczliwej miesiączce?

Nagle wszystko zaczyna odbywać się liniowo. Po kawie i crois-santach, podanych do łóżka przez Madame Mère - z towarzyszeniem pochwalnych pomruków w stylu: „*Quel titan alors*”, przeznaczonych dla Gail - oraz po głupawym telefonie Luke'a, czy noc minęła dobrze i czy dadzą radę pójść na tenisa, leżą w łóżku i zastanawiają się, co robić do trzeciej po południu, kiedy zaczyna się mecz, żeby zdążyć na stadion, znaleźć miejsca i w ogóle.

Ich odpowiedź jest taka, że najpierw na zmianę kąpią się w małej umywalce, potem ubierają się i maszerują tempem

Perry'ego do Musée Rodin, gdzie dołączają się do szkolnej wycieczki, do ogrodu muzeum zdążają w sam raz na deszcz, kryją się pod drzewami, potem w muzealnej kawiarni, skąd raz po raz wyglądają przez drzwi, usiłując zgadnąć, w którą stronę płyną chmury.

Podjąwszy wspólną decyzję, choć bez zrozumiałego dla nich samego powodu, porzucają niedopite kawy, postanawiają oglądnąć ogrody Champs-Élysées, ale okazuje się, że zostały zamknięte ze względów bezpieczeństwa. Do miasta zjechała Michelle Obama z dziećmi. Tak twierdzi Madame Mère, tylko że to tajemnica państwowa, dlatego wie o tym tylko Madame Mère i cały Paryż.

Za to ogrody Teatru Marigny są otwarte i puste, jeśli nie liczyć dwóch starych Arabów w czarnych garniturach i białych butach. Doolittle wybiera jedną z ławek, Milton próbuje jej wybór. Doolittle gapi się na kasztanowce, Milton na plan miasta.

Perry zna Paryż jak własną kieszeń, więc oczywiście już wie, jak dokładnie dojadą na korty Rolanda Garrosa - metrem dotąd, autobusem do tamtąd, ze sporym zapasem, żeby na pewno zdążyć na wyznaczoną przez Tamarę godzinę.

Ale to całkiem dobry pomysł gapić się na mapę, bo co innego można robić, jeżeli jest się parą młodych ludzi na wakacjach w Paryżu, która postanowiła - jak idioci - posiedzieć sobie na ławce w taki deszcz?

- Wszystko w porządku, Doolittle? Nic się nie dzieje? Nie trzeba pomóc? - Tym razem Luke wprost do Gail, i mówi zupełnie jak lekarz rodzinny państwa Perkinsów, typowy samiec, kiedy jeszcze mieszkała z rodzicami: „Nie boli gardziółko, Gail? Może zdejmiesz ubranko, to sprawdzimy?”.

- Nic się nie dzieje, pomocy nam nie trzeba, dziękujemy - odpowiada. - Milton mówi, że za pół godziny ruszamy. - *A gardziółko też wcale mnie nie boli.*

Perry składa mapę. Rozmowa z Lukiem rozgniewała Gail i sprawiła, że zaczęła się czuć jak na widelcu. Zaszło jej w ustach, więc wciąga wargi i liże je od wewnątrz. Głupiej być już chyba nie może. Wracają na pusty chodnik i obierają kurs pod górę, w stronę Łuku Triumfalnego. Perry wysforowuje się naprzód, jak zawsze, gdy chce być sam, a nie może.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz? - Gail syczy mu w ucho.

Bo właśnie zboczył do dusznej galerii handlowej, która aż się trzęsie od muzyki rockowej. Czy on bawi się w szpiega - i przy okazji lekceważy nakazy Hectora, by nie próbować rozglądać się za wymagowanym „ogonem”?

Otóż nie. Perry śmieje się. Po chwili, dzięki Bogu, śmieje się też Gail. Obejmując się nawzajem za ramiona, patrzą z niedowierzaniem na prawdziwy arsenał szpiegowskich zabawek: idące w dziesiątki tysięcy euro za sztukę zegarki najlepszych firm z ukrytym aparatem fotograficznym, mikrofony do umieszczenia w aktówkach i szyfratory telefoniczne, okulary na podczerwień, wspaniały asortyment paralizatorów, kabury pistoletowe z antypoślizgowymi paskami za dodatkową opłatą, pociski pieprzowe, kauczukowe i z farbą - do wyboru, do koloru. Zupełnie jak w Olliego makabrycznym muzeum dla paranoicznych dyrektorów, którzy jeszcze niczego takiego sobie nie sprawili.

\*

Nie było żadnego autobusu.

Nie jechali metrem.

Uszczypnięcie w tyłek, które zarobiła od wysiadającego pasażera, który mógłby być jej dziadkiem, wcale się nie zdarzyło.

Znaleźli się tam nie wiadomo jak, i nie wiadomo jak to się stało, że stanęli w kolejce uprzejmych obywateli francuskich z lewej strony

zachodniego wejścia na stadion im. Rolanda Garrosa dokładnie na dwanaście minut przed czasem wyznaczonym przez Tamarę.

Również nie wiadomo, jak to się stało, że Gail z uśmiechem mi-nęła dobroduszných bileterów w liberii, którzy z przyjemnością od-wzajemnili jej uśmiech; a potem szła z całym tłumem alejką między sklepowymi namiotami do wtóru umpa-umpa niewidzialnej orkiestry dętej, wycia szwajcarskich trąb alpejskich i niezrozumiałych porad męskich głośników.

To również Gail z zawodową zimną krwią adwokata procesowe-go wyliczała listę sponsorów na sklepowych szyldach: Lacoste, Sla-zenger, Nike, Head, Reebok - a o którego chodziło Tamarze? - pro-szę nie udawać, że nie pamiętasz.

- Perry! - I ciągnie go mocno za ramię. - Obiecałeś mi na sto procent, że kupisz mi jakieś porządne tenisówki. Patrz.

- Obiecałem? No rzeczywiście - przyznaje Perry *alias* Milton, i nad jego głową pojawia się dymek z napisem *PRZYPOMINA SO-BIE!*

I z większym przekonaniem, niż by się po nim spodziewała, po-chyla się do przodu, by obejrzeć najnowszą kolekcję - Adidasa.

- Poza tym najwyższy czas, żebyś i sobie coś kupił. Musisz wreszcie wyrzucić te swoje śmierdzące trepy, bo już zaczynają ple-śnieć! - Ależ ta Doolittle rządzi tym Miltonem!

- Profesor! Jak Boga kocham! Przyjacie! Wy mnie nie pamiętacie?

Głos spadł na nich bez uprzedzenia: bezosobowy głos z Antigui przekrzykuje trzy wiatry.

Tak, pamiętam, ale to nie ja jestem profesorem.

Tylko Perry.

Więc ja dalej pooglądam sobie najnowszą kolekcję tenisówek Adidasa, niech Perry pierwszy zareaguje, zanim obróć głowę z

odpowiednio zachwyconą i wielce zdumioną miną, jak pewnie powiedziałby Ollie.

Perry rzeczywiście reaguje pierwszy. Gail czuje, że odszedł od niej i odwrócił się. Odczekuje tyle czasu, by zdążył uwierzyć własnym oczom.

- Jezu, Dima! Z Antigui! Nie do wiary!

Nie przedobrż, Perry, spokojnie...

- A cóż ty tu robisz! Gail, no patrz!

Aleja nie popatrzę. Nie tak od razu. Przecież oglądałam buty, nie pamiętasz? A jak oglądałam buty, nawet tenisówki, to zawsze zapominam o bożym świecie. Uważali to za kompletny absurd, że musieli ćwiczyć to przedstawienie przed jednym sklepem sportowym w Camden Town, specjalizującym się w butach, a potem przed innym, w Golders Green, najpierw z Olliem, nieco zbyt szarżującym w roli klepiącego ich po plecach Dimy i Lukiem jako nieświadomym świadkiem zdarzenia - a potem obaj zamienili się rolami. Teraz jednak była zadowolona - wiedziała, co mówić.

Więc najpierw nic, potem masz usłyszeć, co do ciebie mówi, i obrót. A teraz zachwyty i najwyższe zdumienie.

- Dima! O Boże. To ty! Cudownie! A to dopiero... No, nie-samowite! - Potem zachwycony mysi pisk, ten, którego używa przy otwieraniu prezentów pod choinką, i już patrzy, jak Perry tonie w wielkim torsie Dimy, którego entuzjazm i zdumienie są nie mniej spontaniczne:

- A co wy tu robicie, profesor, najgorszy tenisista na świecie?

- No, Dima, co ty tu robisz? - Teraz Perry i Gail razem, bezładny chór w różnych tonacjach. A Dima dalej wyrzaskuje swoje.

Czy się zmienił? Zbladł, stracił karaibską opaleniznę. Kuszące oczy podkrążone na żółto. Ostrzejsze, pionowe zmarszczki w kąci-kach ust. Ale postawa ta sama, to samo odchylenie do tyłu, mówiące:

„no, chodź, jak się nie boisz”. To samo rozstawienie drobnych stóp à la Henryk VIII.

Ten to dopiero ma talent aktorski! Wystarczy posłuchać:

- Wy myślicie, że Federer taki będzie miły dla tego Soderlinga, jak wy byli dla mnie? Wy myślicie, że odpuści, bo tak kocha *fair play*? Gail, jak Boga kocham, chodźcie tu! Ja muszę uściskać tę dziewczynę, profesor! Wy już się z nią pożenili? Wy głupi! - To wszystko, gdy przyciskają do swej olbrzymiej klaty, naciera na nią całym ciałem: najpierw lepkim, zażawionym policzkiem, potem piersią, potem wypukłym kroczeniem, i wreszcie stykają się nawet kolanami; w końcu odpycha ją od siebie, bo musi złożyć jej na twarzy trzy pocałunki w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego amen. A tymczasem Perry dalej swoje:

- No, muszę przyznać, że to najbardziej niewiarygodny, kompletnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

Ale Gail uważa, że mówi to z nieco zbyt dużym, akademickim dystansem, więc nadrabia to własną, podekscytowaną mieszanką zadawanych zbyt szybko pytań:

- Dima, kochany, na miłość boską, jak tam Katia i Irina? Ja po prostu nie mogę przestać o nich myśleć! - To akurat prawda. - A bliźniaki dalej grają w krykieta? A co u Nataszy? Gdzie wyście się podziewali? Ambrose mówił, że wszyscy pojechaliście do Moskwy. To prawda? Na pogrzeb? Świetnie wyglądasz. A co u Tamary? I u tych wszystkich twoich dziwnych i uroczych krewnych i przyjaciół?

Czy ona naprawdę powiedziała to ostatnie zdanie? Jak najbardziej. A mówiąc to wszystko i od czasu do czasu otrzymując urywki odpowiedzi, zaczyna dostrzegać obecność, choć jeszcze jakby nieostro, grupki elegancko ubranych kobiety i mężczyzn, która zatrzymała się, by oglądać przedstawienie - najwyraźniej kolejny fanklub

Dimy, tylko że dla młodszego i wytworniejszego pokolenia niż ta smętna gromada zebrana na Antigui. Czy to Dwidzius Niki przemyka wśród nich? Jeśli tak, to musiał się zaopatrzyć w letni garnitur od Armaniego, beżowy, z pięknymi mankietami. Czy kryje się w nich łańcuch na przegubie i cebula zegarka?

Dima wciąż gada, Gail słyszy teraz rzeczy, których wołałaby nie słyszeć: Tamara z dziećmi poleciały z Moskwy prosto do Zurychu - tak, Natasza też, jej nie podoba się tenis, ona chce do domu, do Berna, poczytać, trochę pojeździć konno. Nic nie robić. Czy to znaczy, że Natasza nie za dobrze się czuje, czy tylko tak się Gail zdaje? Wszyscy prowadzą równocześnie trzy różne rozmowy:

- Tak wy już dzieciaków więcej nie uczycie, profesor? - Udawane oburzenie. - Tak wy teraz francuskie dzieciaki będziecie uczyć, jak być angielskimi dżentelmenami? Słuchajcie, a u was jakie miejsca? W jakiejś dziupli na samej górze, nie tak?

Po czym następuje najprawdopodobniej powtórzenie tego samego, dowcipnego domysłu po rosyjsku. Tylko że coś musiało zgubić się w tłumaczeniu, bo mało kto z grupki eleganckich gapiów się uśmiecha - z wyjątkiem zgrabnego jak tancerz, drobnego człowieczka w samym środku. Na pierwszy rzut oka Gail bierze go za jakiegoś przewodnika turystycznego, bo ma na sobie z daleka widoczną, kremową marynarkę z kotwicą, wyszytą złotą nicią na kieszeni, w ręce zaś niesie szkarłatną parasolkę, która - wraz z jego siwą, zaczesaną do tyłu czupryną - zostałaby natychmiast dostrzeżona przez kogoś, kto się zgubił w tłumie. Gail najpierw widzi jego uśmiech, potem napotyka jego wzrok. A gdy odwraca własny wzrok z powrotem ku Dimie, wie, że tamten wciąż na nią patrzy.

Dima zażądał okazania biletów. Perry wiecznie gubi bilety, więc są u Gail. Gail zna numery miejsc na pamięć, Perry też. Ale to jej nie przeszkadza teraz ich nie pamiętać ani robić słodko zdezorientowanej

minki, gdy wręcza je Dimie. Ten wydaje z siebie szydercze prychnięcie:

- A u was jest teleskop, profesor? Wy tak wysoko, wam tlen zabrać ze sobą!

Znów powtarza żart po rosyjsku, ale znów stojąca za nim grupka raczej wyczekuje, niż słucha. Czy ten brak tchu to też u niego nowość od czasów na Antigui? Albo specjalnie na dziś? Serce? A może wódka?

- U nas zaszana łoża, słyszycie? Firmowa! A z tymi chłopakami ja w Moskwie pracuję. Ci w armanich. U nas ładne dziewczyny. Wy patrzcie!

Rzeczywiście, dwie dziewczyny natychmiast rzucają się Gail w oczy: skórzane kurtki, ołówkowe spódniczki, buty za kostki. Takie ładne żony? Czy takie ładne dziwki? Jeśli dziwki, to najlepszego sortu. A chłopaki w armanich to nieprzyjazna masa granatowo-czarnych garniturów i zamglonych wódką oczu.

- Trzydzieści najlepszych miejsc, żarcie takie, że żyć, nie umierać - ryczy Dima. - Wy chcecie, Gail? Z nami? Oglądać mecz, jak prawdziwa dama? Pić szampana? U nas dość. Ej, dawajcie, profesor. Pieprzyć, czemu nie?

Temu, pieprzyć, że Hector kazał się krygować. Bo im bardziej będzie krygował się Perry, tym bardziej będziesz musiał się starać, żeby go mieć, a razem z nim mnie, i w ten sposób będziemy bardziej wiarygodni dla twoich gości z Moskwy. Zapędzony do rogu Perry całkiem dobrze sobie radzi w swojej roli: marszczy brwi, odgrywa własną nieufność i zażenowanie. Jak na absolutnego debiutanta w sztuce udawania jest całkiem dobry. Ale mimo wszystko najwyższy czas mu pomóc:

- Widzisz, Dima, my dostaliśmy te bilety w prezencie - wyznaje słodko, dotykając jego ramienia. - Od dobrego znajomego, przemiłego starszego dżentelmena. Z czystej sympatii. A on raczej



nie chciałby, żebyśmy nie wykorzystali tych miejsc, rozumiesz? Gdyby się dowiedział, byłoby mu okropnie przykro. - Tę odpowiedź wymyślili z Lukiem i Oliem przy whisky na dobranoc.

Rozczarowany Dima spogląda to na jedno, to na drugie, i usiłuje zebrać myśli.

Jego świta zaczyna się niecierpliwic: czy to musi tyle trwać?

*Inicjatywa należy do biednego skurwiela na miejscu...*

Jest rozwiązanie!

- Tak wy słuchajcie, profesor, okej? Dobrze mnie posłuchajcie. - Palec kłuje Perry'ego w pierś. - Okej - powtarza, kiwając groźnie tym samym palcem. - Po meczu. Słyszycie? Jak tylko skończy się zaszary mecz, wy przychodźcie do mnie w gościnę. - Obraca się do Gail, czy nie ośmieli się kwestionować jego genialnego planu. - Słyszycie, Gail? Wy przyprowadzicie tego waszego profesora do nas w gościnę. I wy popijecie z nami szampana. Mecz nie kończy się, jak się kończy. Im tam trzeba porozdawać te ich zaszare nagrody, będą mowy, kupa gówna. Federer wygra z palcem. Wy założycie się ze mną o pięć tysięcy dolców, że nie, profesor? Ja dam wam trzy do jednego. Cztery.

Perry śmieje się. Jeżeli uznaje jakiegokolwiek boga, to jest nim Federer. Nic z tego, Dima, bardzo mi przykro. Choćbyś mi dawał sto do jednego. Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło:

- Wy jutro gracie ze mną w tenisa, słyszycie, profesor? Rewanż. - I palec znów kłuje pierś Perry'ego. - Ja przyślę kogoś po was po meczu, wy przyjdziecie do nas w gościnę, my umówimy się na rewanż, na serio, nie na grzecznie. I ja wam złożę skórę do cna, a potem ja wam kupię masaż. Bo się wam przyda, słyszycie?

Perry nie ma czasu więcej się droczyć. Gail zauważyła kątem oka, że siwowłosa przewodnik z czerwoną parasolką oddziela się od grupy i zachodzi Dimę od tyłu.

- Dima, nie przedstawiś nas swoim znajomym? Wiesz, nie wolno ci monopolizować takiej pięknej pani - mówi z wyrzutem jedwabisty głos idealną angielszczyzną z leciutkim włoskim akcentem. - Dell Oro - oznajmia.

- Emilio dell Oro. Stary przyjaciel Dimy. Od zamierzchłych czasów. Jak mi przyjemnie! - Ujmuje po kolei każdą z ich dłoni, najpierw Gail z szarmanckim skłonieniem głowy, potem Perry'ego bez skłonienia, przypominając jej pewnego balowego Lotharia imieniem Percy, który, gdy miała siedemnaście lat, odbił ją w tańcu jej najlepszemu chłopakowi, a potem o mało nie zgwałcił na parkiecie.

- Jestem Perry Makepiece, a to Gail Perkins - mówi Perry. I dodaje swobodnie, czym robi na niej ogromne wrażenie: - Tak naprawdę nie jestem profesorem, proszę się nie obawiać. Dima usiłuje w ten sposób zniechęcić mnie do tenisa.

- A więc witamy na kortach Rolanda Garrosa, panno Gail i panie Perry - odpowiada dell Oro z promiennym uśmiechem, który, jak zaczyna podejrzewać Gail, musi być chyba przyklejony na stałe. - Tak się cieszę, że będę miał przyjemność zobaczyć się z państwem po tym historycznym meczu. Jeżeli do niego dojdzie - dodaje z teatralnym wzniesieniem dłoni ku górze i pełnym wyrzutem spojrzeniem w szare niebo.

Ale ostatnie słowo należy do Dimy:

- Ja po was kogoś tam przyślę, słyszycie, profesor? Wy mi nigdzie nie uciekajcie. Jutro ja wam skórę złożę. Ja kocham tego faceta, słyszycie? - krzyczy do patrzących z wyższością chłopaków w armach, stojących za nim z pijackimi uśmiechami, i zgniółszy Perry'ego w ostatnim, wyzywającym uścisku, dołącza do swej grupy, która właśnie rusza dalej.

## 12.

Usiadłszy u boku Perry'ego w dwunastym rzędzie zachodniej trybuny na stadionie imienia Rolanda Garrosa, Gail patrzy z niedowierzaniem na napoleońską Garde Républicaine w mosiężnych hełmach ozdobionych czerwonymi pióropuszcami, białych obcisłych bryczesach i wysokich butach z cholewami, która ustawia kotły i przedmucha trąbki, nim jej dyrygent stanie za drewnianym pulpitem, uniesie nad głowę dłonie w białych rękawiczkach, rozcapierzy palce i poprzebiera nimi jak projektant mody. Perry coś do niej mówi, ale musi powtórzyć. Ona odwraca ku niemu głowę, potem opiera mu ją na ramieniu, by się uspokoić, bo aż drży. Perry chyba też, bo czuje teraz jego puls: bum-bum.

- To finał singla mężczyzn czy bitwa pod Borodino? - on woła wesoło, wskazując napoleońskich żołnierzy.

Każę mu powtórzyć, wybucha śmiechem i ściska jego dłoń, by wrócili na ziemię.

- Wszystko w porządku! - krzyczy mu do ucha. - Dobrze ci poszło! Byłeś gwiazdorem! Poza tym świetne miejsca! Doskonale!

- Ty też byłeś świetna! A Dima dobrze wygląda.

- No właśnie. Tylko że dzieci są już w Bernie!

- Co?

- Tamara i dziewczynki są już w Bernie! I Natasza też! Spodziewałam się, że przyjadą tu razem!

- Ja też.

Ale jego rozczarowanie jest niższego rzędu niż jej.

Napoleońska orkiestra jest bardzo głośna. Całe pułki mogłyby do niej maszerować - i nigdy nie wrócić.

- Ten biedak ma okropną ochotę znowu z tobą zagrać! - woła Doolittle.

- Zauważyłem. - Milton energicznie potakuje i uśmiecha się.

- Będziesz miał dla niego czas?

- Nie ma mowy. Mam za dużo spraw - odpowiada Milton, stanowczo kręcąc głową.

- Tak się obawiałam. Trudna sprawa.

- Bardzo trudna - zgadza się Milton.

Czy teraz zachowują się jak dzieci, czy wreszcie padł na nich prawdziwy strach? Podniósłszy jego dłoń do swych warg, Gail całuje ją i przyciska sobie do policzka, bo całkiem nieświadomie rozczulił ją niemal do łez.

Bo przecież to ten jeden dzień w życiu, którym powinien móc się cieszyć - a nie może! Oglądać Federera w finale French Open to dla Perry'ego jak zobaczyć Niżyńskiego w *Popołudniu fauna!* Iluż wykładów Perry'ego zdążyła już wysłuchać, wtulona w niego przed telewizorem w Primrose Hill - wykładów na temat Federera, idealnego sportowca, takiego, jakim chciałby być Perry? - Federer jako człowiek uformowany, Federer, który biega, jakby tańczył, skracając i wydłużając krok, by ujarzmić piłkę w locie i wymusić na niej ten maleńki, decydujący ułamek sekundy, którego potrzebuje, by znaleźć właściwą siłę i kąt uderzenia. I ta równowaga jego tułowia, wszystko jedno, czy porusza się w tył, w przód, w bok. I nadprzyrodzony dar przewidywania, który wcale nadprzyrodzony nie jest, Gail, bo to po prostu ideał koordynacji oka, ciała i mózgu.

- Naprawdę chcę, żebyś się dziś dobrze bawił! - krzyczy mu do ucha, co brzmi jak ostatnie przesłanie. - Nie myśl o niczym innym. Kocham cię. Powiedziałam, że cię kocham, idioto!

\*

Przeprowadza niewinny przegląd otaczających ich widzów. Kim są? Od Dimy? Czy wrogami Dimy? A może od Hectora? *Idziemy na bosaka.*

Po lewej blondynka z żelazną szczęką, z jednym krzyżem szwajcarskim na papierowej czapeczce i drugim na obfitej bluzce.

Po prawej pesymista w średnim wieku, w nieprzemakalnym kapeluszu i pelerynie, chroniącej go przed deszczem - wszyscy inni udają, że go nie widzą.

W następnym rzędzie jakaś Francuzka dyryguje chórkami własnych dzieci w energicznym wykonaniu *Marsylianki*, być może w błędnym przeświadczeniu, że Federer jest Francuzem.

Z taką samą beztróską Gail przepatruje tłum na otwartych trybunach po drugiej stronie kortu.

- Widzisz kogoś szczególnego? - krzyczy jej do ucha Perry.
- Raczej nie. Myślałam, że może jest Barry.
- Barry?
- Jeden z naszych radców dworu!

To kompletna bzdura. W jej kancelarii jest co prawda radca dworu imieniem Barry, ale nienawidzi tenisa i Francuzów. Gail zgłodniała. Nie tylko kawy porzucili w Muzeum Rodina - całkiem zapomnieli zjeść lunch. Uświadomiwszy to sobie, Gail przypomina sobie jedną powieść Beryl Bainbridge, w której pani domu, wydająca ważne przyjęcie, zapomniała, gdzie schowała deser. Krzyczy do Perry'ego, bo chce się podzielić tym żartem:

- Kiedy ostatni raz oboje zapomnieliśmy o lunchu?

Ale ten jeden, jedyny raz Perry nie rozpoznaje literackiej aluzji. Gapi się na rząd wielkich okien w połowie wysokości naprzeciwległej trybuny. Przez przyciemnione szyby widać białe obrusy i

krążących kelnerów, więc zastanawia się, które okno należy do łoży Dimy. Gail wciąż czuje nacisk ramion Dimy i jego krocza, przyciśniętego do jej ud z dziecinną niewinnością. Czy opary wódki były z poprzedniego wieczora, czy z dziś rano? Pyta o to Perry'ego.

- Po prostu strzelił sobie dla kurażu - odpowiada Perry.
- Co?
- Dla kurażu!

\*

Wojska napoleońskie porzuciły pole bitwy. Nastaje drażniąca cisza. Po brzydkim, czarnym niebie sunie na linach kamera telewizyjna. Natasza. Jest czy nie ma? Dlaczego nie odpowiedziała mi na SMS? Czy Tamara wie? Czy dlatego zabrała ją ze sobą do Berna? Nie. Natasza sama podejmuje decyzje. Natasza nie jest dzieckiem Tamary. A Bóg wie, że Tamara nie jest jak każda inna matka. SMS do Nataszy?

Właśnie natknęłam się na Twojego tate. Oglądamy Federera. Jesteś w ciąży? xox, Gail

Nie rób tego.

Stadion wybucha. Najpierw Robin Soderling, potem Roger Federer, który wygląda tak skromnie - bardzo mu z tym do twarzy - i jest pewny siebie, jak może być tylko Bóg. Perry wychyla się do przodu z mocno zaciśniętymi wargami. Oto stoi wreszcie przed obliczem Pańskim.

Rozgrzewka. Federer psuje parę bekhendów, forhendy Soderlinga są troszeczkę zbyt kąśliwe jak na przyjacielską wymianę piłek. Federer robi parę próbnych serwów, sam. Podobnie Soderling - też sam. Koniec treningu. Dresy zsuwają się z nich jak pochwy z mieczy. W

białoniebieskim rogu: Federer, wewnątrz kołnierzyka czerwony pasek i w tym samym kolorze fajkowy znaczek na opasce na czole. W białym rogu: Soderling, żółto fosforyzujące paski na rękawach i spodenkach.

Wzrok Perry'ego wędruje z powrotem ku przydymionym oknom, więc wzrok Gail też. Czy rzeczywiście dostrzega kremową marynarkę ze złotą kotwicą na kieszeni, unoszącą się w brązowej mgle za szybą? Ma ochotę powiedzieć Perry'emu, że jeżeli istnieje mężczyzna, z którym nie należy wsiadać na tylne siedzenie tej samej takówki, to jest nim na pewno Signor Emilio dell Oro.

Ale cicho: zaczyna się mecz - ku radości tłumu, lecz za szybko dla Gail, bo Federer przełamał serwis Soderlinga i wygrał własny. Teraz znowu będzie serwował Soderling. Ładna blondyneczka z kucykiem podaje mu piłkę, dyga i odbiega na swoje miejsce. Sędzia liniowy wyje, jakby go giez użądlił. Deszcz znowu zaczyna padać. Podwójny błąd Soderlinga; rozpoczął się triumfalny marsz Federera po zwycięstwo. Twarz Perry'ego rozświetla czysty zachwyt i Gail uświadamia sobie, że zakochuje się w nim całkiem od nowa: za jego spokojną odwagę, jego nieustępliwe poczucie, że trzeba postąpić właściwie, nawet jeśli to coś niewłaściwego, jego lojalność i nieużalanie się nad sobą. Jest jego siostrą, przyjaciółką, opiekunką.

Perry musi chyba myśleć podobnie, bo chwytą jej dłoni i nie puszcza. Soderling walczy o French Open. Federer walczy o miejsce w historii i Perry walczy razem z nim. Federer wygrał pierwszego seta 6:1. Potrzebował na to niespełna pół godziny.

\*

Gail dochodzi do wniosku, że manieri francuskich kibiców są po prostu wspaniałe. Federer jest ich bohaterem, nie tylko Perry'ego, ale

skrupulatnie nagradzają brawami zagrania Soderlinga, kiedy na to zasługują. A Soderling jest wdzięczny i umie to okazać. Ryzykuje, przez co wymusza błędy, Federer właśnie jeden popełnił. By się zrehabilitować, wykonuje zabójczy dropshot z trzech metrów za linią końcową.

Gdy Perry ogląda wielki tenis, trafia do wyższego, lepszego świata. Potrafi powiedzieć już po paru odbiciach, w którą stronę zmierza wymiana i pod czyje dyktando. Inaczej Gail. Ona lubi przywalić z całej siły, a potem zobaczymy, co będzie - oto jej zasada. Na poziomie, na którym gra, sprawdza się bez pudła.

Ale nagle Perry nie ogląda meczu. Ani nie patrzy w przyciemnione okna. Zerwał się na nogi, wyskakuje przed Gail, jakby chciał ją osłonić, i wrzeszczy: „No co jest!” - bez nadziei, że otrzyma odpowiedź.

Wstając wraz z nim - co nie jest takie łatwe, bo teraz wszyscy równocześnie wstają z miejsc i wrzeszczą „no co jest!” po francusku, szwajcarsku-niemiecku, angielsku i w jakimkolwiek innym języku, na który ślina przynosi im te i podobne słowa - Gail w pierwszej chwili spodziewa się ujrzeć u stóp Rogera Federera dwa nieżywe bażanty: jeden z lewej, drugi z prawej. To dlatego, że hałas zrywających się z miejsc widzów myli jej się z tym, jaki czynią spłoszone ptaki, zrywające się w powietrze jak przestarzałe samoloty, nim zestrzeli je jej brat i jego bogaci przyjaciele. Potem przychodzi jej do głowy druga bezsensowna myśl, że to Dimę ktoś zastrzelił - najprawdopodobniej Niki - i wyrzucił przez jedno z przyćmionych okien.

Ale szczupły mężczyzna, który pojawił się jak nastroszony, czerwony ptak na korcie po stronie Federera, to nie Dima i bynajmniej nie jest nieżywy. Ma na sobie czerwoną czapkę à la Madame Guillotine i długie, krwistoczerwone skarpetki. W krwistoczerwonej szacie udrapowanej na ramionach zagaduje Federera, stojąc tuż



za linią końcową, z której Federer właśnie zaserwował.

Federer trochę nie wie, co powiedzieć - najwyraźniej się nie znają - ale zachowuje swe nienaganne, kortowe maniery, choć sprawia wrażenie lekko poirytowanego w taki zrzedliwy, szwajcarski sposób, przypominający, że jego sławna zbroja ma jednak pewne rysy. W końcu on tu ma zaraz przejść do historii, a nie tracić cenny czas na pogaduszki ze szczupłym facetem w czerwonej szacie, który wdarł się na kort, żeby mu się przedstawić.

Ale to, co zaszło między nimi, jest już nieważne, bo mężczyzna w czerwonej szacie pędzi do siatki, wymachuje rękoma, szata powiewa. Poniewczasie grupka dżentelmenów w czarnych garniturach rzuca się za nim w komiczny pościg i tłum przestaje protestować, bo jest tłumem kibiców, a to też jest sport, choć może nie w najlepszym wydaniu. Człowiek w czerwonej szacie przesadza siatkę, ale nieczysto: net! Szata nie jest już szatą i nigdy nią nie była. To flaga. Po drugiej stronie siatki pojawiają się dwa kolejne garnitury. A flaga jest flagą Hiszpanii - *L'Espagne* - ale tylko w opinii tej pani od *Marsylianki*, którą to opinię natychmiast kontestuje ochrypy głos męski kilka rzędów powyżej, upierając się, że to flaga *le Barça*.

Jeden z czarnych garniturów wreszcie obalił mężczyznę z flagą przepisowym chwytem rugby. Dwaj inni też rzucają się na intruza, po czym razem wleką go w ciemny tunel wyjścia. Gail wpatruje się w twarz Perry'ego, której nigdy nie widziała tak bladej.

- Boże! O mały włos... - szepcze do niego.

O mały włos? Że niby co? Ale Perry potakuje. Tak, o mały włos.

\*

Bóg się nie poci. Bładoniebieska koszulka Federera pozostaje niemal bez plam - poza jedną, jedyną smuzką między łopatkami. Jego ruchy wydają się teraz odrobinę mniej płynne, ale trudno zgadnąć, czy to przez deszcz i mokry kort, czy też to nerwowa reakcja na człowieka z flagą. Słońce skryło się za chmurami, wokół kortu otwierają się parasole, nagle zrobiło się 3:4 w drugim secie, Soderling zaczyna się zbierać, Federer jest jakby przygnębiony. Przecież on chce tylko przejść do historii, a potem wrócić do domu, do swej kochanej Szwajcarii. No i proszę, ojej, doszło do tie-breaku - tylko że co to za tie-break: pierwsze serwisy Federera wchodzi jeden za drugim, trochę tak, jak czasem Perry'ego, tylko są dwa razy szybsze. Teraz trzeci set, Federer przełamał Soderlinga, wszedł w równy rytm, facet z flagą jednak przegrał.

Czy Federer zaczął płakać, jeszcze zanim wygrał?

Wszystko jedno. Teraz wygrał. Prosto i zwyczajnie. Federer wygrał i może teraz wypłakać się do woli, więc Perry też roni męską łezkę. Jego idol przeszedł do historii dokładnie tak, jak to było w planie, i już przez cały rząd szczęśliwych ludzi przepycha się Niki, ochroniarz o dziecinnej twarzy; oklaski brzmią teraz jak równy łomot bębnow.

- To ja was odwoziłem do hotelu na Antigui, pamiętacie? - mówi, nie całkiem się uśmiechając.

- Cześć, Niki - mówi Perry.

- Podobał się mecz?

- Bardzo - mówi Perry.

- Niezły, co? Ten Federer?

- Wspaniały.

- Wy chcecie pójść odwiedzić Dimę?

Perry spogląda niepewnie na Gail: twoja kolej.

- Tylko wiesz co, Niki, my mamy trochę mało czasu. Mamy w Paryżu tylu ludzi, którzy chcą się z nami zobaczyć...

- Wie pani co? - mówi ze smutkiem Niki. - Jak wy nie przyjdziecie napić się z Dimą, on mi chyba jaja obetnie.

Gail pozwala, by to Perry to usłyszał, nie ona.

- Jak uważasz? - mówi Perry, wciąż do Gail.

- No to może na jednego drinka? - proponuje Gail, udając, że z niechęcią się poddaje. Niki popędza ich we właściwą stronę i rusza za nimi; Gail zastanawia się, czy tego właśnie uczą na kursach dla ochroniarzy. Ale Gail i Perry nie zamierzają uciekać. Na głównym dziedzińcu rogi alpejskie ryczą łzawą pieśń żałobną dla rojów parasoli. Prowadzeni od tyłu przez Nokiego wchodzą po nagich kamiennych schodach i znajdują się w krzykliwie pomalowanym korytarzu, w którym każde drzwi mają inny kolor, jak szafki przy sali gimnastycznej w szkole Gail, tylko że zamiast nazwisk dziewcząt widnieją na nich nazwy firm: niebieskie drzwi to MEYER-AMBROSINI GMBH, różowe - SEGURA-HELLENIKA & CIE, żółte - EROS VACANCIA PLC. A szkarłatne należą do FIRST ARENA CYPRUS i właśnie tam Niki otwiera czarną skrzyneczkę zamontowaną na framudze, wstukuje jakąś liczbę i czeka, póki drzwi nie otworzą od środka przyjazne dłonie.

*Krajobraz po orgii:* takie było pierwsze, nieprzychylnie wrażenie Gail, gdy wkroczyła do długiej, niskiej łoży o pochyłej, szklanej ścianie, za którą ceglasczerwony kort był tak blisko, że gdyby tylko dell Oro zechciał się usunąć, mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć sławnej nawierzchni.

Przed sobą zobaczyła kilkanaście stołów, każdy na pięcioro czy sześcioro biesiadników. Okazując całkowity brak szacunku dla zasad panujących na stadionie, panowie zapalili już postkoitalne papierosy i roztrzäsali własną męskość lub jej brak. Kilku z nich już taksowało ją wzrokiem, zastanawiając się, czy nie byłaby lepsza w łóżku od

towarzyszących im ładnych dziewcząt. A towarzyszące im ładne dziewczęta, które już nie były aż tak ładne po wypiciu wszystkiego, co w nie wmuszono - no cóż, one pewnie symulowały. Taka praca.

Najbliższy stolik był największy, ale i najmłodszy, wzniesiony ponad inne, by zaznaczyć wyższą pozycję chłopaków Dimy w armacjach nad otaczającymi ich skromniejszymi stołami - co zresztą przyznawał im również dell Oro, skoro poprowadził Gail i Perry'ego przed oblicza owych siedmiu menedżerów o tępych twarzach, twardej oczach i twardej mięśniach, do ich butelek, dziewcząt i zakazanych papierosów.

- Profesorze. Panno Gail. Proszę przywitać się z naszymi gospodarzami, członkami rady nadzorczej, i ich paniami - proponuje z dwornym wdziękiem dell Oro, i powtarza swą propozycję po rosyjsku.

Stolik wydaje z siebie zaledwie parę ponurych kiwnięć głową i parę „cześć”. Dziewczyny uśmiechają się uśmiechem stewardess.

- Wy! Mój przyjaciel!

Kto się tak drze? I do kogo? To ten typ o potężnym karku, ogłoszony na jeża, z cygarem. A drze się tak do Perry'ego.

- Wy ten profesor?

- Tak. Tak nazywa mnie Dima.

- Mecz się podobał?

- Bardzo. Świetne widowisko. To zaszczyt oglądać coś takiego.

- A wy też dobrze gracie, co? Lepiej niż ten Federer! - drze się dalej potężny kark, dumny ze swej angielszczyzny.

- No, nie całkiem.

- To miłego dnia. Okej? Bawcie się dobrze!

Dell Oro pcha ich dalej między stoliki. Po drugiej stronie pochyłej, szklanej ściany szwedzcy dygnitarze w słomkowych kapeluszach z niebieskimi wstążkami schodzą z sektora prezydenckiego po

zalanych deszczem schodach - będą musieli jakoś przetrwać uroczyste zakończenie turnieju. Perry wziął Gail za rękę, bo idąc za Emilio dell Oro, trzeba się trochę przepychać między stolikami, przeciskać między głowami, i mówić „przepraszam, oj, jak mi przykro, tak, wspaniały mecz!” całej serii przeważnie męskich twarzy, czasem arabskich, czasem hinduskich, a potem znów wyłącznie białych.

Teraz na przykład trafia im się cały stół brytyjskich, zaangażowanych społecznie samców, którzy muszą koniecznie zerwać się wszyscy naraz: „Jestem Bunny, a pani jest po prostu śliczna...” „A ja Giles, dzień dobry pani! A z pana to naprawdę szczęśliwy profesor!”. Trochę za dużo, żeby się w tym wszystkim połapać, ale jak trzeba, to trzeba, myśli Gail.

Teraz dwaj panowie w papierowych czapkach w narodowych barwach Szwajcarii, jeden gruby i zadowolony, drugi chudy, którzy z kolei koniecznie muszą uścisnąć im dłonie: Piotruś i Wilk, myśli bez sensu, ale tak już jej zostaje.

- Widziałeś go już? - woła Gail do Perry'ego i w tej samej chwili sama go dostrzega: Dime, skulonego w najdalszym kącie sali, siedzącego z ponurą miną, samego przy czteroosobowym stoliku, na którym stoi przed nim butelka stolicznej; zza niego wystaje chudy jak kościotrup filozof o długich przegubach dłoni i wydatnych kościach policzkowych, który jakby pilnował wejścia do kuchni. Emilio dell Oro szepcze jej do ucha tak, jakby się znali całe życie:

- Widzi pani, panno Gail, nasz przyjaciel Dima jest, szczerze mówiąc, trochę przygnębiony. Oczywiście słyszeliście państwo o tej tragedii... Ten podwójny pogrzeb w Moskwie... Para przyjaciół zarżnięta przez szaleńców... Ile go to musiało wszystko kosztować! Zobaczą państwo sami.

Gail rzeczywiście zobaczyła. I zaczęła się zastanawiać, do jakiego stopnia była to prawda: Dima bez uśmiechu i prawie niegościny,

Dima pogrążony w podlanej wódką melancholii, któremu nawet nie chce się wstać na ich widok i tylko patrzy na nich posępnie ze swego kąta, do którego został wtłoczony z dwoma strażnikami. Bo blondyn Niki zaraz stanął na straży u boku kościstego filozofa. Jest coś mrożącego w żyłach w tym, jak obaj się ignorują, równocześnie koncentrując uwagę na więźniu.

\*

- Wy siadajcie tu, profesor! Nie ufajcie zasranemu Emiliowi! Gail. Ja was kocham. Siadać. *Garçon!* Szampana! I Kobe! *Ici*.

Na zewnątrz, na korcie, powraca na pozycje Republikańska Gwardia Napoleona. Federer i Soderling wchodzą do łoży honorowej, eskortowani przez Andre Agassiego w biznesowym garniturze.

- Wy gadali z tymi chłopakami w armanich, tymi przy tamtym stole na górze? - zapytał Dima obrażonym tonem. - Wy chcecie poznać jakichś zasranych bankierów, prawników, księgowych? Wszystkich gości, co spieprzyli cały świat? U nas tu Francuzi, Niemcy, Szwajcarzy... - Uniósł głowę i krzyknął na całą salę: - Ej, wy tam, powitać mi profesora! On chciał mi dać wygrać w tenisa! A ona to Gail. On się z nią ożeni. Jak on się z nią nie ożeni, tak ona wyjdzie za Rogera Federera. Tak będzie, Gail?

- Chyba jednak wystarczy mi Perry - powiedziała Gail.

Czy ktoś w ogóle tego słuchał? Na pewno nie młodzi mężczyźni o twardych oczach i nie ich dziewczyny, bo wszyscy oni demonstracyjnie zbili się w ciaśniejszą grupkę, gdy rozbrzmiał głos Dimy. Przy bliższych stołach też przeważała obojętność.

- I Anglicy u nas też! Goście od *fair play*. Ej, Bunny! mAubrey! Bunny, chodź no to! Bunny! - Brak reakcji. - Wy wiecie, co znaczy *Bunny*? Króliczek. Pieprzyć go.

Obracając się żywo, by nie przegapić żartu, Gail zdążyła zidentyfikować krępego, brodatego dżentelmena z bokobrodami, i gdyby nawet nie miał takiego przezwiska, to ktoś na pewno by mu je nadał. Ale Aubreya szukała na próżno - chyba że chodziło o wysokiego, łysiejącego, przygarbionego, inteligentnie wyglądającego mężczyznę w okularach bez oprawek, który pośpiesznie kierował się między stołami w stronę drzwi, trzymając przerzucony przez ramię płaszcz przeciwdeszczowy - jak ktoś, kto nagle przypomniał sobie, że musi zdążyć na pociąg.

Wymuskany Emilio dell Oro ze swą wspaniałą, srebrno-siwą czupryną zajął ostatnie wolne miejsce po drugiej stronie Dimy. Czy te włosy są prawdziwe, czy to tupecik? - zastanawiała się Gail. Teraz robią je tak dobrze, że trudno poznać.

\*

Dima proponuje na jutro partię tenisa. Perry wymawia się, tłumaczy przed Dimą jak przed starym przyjacielem, którym przecież trochę się stał w ciągu tych trzech tygodni, kiedy się nie widzieli.

- Dima, naprawdę nie mam pojęcia, jak to zrobić

- broni się Perry. - Obiecaliśmy zobaczyć się z taką masą ludzi.

Nie wziąłem sprzętu. I obiecałem Gail na wszystkie świętości, że tym razem zobaczymy lilie Moneta. Serio.

Dima pociąga wódki, ociera usta.

- My gramy - mówi, jakby stwierdzał fakt. - Club des Rois.

Jutro, dwunasta. Ja już zarezerwowałem. Potem pieprzony masaż.

- Masaż? W taki deszcz, Dima? - pyta żartobliwie Gail. - Nie mów mi, że wymyśliłeś nowy zakazany sport.

Dima ignoruje ją:

- U mnie spotkanie w zasranym banku, dziewięta, podpisuję kupę pieprzonych papierów tym chłopakom w armanich. O dwunastej

u mnie rewanż, słyszycie? Boicie się? - Perry znów zaczyna się wymawiać, Dima nie chce go słuchać. - Kort numer 6. Najlepszy. Programy godzinkę, potem masaż. I lunch. Ja stawiam.

Układnie wtrąciwszy się wreszcie, dell Oro próbuje zmienić temat:

- To gdzie państwo zatrzymali się w Paryżu, jeśli można spytać, panie profesorze? W Ritzu? Mam nadzieję, że nie. Jest tu mnóstwo niszowych hoteli, jeśli się wie, gdzie szukać. Gdybym wiedział o państwa przyjeździe, mógłbym państwu polecić kilka z nich.

*Jak cię pytają, nie pieprz się, odpowiadaj od razu i wprost*, tłumaczył im na zapas Hector. *To niewinne pytanie, więc odpowiedź też może być niewinna*. Perry najwyraźniej wziął sobie tę radę do serca, bo już się śmiał:

- W takim nędznym, że nawet by pan nie uwierzył! - zawołał.

Ale Emilio uwierzył i tak mu się spodobała nazwa, że zapisał ją sobie w oprawnym w krokodylą skórę notesiku, który spoczywał dotąd w ciemnobłękitnej podszewce jego kremowej marynarki z kotwicą. A gdy już zapisał, zwrócił się do Dimy z całą mocą swego przekonującego wdzięku:

- Co do tenisa, Dima, jeśli naprawdę chodzi o jutro, to panna Gail ma rację. Kompletnie nie bierzesz pod uwagę deszczu. Nawet nasz przyjaciel profesor nie może dać ci satysfakcji w taką ulewę. A prognoza na jutro jest jeszcze gorsza niż na dziś.

- Nie pierdol się ze mną!

\*

Dima przywalił pięścią w stół z taką siłą, że kieliszki poleciały na wszystkie strony, a butelka czerwonego burgunda próbowała wylać się na dywan - ale Perry zręcznie pochwycił ją i postawił z powrotem.



Można było odnieść wrażenie, że wzdłuż całej ukośnie biegnącej szyby wszyscy ogłuchli od huków.

Odrobinę spokoju przywróciła dopiero spokojna perswazja Perry'ego:

- Dima, nie złość się. Ja nawet nie mam ze sobą rakiety, na miłość boską.
- U Dell Oro dwadzieścia zasranych rakiet.
- Trzydzieści - poprawił go lodowatym tonem dell Oro.
- Okej!

Okej co? Okej, Dima znów przywali w stół? Jego spocona twarz zastyga, szczeka wysuwa się w przód, wstaje niepewnie na nogi, pochyla tułów w tył, chwyta za rękę Perry'ego i zmusza go, by wstał wraz z nim.

- Okej, wszyscy! - wrzeszczy. - Ja i profesor, my jutro gramy rewanż i ja złoję mu tyłek. O dwunastej w Club des Rois. Kto chce, może przyjść, przynieść parasol, dostanie potem lunch. Zwyczajna stawia. Czyli Dima. Słyszeli?

Niektórzy słyszeli. Parę osób nawet się uśmiechnęło, parę zakłaskało. Przy Stole Honorowym najpierw nic, potem pojedynczy, cichy komentarz po rosyjsku, skwitowany nieprzyjaznym śmiechem.

Gail i Perry patrzą się na siebie, uśmiechają, wzruszają ramionami. W obliczu takiej demonstracji siły i w tak żenującej sytuacji, któż może dalej się sprzeciwiać? Widząc, że chcą się poddać, dell Oro usiłuje temu zapobiec:

- Dima, uważam, że trochę za bardzo nalegasz na swoich przyjaciół. Może odłóżcie mecz na jakiś późniejszy termin, okej?

Ale już za późno, a Gail i Perry są zbyt litościwi.

- Naprawdę, panie Emilio - mówi Gail. - Skoro Dimie tak zależy, a Perry się zgadza, to niech się chłopcy zabawią, czemu nie. Ja jestem za. Kochanie?

To kochanie to nowy nabytek, i jest to bardziej własność Dolittle i Milтона.

- To okej. Ale pod jednym warunkiem. - Znowu dell Oro, który nie chce oddać inicjatywy. - Że dziś przyjdą państwo do mnie na przyjęcie. Mam przepiękny dom w Neuilly, bardzo się państwu spodoba. Bo Dimie się podoba, jest teraz naszym gościem. On i nasi szanowni koledzy z Moskwy. Moja żona, biedaczka, już tam jest i nadzoruje przygotowania. To może przyślę po państwa samochód o ósmej? Bardzo proszę, strój dowolny. U nas pełna dowolność.

Ale zaproszenie dell Oro padło na twardy grunt. Perry śmieje się - mówi, że to kompletnie niemożliwe, panie Emilio. Gail przekonuje, że jej paryskie przyjaciółki nigdy by jej nie wybaczyły. Och nie, nie może ich przyprowadzić, bo idą razem na inne przyjęcie, na którym Gail i Perry mają być gośćmi honorowymi.

Zamiast tego umawiają się, że samochód Emilio zabierze ich z hotelu o jedenastej przed południem na tenis w deszczu. Gdyby wzrok mógł zabijać, dell Oro właśnie zabijałby Dimę, ale według Hectora może sobie na to pozwolić dopiero po Bernie.

\*

- Z was to jest jednak niesamowita para aktorów - zawołał Hector.  
- No nie, Luke? Gail, co za cudowna intuicja. Ty, Perry! Kurwa, ale z ciebie mózgowiec! Co nie znaczy, że Gail jest choć trochę głupsza. Wielkie dzięki za to, co zrobiliście do tej pory. Za taką odwagę w paszczy lwa. Przemawiam jak drużynowy?

- Powiedziałbym, że owszem - odparł Perry, wyciągnięty wygodnie na szezlongu w wielkim łuku okna z widokiem na Sekwanę.

- Niech ci będzie - odpowiedział zgodnie Hector, co zostało przyjęte wesołym śmiechem.

Jedna tylko Gail, siedząca na stołku przy głowie Perry'ego i w zamyśleniu przesuwająca palce przez jego włosy, jakby trochę dystansowała się od świętowania.

Było już po kolacji na île St-Louis. Wspaniałe mieszkanie na górnym piętrze starej wieży należało do ciotki Luke'a, malarki. Wokół stały oparte o ściany jej dzieła - nigdy się nie zniżyła, by je sprzedawać. Była piękną, bardzo wesołą kobietą po siedemdziesiątce. W młodości walczyła z Niemcami we francuskim ruchu oporu, więc całkiem swobodnie czuła się w swej roli w małej intrydze Luke'a:

- Rozumiem, że jesteśmy starymi znajomymi - powiedziała Perry'emu kilka godzin wcześniej, delikatnie dotykając jego dłoni na powitanie i zaraz ją wypuszczając. - Poznaliśmy się w salonie jednej mojej drogiej przyjaciółki, kiedy był pan studentem o niezaspokojonym popędzie do malarstwa. Jeżeli ona musi się jakoś nazywać, niech się nazywa Michelle de la Tour, zmarło się jej, niestety. Pozwalałam panu siadać w moim cieniu. Był pan zbyt młody, by być moim kochankiem. Czy to wystarczy, czy chce pan więcej?

- Wystarczy jak najbardziej, dziękuję! - powiedział Perry ze śmiechem.

- A dla mnie jak najbardziej nie. Nikt nie jest zbyt młody, by być moim kochankiem. Luke poczęstuje państwa pieczoną kaczką i camembertem. Życzę państwu przyjemnego wieczoru. A pani, moja droga, jest wyjątkowa - to do Gail - i o wiele za dobra dla tego pani niedoszłego malarza. Żartuję. Luke, nie zapomnij o Sheebie.

Sheeba, syjamski kot gospodyni, siedzi teraz na kolanach Gail.

Przy kolacji Perry - wciąż nieco przesadnie ożywiony - był duszą towarzystwa, bez tchu wychwalając pod niebiosa Federera i wspinał się scenę, odegraną przez Dimę w łoży. Gail miała wrażenie, że Perry odreagowuje napięcie dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy opowiada o niebezpiecznej wspinaczce albo zaciętym biegu

przełajowym. A Luke i Hector byli doskonałymi słuchaczami: Hector, zasłuchany i wyjątkowo jak na niego milczący, przerywał tylko od czasu do czasu, by wyciągnąć z nich obojga jeszcze odrobinę opisu: ten, który mógł być Aubreyem, był mniej więcej jakiego wzrostu? A czy Bunny się upił? Luke z kolei biegał tam i z powrotem do wielkiej kuchni albo dolewał im do kieliszków, szczególnie troskliwie opiekując się tym, który należał do Gail, albo parę razy rozmawiał przez telefon z Olliem - lecz przez cały czas ani na chwilę nie przestawał być członkiem drużyny.

Dopiero teraz, gdy mógł liczyć na terapeutyczny efekt kolacji i wina, i gdy nastrój wielkiej przygody ustąpił u Perry'ego trzeźwemu spokojowi, Hector powrócił do konkretnych słów, użytych przez Dimę w zaproszeniu na tenisa do Club des Rois.

- Czyli zakładamy, że chodzi o masaż - powiedział. - Ktoś chciałby coś dodać?

- Właściwie to na masaż wyzwał mnie tak samo, jak na mecz tenisowy - zgodził się Perry.

- Luke?

- Dla mnie to też oczywiste. Ile razy to powtarzał?

- Trzy - powiedział Perry.

- Gail? - zapytał Hector.

Ocknąwszy się z zadumy, Gail była mniej pewna siebie niż pa-nowie:

- Zastanawiam się tylko, czy nie było to równie oczywiste dla Emilia i chłopaków w armanich - powiedziała, unikając wzroku Luke'a.

Hector też się nad tym zastanawiał:

- Tak, no cóż, prawda jest taka, że jeżeli dell Oro coś podejrzewa, to zaraz odwoła mecz i mamy przesrane. Gem, set i mecz. Tylko że według najnowszych doniesień Olliego wszelkie znaki wskazują na coś przeciwnego, tak, Luke?

- Ollie brał udział w nieoficjalnym spotkaniu szoferów przed *chateau dell Oro* - wyjaśnił Luke ze swym wypolerowanym uśmiechem. - Jutrzejszy mecz tenisowy dostał od Emilia zielone światło, oczywiście po podpisaniu papierów. Jego moskiewscy dzentelmeni widzieli już wieżę Eiffla, Luwr ich nie interesuje, więc Emilio ma trochę kłopotu, co z nimi robić.

- A co wiadomo o masażu? - wtrącił Hector.

- Że Dima zarezerwował dwie równoległe sesje bezpośrednio po meczu. Ollie ustalił też, że choć Club des Rois świadczy usługi dla najbardziej poszukiwanych celów na świecie, szczyci się też opinią bezpiecznej przystani. Ochroniarze włączający się za swymi podopiecznymi po szatniach, saunach i gabinetach masażyistów nie są tam mile widziani. Mogą za to posiedzieć sobie we *foyer* klubu albo w swych opancerzonych limuzynach.

- A etatowi masażyści z klubu? - zapytała Gail. - Co z nimi, kiedy wy dwaj będziecie się naradzać?

Luke miał gotową i odpowiedź, i znów ten charakterystyczny uśmiech.

- W poniedziałki zwykle mają wolne. Przychodzą tylko na specjalne zamówienie. Pewnie nawet Emilio nie wie, że jutro w ogóle ich tam nie ma.

\*

W Hôtel des Quinze Anges była już pierwsza nad ranem, Perry wreszcie zasnął. Przeszedłszy na palcach do łazienki na korytarzu, Gail zamknęła za sobą drzwi na klucz i w wątłym świetle żarówki o najmniejszej mocy na świecie jeszcze raz odczytała wiadomość tekstową, którą otrzymała o siódmej poprzedniego wieczoru, tuż przed wyjściem na kolację na Île.

Ojciec mówi że jesteś w Paryżu. Szwajcarski doktor mówi że jestem w dziewiątym tygodniu ciąży. Max wspina się w górach i nie odpowiada. Gail

Gail? Natasza podpisała się moim imieniem? Jest w takiej panice, że zapomniała, jak się nazywa? A może chciała napisać: „Gail, błagam cię?” - może to ma oznaczać to jej Gail?

Na wprost śpiąc, wyświetliła numer i zanim się opamiętała, przycisnęła zielony przycisk komórki i połączyła się ze szwajcarską automatyczną sekretarką. W popłochu przerwała połączenie i już całkiem na trzeźwo napisała SMS:

Nie rob nic póki nie porozmawiamy. Musimy sie spotkać i porozmawiać. Mocno całuje, Gail

Wróciła do pokoju i z powrotem wsunęła się pod włochatą kołdrę. Perry spał jak zabity. Powiedzieć mu czy nie powiedzieć? I tak ma za dużo na głowie. Jutro jego wielki dzień. Co z moją przysięgą złożoną Nataszy?

## 13.

Wsiadając do przystanego przez Emilia dell Oro mercedesa z kierowcą, który, doprowadzając Madame Mère do szewskiej pasji, blokował przejazd przed jej hotelem przez ostatnie dziesięć minut - a ten głupek nawet nie chciał opuścić szyby, żeby wysłuchać jej wyzwisk! - Perry Makepiece zmagał się ze znacznie większymi obawami, niż gotów był przyznać się Gail, która odstrzeliła się na tę wielką okazję w komplet od Vivienne Westwood z alladynkami, kupiony w dniu, w którym wygrała swoją pierwszą sprawę.

- Jeżeli tam znowu będą te luksusowe prostytutki, muszę jakoś wyglądać - poinformowała Perry'ego, ryzykownie balansując na łożku, by obejrzeć się w lustrze nad umywalką.

\*

Poprzedniego wieczoru, powróciwszy do Quinze Anges po kolacji, Perry zauważył, że Madame Mère patrzy na niego oczyma jak spodeczki ze swego kantorka za recepcją.

- Chcesz, to idź pierwsza do łazienki, ja potem? - zaproponował, co Gail przyjęła z pełnym wdzięczności ziewnięciem.

- Dwaj Arabowie - szepnęła Madame Mère.

- Arabowie?

- Arabscy policjanci. Mówili do siebie po arabsku, do mnie po francusku. Francuzi, ale Arabowie.

- O co pytali?  
- O wszystko. Gdzie jesteście. Co robicie. Jaki paszport. Pana adres w Oksfordzie. Madame adres w Londynie. Wszystko o was.

- Co im pani powiedziała?

- Nic. Że jest pan starym klientem, że pan płaci, jest grzeczny, nie przychodzi pijany, zawsze tylko z jedną kobietą naraz, że poszliście do jakiejś malarki na Île i że późno wrócić, ale macie klucz, bo panu ufam.

- A nasze adresy w Anglii?

Madame Mère była drobną kobietą, ale jej typowo francuskie wzruszenie ramion miało tym większą amplitudę.

- Spisali wszystko, co pan wpisał w blankiecie. Jak pan nie chciał, żeby znali pana adres, trzeba było wpisać nieprawdźwiwy.

Uzyskawszy od niej obietnicę, że niczego nie powie Gail - mój Boże, nawet do głowy by jej nie przyszło, przecież też jest kobietą! - Perry zastanawiał się, czy by od razu nie zadzwonić do Hectora, ale podlany sporą częścią butelki starego calvadosu uznał ze względów praktycznych, że o tej porze i tak nie załatwi się niczego, czego nie można by lepiej załatwić rano - i poszedł do łóżka. Obudziwszy się w zapachu świeżej kawy i croissantów, zdumiał się wielce, zobaczywszy, że Gail siedzi pod kołdrą na końcu łóżka i wpatruje się w komórkę.

- Coś nie tak? - zapytał.

- To z kancelarii. Potwierdzenie.

- Potwierdzenie czego?

- Pamiętasz, zastanawiałeś się, czy by mnie wcześniej nie odeśłać do domu?

- No pewnie, że pamiętam!

- No więc ja nie jadę. Wysłałam SMS do kancelarii, przekazując Samson versus Samson Heldze. Na pewno zawali.



Helga, jej *bête noire*? Helga, *femme fatale* w siatkowych pończochach, która gra na mecenasach z jej kancelarii jak na lirze?

- A cóż cię do tego skłoniło, na miłość boską?

- W pewnym sensie ty. Sama nie wiem dlaczego, ale nie mam ochoty zostawiać cię samego, uczeponego pazurami niebezpiecznej ściany. Poza tym jutro zapewne jadę z tobą do Berna, bo zakładam, że tam się teraz wybierasz, choć mi o tym nie mówiłeś.

- To wszystko?

- A co? Jeżeli wrócę do Londynu, będziesz się o mnie zamartwiał. Więc już lepiej, żebym była gdzieś, gdzie masz mnie na oku.

- A nie przyszło ci do głowy, że mogę się bardziej zamartwiać, jeśli będziesz ze mną?

To nie było miłe z jego strony i oboje mieli tego świadomość. Kusilo go, aby ją udobruchać powtórzeniem rozmowy z Madame Mère, ale obawiał się, że to tylko umocni ją w postanowieniu.

- Zdaje się, że w natłoku tych wszystkich dorosłych spraw całkiem zapomniałeś o dzieciach - powiedziała, nadając swemu głosowi ton wymówki.

- Gail, co za bzdury! Robię wszystko, co się da, i nasi przyjaciele też, żeby doprowadzić do ich... - Lepiej nie kończyć tego zdania. Lepiej operować aluzjami. Po dwóch tygodniach aklimatyzacji Bóg jeden raczy wiedzieć, kto słucha i kiedy. - Przede wszystkim chodzi mi o dzieci. I od początku tak było - powiedział, raczej nie do końca zgodnie z prawdą, i poczuł, że się czerwieni. - Przecież dłatego w ogóle tu jesteśmy - brnął. - Oboje. Nie tylko ty. Owszem, zależy mi na naszym przyjacielu i chcę doprowadzić to wszystko do końca. Poza tym, przyznaję, bardzo mnie to fascynuje. To wszystko. - Zawahał się, zażenowany własnymi słowami. - Chodzi mi o to, że wreszcie żyję prawdziwym życiem. A dzieci są tego częścią.

Bardzo ważną. I teraz, i potem, kiedy wrócisz do Londynu.

Ale jeżeli Perry wyobrażał sobie, że uspokoi ją tymi górnolotnymi zapewnieniami, to jej nie docenił.

- Tylko że dzieci tu nie ma, prawda? Ani tu, ani w Londynie - odparła nieugięcie. - Tylko w Bernie. I wiem od Nataszy, że są w ciężkiej żałobie po Miszy i Oldze. Chłopcy spędzają całe dnie na boisku, Tamara rozmawia z Bogiem, wszyscy wiedzą, że coś wielkiego się szykuje, ale nie wiedzą co.

- Wiesz od Nataszy? Co ty wygadujesz, na miłość boską?

- SMS-ujemy do siebie.

- Ty z Nataszą?

- Zgadza się.

- Nic mi nie powiedziałaś!

- A ty nic mi nie powiedziałeś o berneńskich planach. Zgadza się? - Pocałowała go. - Zgadza się? Żeby mnie chronić. No, to od tej chwili będziemy się chronić nawzajem. Gdzie jedno, tam drugie. Zgoda?

\*

Zgoda tylko na to, że ona zrobi się na bóstwo, kiedy on wyprawi się w deszczu do Printemps po strój do tenisa. Z punktu widzenia Perry'ego nie było natomiast żadnej zgody co do reszty rozmowy.

Prześladowała go nie tylko sprawa nocnych gości Madame Mère, lecz również poczucie nieuchronnego i nieprzewidywalnego niebezpieczeństwa, które zastąpiło euforię z poprzedniego wieczoru. Przemoczony deszczem w *foyer* Printemps zatelefonował do Hectora, ale numer był zajęty. Dziesięć minut później, stojąc nad świeżo zakupioną torbą tenisową zawierającą koszulkę, szorty, skarpety, parę

tenisówek oraz - chyba kompletnie oszalał, kiedy to kupował - daszek przeciwsłoneczny, spróbował jeszcze raz i tym razem się dozwonił.

- Masz jakiś opis? - zapytał Hector tonem brzmiącym nieco zbyt leniwie w uszach Perry'ego.

- Arabowie.

- No, to może to byli Arabowie. I może nawet z francuskiej policji. Wylegitymowali się?

- Nie powiedziała.

- A ty nie zapytałeś?

- Nie zapytałem. Byłem trochę uwalony.

- To może poślę George'a, żeby z nią pogadał?

*George'a?* Ach tak, Olliego.

- Wielkie dzięki, ale chyba i bez tego jest już dość dramatycznie - powiedział sztywno Perry.

Nie wiedział, co robić dalej. Hector być może też.

- A poza tym żadnych wątów? - zapytał Hector.

- Wątów?

- Wątpliwości. Oporów. Zastrzeżeń. Tremy, na miłość boską - powiedział Hector niecierpliwie.

- Żadnych wątów z mojej strony. Tylko teraz muszę czekać na potwierdzenie pieprzonej karty kredytowej. - Wcale nie czekał. Skłamał i nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego kłamie. Chyba że chciał w ten sposób wymusić odrobinę współczucia.

- A Doolittle w dobrym nastroju?

- Tak jej się wydaje. Ja nie wiem. Naciska, żeby ją wziąć do Berna. Ja jestem absolutnie przekonany, że nie powinna tam jechać. Swoje już zrobiła, zresztą świetnie, jak sam wczoraj mówiłeś. Chcę, żeby uznała, że dość, niech wraca dziś wieczorem do Londynu, tak jak było w planie, i niech tam siedzi, póki nie wrócę.

- No, tego to ona już na pewno nie zrobi.

- Dlaczego?
- Bo dzwoniła do mnie dziesięć minut temu i powiedziała, że będziesz do mnie dzwonił, i że za nic nie zmieni zamiarów. Więc uznałem, że to jej ostatnie słowo i tobie też to radzę. Zrób dobrą minę do złej gry, trudno. Jesteś tam jeszcze?
- Sam już nie wiem. Co jej powiedziałaś?
- Byłem zachwycony. Powiedziałem jej, że jest absolutnie nieodzownym trybikiem naszej maszynierii. A ponieważ ona tak chce i jeszcze się taki nie narodził, co by ją przekonał, sugeruję, żebyś zrobił to samo. Interesują cię najświeższe wieści z frontu?
- Mów.
- Wszystko idzie zgodnie z planem. Banda Siedmiu ma już za sobą uroczystość podpisania papierów przez naszego chłopaka, wszyscy mieli wściekłe miny, ale to może tylko kac. On sam wraca teraz do Neuilly pod zbrojną strażą. Lunch na dwadzieścia osób już zarezerwowany w Club des Rois, masażyści w pogotowiu. Czyli żadnych zmian, poza tym, że powróciwszy ce *soir* do Londynu, lecicie jutro oboje z City do Zurychu, macie już bilety elektroniczne. Luke was odbierze. Nie tylko ciebie, jak ustaliliśmy na początku, tylko was oboje. Jesteś tam jeszcze?
- No chyba.
- Bo jesteś taki trochę nie w sosie. Jeszcze zmagasz się ze skutkami ostatniego wieczoru?
- Nie.
- I dobrze. Dla naszego chłopaka musisz być w najlepszej formie. Dla nas też.

Perry zastanawiał się przedtem, czy powiedzieć Hectorowi o przyjaźni Gail i Nataszy, ale rozsądek - jeśli to był rozsądek - przeważył.

\*

Mercedes śmierdział starym dymem tytoniowym. Między tylnym siedzeniem a oparciem tkwiła niedopita butelka wody mineralnej. Kierowca był wygolony na łyso olbrzymem. Nie posiadał karku, tylko kilka poziomych, czerwonych blizn w zaroście na tyle głowy, przypominających cięcia brzytwą. Gail miała na sobie swoje jedwabne spodnium, które wyglądało, jakby zaraz miało się z niej zsunąć. Nigdy jeszcze nie wydała się Perry'emu tak piękna. Obok niej leżał jej długi biały płaszcz deszczowy - wcześniejsze szaleństwo popełnione w Bergdorf Goodman w Nowym Jorku. Deszcz tłukł w dach samochodu niczym grad. Wycieraczki jęczały i szlochały, usiłując za nim nadążyć.

Wygolony olbrzym skrzyknął mercedesem na równoległą do głównej jezdnię, zajechał przed elegancki apartamentowiec i nacisnął klakson. Z tyłu zajechał drugi samochód. Ogon? *Me macie o tym zielonego pojęcia.* Okrągły, jowialny człowieczek w pikowanej pelerynie i przeciwdeszczowym kapeluszu z szerokim rondem wybiegł w podskokach z frontowego holu, rzucił się na siedzenie obok kierowcy, obrócił i położył przedramię na krawędzi oparcia, a podwójny podbródek - na przedramieniu.

- No, to kogo my tu dziś mamy na tenisa, proszę, proszę - oznajmił piskliwie, powoli. - Po pierwsze *Monsieur le Professeur* we własnej osobie. A kochana pani to jego lepsza połowa, oczywiście, że tak. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że nawet lepsza niż wczoraj. Zamierzam panią zmonopolizować na cały mecz.

- Gail Perkins, moja narzeczona - powiedział surowo Perry.

Jego narzeczona? Naprawdę? Wcale o tym nie rozmawiali. Może to Doolittle i Milton się zaręczyli?

- A ja jestem doktor Popham, dla wszystkich Bunny, chodząca luka prawna dla paskudnych bogaczy - ciągnął, a jego małe różowe oczka prześlizgiwały się poządlawie z Gail na Perry'ego

i z powrotem, jakby zastanawiał się, na kogo ma większą chrapkę. - Zapewne pamiętają państwo, że ten gbur Dima miał czelność obrazić mnie przed tysiącem świadków, ale ja odgoniłem go jednym machnięciem chusteczki.

Perry najwyraźniej nie miał ochoty na odpowiedź, więc wtrąciła się Gail:

- Więc co pana z nim łączy, Bunny? - zapytała wesoło, gdy ich samochód znów włączył się w ruch uliczny.

- Och, moje serce, właściwie to kompletnie nic, Bogu niech będą dzięki. Powiedzmy, że jestem starym kumplem Emilia, który przychodzi mu z pomocą. Biedaczek, jemu ciągle przytrafia się coś takiego. Poprzednim razem banda niedorozwiniętych księżąt arabskich, opętanych szałem zakupów, teraz znowu cała zgraja okropnych rosyjskich bankierów, chłopaki w Armanich, coś takiego! Ate ich drogie panie... - zniżając głos w zaufaniu - droższych pań nigdy nie widziałem. - Pożądliwe oczka spoczęły z zachwytem na Perrym. - Ale najbardziej mi żal pani biednego profesora. - Tragiczny smutek w różowych oczkach. - Co za akt dobrej woli! Odbierze pan nagrodę w niebie, już ja tego dopilnuję. Ale jak tu się oprzeć biednemu misiowi, którego tak przygnębiło to straszne morderstwo? - I z powrotem do Gail. - Czy zostanie pani w Paryżu na dłużej, pan-no Gail Perkins?

- Och, bardzo bym chciała. Niestety, muszę wracać do kieratu, niezależnie od pogody... - Kwaśne spojrzenie na deszcz spływający po przedniej szybie. - A pan, Bunny?

- Och, ja skaczę z kwiatka na kwiatek. Jak motylek. Pobędę to tu, to znowu tam. Czasem siadam, ale nie na długo.

Drogowskaz do CENTRE HIPPIQUE DU TOURING, potem drugi do PAVILLON DES OISEAUX. Deszcz nieco ustaje. Ogon jest wciąż za nimi. Z prawej strony pojawia się podwójna zdobiona brama.

Naprzeciw bramy zatoczka, w którą zajeżdża kierowca mercedesa. Obok zaparkował ten złowrogi samochód. Czarne okna. Perry czekał, by otwarły się drzwi. Powoli otwarły się z jednej strony. Wysiadła starsza matrona, za nią jej owczarek alzacki.

- *Cent metres* - warknął kierowca, wskazując brudnym palcem bramę.

- Wiemy, głuptasie - powiedział Bunny.

Przeszli rzędem owe *cent mètres*; Gail - skrywając się pod parasolem Bunny'ego Pophama, Perry - przyciskając do piersi nową torbę tenisową, po twarzy ściekał mu deszcz. Dotarli do niskiego białego budynku.

U góry schodów, pod markizą, stał Emilio dell Oro w długim płaszczu nieprzemakalnym z futrzanym kołnierzem. Osobno stało trzech z wczorajszych posępnych dyrektorów. Dwie dziewczynyssały z rezygnacją papierosy, których nie wolno im było zapalić wewnątrz budynku klubowego. U boku dell Oro, ubrany w szare spodnie i marynarkę, stał wysoki, siwy, agresywnie angielski dżentelmen z klasy uprzywilejowanej i wyciągał ku nim upstrzoną plamami wątrobowymi dłoń.

- Giles - wyjaśnił. - Poznaliśmy się wczoraj w tym tłoku. Pewnie mnie państwo nie pamiętają. Byłem przejazdem w Paryżu, Emilio mnie przyłapał. To nauczka, by nigdy nie kontaktować się z kumplami bez uprzedzenia. No, muszę przyznać, że wczoraj wieczorem była całkiem niezła impreza. Szkoda, że nie mogliście przyjść. - Teraz do Perry'ego: - Mówi pan po rosyjsku? Ja na szczęście trochę. Bo niestety nasi czcigodni goście nic więcej nie mogą nam zaoferować w tym względzie.

Weszli razem do środka w ślad za dell Oro. Pora lunchu, poniedziałek, deszczowy dzień - na członków klubu raczej nie ma co liczyć. Tylko na lewo od Perry'ego, przy stoliku w kącie, siedzi pochylony Luke w okularach. Ma w uchu słuchawkę na bluetooth

i wpatruje się w cieniutki srebrny laptop - na pierwszy rzut oka: typowy przedstawiciel świata biznesu załatwia jakiś ważny interes.

„Jeżeli zobaczysz kogoś, kto choć trochę przypomina kogoś z nas, to będzie złudzenie”, uprzedził ich oboje Hector poprzedniego wieczoru.

Panika. Ściskanie w dołku. *Na miłość boską, gdzie jest Gail?* Czując narastające nudności, Perry zaczął się za nią rozglądać i zaraz dostrzegł ją na środku sali, gawędzącą z Gilesem, Bunnym Pophammem i Dell Oro. Tylko zachowuj się spokojnie i nie znikaj mi z oczu, powiedział jej w myśli. Spokój, długie ruchy. Dell Oro pytał właśnie Bunny'ego Pophama, czy nie za wcześnie na szampana, Bunny odpowiadał, że to zależy od rocznika. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale najgłośniej Gail. Perry już miał ruszyć jej na ratunek, gdy usłyszał teraz dobrze już znany okrzyk „Profesor! Jak Boga kocham!” - więc obrócił się i zobaczył, że po schodach wspinają się trzy parasole.

Pod środkowym - Dima z tenisową torbą od Gucciego.

Po lewej i prawej - Niki oraz ten, którego Gail po wieczne czasy ochrzciła mianem kościstego filozofa.

Już są na najwyższym stopniu.

Dima z trzaskiem złożył parasol, wtłoczył go do ręki Nikiemu i sam wkroczył do środka przez wahadłowe drzwi.

- Widzicie ten zasrany deszcz? - zapytał wojowniczo całą salę. - Widzicie to niebo? Za dziesięć minut będzie słońce! - A do Perry'ego: - Wy przebieracie się w tenisowy strój, profesor, czy mam was stłuc na kwaśne jabłko w tym waszym zasranym garniturze?

Chłodny śmiech publiczności. Właśnie zaczęło się drugie wystawienie wczorajszego surrealistycznego wodewilu.

\*



Perry i Dima schodzą po ciemnych drewnianych schodach, trzymając w dłoniach torby tenisowe. Dima, członek klubu, idzie pierwszy. Zapachy szatniane: esencja sosnowa, nieświeże wyziewy z pryszniców, przepocona odzież.

- U mnie rakiety, profesor! - ryczy Dima w górę schodów.
- Świetnie! - odrykuje równie głośno Perry.
- Ze sześć! Od pieprzonego Emilia! Facet gra jak dupa, ale rakiety dobre.

- Czyli to sześć z trzydziestu!
- Dokładnie, profesor! Dokładnie!

Dima informuje ich, że schodzą na dół. Nie musi wiedzieć, że Luke już ich uprzedził. U dołu schodów Perry ogląda się za siebie. Nie ma Nikiego, nie ma kościstego filozofa, nie ma Emilia. Pusto. Wchodzą do ponurej, wykładanej drewnem szatni w szwedzkim stylu. Bez okien, oszczędne oświetlenie. Za matową szybą bierze prysznic dwóch starszych panów. Jedne drewniane drzwi z napisem TOILETTES. Dwoje innych z napisem MASSAGE. Na klamkach obu wywieszki „occupé”. *Zapukasz do drzwi po prawej, ale dopiero, kiedy będzie gotowy. Powtórz.*

- Wy dobrze spali, profesor? - pyta, rozbiegając się, Dima.
- Świetnie. A ty?
- Do dupy.

Perry rzuca swoją torbę na ławkę, rozpinają i też zaczyna się przebierać. Dima, całkiem nagi, stoi tyłem do niego. Jego tułów to istna plansza do gry w „węże i drabiny” - pięty się one od pośladek do karku. Na środkowych połaciach jego pleców dziewczynę w kostiumie kąpielowym w stylu lat czterdziestych gonią rozszałale bestie. Jej uda oplatają drzewo życia, którego korzenie tkwią na zadzie Dimy, a gałęzie rozchodzą się na łopatki.

- Muszę się wysikać - oświadcza Dima.
- Ależ proszę bardzo - odpowiada dowcipnie Perry.

Dima otwiera drzwi do toalety i zamyka się w niej. W kilka chwil jest już z powrotem, trzymając w dłoni podłużny przedmiot. To związana w supeł prezerwatywa, w niej pendrive. Widziany od przodu w pełnej krasie Dima ma ciało Minotaura. Czarne włosy na łonie sięgają mu do pępka. Reszta, jak można się było spodziewać, potężna. Myje prezerwatywę pod kranem, przenosi ją do swej tenisowej torby od Gucciego. Odcina nożyczkami koniec, wyciąga zawartość, podaje Perry'emu obie części prezerwatywy, by się ich pozbył. Perry wsuwa je do bocznej kieszeni marynarki i na ułamek sekundy ma wizję Gail, która za rok znajduje je tam i pyta: „A kiedy poród?”.

Z błyskawiczną, więzienną sprawnością Dima nakłada slipki i parę długich niebieskich szortów, wrzuca pendrive do prawej kieszeni szortów, nakłada koszulkę z długimi rękawami, skarpety, buty do tenisa. Cały ten proces zajął mu najwyżej kilka sekund. Otwierają się drzwi prysznic. Wychodzi z nich stary, przepasany ręcznikiem grubas.

- *Bonjour tout le monde!*

Bonjour.

Stary grubas otwiera swoją szafkę, spuszcza ręcznik na podłogę, wyciąga wieszak. Otwierają się drzwi drugiego prysznic. Pojawia się drugi starszy pan.

- *Quelle horreur, la pluie!* - narzeka.

Perry przytakuje. Ten deszcz to rzeczywiście okropność. Energetycznie stuka w drzwi gabinetu masażu po prawej. Trzy razy, krótko, ale równo i mocno. Dima stoi tuż za nim.

- *C'est occupé* - ostrzega pierwszy starszy pan.

- *Pour moi, alors* - mówi Perry.

- *Lundi, c'est tout fermé* - dodaje drugi.

Ollie otwiera drzwi od środka. Wchodzą, muskając go w przejściu. Ollie zamyka drzwi, uspokajająco klepie Perry'ego po ramieniu. Jakos zdążył się pozbyć kolczyka i zaczesać włosy do tyłu. Ma na

sobie biały lekarski fartuch, zupełnie jakby ściągnięty z jednego Olliego i założony na innego. Hector też jest w fartuchu, ale nawet nie chciało mu się zapiąć. To on jest *masseur-en-chef*.

Ollie wtyka drewniane kliny we framugę drzwi, dwa u dołu, dwa po bokach. Jak zawsze w przypadku Olliego Perry ma wrażenie, że Ollie już to kiedyś robił. Hector i Dima po raz pierwszy stają twarzą w twarz, Dima odchylony do tyłu, Hector pochylony do przodu. Hector naciera, Dima się cofa. Dima to stary więzień, czekający na wymierzenie kolejnej kary, Hector to kierownik więzienia. Hector wyciąga rękę, Dima nią potrząsa i wciąż trzyma w lewej dłoni, podczas gdy prawą grzebie w kieszeni. Hector przekazuje pendrive Olliemu, a ten bierze go na boczny stolik, otwiera torbę masażyisty, wyciąga srebrny laptop, unosi pokrywę i wtyka pendrive'a, wszystko jednym ruchem. W białym fartuchu Ollie wydaje się jeszcze większy, ale i dwa razy zręczniejszy.

Dima i Hector jeszcze nie zamienili słowa. Wrażenie pary więzień-kierownik więzienia minęło. Dima wciąż stoi po swojemu, odchylony do tyłu, Hector z powrotem się garbi. Jego szare oczy patrzą pewnie, szeroko i niewzruszenie, ale i pytająco. Nie ma w nich poczucia władzy, zwycięstwa, triumfu. Wygląda jak chirurg, który zastanawia się, jak operować i czy w ogóle operować.

- Dima?

- Tak.

- Jestem John. Pana brytyjski aparaczyk.

- Numer jeden?

- Numer jeden przesyła pozdrowienia. Ja go tu reprezentuję. To George - wskazując na Olliego. - Rozmawiamy po angielsku, pan profesor pilnuje *fair play*.

- Okej.

- To siadajmy.

Siadają. Twarzą do siebie. Perry, człowiek od *fair play*, u boku Dimy.

- Na górze jest nasz kolega - mówi dalej Hector.  
- Siedzi sam w barze z takim samym laptopem, jaki ma tu George. Nazywa się Paul. Nosi okulary i czerwony, partyjny krawat. Kiedy skończymy i będzie pan wychodził z klubu, Paul wstanie i powoli przejdzie przez hol z laptopem w ręce, nakładając granatowy płaszcz. Proszę go sobie dobrze zapamiętać. Paul ma moje pełnomocnictwo. I pełnomocnictwo numeru jeden. Zrozumiano?

- Ja rozumiem, John.

- W razie czego mówi po rosyjsku. Ja też.

Hector zerka na zegarek, potem na Olliego.

- Daję nam siedem minut. Potem pan i profesor musicie iść na górę. Paul nas powiadomi, jeżeli będziecie musieli pojawić się wcześniej. Odpowiada to panu?

- Odpowiada? Co wy, z *urna soszli*?

Rytuał się rozpoczął. Perry w życiu by nie przypuszczał, że taki rytuał w ogóle istnieje. A jednak i Dima, i Hector sprawiają wrażenie, jakby nie potrafili się bez niego obejść.

Zaczyna Hector:

- Czy jest pan obecnie lub był kiedykolwiek w kontakcie z tajnymi służbami innych krajów?

Kolej Dimy:

- Przysięgam na Boga, nie.

- Nawet z rosyjskimi?

- Nawet.

- Czy wie pan o kimkolwiek z pana kręgów, kto był w kontakcie z tajnymi służbami innych krajów?

- Nie.

- Nikt inny nie sprzedaje gdzie indziej podobnych informacji? Wszystko jedno, komu i gdziekolwiek na świecie: policji, firmie, osobie prywatnej?

- Nikogo takiego ja nie znam. Ja chcę moje dzieci do Anglii. Od razu. Ja chcę dostać zastrany, kurewski *deal*.

- Ja też chcę, żeby pan go dostał. Paul i George też chcą. I pan profesor. Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. Ale najpierw musi pan przekonać nas, a potem ja muszę przekonać innych aparatczyków w Londynie.

- Książę mnie ubije, psiamać.

- Powiedział to panu?

- A jak. Na zasranym pogrzebie: „Ty się nie smuć, Dima. Ty zaraz będziesz razem z Miszą”. Taki żart. Zły żart.

- Jak poszło dzisiaj podpisanie?

- Dobrze. Już pół życia u mnie *niet*.

- Czyli musimy zająć się resztą pana życia, prawda?

\*

Przynajmniej tym razem Luke dokładnie wie, kim jest i co tutaj robi. Podobnie jak władze Klubu. Nazywa się Monsieur Michel Despard, człowiek zamożny, a czeka na swoją ciotkę, starą ekscentryczkę, która zaprosiła go tu na lunch - znaną artystkę, o której nikt nie słyszał, zamieszkałą na île St-Louis. Jej sekretarz zarezerwował im stolik, ale ciotka jest tak ekscentryczna, że może nawet w ogóle się nie pojawić. Michel Despard dobrze to wie, i klub też wie, bo współczujący kierownik sali skierował go w zaciszny kąt baru, gdzie - ponieważ dzień jest deszczowy, i do tego poniedziałek - może spokojnie czekać, jak długo zechce, i przy okazji pozałatwiać parę spraw - dziękuję panu bardzo, naprawdę bardzo dziękuję. Jak się dostanie sto euro, życie zaraz robi się trochę łatwiejsze.

Czy ciotka Luke'a rzeczywiście jest członkinią Club des Rois? Oczywiście! Czy ona, czy jej świętej pamięci protektor, pan hrabia - co za różnica? A przynajmniej taką historyjkę opowiedział władzom klubu Ollie w swym wcieleniu sekretarza ciotki. W końcu Ollie, jak słusznie zauważył Hector, to najlepszy włamywacz w branży,

a ciotka potwierdzi wszystko, co jest do potwierdzenia.

Więc Luke jest zadowolony. Jest w swej najlepszej, operacyjnej formie: spokój, brak pośpiechu. Co z tego, że sprawia wrażenie tolerowanego z uprzejmości gościa, upchniętego w mało atrakcyjny kąt sali. Co z tego, że w okularach w rogowej oprawie, ze słuchawką na bluetooth i otwartym laptopem przypomina zwykłego, zagonionego menedżera, który w poniedziałek rano usiłuje nadrobić zaległości, które nagromadziły mu się przez weekend.

Za to w swym nieprzeniknionym dla innych wnętrzu jest w swoim żywiole: trudno o większe poczucie spełnienia i swobody. Jest jak pewny głos dowódcy w bitewnym zamęcie. Jest wysuniętym posterunkiem obserwacyjnym w ciągłej łączności z kwaterą główną. Jest mikromenedżerem, porucznikiem, który potrafi konstruktywnie zamartwiać się o szczegóły, które jego zajęty większymi sprawami pułkownik mógł lub wołał przeoczyć. Może dla Hectora owi dwaj „arabscy policjanci” byli wytworem przesadnej troski Perry'ego o bezpieczeństwo Gail. Jeżeli w ogóle istnieli, byli „dwoma francuskimi gliniarzami, którzy nie mieli nic lepszego do roboty w niedzielny wieczór”. Ale dla Luke'a byli niesprawdzonym materiałem wywiadowczym, którego nie można ani potwierdzić, ani zlekceważyć, lecz trzeba zachować do chwili otrzymania nowych informacji.

Zerka na zegarek, potem na ekran. Minęło sześć minut, od kiedy Perry i Dima zstąpili schodami do szatni. Cztery minuty trzydzieści sekund, od kiedy Ollie zameldował, że obaj znaleźli się w gabinecie masażysty.

Podnosząc linię wzroku, przypatruje się rozgrywającej się przed nim scenie: najpierw Czyści Przedstawiciele, czyli chłopcy w armanich. Ze złymi minami pożerają kanapki i wlewają w siebie szampa, i nie bardzo mają ochotę rozmawiać ze swymi drogimi towarzyszami. Oni już swoje zrobili. Podpisali. Są już w połowie drogi

do Berna, tam ich następny przystanek. Są znudzeni, skacowani i rozdrażnieni. I rozczarowani swymi kobietami z poprzedniego wieczoru - a przynajmniej tak to sobie wyobraża Luke. Jak to Gail nazywa tych dwóch szwajcarskich bankierów, siedzących samotnie w kącie i popijających gazowaną wodę? Piotruś i Wilk.

Doskonale powiedziane, Gail. W ogóle wszystko w niej jest doskonałe. Wystarczy teraz na nią popatrzeć, panuje nad salą jak profesjonalistka. Smukłe ciało, wspaniałe uda, nieskończenie długie nogi i ten jej dziwnie matczyzny wdzięk. Gail z Bunnym Pophamem. Gail z Gilesem de Salis. Gail z nimi oboma. Emilio dell Oro, wiedziony ku niej jak ćma, dołącza się do tej grupki. Podobnie jak jakiś samotny Rosjanin, który nie może oderwać od niej wzroku. To ten grubawy. Dał sobie spokój z szampanem, przestawił się na wódkę. Brwi Emilia unoszą się, gdy zadaje komiczne pytanie, którego Luke nie jest w stanie dosłyszeć. Gail natychmiast reaguje żartobliwą odpowiedzią. Luke kocha się w niej beznadziejnie, czyli tak, jak zawsze się kocha, bo tak jak inny sławny kurdupel ustawicznie jest zakochany. Ustawicznie.

Emilio patrzy ponad ramieniem Gail na drzwi do szatni. Czy żart był właśnie na ten temat? Czy Emilio mówi: „A cóż oni dwaj tam wyrabiają tak długo? Mam pójść im przerwać?”. Na co Gail odpowiada: „Niech pan się nie waży, panie Emilio, jestem pewna, że dobrze im ze sobą”. Na pewno powiedziała coś takiego.

Luke do słuchawki:

- Czas.

Ben, szkoda, że mnie teraz nie widzisz. Widziałbyś to, co najlepsze, nie, jak zawsze, tylko to, co złe. Tydzień temu Ben wmusił w niego jedną z książek o Harrym Potterze. I Luke usiłował ją przeczytać, naprawdę się starał. Próbował - gdy wracał do domu o

jedenastej wieczór, z mordowany jak pies, albo gdy leżał bezsennie przy na zawsze utraconej żonie. Próbował, ale padł już na pierwszym płotku. Całe to *fantasy* było dla niego czystym bezsens - miał prawo twierdzić, że to dlatego, że całe jego życie to też *fantasy* - nawet to jego bohaterstwo. Bo co to za bohaterstwo dać się złapać, a potem dostać pozwolenie na ucieczkę?

- Świetne, co? - powiedział Ben, gdy już sprzykrzyło mu się czekać na reakcję ojca. - Przyznaj, tata, że ci się podobało.

- Podobało. Świetne - odparł grzecznie Luke.

Było to kolejne kłamstwo, o czym obaj wiedzieli. I kolejny krok oddalający od osoby, którą kochał najbardziej na świecie.

\*

- Proszę o ciszę wszystkich państwa, bardzo proszę, natychmiast. Dziękuję! - Bunny Popham, mistrz ceremonii, zwraca się do plebsu. - Nasi dzielni gladiatorzy postanowili wreszcie zaszczycić nas swą obecnością. Natychmiast udajmy się wszyscy na Arenę! - Cienka aluzja wywołuje szmer śmiechu. - Dziś nie ma na niej lwów, może za wyjątkiem Dimy, ani chrześcijan, chyba że jest nim pan profesor, ale za to ręczyć nie mogę. - Znowu śmiech. - Kochana pani Gail, bardzo proszę nas poprowadzić. Widziałem w życiu wiele strojów, ale niech mi będzie wolno powiedzieć, że żaden z nich nie skrywał piękniejszych kształtów.

Pierwsi idą jednak Perry i Dima. Za nimi Gail, Bunny Popham i Emilio dell Oro. Potem kilku Czystych Przedstawicieli z dziewczynami. Jak bardzo są czyści? Potem grubawy facet, sam, ale z kieliszkiem wódki. Luke patrzy, jak wchodzi między drzewka i znikają mu z oczu. Słoneczny promień oświeśla ukwieconą alejkę i zaraz gaśnie.



\*

To powtórka z Roland Garros: choćby tylko pod tym względem, że ani potem, ani przedtem Gail nie miała żadnej świadomości historycznej wielkiego deszczowego widowiska tenisowego, które przecież tak pilnie śledziła. Chwilami zastanawiała się, czy tak samo nie było z zawodnikami.

Wiedziała, że Dima wygrał rzut monetą, bo zawsze wygrywał. Wiedziała, że wolał stać plecami do nadciągających chmur, niż serwować.

Zapamiętała własne spostrzeżenie, że obaj gracze z samego początku przejawiali wielką wolę zwycięstwa, a potem, jak zdekoncentrowani aktorzy, kompletnie zapomnieli, że biorą udział w walce na śmierć i życie o honor Dimy.

Zapamiętała, że bała się, czy Perry nie poślizgnie się na mokrej taśmie, wyznaczającej kort. Albo czy nie zrobi czegoś głupiego, na przykład czy nie skręci kostki? A potem martwiła się o Dimę, by to samo nie przytrafiło się jemu.

I choć - jak poprzedniego dnia ci wspaniali francuscy kibice - skrupulatnie nagradzała oklaskami zagrania Dimy, a nie tylko Perry'ego, to od tego ostatniego nie odrywała oczu, trochę by go chronić, trochę by spróbować domyślić się z jego mowy ciała, jak im tam poszło w szatni z Hectorem.

Zapamiętała też ciche plaśnięcia piłki, zwalniającej na mokrej nawierzchni i własne wrażenie, że to wciąż ostatnia faza wczorajszego finału - i musiała z powrotem przенosić się do terażniejszości.

I że w miarę, jak trwał mecz, zagrania stawały się coraz bardziej ociężałe. I że Perry w roztargnieniu wciąż uderzał powolną dziś piłkę za wcześnie i albo trafiał w aut, albo - kilka razy, co za wstyd! - w ogóle w nią nie trafiał.

I że Bunny Popham w pewnej chwili pochylił się ku niej i zapytał, czy woli uciec teraz, zanim znowu oberwie się chmura, czy

wytrwa przy swym mężczyźnie i pójdzie na dno razem ze statkiem?

I że skorzystała z jego propozycji, by mieć pretekst do ukrycia się w ubikacji i sprawdzenia, czy przypadkiem Natasza nie dodała coś do ich istniejącej korespondencji. Ale nie. Co oznaczało, że sprawy stały na razie tak, jak stały o dziewiątej rano, gdy wryły jej się w pamięć niczego dobrego nie wróżące słowa - a mimo to czytała je teraz na nowo:

W tym domu nie da sie wytrzymać Tamara tylko o Bogu Katia i Irina tragedia bracia tylko w pilke wiem ze czeka nas nieszczęście już nigdy nie spojrzę w twarz ojcu Natasza

By odpowiedzieć, proszę przycisnąć zielony przycisk, wsłuchiwać się w próżnię, rozłączyć.

\*

Była też świadoma, że po drugiej przerwie z powodu szczególnie ulewnego deszczu - a może po trzeciej - w nasiąkniętej, ziemnej nawierzchni zaczęły pojawiać się małe lejki, co oznaczało, że kort osiągnął moment, w którym nie jest już w stanie przyjąć więcej wody. I że w efekcie pojawił się oficjalny dżentelmen z klubu, który gorąco tłumaczył coś Emiliowi dell Oro, wskazując na stan nawierzchni i przekonując go poziomymi ruchami dłoni, że „dość”.

Ale Emilio dell Oro musiał być obdarzony szczególną siłą perswazji, bo konfidencjonalnie wziął oficjalnego dżentelmena pod ramię i podprowadził go pod najbliższy buk, skąd po skończonej rozmowie klubowy oficjel zmykał z powrotem do budynku jak skarcony sztubak.

A pośród tych wszystkich beładnych spostrzeżeń i obserwacji musiała jeszcze zmagać się z tkwiącą w niej uparcię prawniczką, która znowu zamartwiała się o „związek przyczynowo-skutkowy”,

ten zaś od samego początku wydawał się mało wyraźny - co może nie było równorzędne z upadkiem wolnego świata, takiego, jaki znamy, byle tylko udało jej się dotrzeć do Nataszy i dziewczynek.

A potem, podczas gdy ona myśli raz o tym, raz o owym, Dima i Perry ni stąd, ni zowąd ściskają sobie dłonie ponad siatką i ogłaszają, że dość na dzisiaj. I że w jej oczach jest to nie uścisk dłoni pogodzonych przeciwników, lecz współników w oszustwie szytym tak grubymi nićmi, że skulone z zimna, najwierniejsze niedobitki publiczności powinny gwizdać, a nie bić brawo.

I jeszcze w tym wszystkim - skoro bezsens tego dnia zdaje się nie mieć końca - pojawia się grubawy Rosjanin, co cały czas za nią chodził, i oświadcza, że chce się z nią jebać. Dokładnie tymi słowy: „Chcę się z tobą jebać” - i czeka, czy ona powie „tak”, czy „nie”. To nadmiernie podochocony biznesmen o fatalnej cerze i przekrwionych oczach, z pustym kieliszkiem po wódce w dłoni. W pierwszej chwili myślała, że się przesłyszała - i w jej głowie, i wokół niej panował ciągły zgiełk. Na miłość boską - przecież nawet go poprosiła, żeby powtórzył. Ale on wtedy stracił rezon i ograniczył się do łożenia pięć metrów za nią - i właśnie dlatego wołała już z dwojga złego schronić się pod skrzydła Bunny'ego Pophama.

Co z kolei doprowadziło do wyznania mu, że ona też jest prawnikiem. Strasznie obawiała się tej chwili, bo zawsze prowadziło to do nieprzyjemnych porównań. Ale dla Bunny'ego Pophama była to tylko wymówka, by znów powiedzieć coś szokującego:

- Ach, kochana pani... - Wzniósł oczy do nieba. - Jestem zachwycony! No cóż, powiem tylko, że zawsze chętnie obejrzę pani akta.

Zapytał, w której kancelarii pracuje, więc mu powiedziała, co było naturalne. A co miała zrobić?

Poza tym dużo myślała o pakowaniu. To też zapamiętała. Na przykład: czy nową torbę tenisową Perry'ego załaduje brudnymi rzeczami, i tym podobne ważkie sprawy, związane z wydostaniem się z Paryża i wyruszeniem do Nataszy. Perry zarezerwował pokój jeszcze na następną noc, więc mogą spakować się późno wieczorem, nim wsiądą do pociągu do Londynu, bo w świecie, w którym teraz się znaleźli, normalni ludzie tak właśnie podróżują, jeżeli mogą być obserwowani, a nikt nie powinien wiedzieć, że gdzieś jadą.

\*

W gabinecie masażysty czekały płaszcze kąpielowe. Nałożyli je Perry i Dima. Znów siedzieli we trzech przy stole, gdzie wcześniej według zegarka Perry'ego siedzieli dwanaście minut. Ollie w białym fartuchu pochyłał się w kącie nad laptopem, trzymając przy nodze torbę masażysty; od czasu do czasu zapisywał coś na kartce, którą podawał Hectorowi, ten zaś dodawał ją do rosnącego przed nim stosiku. Klaustrofobiczna atmosfera przypominała suterенę w Bloomsbury, tylko bez winnej woni; równie kojąco działały odgłosy nieodległego, prawdziwego świata: burczenie rur, rozmowy z szatni, spuszczenie wody w ubikacji, pomruk wadliwego wentylatora.

- Ile dostaje Longrigg? - pyta Hector, zerknąwszy do jednej z notatek Olliego.

- Pół procenta - odpowiada głucho Dima. - Tego samego dnia, kiedy Arena dostaje licencję bankową, Longrigg dostaje pierwsze pieniądze. Po roku drugie. Po roku reszta.

- Płatne gdzie?

- W Szwajcarii.

- Zna pan numer konta?

- Przed Bernem nie znam numeru. Czasem dają tylko nazwisko, czasem tylko numer.

- A Giles de Salis?  
- Specjalna prowizja. To tylko słyszałem, bez potwierdzenia. Emilio mówi mi: de Salis dostaje specjalną prowizję. Ale może Emilio sam ją sobie weźmie. Po Bernie będę wiedział na pewno.

- Specjalna prowizja, czyli ile?  
- Pięć milionów na czysto. Może nieprawda, Emilio lis. Może wszystko ukradnie.

- W dolarach?  
- Pewno.  
- Płatne kiedy?  
- Tak jak Longrigg, ale gotówką z góry, bez warunków, i przez dwa lata. Połowa na oficjalne otwarcie Arena Bank, połowa po roku działalności. John...

- Co?  
- Słuchajcie mnie, okej? - Głos nagle z powrotem ożywia się. - Po Bernie dam wszystko. Żeby podpisać, ja muszę chcieć, słyszycie? Niczego nie podpiszę, jak nie chcę, u mnie takie prawo. Wy weźmiecie moją rodzinę do Anglii, okej? Ja jadę do Berna, podpisuję, wy ich zabieracie, ja wam dam serce i życie! - Obraca się ku Perry'emu. - Wy widzieli moje dzieci, profesor! Jezu, oni myślą, że ja kto? Oni ślepi, czy co? Moja Natasza, ona od rozumu odchodzi, nic nie je. - Z powrotem do Hectora. - John, wy już bierzcie moje dzieci do Anglii. Potem robimy *deal*. Jak tylko moja rodzina w Anglii, ja dowiem się wszystko. Mam w dupie!

Ale o ile Perry'ego poruszyła ta prośba, orle rysy Hectora wyrażają niewzruszoną odmowę.

- Za cholerę - odpowiada. I obcesowo traktuje wszelkie protesty Dimy: - Pańska żona i rodzina zostaje tam, gdzie jest, do środy, do podpisania w Bernie. Jeżeli znikną z pańskiego domu przed podpisaniem, narażą siebie, pana i cały nasz układ. Ma pan w domu ochroniarza, czy Książę go panu zabrał?

- U mnie Igor. Kiedyś zrobimy go *worem*. Ja go kocham. Tamara go kocha. Dzieci też.

My zrobimy go *worem*? - powtarza Perry w duchu. Kiedy Dima zamieszka w swym podmiejskim pałacu w Surrey, Natasza będzie w Roedean, a chłopcy w Eton, to my zrobimy Igora *worem*?

- Teraz pilnują pana dwaj ludzie. Niki i ten nowy.

- Oni od Księcia. Oni mnie ubiją.

- O której podpisuje pan w środę w Bernie?

- O dziesiątej. Rano. Na Bundesplatz.

- Czy Niki i jego kolega byli dziś przy podpisaniu?

- Nic z tego. Czekali na zewnątrz. To *duraki*.

- A w Bernie też nie?

- Nigdy. Może w poczekalni. Jezu, John...

- A po podpisaniu bank wydaje wielkie przyjęcie z tej okazji. Ni mniej, ni więcej tylko w hotelu Bellevue Palace.

- O wpół do dwunastej. Wielkie przyjęcie. Wszyscy świętują.

- George, masz to? - woła Hector do Olliego w kącie, a Ollie podnosi rękę, że ma. - Czy Niki z kolegą będą na przyjęciu?

Podczas gdy spokój zaczyna Dimę opuszczać, Hectora ogarnia coraz większe napięcie.

- Moi pieprzeni strażnicy? - powtarza Dima z niedowierzaniem.

- Oni, na przyjęcie? Wy oszaleli? Księżę nie załatwi mnie w zasrannym Bellevue. Poczekaj tydzień. Może dwa. Może najpierw załatwi Tamarę, może moje dzieci. Skąd mnie wiedzieć, kurwa mać?

Pełen furii wzrok Hectora nie zmienia się ani trochę.

- Tak dla pewności - nalega. - Jest pan pewien, że ci dwaj strażnicy, Niki i jego kolega, nie będą na przyjęciu w Bellevue?

Wielkie bary opadają, Dimę ogarnia swoisty rodzaj fizycznej rozpaczy.

- Pewien? Ja niczego nie pewien. Może i przyjdą na przyjęcie. Jezu, John.

- Założmy, że przyjdą. Tak na wszelki wypadek. Ale nie pójdą za panem, kiedy pójdzie się pan odlać?

Odpowiedź nie pada, ale Hector wcale na nią nie czeka. Szybko przechodzi w kąt pokoju, staje za ramieniem Olliego i patrzy w ekran komputera.

- To proszę mi powiedzieć, co pan o tym myśli. Niezależnie od tego, czy Niki i jego kolega pójdą z panem do Bellevue Palace, czy nie pójdą, w trakcie przyjęcia, powiedzmy w południe, jak najbardziej punktualnie, jak się da, idzie się pan odlać. Dawaj mi tu parter.

- To do Olliego. - Bellevue ma dwa węzły sanitarne dla gości na parterze. Pierwszy zaraz przy wejściu do holu, po drugiej stronie od recepcji. Zgadza się, George?

- Na sto procent, John.

- Wie pan, o którą ubikację mi chodzi?

- No pewno, że tak.

- No to proszę iść nie do tej, tylko do drugiej. Trzeba skręcić w lewo i zejść po schodach. Jest w piwnicy, więc mało kto tam chodzi, bo daleko. Wejście na schody jest obok baru. Między barem a windą. Wie pan, o które schody mi chodzi? Na półpiętrze są tam drzwi, które wystarczy popchnąć, jeśli nie są zamknięte na klucz.

- Ja często piję w tym barze. Ja znam te schody. Ale nocą drzwi zamknięte. Może w dzień czasem też.

Hector wraca na miejsce.

- W środę od przedpołudnia nie będą zamknięte. Zejdzie pan po schodach. Paul będzie na górze, zejdzie za panem. Z piwnicy jest boczne wyjście na ulicę. Paul będzie miał samochód. Gdzie pana zabierze, zależy od tego, co ustalę dziś w Londynie.

Dima znów zwraca się o pomoc do Perry'ego, tym razem już ze łzami w oczach:

- Ja chcę moją rodzinę w Anglii, profesor. Powiedzcie temu aparaczykowi: wy ich widzieli. Najpierw dzieci, potem ja. Tak dobrze. Książę załatwi mnie, jak moja rodzina w Anglii, mam w dupie.

- Ale my nie mamy - mówi stanowczo Hector. - Nam jest potrzebny i pan, i pana rodzina. Macie wszyscy znaleźć się w Anglii i wyśpiewać nam wszystko jak słowiki. Cali i zadowoleni. A teraz w szwajcarskich szkołach jest połowa semestru. Zrobił pan jakieś plany względem dzieci?

- Po pogrzebie w Moskwie ja im mówił, pieprzyć szkołę, może pojedźmy na wakacje. Wrócimy na Antiguę, a może do Soczi, pobawimy się, nacieszymy. Po Moskwie ja im mówił byle co. Jezu.

Hector pozostaje niewzruszony.

- Czyli siedzą w domu, nie chodzą do szkoły, czekają na pański powrót, myślą, że może gdzieś pojedziecie, ale nie wiedzą dokąd.

- Ja im mówił, że wakacje niespodzianka. Tajemnica. Może mi uwierzyli. Nie wiem.

- W środę przed południem, kiedy pan będzie podpisywał w banku i świętował w Bellevue, co będzie robił Igor?

Dima pociera nos kciukiem.

- Może pójdzie do sklepu w Bernie. Może zabierze Tamarę do cerkwi. Albo Nataszę na konie. Jak ona nie będzie czytać.

- W środę przed południem Igor musi iść w Bernie na zakupy. Może pan to powiedzieć Tamarze w taki sposób, żeby brzmiało to całkiem zwyczajnie? Niech da Igorowi bardzo długą listę zakupów. Niech robi zapasy na wasz powrót z tych waszych tajemniczych wakacji.

- Okej. Może.

- Tylko „może”?

- Okej. Powiem Tamarze. Ona trochę wariatka. Ale okej. Pewno.



- Kiedy Igor będzie na zakupach, George, ten tutaj, razem z profesorem, zabiorą pana rodzinę z domu na te tajemnicze wakacje.

- Do Londynu.

- Albo w bezpieczne miejsce. Tu lub tu. W zależności od tego, jak szybko da się pozafatwiać wszystkie sprawy związane z przywiezieniem was do Anglii. Jeżeli na podstawie tego, co do tej pory nam pan dostarczył, uda mi się przekonać moich aparatczyków, żeby uwierzyli panu na słowo, szczególnie co do informacji, które uzyska pan w Bernie, wywieziemy pana z rodziną do Londynu specjalnym samolotem jeszcze w środę. Obiecuję. Przy panu profesorze. Jeżeli nie, umieścimy pana z rodziną w bezpiecznym miejscu, dopóki mój numer jeden nie powie: „przyjeżdżać do Anglii”. Według moich najlepszych informacji tak wygląda sytuacja. Perry, pan może to potwierdzić.

- Mogę.

- W czasie drugiego podpisywania w Bernie, jak pan zapamięta to, czego wtedy się pan dowie?

- Nie problem. Najpierw ja sam z kierownikiem banku. U mnie takie prawo. Może ja mu powiem, skopiuj mi to gównu. Chcę kopie, zanim podpiszę. On mój przyjaciel. A jak kopii nie da, to co? U mnie dobra pamięć.

- Kiedy tylko Paul wyprowadzi pana z hotelu Bellevue Palace, da panu dyktafon, na który nagra pan wszystko, co pan widział i słyszał.

- Po drodze żadnych granic.

- Do przyjazdu do Anglii nie będzie pan przekraczał żadnych granic. To też panu obiecuję. Perry, słyszałeś, co powiedziałem.

Perry słyszał, ale mimo to przez chwilę pozostaje w zamyśleniu i długimi palcami miętosi czoło, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma.

- John mówi prawdę, Dima - przyznaje wreszcie. - Mnie też to obiecał. Ja mu wierzę.

## 14.

Luke odebrał Gail i Perry'ego z lotniska Zurych-Kloten następnego dnia - we wtorek - o czwartej po południu. Oboje spędzili ciężką noc w Primrose Hill. Nie mogli zasnąć, zamartwiając się równocześnie o różne sprawy: Gail głównie o Nataszę - dlaczego nagle zamilkła? - ale i o dziewczynki. Perry o Dimę i o to, że od tej pory Hector ma kierować operacją z Londynu, pozostawiając dowództwo w terenie w rękach Luke'a, którego ma wspomagać Ollie, no i w razie czego on, Perry.

Z lotniska Luke zawiózł ich do starego, wiejskiego *Gasthofu* parę kilometrów na zachód od centrum Berna. *Gasthof* był czarujący. Znajdował się w niegdyś sielskiej dolinie, która obecnie pokryła się depresyjną zabudową pełną bezpłciowych apartamentowców, ne-nów i betonowych podpór, i był tam nawet jeden sklep z porno. Luke dał im czas na rozpakowanie, po czym zasiadł z nimi przy piwie w zacisznym kącie *Gaststube*. Wkrótce dołączył do nich Ollie, już nie w berecie, lecz w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, zawadziacko przekrzywionym na jedno oko - ale poza tym wciąż ten sam.

\*

Luke szybko zaraportował najnowsze wiadomości. Jego zachowanie wobec Gail było pełne napięcia i dystansu, całkowite przeciwieństwo flirtu. Poinformował zebranych, że preferowany scenariusz Hectora

jest nieaktualny. Po krótkim sondażu w Londynie - nie wspomniał o Matlocku przy Perrym i Gail - nie widział szans otrzymania pozwolenia na przewiezienie samolotem Dimy wraz z rodziną do Anglii natychmiast po jutrzejszym podpisaniu, a w takim razie trzeba uruchomić plan zapasowy, czyli przechowanie ich w lokalu konspiracyjnym na terenie Szwajcarii aż do otrzymania zielonego światła. Hector i Luke długo i intensywnie myśleli, gdzie to zrobić i doszli do wniosku, że rodzina tak rzuca się w oczy, że miejsce odludne wcale nie gwarantuje bezpieczeństwa.

- Ollie, zakładam, że ty jesteś tego samego zdania?

- Całkowicie i do końca, Luke - odpowiedział Ollie swym nie do końca poprawnym, nieco z cudzoziemską brzmącym akcentem cockneyowskim.

W Szwajcarii mamy w tym roku piękny początek lata, mówił dalej Luke. Dlatego najlepiej będzie - zgodnie z maoistowską zasadą - ukryć się wśród wielu innych tak samo rzucających się w oczy osób, niż próbować zgubić się w jakiejś wiosce, gdzie i tak będziemy pasować jak pięść do nosa, bo tam każda obca twarz staje się przedmiotem dociekań - tym bardziej, gdy ta obca twarz należy do łysego, władczego Rosjanina, któremu towarzyszą dwie dziewczynki, dwaj rozbuchani nastolatki, zachwycająco piękna nastoletnia córka i nieco nieobecna duchem żona.

Odległość też bynajmniej nie zwiększała bezpieczeństwa w sytuacji, gdy szło się na bosaka, wręcz przeciwnie - a małe lotnisko Berne-Belp to właśnie idealne miejsce na dyskretny odlot prywatnym samolocikiem.

\*

Gdy Luke skończył, głos zabrał Ollie, który, podobnie jak Luke, był teraz w swoim żywiole. Przemawiał ostrożnie i treściwie. Powiedział,

że rozważywszy kilka możliwości, zdecydował się na wybudowany na wynajem nowoczesny szalet na peryferyjnych zboczach popularnej miejscowości wypoczynkowej Wengen w dolinie Lauterbrunnen, sześćdziesiąt minut samochodem plus piętnaście minut pociągiem z miejsca, w którym obecnie się znajdują.

- A szczerze mówiąc, jeżeli ktokolwiek więcej niż raz spojrzy na ten szalet, to zaraz będzie miał ze mną do czynienia - dodał buńczucznie, pociągając za rondo czarnego kapelusza.

Świetnie przygotowany Luke wręczył im wtedy po małej zwykłej karteczce z nazwą i adresem szaletu wraz z jego numerem telefonu stacjonarnego, przez który można wykonywać najważniejsze i niewinne rozmowy na wypadek problemu z komórkami, choć Ollie zapewniał, że w samej wiosce zasięg jest bez zarzutu.

- To jak długo Dimowie mają tam tkwić? - zapytał Perry w roli rzecznika praw więźnia.

Tak naprawdę nie oczekiwał sensownej odpowiedzi, a tymczasem Luke udzielił mu zadziwiająco obfitych informacji, na pewno bardziej wyczerpujących niż Hector w podobnych okolicznościach. Trzeba załatwić całą serię formalności w Whitehall, wyjaśnił Luke: Imigracja, Sprawiedliwość, Sprawy Wewnętrzne to tylko trzy z nich. Hector zajmuje się obecnie przesunięciem tyłu, ile się da, na moment, kiedy Dima i jego rodzina będą już bezpieczni w Anglii:

- Ja to oceniam z grubsza na jakieś trzy, cztery dni.

Mniej, jak się uda, więcej, jak nie. Bo potem logistyka zaczyna nam się przytykać.

- Przytykać? - zawołała z niedowierzaniem Gail. - Jak rura?

Luke zarumienił się, potem zaśmiał się wraz z innymi i wreszcie wy tłumaczył. Powiedział, że operacje tego typu- choć nigdy nie ma

dwóch takich samych - muszą i tak podlegać ciągłym zmianom. Od chwili, gdy Dima wypadnie z obiegu - czyli, z boską pomocą, od jutrzejszego południa - ktoś na pewno zacznie go szukać, na pewno zrobi się jakieś zamieszanie. Nie wiadomo tylko, jakiego rodzaju.

- Chodzi mi tylko o to, Gail, że zegar tyka od jutra w południe, a my musimy szybko przystosowywać się do aktualnych potrzeb. Umiemy to robić. To nasz zawód. Za to nam płacą.

Luke poprosił całą trójkę, by poszli wcześniej spać i by telefonowali do niego z każdą, nawet najbliższą sprawą, i powrócił do Berna.

- A jeżeli łączycie się przez centralę hotelu, pamiętajcie tylko, że nazywam się teraz Jack Brabazon - przypomniał im z napiętym uśmiechem.

\*

Sam w pokoju na pierwszym piętrze wspaniałego berneńskiego hotelu Bellevue Palace, z płynącą pod oknem Aare i dalekimi, czarnymi zarysami szczytów Oberlandu Berneńskiego na tle pomarańczowego nieba, Luke spróbował połączyć się z Hectorem, ale na zaszyfrowanej linii usłyszał tylko jego nagrany głos, polecający mu „nagrać się, do cholery, chyba że coś się pali” - w tym przypadku Luke wiedział akurat tyle co Hector - „więc zabierz się roboty i nie jęcz”, na co Luke roześmiał się na głos, i co potwierdziło jego przypuszczenia, że Hector zmagął się na śmierć i życie w biurokratycznej walce, która nie ma żadnych względów dla zwykłych godzin urzędowania.

Miał jeszcze drugi numer awaryjny, ale ponieważ nie było na razie żadnej awarii, pozostawił pod nim kojącą wiadomość, że póki co nic się nie pali, Milton i Doolittle są na posterunku i w dobrych nastrojach, George sprawuje się świetnie, ucałowania dla Yvonne.

Potem wziął długi prysznic i założył najlepszy garnitur, by udać się na dół i rozpocząć rekonesans. Poczucie wyzwolenia jeszcze się nasiliło - o ile to w ogóle możliwe - w porównaniu z tym, co odczuwał w Club des Rois. Luke idzie na bosaka, unosi się w chmurach - nie będzie żadnych spanikowanych instrukcji z czwartego piętra i z ostatniej chwili ani przeszkadzających sobie nawzajem obserwatorów, gości od podstuchu, helikopterów nad głową i tych wszystkich wątpliwej wartości atrybutów współczesnych tajnych operacji; ani kokainowego watażki, który przykuje go łańcuchem do drewnianej klatki w dżungli. Tylko Luke na bosaka i jego garstka wiernych żołnierzy - w jednym z tych żołnierzy był ustawicznie i jak zwykle zakochany - a w Londynie dzielnie walczący w słusznej sprawie Hector, który zawsze będzie stał za nim murem:

- Jak masz wątpliwości, to ich nie miej. To rozkaz. Nie cackaj się, tylko rób swoje - motywował go wczoraj wieczorem Hector przy pośpiesznym pożegnaniu przy whisky na lotnisku Charles de Gaulle. - Mnie czeka prawdziwe czyszczenie latryny. Kurwa, sam będę latryną. Za to zadanie nie przyznają drugiej nagrody. No, to na zdrowie i niech nam Bóg pomaga.

Coś wtedy drgnęło w Luke'u: mistyczne poczucie więzi, wspólnoty z Hectorem, znacznie głębszej niż tylko zawodowej.

- Co słyhać u Adriana? - zapytał, przypomniawszy sobie bezcelne odezwanie Matlocka i usiłując je jakoś wynagrodzić.

- O, lepiej, dziękuję. Znacznie lepiej - powiedział Hector. - Psychiatrizy twierdzą, że wreszcie całkiem nieźle skojarzyli mu leki. Jest szansa, że wyjdzie za sześć miesięcy, jak się będzie dobrze sprawował. A co u Bena?

- Wszystko wspaniale. Wspaniale. U Eloise też - odpowiedział Luke, już żałując swego pytania.

W recepcji hotelu nieprawdopodobnie szykowny recepcjonista poinformował Luke'a, że Herr Direktor jest teraz w barze, gdzie jak zwykle zagaduje gości. Luke poszedł wprost do niego. Kiedy trzeba, był w tym dobry. Może nie jak najlepszy włamywacz Ollie, raczej taki bezpośredni, prosto w twarz, typowy bezczelny Angol.

- Proszę pana? Nazywam się Brabazon. Jack Brabazon. Jestem tu pierwszy raz. Pozwoli pan, że coś panu powiem...

Herr Direktor pozwolił, a spodziewając się czegoś niedobrego, przygotował się na najgorsze.

- To jest po prostu jeden z najwykwintniejszych, autentycznych hoteli art nouveau, bo pan pewnie nie użyłby terminu „edwardiański”, jaki było mi dane poznać w czasie moich podróży.

- Czy jest pan hotelarzem?

- Niestety nie. Jeszcze jeden nędzny pismak. Z gazety „Times”, z Londynu. Dział turystyczny. Niestety jestem tu całkowicie *incognito*, prywatna sprawa...

Natychmiast rozpoczęło się zwiedzanie:

- A więc tutaj mamy naszą salę balową, którą nazywamy Salon Royal - zaintonował Herr Direktor swój często używany monolog. - Tu jest mała sala bankietowa, którą nazywamy naszym Salon du Palais, a tu Salon d'Honneur, gdzie odbywają się przyjęcia koktajlowe. Nasz szef kuchni szczyci się swoimi przekąskami. A oto nasza restauracja La Terrasse, absolutnie obowiązkowe miejsce spotkań całej berneńskiej elity, ale również naszych zagranicznych gości. Jadało tu już wiele wybitnych osób, między innymi gwiazdy filmowe, możemy potem dać panu całkiem ładną listę, no i menu też.

- A kuchnia? - zapytał Luke, jakby niczego nie chciał zostawić przypadkowi. - Czy mógłbym zaglądnąć, tylko na minutkę, jeżeli szef kuchni pozwoli?

A kiedy Herr Direktor pokazał mu już wszystko, co było do pokazania - dość dokładnie - i kiedy Luke pozachwycał się odpowiednio i narobił mnóstwo notatek, i jeszcze tylko parę zdjęć komórką, ale to

już dla siebie, jeżeli Herr Direktor nie ma nic przeciwko temu, bo rzecz jasna gazeta zaraz przyśle fotoreportera z prawdziwego zdarzenia, jeśli można - ależ oczywiście - powrócił do baru i szarpnąwszy się na nieprawdopodobnie wysmienitą kanapkę klubową i kielišek Dole, dodał jeszcze parę szczegółów z dziennikarskiego obowiązku - takie banalne detale jak toalety, wyjścia awaryjne, parkingi oraz projektowane i już budowane sale gimnastyczne na dachu, po czym wrócił do siebie i zatelefonował do Perry'ego, by sprawdzić, czy u nich wszystko w porządku. Gail spała, Perry miał nadzieję, że wkrótce sam zaśnie. Skończywszy rozmowę, Luke pomyślał, że nigdy nie był tak blisko Gail w łóżku jak teraz, i pewnie nigdy bliżej nie będzie. Zadzwoił do Olliego.

- Wszystko cudownie, dziękuję, Paul. Transport załatwiony i zaklepany, jeżeli o to się martwisz. A swoją drogą wymyśliłeś może, co to było z tymi arabskimi gliniarzami?

- Nie mam pojęcia.

- No, ja też nie. Ogólnie mam zasadę nigdy nie ufać gliniarzom.

Ale poza tym wszystko świetnie?

- Przynajmniej do jutra.

A na koniec Luke zatelefonował do Eloise.

- Dobrze się bawisz, Luke?

- Tak, naprawdę, dziękuję. Berno to rzeczywiście piękne miasto. Musimy tu kiedyś razem przyjechać. Wziąć Bena.

Tak zawsze rozmawiamy: wszystko dla Bena. Żeby mógł w pełni wykorzystać posiadanie dwojga szczęśliwych, heteroseksualnych rodziców.

- Chcesz z nim rozmawiać? - zapytała.

- Jeszcze nie śpi? Tylko mi nie mów, że ciągle siedzi nad zadaniem z hiszpańskiego?

- U ciebie jest godzina różnicy, Luke.

- No tak, oczywiście. No pewnie, bardzo proszę. Jeśli można. Cześć, Ben.



- Cześć.
- Jestem w Bernie. Tak mnie pokarało. To w Szwajcarii. Stolica. Jest tu jedno naprawdę fantastyczne muzeum, Muzeum Einsteina, jedno z najlepszych muzeów, jakie w życiu widziałem.
- Byłeś w muzeum?
- Tylko na pół godziny. Wczoraj wieczór, po przylocie. Akurat mieli dłużej otwarte. A to zaraz za mostem naprzeciw hotelu, więc się wybrałem.
- Czemu?
- Miałem ochotę. Recepcjonista zachwalał, więc poszedłem.
- Tak po prostu?
- Tak. Tak po prostu.
- A co jeszcze ci zachwalał?
- Jak to?
- Byłeś na fondue serowym?
- To nie jest takie fajne, jak się je samemu. Wolałbym pójść z tobą i z mamą. Z wami obojgiem.
- No, pewnie.
- A jak dobrze pójdzie, to wrócę na weekend. Pójdziemy do kina albo coś takiego.
- Prawdę mówiąc, muszę pisać to wypracowanie z hiszpańskiego, więc jeśli ci to nie przeszkadza...
- No, pewnie, że mi nie przeszkadza. Powodzenia z wypracowaniem. O czym ma być?
- Właściwie to nie wiem. Jakieś hiszpańskie dziadostwo. To cześć.

- Cześć.

*A co jeszcze zachwalał ci recepcjonista? Czy dobrze usłyszałem? To zabrzmiało zupełnie jak: czy recepcjonista przysłał ci dziwkę? Co ta Eloise mu nagadała? I po co, na miłość boską, powiedziałem mu, że byłem w Muzeum Einsteina - tylko dlatego, że zobaczyłem broszurkę w recepcji?*

\*

Poszedł do łóżka, włączył BBC World News i zaraz je wyłączył. Półprawdy. Ćwierćprawdy. Świat nie ma śmiałości powiedzieć sobie tego, co naprawdę o sobie wie. Zauważył już jakiś czas temu, że po Bogocie nie zawsze potrafi radzić sobie z samotnością. Może za długo starał się utrzymać zbyt wiele różnych części siebie, które teraz i tak się posypały. Podszedł do barku, nalał sobie whisky z wodą sodową, postawił szklankę przy łóżku. Tęsknił za Gail, za Yvonne też. Czy Yvonne zarywa godziny snu nad próbkami materiału od Dimy, czy spoczywa w ramionach swego doskonałego męża? Jeżeli ten mąż w ogóle istnieje, w co czasem wątpił. Może wymyśliła go, żeby on, Luke, dał jej spokój. Myślami wrócił do Gail. Czy Perry też jest doskonały? Pewnie jest. Wszystkie kobiety mają doskonałych mężów - poza Eloise. Pomyślał o Hectorze, ojcu Adriana. Hector odwiedza swojego syna w więzieniu co środa i sobota; jak dobrze pójdzie, zostało sześć miesięcy. Hector, tajny Savonarola, jak kiedyś nazwał go ktoś inteligentny. Hector, fanatyk reformy swojej ukochanej Firmy, zdający sobie sprawę, że przegra nawet wtedy, gdy wygra.

Słyszał przecież, że Komisja Upoważnień ma teraz swój własny gabinet wojenny. To nawet miało jakiś sens: jakieś ultra-ultratajne miejsce, zawieszane na sprężynach albo schowane kilkadziesiąt metrów pod ziemią. W końcu bywał już w takich: w Miami i w Waszyngtonie, gdy wymieniał informacje wywiadowcze ze swymi *chers collègues* z CIA i Drug Enforcement Administration albo Alcohol, Firearms & Tobacco Agency i Bóg wie z jakimi jeszcze agencjami. Jego skromnym zdaniem takie miejsca gwarantowały jedno: zbiorowy obłąd. Widywał przecież nieraz po zmianach w mowie ciała, jak w takiej wirtualnej rzeczywistości ludzie z najwyższymi dopuszczzeniami wyzbywają się resztek własnej tożsamości i zdrowego rozsądku.

Pomyślał o Matlocku, który zwykle spędzał wakacje na Maderze i nie wiedział, co to czarny hotel. O Matlocku, który, zapędzony w kozi róg przez Hectora, wyciąga z kieszeni imię Adriana i strzela nim z najbliższej odległości. I który siedzi w swym wielkim oknie z widokiem na Tamizę, królową angielskich rzek, i nudnym głosem cedzi swoje słoniowate subtelnosci: najpierw kij, potem marchewka, potem jedno i drugie.

No, ale Luke ani nie ugryzł marchewki, ani nie schylił się przed kijem. Nie żeby był bardzo zręczny, jak sam chętnie przyznawał - jedna z corocznych ocen w Firmie określiła go „niewystarczająco skłonny do manipulowania innymi”, co sprawiło mu sporą, choć skrywaną przyjemność. Nie uważał się za manipulatora. Raczej za uparciucha. Nie poddać się. Trzymać się tej jednej sylaby, żeby nie wiem co: nie - wszystko jedno, czy siedzi przykuty łańcuchem do klatki, czy w wygodnym gabinecie Matlocka w *la Lubianka-sur-Tamise*, pijąc jego whisky i wymijająco odpowiadając na jego pytania. Słuchając ich, można naprawdę wsłuchać się we własne myśli:

- Trzyletni, może pięcioletni kontrakt w centrum szkolenia, Luke, do tego spory dodatek mieszkaniowy, to dla twojej żony, na pewno ułatwi pewne sprawy po tych waszych przejściach, których nie muszę tu wspominać, dodatek przesiedleniowy, morskie powietrze, dobre szkoły w okolicy... Jak nie chcesz, wcale nie musiałbyś sprzedawać waszego domu w Londynie, bo na razie ceny tak poszły w dół... Ja ci radzę, wynajmij go komuś, zawsze przyda się parę funtów więcej. Pogadaj w Księgowości na parterze, powiedz, że to ja cię przysłałem... Oczywiście nie robimy takich interesów na nieruchomościach jak Hector, bo z nim mało kto może się równać. - Teraz pauza, by dać wyraz płynącym z dobrego serca obawom. - Mam nadzieję, Luke, że Hector nie wciąga cię w coś, co jest ponad twoje siły, bo przy tym twoim dość luźnym podejściu do kwestii

wierności, pozwól sobie powiedzieć... A przy okazji, podobno Ollie Devereux dał mu się omotać. Nie mogę powiedzieć, żeby to było rozsądne z jego strony. Według ciebie to Ollie jest u niego na pełny etat, czy tylko tak, od przypadku do przypadku?

A potem, godzinę później, powtórka z rozrywki na użytek Hectora.

- Czy Billy jest teraz z nami, czy przeciwko nam? - zapytał Luke Hectora podczas tego samego strzeмиennego na lotnisku Charles de Gaulle, gdy z ulgą przeszli już na mniej osobiste tematy.

- Matlock pójdzie tam, gdzie uważa, że znajdzie swój tytuł szlachecki. Jeżeli ma wybierać między dobrem a złem, zawsze wybierze to, co dobre dla Matlocka. Z drugiej strony człowiek, który tak nienawidzi Aubreya Longrigga jak on, nie może być do końca zły - dodał Hector po namyśle.

W innych okolicznościach Luke może kwestionowałby ten optymistyczny wniosek, ale nie teraz - w przeddzień decydującego boju Hectora z siłami ciemności.

\*

Jakoś nadszedł środowy poranek. Gail i Perry jednak jakoś zasnęli na chwilę i obudzili się rześcy i gotowi na śniadanie z Olliem, którzy potem odszedł na poszukiwanie królewskiej karocy - jak to określił - podczas gdy oni zrobili listę i poszli kupować rzeczy dla dzieci w miejscowym supermarkecie. Nic dziwnego, że przypomniała im się podobna wyprawa, ta do Saint John's, w popołudnie tego samego dnia, kiedy potem Ambrose wysłał ich zarośniętą leśną ścieżką do Trzech Kominów, ale tym razem ich wybór był bardziej prozaiczny: woda, gazowana i niegazowana, napoje gazowane - no dobra, niech będzie, kup im coca-colę (Perry) - piknikowe jedzenie - dzieci zwykle wolą słone niż słodkie, choć same tego nie wiedzą (Gail) - małe

plecaczki dla każdego, choć to oczywiście nie do końca sprawiedliwe; parę gumowych piłeczek i kij do baseballa jako akcesoria zastępcze do krykieta, zresztą, jak przyjdzie co do czego, nauczymy ich palanta - albo, co bardziej prawdopodobne, ponieważ chłopcy grają w baseball, oni będą uczyć nas.

Królewska karoca Olliego okazała się starą, zieloną, sześciometrowej długości furgonetką do przewozu koni, o drewnianych ścianach i z płóciennym dachem, z przedzielonymi przepierzeniem miejscami na dwa konie oraz z poduszkami i kocami przeznaczonymi dla istot ludzkich. Gail usiadła ostrożnie na jednej z poduszek; Perry, zadowolony z nowej przygody, sprężyście wskoczył za nią. Ollie podniósł pochylnię i zamknął ją na zasuwę. Okazało się, po co był jego czarny kapelusz z szerokim rondem: teraz Ollie był wesołym Romem i jechał na koński targ.

Według zegarka Perry'ego jechali przez piętnaście minut i zatrzymali się nagle na miękkim gruncie. Nie gzić mi się tutaj, nie wychylać, ostrzegł ich Ollie. Wiał gorący wiatr, płócienny dach nad ich głowami wydymał się jak spinaker. Według rachuby Olliego znajdowali się dziesięć minut od celu.

\*

Luke Samotnik - tak na cześć brawurowego bohatera jakiejś dawno zapomnianej powieści przygodowej nazywali go nauczyciele w podstawówce. Miał wrażenie, że to trochę niesprawiedliwe, że w wieku ośmiu lat przepełniało go to samo poczucie samotności, które prześladowało go po czterdziestce.

Ale już wtedy został Lukiem Samotnikiem i teraz też nim był, siedząc w okularach w rogowej oprawie i jaskrawoczerwonym krawacie w rosyjskim stylu nad srebrnym laptopem pod wspianiałe

oświetlonym szklanym dachem wielkiego holu hotelu Bellevue Palace, z widocznym z daleka granatowym płaszczem przerzuconym przez poręcz skórzanego fotela w połowie drogi między szklanymi drzwiami wejściowymi a wspartym na kolumnach Salon d'Honneur, gdzie właśnie odbywa się południowe *aperó*, wydane przez Arena Multi Global Trading, wystarczy popatrzeć na elegancką strzałkę z brązu, wskazującą gościom drogę. To właśnie Luke Samotnik pilnuje, kto wchodzi, korzystając z licznych, eleganckich, lustrzanych drzwi, i to on czyha, by dokonać samodzielnego, tajnego wycofania cennego rosyjskiego defektora.

Przez ostatnie dziesięć minut przyglądał się ze swego rodzaju biernym podziwem, jak najpierw Emilio dell Oro i dwaj szwajcarscy bankierzy, już na zawsze ochrzczeni Piotruś i Wilk, pojawiają się z doskonale wypracowaną dyskrecją. Za nimi kroczy grupka szarych garniturów, potem dwaj młodzi Saudyjczycy, a potem Chinka i smagły, barczysty mężczyzna, którego Luke uznaje arbitralnie za Greka.

Potem kolejna, ciasno zbита i znudzona grupka, chłopaki w armach, Siedmiu Czystych Przedstawicieli, eskortowani przez Bunny'ego Pophama z goździkiem w butonierce i przez roztaczającego swój leniwy wdzięk Gilesa de Salis z laską ze srebrną rączką, dopasowaną do jego wręcz obraźliwie doskonałego garnituru.

Aubreyu Longrigg, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebujemy? - chciałby zapytać Luke. Nie chce się pokazywać? Mądry gość. Zasklepane po wiek wieków miejsce w Parlamencie i darmowy bilet na French Open to jedna sprawa, podobnie jak wielomilionowa prowizja wypłacona w raju podatkowym i jeszcze parę diamentów dla żony idiotki, już nie wspominając o członkostwie w radzie nowego, porządnego banku w City, w którym można się bawić miliardami wypranych dolarów. Ale co innego pojawić się w pełnym stroju i na

pierwszej linii przy podpisywaniu ważnych papierów w banku szwajcarskim, w świetle reflektorów - to trochę za dużo jak na twój gust. I tak albo podobnie myślał sobie Luke, gdy wiotka, łysa, niecierpliwa postać Aubreya Longrigga, członka Parlamentu, pojawiła się na schodach - on we własnej osobie, już nie tylko postać z filmu - z Dimą, specjalistą numer jeden od prania brudnych pieniędzy, u boku.

Gdy Luke jeszcze nieco głębiej zapadł w skórzany fotel i podniósł jeszcze trochę wyżej srebrną pokrywę laptopa, wiedział już, że jeżeli w jego życiu była kiedykolwiek chwila, w której mógłby zawołać „Eureka!”, to było to właśnie tu i teraz, i że coś takiego więcej już się nie powtórzy. A równocześnie jeszcze raz dziękował bogom, że o ile pamiętał, w ciągu długich lat służby ani razu nie widział na oczy Aubreya Longrigga, ani - najprawdopodobniej - Longrigg nigdy nie widział jego.

Mimo to dopiero gdy obaj mężczyźni znaleźli się za nim w bezpiecznej odległości, idąc do Salon d'Honneur - Dima omal się o niego nie otarł - Luke ośmielił się unieść głowę, szybko zaglądając w lustro i zebrać następujące cenne dane, istne bryły złota, do wywiadu operacyjnego:

*Bryła pierwsza:* Dima i Longrigg nie rozmawiali ze sobą, prawdopodobnie od chwili, gdy tu przybyli. Po prostu tak się złożyło, że znaleźli się niedaleko siebie, gdy wchodzili na schody. Za nimi szli dwaj inni mężczyźni - solidni, w typie szwajcarskich księgowych, w średnim wieku - i zdaniem Luke'a było znacznie bardziej prawdopodobne, że Longrigg rozmawiał z jednym z nich lub z oboma, a nie z Dimą. I choć była to ryzykowna teza - w końcu mogli przedtem zamienić parę słów - Luke poczuł ostrożną ulgę, bo nigdy nie jest przyjemnie dowiedzieć się tuż przed rozpoczęciem operacji, że prowadzony agent ma osobiste kontakty z głównym przeciwnikiem, o których dotąd się nie wiedziało. Poza tym na temat Longrigga nie miał żadnych innych spostrzeżeń poza jednym, triumfalnym

i oślepiająco oczywistym: „Jest tu! Widziałem go! Jestem świadkiem!”.

*Bryła druga:* że Dima postanowił odejść z hukiem. Na tę wielką okazję ma na sobie szyty na miarę dwurzędowy garnitur w niebieskie prążki, a jego delikatne stopy obute są w czarne, włoskie mokasyny z cielejącej skóry z kutasikami. Nie jest to może idealny strój na ucieczkę - kołacze się w pracującym na wysokich obrotach umyśle Luke'a - ale nie będzie żadnej ucieczki, tylko planowy odwrót na z góry upatrzone pozycje. Styl bycia Dimy, jak na kogoś, kto uważa, że właśnie podpisał na siebie wyrok śmierci, wydaje się Luke'owi nieprawdopodobnie beztroski. Może cieszył się już przedsmakiem zemsty, przedsmakiem odzyskanej już wkrótce *worskiej* godności i wyrównaniem rachunków za zamordowanego ucznia. Być może też, mimo licznych obaw, cieszył się już, że kłamstwa, uniki i udawanie właśnie się kończyły, i już myślał o czekającej na niego samego i jego rodzinę zielonej, rozkosznej Anglii. Luke doskonale znał to uczucie.

*Apéro* trwa w najlepsze. Z Salon d'Honneur dobiega niski, barytonowy szmer, narasta, cichnie. To wygłasza mowę jeden z szacownych gości Salonu; szmer jest najpierw rosyjski, potem angielski. Piotruś? Wilk? De Salis? Nie. To wielmożny pan Emilio dell Oro; Luke poznaje jego głos z klubu tenisowego. Oklaski. Cisza jak w kościele, bo spełniany jest honorowy toast. Ku czci Dimy? Nie, wielmożnego pana Bunny'ego Pophama, który teraz właśnie odpowiada; Luke zna i ten głos; zresztą tożsamość mówcy potwierdza wybuch śmiechu zebranych. Spogląda na zegarek, wyciąga komórkę, łączy się z Oliem:

- Dwadzieścia minut, jeżeli się nie spóźni - mówi i jeszcze raz powraca do swego srebrnego laptopa.

Och, Hectorze. Och, Billy. Czekaj, aż ci opowiem, na kogo się dzisiaj natknąłem.



\*

„Obrazisz się, jak ci na odchodnym palnę szybkie kazanko, Luke?” - pyta Hector, sącząc whisky na lotnisku Charles de Gaulle.

Luke się nie obrazi. Tematy Adriana, Eloise i Bena mają już za sobą. Hector wygłosił już swój sąd o Billym Matlocku. Pasażerowie odlatujący tym co on samolotem proszeni są już o przejście do bramki.

„W planowaniu operacyjnym są tylko dwie okazje, by wykazać się elastycznością - rozumiesz mnie, Luke?”

Rozumiem cię, Hector.

„Po pierwsze przy tworzeniu własnego planu. To mamy już za sobą. Po drugie kiedy plan diabli wezmą. Dopóki go nie wezmą, masz trzymać się kurczowo tego, co postanowiliśmy, bo jak nie, to masz przesrane. A teraz szufla”.

\*

Więc pytanie, które pojawia się teraz w umyśle Luke'a wpatzonego w jakieś głupstwa na ekranie srebrnego laptopa i czekającego w każdej sekundzie na samotne pojawienie się Dimy w drzwiach Salon d'Honneur, jest takie: czy wspomnienie o wygłoszonej na odchodnym homilii Hectora pojawiło się zanim zobaczył, że dzidzius Niki i kościsty filozof zajmują dwa krzesła z wysokimi oparciami po obu stronach szklanych drzwi hotelu? Czy też było to efektem wstrząsu na ich widok?

A w ogóle to kto użył określenia „kościsty filozof”? Perry czy Hector? Nie, to Gail. Wiadomo, że Gail. Gail ma wszystkie najlepsze kwestie.

I dlaczego dokładnie w tej samej chwili, kiedy ich zobaczył, szmer w Salon d'Honneur urósł do gwaru, wielkie drzwi otwały

się - tak naprawdę tylko jedna ich połowa - i wydały z siebie samego Dimę?

Zamęt w głowie Luke'a dotyczył nie tylko czasu, lecz i miejsca. Bo gdy Dima zbliżał się do niego z tyłu, z przodu Niki i kościsty filozof zrywali się na równe nogi. A Luke tkwił między nimi i nie wiedział, gdzie oczy podziać.

Wściekły warkot rosyjskich przekleństw znad jego prawego ramienia powiadomił go, że Dima zatrzymał się tuż przy nim:

- A wy tu czego, kurwa, gnojki zatracone? Chcesz wiedzieć, co robię, Niki? Idę się odlać. Chcesz się gapić, jak sikam? Spierdalaj. Wracaj do tego twojego suchego Księcia.

W recepcji podniosła się dyskretnie głowa *concierge'a*. Nieprawdopodobnie szykowny niemiecki recepcjonista już nie bawił się w dyskrecję, po prostu obrócił się, by zobaczyć, co się dzieje. Siląc się na całkowitą obojętność, Luke wciąż stukał machinalnie w srebrny laptop. Niki i kościsty filozof wciąż stali. Ani jeden, ani drugi się nie poruszył. Może spodziewali się, że Dima chce od razu popędzić ku szklanym drzwiom i dalej, na ulicę. Ale on mruknął tylko: „Jebać wasze macie!”. I pomaszerował dalej przez hol w stronę krótkiego korytarza prowadzącego do baru. Minął windę i stanął u szczytu kamiennych schodów, prowadzących do toalet w suterenie. Ale teraz już nie był sam. Tuż za nim stali Niki i filozof, a jakieś półtora metra za nimi łagodny, niezauważony, mały Luke, z nakrytym granatowym płaszczem laptopem pod pachą, bo nagle on też musiał pójść do ubikacji.

Serce nie bije mu już tak mocno, stopy i kolana są wypoczęte i sprężyste. Słyszy i widzi wszystko bardzo wyraźnie. Przypomina sobie, że on zna teren, a ochroniarze nie, i że Dima też zna, co jest dla ochroniarzy dodatkową przesłanką, by trzymać się za plecami Dimy, a nie przed nim.

Luke jest tak samo zaskoczony ich nieprzewidzianym w scenariuszu pojawieniem się, jak zaskoczony jest - całkiem szczerze - Dima.

Luke kompletnie nie może zrozumieć - podobnie jak Dima - że mogą tak prześladować człowieka, który już im nie jest potrzebny, i który wie doskonale - równie doskonale, jak oni - że wkrótce nie będzie żył. Tylko jeszcze nie tu i nie teraz. Tylko nie za dnia, na oczach całego hotelu, Siedmiu Czystych Przedstawicieli, wybitnego brytyjskiego parlamentarzysty i innych dygnitarzy, którzy opijają się szampanem i obżerają kanapkami dwadzieścia metrów dalej. Poza tym powszechnie wiadomo, że Książę jest wybredny w zabijaniu. Woli wypadki albo przypadkowe akty terroru dokonane przez bandy czeczeńskich maruderów.

Ale to dyskusja na kiedy indziej. Skoro, by użyć zwrotu Hectora, „plan właśnie diabli wzięli”, nadszedł czas, by Luke wykazał się elastycznością, czas, by „nie cackać się, tylko robić swoje” - przecież to znowu cytaty z Hectora - czas przypomnieć sobie to wszystko, co wtlaczano mu w głowę przez tyle lat na kolejnych szkoleniach walki wręcz i czego nigdy nie miał okazji wykorzystać poza tym jednym, jedynym razem w Bogocie, kiedy rezultat był dość mizerny: kilka bezładnych ciosów, a potem ciemność.

Tylko że wtedy element zaskoczenia był po stronie zbirów barona narkotykowego - tym razem był po stronie Luke'a. Nie miał w tej chwili pod ręką ani nożyczek do papieru, ani kieszeni pełnej bilonu, ani związanych w węzeł sznurówek, ani nic innego z tego dość bezsensownego arsenału do zabijania domowym sposobem, o którym z takim entuzjazmem opowiadali instruktorzy. Ale miał za to najnowszą generację laptop ze srebrną pokrywą i - należy za to podziękować przede wszystkim Aubreyowi Longriggowi - swój własny, straszny gniew. Gniew pojawił się jak przyjaciel w potrzebie i był w tej chwili nawet lepszym sprzymierzeńcem niż odwaga.

\*

Dima wyciąga rękę, by pchnąć drzwi na półpiętrze kamiennych schodów.

Niki i kościsty filozof stoją tuż za nim, Luke jest za nimi, ale nie tak blisko nich jak oni Dimy.

Luke jest nieśmiały. Schodzenie do ubikacji to w sumie prywatna sprawa, a Luke ceni sobie swoją prywatność. Mimo to doświadcza teraz wyjątkowej w całym swoim życiu chwili duchowej jasności. Wreszcie inicjatywa należy do niego i do nikogo więcej. Wreszcie to on jest sprawiedliwym agresorem.

Drzwi, przed którymi stoją, są czasem zamykane ze względów bezpieczeństwa, co Dima słusznie stwierdził w Paryżu. Ale dziś nie. Dziś na pewno się otworzą. A to dlatego, że klucz spoczywa w kieszeni Luke'a.

Dlatego też drzwi otwierają się, ukazując dość nędznie oświetloną klatkę schodową. Dima wciąż idzie pierwszy, ale sytuacja zmienia się gwałtownie, gdy naprawdę potężny cios laptopem Luke'a posyła kościstego filozofa, który nie wydał z siebie nawet słowa skargi, daleko przed Dimę w dół schodów, równocześnie potracając Nikiego i dając okazję Dimie, by chwycił swego znenawidzonego blond ochroniarza zdrając za gardło dokładnie w taki sposób, w jaki według Perry'ego Dima zamierzał kiedyś zamordować męża świętej pamięci matki Nataszy.

Trzymając Nikiego jedną dłonią za gardło, Dima uderza zaskoczoną głową swej ofiary raz o lewą, raz o prawą ścianę, aż niepotrzebne już i sflaczałe ciało osuwa się mu do stóp, co jest dla Dimy znakiem, że można go teraz kopać wielokrotnie i bardzo mocno, najpierw w krocze, potem w skroń, szpicem prawego i całkowicie nieodpowiedniego do tego celu włoskiego mokasyna.

To wszystko dzieje się dla Luke'a dość powoli i naturalnie, choć trochę nie po kolei, za to odnosi skutek oczyszczający i jakoś tajemniczo triumfalny. Bo ujęcie laptopa oburącz, uniesienie go na

całą długość rąk nad głowę i spuszczenie go niczym katowski topór na kark kościstego ochroniarza, ustawionego tak korzystnie kilka stopni niżej, było wynagrodzeniem za wszystkie upokorzenia, doznane przez Luke'a przez ostatnie czterdzieści lat, od dzieciństwa, spędzonego w cieniu tyranizującego wszystkich ojca żołnierza, przez cały katalog angielskich szkół, prywatnych i państwowych, ale zawsze równie znienawidzonych, dziesiątek kobiet, z którymi spał, a potem żałował, po kolumbijski las, który go więził, i dyplomatyczne getto Bogoty, gdzie popełnił najbardziej idiotyczny i najbardziej bezwiedny ze swych grzechów głównych.

Ale tak naprawdę największą siłę dała mu myśl, że oto odplaca Aubreyowi Longriggowi za zdradę zaufania Firmy. Bo choć to może nieracjonalne, Luke, podobnie jak Hector, kochał Firmę. Firma była dla niego matką, ojcem i w sumie trochę Bogiem, nawet jeśli jej wyroki były czasem nieodgadnione.

A jak się dobrze zastanowić, to Dima musiał żywić podobne uczucia względem swego uświęconego, *worskiego* prawa.

\*

Teraz ktoś powinien już wrzeszczeć, ale jakoś nikt nie wrzeszczy. U dołu schodów leżą na sobie dwaj mężczyźni, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z *worskich* zasad homofobii. Dima wciąż kopie Nikiego, który jest pod spodem, zaś kościsty filozof otwiera i zamyka usta jak wyrzucona na brzeg ryba. Luke obraca się na pięcie i ostrożnie wraca na górę, zamyka drzwi na klucz, z powrotem chowa klucz do kieszeni, po czym powraca do sielankowej sceny na dole.

Chwyciwszy Dimę za ramię - który musiał jeszcze raz sobie kopnąć - Luke prowadzi go obok toalet, po jakichś innych schodach

w górę i przez nieużywaną salę, aż dochodzą do obitych żelazem drzwi towarowych z napisem WYJŚCIE AWARYJNE. Te nie wymagają klucza, ale mają za to zieloną metalową skrzyneczkę z szybką z przodu, a pod nią czerwony przycisk alarmowy na takie awarie jak pożar, powódź czy akt terroryzmu.

Przez ostatnie osiemnaście godzin Luke poświęcił wiele uwagi tej zielonej skrzyneczce i jej czerwonemu przyciskowi i nawet zadał sobie trud, by przedyskutować z Olliem jej najbardziej prawdopodobne właściwości. Za namową Olliego uprzednio odkręcił już mo siężne śrubki, przytrzymujące szybkę przy metalowej obudowie, i przeciął groźnie wyglądający kabel w czerwonej izolacji, prowadzący z powrotem w głąb budynku i łączący przycisk alarmowy z centralnym systemem bezpieczeństwa hotelu. Według spekulacji Olliego przecięcie czerwonego kabla będzie miało taki skutek, że wyjście awaryjne otworzy się, nie wywołując przy tym awaryjnego exodusu personelu i gości hotelowych.

Zdjąwszy obluzowaną szybkę lewą ręką, Luke chce pchnąć czerwony przycisk prawą, ale wtedy orientuje się, że jego prawica jest chwilowo nieczynna. Używa więc znów lewicy i wtedy drzwi otwierają się ze szwajcarską precyzją, dokładnie tak, jak spekulował Ollie, a za nimi przyzywa ich już ulica i słoneczny dzień.

Luke pcha Dimę przed sobą i - czy to z grzeczności, czy po to, by wyglądali razem jak dwóch szacownych, berneńskich obywateli w garniturach, którzy jak gdyby nigdy nic wychodzą sobie na ulicę - zatrzymuje się jeszcze, by zamknąć za sobą drzwi i przy okazji, by sprawdzić, w duchu oddając wdzięczność i sprawiedliwość Olliemu, że za plecami nie rozbrzmiewa żadna syrena, wzywająca do ewakuacji hotelu.

Pięćdziesiąt metrów dalej po drugiej stronie ulicy jest podziemny parking samochodowy o nieco dziwnej nazwie Parking Casino. Na

pierwszym poziomie na wprost wyjazdu stoi BMW, wynajęte przez Luke'a właśnie na tę okazję, a w bezwładnej prawej dłoni Luke'a tkwi elektroniczny kluczyk, który otwiera drzwi samochodu, zanim się do niego podejdzie.

- Jezus, Boże, Paul, ja cię kocham, ty słyszysz? - szepcze Dima między jednym a drugim sapnięciem.

Bezwładną, prawą ręką Luke przetrząsa rozgrzaną podszewkę marynarki w poszukiwaniu komórki, wyciąga ją i lewym palcem wskazującym przyciska skrót do numeru Olliego.

- Jak macie jechać, to jedźcie teraz - rozkazuje głosem pełnym majestatycznego spokoju.

\*

Furgonetka cofała się stromym podjazdem. Ollie dawał znać Gail i Perry'emu, że wkraczają do akcji. Po oczekiwaniu w zatoczce jechali w górę krętą górską drogą, słyszeli dzwonki krów i czuli zapach siana. Zatrzymywali się, zakręcali i zawracali, a teraz znowu czekali, ale tym razem już tylko na otwarcie przez Olliego tylnej klapy, co czynił powoli, by nie robić hałasu, ukazując się stopniowo aż po swój czarny kapelusz z szerokim rondem.

Za plecami Olliego widać było stajnie, za nimi wybieg i kilka ładnych, młodych koni, kasztanów, które przykłusowały na chwilę, by się im przypatrzeć, po czym odbiegły z powrotem. Obok stajni stał wielki, nowoczesny dom z ciemnoczerwonego drewna, z głębokim okapem dachu. Dom miał ganek od frontu i drugi z boku. Oba były zamknięte. Frontowy wychodził na drogę, a boczny nie, więc Perry wybrał boczny i powiedział: „Wejść pierwszy”. Już wcześniej ustalono, że Ollie, jako obcy, pozostanie w furgonetce i będzie tam oczekiwał na wezwanie.

Zbliżając się do drzwi, Perry i Gail zauważyli dwie kamery, spoglądające na nich z góry - jedna ze stajni, druga z domu. Zapewne miał się nimi zajmować Igor, ale przecież został wysłany na zakupy.

Perry przycisnął dzwonek. W pierwszej chwili nie usłyszeli nic. Cisza wydała się Gail nienaturalna, więc sama spróbowała zadzwonić, bo może dzwonek się zepsuł. Zadzwoniła raz długo, a potem kilka razy krótko, żeby się pośpieszyli. Okazało się, że dzwonek jednak działał, bo już zbliżały się niecierpliwe kroki młodych stóp, już odsuwano zasuwę i przekręcano zamki, i wreszcie pojawił się jeden z płowowłosych synów Dimy - Wiktor.

Ale zamiast powitać ich, jak mogli się spodziewać, szczerym uśmiechem na piegowatej twarzy, Wiktor gapił się na nich z nerwową konsternacją.

- Macie ją? - zapytał swą amerykańską angielszczyzną rodem z międzynarodowej szkoły.

Pytanie było skierowane do Perry'ego, a nie Gail, w drzwiach pojawiły się Katia i Irina. Katia chwyciła nogę Gail i przyciskała do niej swą głowę, Irina zaś wyciągała ręce, by objąć Gail.

- Moją siostrę. Nataszę! - krzyknął niecierpliwie Wiktor pod adresem Perry'ego, podejrzliwie zerkając na furgonetkę, jakby tam miała się ukryć. - Widzieliście... Nataszę...na miłość boską!?

- Gdzie wasza mama? - zapytała Gail, uwalniając się od dziewczynek.

Poszli za Wiktorem wyłożonym boazerią i pachnącym kamforą korytarzem do dwupoziomowego salonu z niskim drewnianym stropem, którego szklane drzwi wychodziły na ogród i dalej na wybieg. W najciemniejszym kącie, wciśnięta między dwie skórzane walizki, siedziała Tamara w czarnym kapeluszu z niewielką woalką. Zbliżając się do niej, Gail zauważyła mimo woalki, że Tamara ufarbowała



włosy henną i nałożyła róż na policzki. Gail czytała gdzieś, że Rosjanie tradycyjnie siadają przed wyruszeniem w podróż, więc może właśnie dlatego Tamara teraz siedziała, i dlatego nie podniosła się, gdy Gail stanęła przed nią, patrząc w uróżowaną, zeszywniałą twarz.

- Co się stało z Nataszą? - zapytała Gail.
- Nie wiemy - odpowiedziała Tamara w próżnię przed sobą.
- Jak to, nie wiecie?

Teraz wtrącili się bliźniacy, a Tamara poszła na chwilę w zapomnienie:

- Pojechała do ujeżdżalni i nie wróciła! - upierał się Wiktor, właśnie kiedy jego brat, Aleksy, wbiegł za nim do pokoju.

- Wcale nie, nie pojechała do ujeżdżalni, tylko powiedziała, że jedzie. Tylko tak powiedziała, dupku! Ona kłamie, ty wiesz, że kłamie! - To Aleksy.

- A kiedy pojechała do ujeżdżalni? - zapytała Gail.

- Dziś rano. Wczesnie! Tak gdzieś o ósmej! - krzyknął Wiktor, nim Aleksy zdążył cokolwiek powiedzieć. - Była umówiona. Miała jakiś pokaz ujeżdżania, czy coś! Tata zadzwonił dziesięć minut wcześniej, powiedział, że mamy być gotowi na południe! Natasza mówi, że jest umówiona w ujeżdżalni, że musi tam iść, że nie może złamać u mowy!

- I pojechała?

- No pewno. Igor zabrał ją volvem.

- Gówno prawda! - Znowu Aleksy. - Igor zabrał ją do Berna! Do żadnej ujeżdżalni, kurwa, nie pojechali, idioto! Natasza okłamała mamę!

Pani mecenas odebrała mu głos:

- Igor podwiózł ją do Berna? Dokąd?

- Na dworzec kolejowy! - zawołał Aleksy.

- Który dworzec, Aleksy? - zapytał surowo Perry.

- Tylko spokojnie. Na który dworzec w Bernie Igor odwiózł Nataszę?

- Na główny! Na międzynarodowy! Jezu! Stamtąd może jechać wszędzie! Do Paryża! Budapesztu! Do Moskwy!

- Tata kazał jej tam jechać, profesor - powiedział z naciśniętym głosem Wiktor, celowo zniżając głos, by skontrapunktować historię Aleksego.

- Jak to, Wiktor, Dima? - To Gail.

- Dima kazał jej jechać na dworzec. Tak powiedział Igor. Chce pan żebym zadzwonił do Igora, to pan z nim pogada?

- Jak pogada, dupku! Profesor nie mówi po rosyjsku! - Aleksy był już bliski łez.

Znów Perry, równie stanowczo, jak przedtem:

- Wiktor... Zaraz, Aleksy... Wiktor, powiedz mi to jeszcze raz, ale powoli. Aleksy, zaraz z tobą pogadam, tylko wysłucham Wiktora. Mów, Wiktor.

- Tak mówił Igor. Że tak mu powiedziała, i dlatego zawiózł ją na dworzec. „Ojciec mówi, że mam jechać na główny dworzec kolejowy”.

- A Igor też dupek! Nie zapytał po co! - krzyknął Aleksy. - Bo taki z niego pieprzony głupek. Tak się boi taty, że odwiózł Nataszę na dworzec i do widzenia! Nie zapytał po co. I pojechał sobie na zakupy. Jak ona już nigdy nie wróci, to nie jego wina. Tata kazał odwieźć, to odwiózł, co mu tam!

- Skąd wiecie, że nie była na pokazie? - zapytała Gail, zastanowiwszy się nad ich dotychczasowymi zeznaniami.

- Wiktor, ty mów - powiedział szybko Perry, nim Aleksy zdążył się wtrącić.

- Najpierw dzwoni ujeżdżalnia, pytają, gdzie Natasza? - opowiadał Wiktor. - Że jest dziesiąta dwadzieścia pięć, że ona nie odwoływała. A że to ona robi ten pokaz. Koń osiodłany, czeka. To my dzwonimy do Igora na komórkę. Gdzie Natasza? Na dworcu, mówi, tata kazał.

- W co była ubrana? - Gail zwraca się z litości do zrozpaczonego Aleksego.

- W luźne dzinsy. I taką jakby rosyjską sukienkę. Taką kułacką. Bo ona teraz nosi tylko takie luźne. Mówi, że nie lubi, jak chłopaki gapią się jej na dupę.

- Ma jakieś pieniądze? - Znów do Aleksego.

- Tata daje jej, ile chce. Totalnie ją rozpuszcza! My dostajemy jakieś sto na miesiąc, ona chyba z pięćset. Na książki, ubrania, buty, bo to kocha. W zeszłym miesiącu tata kupił jej skrzypce. A skrzypce muszą kosztować parę milionów.

- A próbowaliście do niej dzwonić? - Teraz Gail do Wiktora.

- Wielokrotnie - mówi Wiktor, który całkowicie wszedł teraz w rolę spokojnego, dorosłego mężczyzny. - Wszyscy dzwoniли. Komórką Aleksego, moją Katii, Iriny. Nie odpowiada.

Gail do Tamary, przypomniawszy sobie o jej istnieniu:

- A pani próbowała?

Tamara też nie odpowiada.

Gail do czwórki dzieci:

- Myślę, że teraz powinniście pójść do innego pokoju, a ja pomówię z panią Tamarą. Jeżeli zadzwoni Natasza, ja pierwsza muszę z nią rozmawiać. Wszyscy się zgadzają?

\*

Ponieważ w ciemnym kącie Tamary nie było innego miejsca do siedzenia, Perry przyciągnął drewnianą ławę, wspartą na dwóch rzeźbionych niedźwiedziach, i usiedli na niej oboje z Gail, patrząc, jak maleńkie, czarne oczka Tamary przechodzą z jednego na drugie, ale ani na chwilę się nie zatrzymują.

- Pani Tamaro - powiedziała Gail. - Dlaczego Natasza boi się spotkać z ojcem?

- Musi być w ciąży.

- Powiedziała to pani?

- Nie.
- Ale pani zauważyła.
- Tak.
- Dawno temu pani zauważyła?
- To nieważne.
- Ale jeszcze na Antigui?
- Tak.
- Rozmawiała pani z nią o tym?
- Nie.
- A z jej ojcem?
- Nie.
- Dlaczego nie rozmawiała pani z Nataszą?
- Ja jej nienawidzę.
- A ona panią?
- Tak. Jej matka była dziwka. Teraz Natasza jest dziwka. Nic dziwnego.
- Co będzie, kiedy jej ojciec się dowie?
- Może będzie ją bardziej kochał. Może ją zabije. Co Bóg da.
- Wie pani, kto jest ojcem?
- Może jest wielu ojców. Z ujeżdżalni. Ze szkoły narciarskiej. Może listonosz. Albo Igor.
- I nie ma pani pojęcia, gdzie może teraz być?
- Natasza mi się nie zwierza.

\*

Na zewnątrz, na podwórku przed stajnią, deszcz rozpadał się na dobre. Na wybiegu dwa ładne kasztanki psotnie trącały się łbami. Gail, Perry i Ollie stali obok furgonetki. Ollie zdążył porozmawiać z Luke'em przez komórkę. Luke nie mógł mówić swobodnie, bo miał w samochodzie Dimę. Mimo to wiadomość, którą przekazał Ollie, była

jednoznaczna. Głos Olliego był wciąż spokojny, tylko jego niedoskonały cockney całkiem się posypał w napięciu:

- Musimy stąd spieprzać, ale już. Oni też mieli poważne problemy, nie możemy dla jednego statku opóźnić całego konwoju. Natasza ma ich numery komórkowe, oni mają jej. nLuke nie chce, żebyśmy natknęli się na Igora, więc się nie natkniemy, do cholery. Perry, Luke prosi, żebyś wszystkich zapakował do auta, ale już, i dupa w troki, natychmiast, zrozumiano?

Perry był w połowie drogi do domu, gdy Gail odciągnęła go na bok:

- Ja wiem, gdzie ona jest - powiedziała.  
- Ty w ogóle chyba wiesz dużo rzeczy, których ja nie wiem.  
- Nie dużo, ale dość. Jadę po nią. Musisz mnie poprzeć. I żadnych bohaterских min, żadnego gadania, że słaba kobieta... Wy z Olliem bierzecie rodzinę, ja dojadę z Nataszą, jak ją znajdę. To zamierzam powiedzieć Olliemu i muszę wiedzieć, że mam twoje poparcie.

Perry przyłożył obie dłonie do głowy, jakby o czymś zapomniał, po czym opuścił je bezsilnie, kapitulując:

- To gdzie ona jest?  
- A gdzie jest Kandersteg?  
- Jedziesz do Spiez, stamtąd koleją na Simplon przez góry. Masz pieniądze?

- Mnóstwo. Od Luke'a.

Perry bezradnie popatrzył na dom, potem na wielkiego Olliego w kapeluszu, niecierpliwie czekającego przy furgonetce. Potem znowu na Gail.

- Na miłość boską - szepnął zdezorientowany.  
- Wiem - powiedziała.

## 15.

Koledzy wspinacze wiedzieli, że w sytuacjach kryzysowych Perry Makepiece potrafi myśleć jasno i działać zdecydowanie, a on sam z dumą twierdził, że nie widzi większej różnicy między jednym a drugim. Bał się o Gail, zdawał sobie sprawę, że powodzenie operacji zawisło na włosku, był wstrząśnięty wiadomością o ciąży Nataszy oraz myślą, że Gail uznała za konieczne zataić to przed nim. Równocześnie szanował jej motywację i miał pretensje do siebie. Widok Tamary, istnej dickensowskiej jędzy oszalałej z zazdrości o Nataszę, był dla niego odrażający, co jeszcze zwiększało jego troskę o losy Dimy. Ostatnie spotkanie z nim w gabinecie masażu poruszyło go do głębi, tak że musiał na nowo się samookreślić: jestem odpowiedzialny za nieskruszonego, zawodowego przestępcę, który sam przyznaje się do morderstwa i do prania brudnych pieniędzy, i który jest moim przyjacielem. I choć szanował Luke'a, żałował, że Hector musiał oddać dowodzenie w ręce zastępcy w chwili, gdy operacja zaczęła zmierzać albo ku swemu celowi, albo ku straszliwej katastrofie.

Ale jego reakcja na ten cały zamęt w głowie była taka sama, jak na zerwanie się liny na trudnej, skalnej ścianie: zachować równowagę, ocenić niebezpieczeństwo, pomóc najsłabszym w zespole, znaleźć wyjście z sytuacji. I to właśnie robił teraz, kucając w końskiej furgonetce z naturalnym i adoptowanym potomstwem Dimy, siedzącym wokół niego wewnątrz jednej przegrody, i z izolującym się cieniem Tamary w szparach przepięprzenia. Pytanie: *Masz pod opieką*

*dwie rosyjskie dziewczynki, dwóch rosyjskich nastolatków i niezrównoważoną Rosjankę w średnim wieku, i twoim zadaniem jest wywieźć ich w góry tak, by nikt tego nie zauważył. Co robisz?* Odpowiedź: robię.

Wiktor stwierdził w przyпіływie rycerskich uczuć, że chce jechać z Gail, gdziekolwiek ona jedzie, wszystko jedno, wszędzie. Aleksy zakpił, że Nataszy zależy tylko na uwadze taty, a Wiktorowi na uwadze Gail. Dziewczynki nie chciały nigdzie jechać bez Gail. Zostaną w domu, żeby go pilnować, dopóki ona nie wróci z Nataszą. A w międzyczasie zaopiekuje się nimi Igor. Na wszelkie błagania Perry, urodzony przywódca, powtarzał tę samą cierpliwą, lecz stanowczą odpowiedź:

- Dima życzy sobie, abyście natychmiast jechały z nami. Nie, jedziemy na wycieczkę-niespodziankę. Przecież wam obiecał. Do-wiecie się, dokąd jedziemy, jak będziemy na miejscu, ale to świetne miejsce i jeszcze tam nie byliście. Tak, on dojedzie do nas dziś wieczorem. Wiktor, ty weź te dwie walizki, a Aleksy te. Katia, dziękuję, nie musisz zamykać domu, Igor wróci lada chwila. Kot zostaje. Koty bardziej przywiązują się do miejsc niż do ludzi. Wiktor, gdzie ikony twojej mamy? W walizce? Świetnie. Czyj to miś? No, bo przecież on też musi jechać z nami, prawda? Igorowi miś niepotrzebny, a tobie tak. A teraz wszyscy jeszcze idą do ubikacji, czy się komuś chce, czy nie.

W furgonetce dziewczynki najpierw oniemiały, ale potem rozga-dały się i nawet rozbawiły, głównie za sprawą Olliego i jego czarnego kapelusza z szerokim rondem, którym z powagą ukłonił się im, gdy prowadził je do swej królewskiej karocy. Hałas był taki, że trzeba było krzyczeć, by się słyszeć. Stare furgonetki do przewozu koni nie mają najlepszego wyciszenia.

- Dokąd jedziemy? - krzyczały dziewczynki.
- Do pieprzonego Eton - To Wiktor.
- To tajemnica - Perry.

- Czyja tajemnica? - Dziewczynki.
- Taty, głupie - Wiktor.
- Za ile wróci Gail?
- Nie wiem. To zależy od Nataszy - Perry.
- Czy dojadą przed nami?
- Raczej nie - Perry.
- Dlaczego nie wolno nam wyglądać do tyłu?
- Bo to całkowicie zabronione przez szwajcarskie prawo! - krzyczał Perry, ale dziewczynki i tak musiały pochylić się do przodu, by go usłyszeć. - Szwajcarzy mają mnóstwo praw! Wyglądanie z tyłu jadącej furgonetki na konie to szczególnie poważne przestępstwo. Idzie się za to na bardzo długo do więzienia! Lepiej zobaczcie, co Gail wsadziła do waszych plecaków!

Z chłopcami było trudniej :

- To my się mamy bawić takimi zabawkami dla dzieci? - wrzasnęła z niedowierzaniem Wiktor, przekrzykując podmuch powietrza i pokazując wystający z torby frisbee.

- Taki jest plan!
- Myślałem, że będziemy grać w krykieta. - Znów Wiktor.
- Żebyśmy mogli iść do Eton! - Aleksy.
- Spróbujemy! - Perry.
- To my nie jedziemy w góry!
- Dlaczego nie?
- Bo w pierdolonych górach nie można grać w krykieta! Nie ma dość płaskiego! Chłopi się wpieprzają. To my jedziemy gdzieś, gdzie jest płasko, tak?

- A Dima powiedział wam, że jedziemy gdzieś, gdzie jest płasko?

- Dima jest jak pan! Tajemniczy! Może wpadł w jakieś gówno! Może gliny go szukają! - wołał Wiktor, którego najwyraźniej bardzo podekscytował ten pomysł.

Ale Aleksy był oburzony:



- Nie wolno o to się pytać! To nie jest *cool*. To chamstwo i wstyd pytać o coś takiego własnego ojca, dupku. W Eton by cię za to zabili!

Wiktor wyciągnął frisbee i uznając, że może się jeszcze do niego przekona, zaczął udawać, że sprawdza jego aerodynamiczność w przeciągu.

- Okej, to ja nie pytałem! - wrzasnął. - Całkiem odwołuję! Nasz tata nie wpadł w żadne gówno, gliny go kochają jak brata. Pytanie niniejszym odwołane, okej? Nigdy nie zadane. To już eks-pytanie! - To przekomarzanie mimo wszystko kazało Perry'emu zastanowić się, czy chłopcy już raz nie uciekali w podobnych okolicznościach, na przykład w dawnych, permskich czasach, gdy Dima jeszcze piął się na szczyt.

- Czy mogę mieć prośbę do was dwóch? - powiedział, przywołując ich gestem, dopóki nie kucnęli przy nim. - Wygląda na to, że spędzimy razem trochę czasu. Okej?

- Okej!

- To może spróbowalibyście nie mówić tyle razy gówno i pierdolony przy mamie i dziewczynkach? I przy Gail też?

Porozumieli się wzrokiem, wzruszyli ramionami. Okej. Niech będzie. Co nas to obchodzi. Ale Wiktor nie do końca dał za wygraną. Właśnie złożył dłonie w trąbkę i krzycząc, szeptał w ucho Perry'ego, żeby dziewczynki nie usłyszały:

- Ten wielki pogrzeb, okej? Ten, co byliśmy na nim w Moskwie? Ta tragedia? Tysiące ludzi w żałobie, okej?

- No, co ten pogrzeb?

- Najpierw to był wypadek, okej? „Misza i Olga zginęli w wypadku”. Gówno prawda. To nie był żaden wypadek. Ich zastrzelili. To kto ich zastrzelił? Banda walniętych Czeczenów, która nic nie ukradła, a za to wydała kupę kasy na kule do kałachów. Dlaczego? Bo nienawidzą Rosjan. Gówno prawda. To wcale nie byli pierdoleni Czeczeni!

Aleksy tłukł go pięścią i równocześnie usiłował zatkać mu usta, ale Wiktor go odepchnął.

- Wystarczy zapytać byle kogo w Moskwie, kto się trochę orientuje. Wystarczy zapytać mojego przyjaciela Piotra. Miszę załatwili. Bo zadarł z mafią. Dlatego się nim zajęli. To samo z Olgą. A teraz spróbują załatwić tatę, zanim gliny się do niego dobiorą. Nie tak, mama? - Wrzeszczał teraz do Tamary przez przepierzenie. - Oni to nazywają „takim małym ostrzeżeniem”, żeby pokazać, kto rządzi! Mama to wszystko wie. Ona wszystko wie. Siedziała dwa lata w policyjnym areszcie w Permie za szantaż i wymuszenie. Przesłuchiwali ją non stop przez siedemdziesiąt dwie godziny, i tak pięć razy. Pobili do nieprzytomności. Piotr widział jej akta. „Zastosowano surowe metody”. Całkiem oficjalnie. Prawda, mama? To dlatego już z nikim nie rozmawia, tylko z Bogiem. Tak ją zbili. Ej, mama! Kochamy cię!

Tamara cofa się głębiej w cień. Dzwoni komórka Perry'ego. Luke. Mówi wyraźnie i bardzo ostrożnie:

- Wszystko w porządku? - pyta.
- Jak dotąd tak. A jak tam nasz znajomy? - pyta z kolei Perry, mając na myśli Dimę.
- Zadowolony. Siedzi tu przy mnie w samochodzie. Przesyła pozdrowienia.
- Wzajemnie - odpowiada powściągliwie Perry.
- Od tej chwili, jak tylko się da, poruszamy się mniejszymi grupkami. Łatwiej się przemieszczać, trudniej rozpoznać. Możesz trochę poprzebierać chłopaków?
- Jak?
- Wszystko jedno, byle trochę się od siebie różnili. Żeby nie byli tacy identyczni.
- Pewnie.
- Wybierz zatłoczony pociąg. I może jeszcze porozdzielaj ludzi. Każdy chłopak w innym wagonie, ty z dziewczynkami w jeszcze

innym. W Interlaken wyślij George'a po bilety, żebyście mi nie stali wszyscy w kolejce do jednego okienka. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- Jakież wieści od Doolittle?

- Jeszcze za wcześnie. Dopiero pojechała. Pierwszy raz nawiazali wprost do dezercji Gail.

- No cóż, dobrze zrobiła. Nie daj jej myśleć inaczej. Powiedz jej to ode mnie.

- Powiem.

- Z nieba nam spadła. Musi jej się udać. - Luke mówi szyfrem, ale nie ma wyboru, bo przecież Dima siedzi „tu przy mnie w samochodzie”.

Przechodząc nad dziewczynkami, Perry stuka Olliego w ramię i wykrzykuje mu odpowiednie instrukcje wprost do ucha.

\*

Katia i Irina znalazły swoje bułki z serem i chrupki. Siedzą głowa w głowę, gryzą i mruczą jedna do drugiej. Od czasu do czasu oglądają się za siebie na kapelusz Olliego i zaczynają chichotać. W pewnej chwili Katia sięga, by dotknąć kapelusza, ale nie starcza jej odwagi. Bliźniacy zdecydowali się na partię kieszonkowych szachów i banany.

- Następna stacja: Interlaken, chłopcy i dziewczęta! - ryczy przez ramię Ollie. - Zaparkuję przy dworcu i pojedę pierwszy z panią i bagażem. Wy, maleństwa, pójdziecie sobie na spacer i może nawet na kielbaskę, a potem pojedziecie za nami w góry, jak będziecie gotowe. Odpowiada to panu, panie profesorze?

- I mnie, i wszystkim - potwierdza Perry po naradzie z dziewczynkami.

- Zaraz, nam wcale nie odpowiada! - piszczy oburzony Aleksy i rzuca się z powrotem na siedzenie z rozłożonymi rękoma. - Nam jest bardzo źle!

- A konkretnie dlaczego? - pyta Perry.
- Konkretnie dla wszystkiego! Jedziemy do Kanderstegu, już wiem! Ja nie jadę do Kanderstegu, już nigdy! Nie będę się wspinał, nie jestem jakaś pierdolona mucha, mam lęk wysokości i nie lubię towarzystwa Maksa!
- Nie zgadłeś - mówi Perry.
- To znaczy, że nie jedziemy do Kanderstegu?
- Nie jedziemy.

My nie, ale Gail tak, myśli nie wiedzieć już który raz i zerka na zegarek.

\*

Dzięki dobremu połączeniu w Spiez Gail znalazła dom jeszcze przed trzecią po południu. Nie było to trudne. Zapytała na poczcie: czy ktoś zna instruktora narciarskiego imieniem Max, prywatnego, bez licencji Szwajcarskiej Szkoły Narciarskiej, jego rodzice prowadzą hotel? Sporych rozmiarów pani w okienku nie była pewna, więc skonsultowała się z chudym panem sortującym listy, który chyba wiedział, ale na wszelki wypadek skonsultował się z chłopakiem wkładającym paczki na wielki, żółty wózek - po czym odpowiedź wróciła tą samą drogą: hotel Rössli przy głównej ulicy, po prawej stronie, jego siostra tam pracuje.

Główna ulica skąpana była w tak intensywnym słońcu, że aż kręciło się w głowie; góry po obu stronach spowijała mgła. Cała rodzina burych psów wygrzewała się na chodnikach lub kryła pod sklepowymi markizami. Wczasowicze z kijami trekkingowymi i w czapczkach z daszkiem zaglądali do sklepów z pamiątkami. Całkiem sporo z nich siedziało to tu, to tam przy stolikach na tarasie hotelu Rössli, jedząc ciastka i lody, popijając przez słomki mrożoną kawę z wysokich szklanek.

Obsługa składała się z jednej zagonionej, rudowłosej dziewczyny w szwajcarskim stroju ludowym. Gdy Gail usiłowała nawiązać z nią rozmowę, usłyszała w odpowiedzi, żeby usiadła i poczekała na swą kolej, więc Gail, zamiast obrócić się na pięcie i pójść sobie, co byłoby jej normalną reakcją, potulnie znalazła sobie miejsce i kiedy wreszcie doczekała się kelnerki, zamówiła najpierw kawę, na którą nie miała najmniejszej ochoty, a potem zapytała ją, czy przypadkiem nie jest siostrą Maksa, tego świetnego przewodnika górskiego, na co dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i nagle okazało się, że ma mnóstwo czasu.

- No, on tak naprawdę nie jest jeszcze przewodnikiem, przynajmniej nie oficjalnie. Ale jest tak świetny, że nie wiem! Jeszcze musi zdać egzamin, i to dość trudny - powiedziała, dumna ze swej angielszczyzny i zadowolona, że może się w niej poćwiczyć. - Niestety Max zaczął trochę późno. Najpierw zamierzał zostać architektem, ale nie chciał wyjeżdżać z naszej doliny. W sumie to wielki marzyciel, ale trzymam kciuki, teraz wreszcie się ustatkował, za rok będzie mógł zdawać. Taką mamy nadzieję! Dziś może być w górach. Czy mam zapytać Barbarę?

- Barbarę?

- Ona jest nawet całkiem miła. Podobno całkiem go odmieniła. Powiem pani, że najwyższy czas!

Blüemli. Siostra Maksa zapisała to Gail na podwójnej kartce wydartej z jej kelnerskiego bloczka:

- Po szwajcarsku-niemiecku to znaczy „kwiatusek”, ale też może znaczyć wielki kwiat, bo w Szwajcarii ludzie mówią zdrobniale o wszystkim, co lubią. To ostatni nowy szalet po lewej, jak już pani minie szkołę. Ojciec Barbary im go zbudował. Muszę przyznać, że Maksowi bardzo się udało.

Blüemli okazał się rzeczywiście marzeniem każdej młodej pary - domkiem wybudowanym ze świeżutkiej sosny, z czerwonymi

kwiatami w skrzynkach pod każdym oknem, firankami w czerwoną kratkę, dobranymi pod kolor doniczkami i ręcznie wrytym napisem w gotyku pod dachem, dziękującym Bogu za doznane błogosławieństwa. Ogródek przed domem miał świeżo posadzony i świeżo skoszony trawnik, na którym stała nowiutka huśtawka, nowiutki nadmuchiwany basenik dziecinny i nowiutki grill; a przy zdobnych w podobizny siedmiu krasnoludków drzwiach frontowych leżał precyzyjnie wyrównany stosik drewna na opał.

Gdyby był to dom wirtualny, a nie prawdziwy, Gail jeszcze by się tak nie zdziwiła, tylko że teraz już nic ją nie dziwiło. To nie scenariusz zmienił się nie do poznania, tylko po prostu sprawdził się najgorszy scenariusz, ale znów nie gorszy od tego wszystkiego, co wyobrażała sobie w pociągu i co wyobrażała sobie w tej chwili, przycisnąwszy dzwonek i usłyszawszy wesoly kobiecy głos, wołający: „*Un Momànt bitte, d'Barbara chunt grad*” - z czego Gail rozumiała, choć nie rozumiała ani po niemiecku, ani po szwajcarsku-niemiecku, że Barbara już idzie. I rzeczywiście przyszła: wysoka, schludna, wysportowana, przystojna i bardzo przyjemna kobieta, tylko trochę starsza od niej.

- *Grüessech* - powiedziała i zobaczywszy przepraszający uśmiech Gail, przeszła nieco bez tchu na angielski: - Dzień dobry! Czy mogę pani w czymś pomóc?

Przez otwarte drzwi Gail usłyszała żalodne kwilenie niemowlęcia. Wzięła głęboki wdech i znów uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że tak. Nazywam się Gail. A pani to Barbara?
- Tak. Tak, to ja!
- Szukam wysokiej dziewczyny z czarnymi włosami, na imię ma Natasza, jest Rosjanką.
- A, Rosjanka? No właśnie, nie wiedziałam. Może to coś wyjaśnią. Czy pani jest może lekarką?

- Niestety nie. A co?
- No więc, tak, jest tutaj. Nie wiem dlaczego. Proszę wejść, zapraszam. Ja muszę zająć się Anni. To jej pierwszy ząbek.

Wszedłszy za nią szybko do środka, Gail poczuła słodki, czysty zapach wypudrowanego niemowlęcia. Wiszący na mosiężnych haczykach rząd pantofli z króliczymi uszami dał jej do zrozumienia, że powinna ściągnąć zabrudzone buty. Barbara czekała, aż Gail wybierze pantofle.

- Jak długo tu jest? - zapytała Gail.
- Może z godzinę. Albo trochę dłużej.

Gail weszła za nią do przestronnego salonu, z którego prowadziły przeszklone drzwi do drugiego małego ogródka. Na środku pokoju stał kojec, a w kojcu siedziała bardzo mała dziewczynka o złotych lokach i ze smoczką w buzi, otoczona wianuszkami nowiutkich zabawek. A pod ścianą, na małym zydelku, siedziała Natasza ze spuszczoną głową i twarzą ukrytą we włosach, pochylona nad złożonymi rękoma.

- Natasza?

Gail przyklękła przy niej i położyła dłoń z tyłu jej głowy. Natasza wzdrygnęła się, ale nie odtrąciła dłoni. Gail jeszcze raz wymówiła jej imię. Bez skutku.

- Przyznaję, całe szczęście, że pani się zjawiała - szczebiotała Barbara ze szwajcarskim zaśpiewem, podnosząc Anni i przykładając ją sobie do ramienia, by się jej odbiło. - Bo już miałam dzwonić po doktora Stettlera. A może na policję, sama nie wiem. To był problem. Naprawdę.

Gail gładziła Nataszę po głowie.

- Ona dzwoni do drzwi, ja karmię Anni, nie butelką, tylko tak, jak najlepiej. W drzwiach mamy teraz wizjer, bo w takich czasach nigdy nic nie wiadomo. Popatrzyłam, miałam Anni u piersi, myślałam sobie, w porządku, jakaś normalna dziewczyna, muszę

przyznać, bardzo piękna, chce wejść, nie wiem po co, ale może jest umówiona z Maksem, on ma dużo klientek, szczególnie młodych, to naturalne, bo jest taki interesujący. No więc wchodzi, rozgląda się, widzi Anni, pyta mnie po angielsku... Nie wiedziałam, że to Rosjanka, to jakoś nigdy człowiekowi nie przychodzi do głowy, a przecież już teraz powinno. Pomyślałam, że może Żydówka albo Włoszka... „Czy pani jest siostrą Maksa?”. Ja mówię, że nie, nie jestem jego siostrą, jestem Barbara, jego żona, a ty kto jesteś, jeśli można wiedzieć, i w czym mogę pomóc? Sama pani widzi, jestem mamą, mam kupę pracy. Czy chcesz się umówić z Maksem, wspinasz się? Jak się nazywasz? A ona mówi, że jest Natasza, ale ja już zaczynam coś podejrzewać.

- Co takiego?

Gail przyciągnęła sobie drugi zydeł i usiadła przy Nataszy. Objąwszy ją za ramiona, delikatnie przyciągnęła jej głowę do swojej, aż ich skronie mocno się przycisnęły.

- No, prawdę mówiąc, narkotyki. Wie pani, jaka jest ta dzisiejsza młodzież, po prostu nigdy nic nie wiadomo - mówiła dalej Barbara, przemawiając z takim oburzeniem, jakby miała dwa razy tyle lat, ile miała naprawdę. - A już ci cudzoziemcy, szczególnie Anglicy, to tylko narkotyki i narkotyki, wystarczy zapytać doktora Stettlera. - Dziecko zaczęło krzyczeć, uspokoiła je. - Ci, co chodzą z Maksem, ci młodzi, mój Boże, oni biorą narkotyki nawet po schroniskach w górach! No, bo rozumiem alkohol. Papierosy już mniej. Zaproponowałam jej kawę, herbatę, wodę mineralną. Może mnie nie usłyszała, nie wiem. Może jest na haju, jak mówią hipisi. A ja tu z dzieckiem, może to nieładnie tak powiedzieć, ale nawet zaczęłam się trochę bać.

- Ale nie zatelefonowała pani do Maksa?

- W góry? Jak jest z klientami? To by było dla niego okropne. Pomyślałby, że jest chora, zaraz by wrócił.

- Pomyślałby, że Anni jest chora?



- No pewnie, że Anni! - urwała i ponownie przemyślała to pytanie, co, jak podejrzewała Gail, nie zdarzało jej się często. - Pani myśli, że Max wróciłby tu z powodu Nataszy? Przecież to kompletna bzdura!

Wziąwszy Nataszę za rękę, Gail pociągnęła ją delikatnie, a kiedy Natasza już całkiem się wyprostowała, Gail objęła ją i poprowadziła do drzwi frontowych, pomogła jej włożyć buty, sama włożyła swoje i ruszyły przez idealny trawniczek. Gdy tylko znalazły się za furką, zatelefonowała do Perry'ego.

Przedtem dzwoniła do niego raz z pociągu i raz po przyjeździe do wioski. Obiecała, że będzie się z nim kontaktować o umówionych porach, bo Luke sam nie mógł z nią rozmawiać, skoro miał ze sobą Dimę, więc wszystkie wiadomości proszę przez Perry'ego. Wiedziała poza tym, że sytuacja jest napięta, wyczuwała to w jego głosie. Wiedziała, że im spokojniej przemawiał, tym trudniejsza była sytuacja; podejrzewała, że znowu coś się dzieje. Dlatego i ona mówiła spokojnie, co znów dla niego było pewnie identycznym sygnałem:

- Z nią wszystko w porządku. W porządku, okej? Jest tu ze mną cała i zdrowa, zaraz ruszamy. Właśnie idziemy na stację. To tylko trochę potrwa, nic więcej.

- Jak długo potrwa?

Teraz to Gail musiała uważać, co mówi, bo miała przy sobie Nataszę uczeptioną ramienia.

- Tyle, żebyśmy doszły do siebie i przypudrowały sobie noski. I jeszcze jedno.

- Co?

- Nikogo nie musimy pytać, gdzie kto był, w porządku? Mieliśmy drobny kryzys, ale już po wszystkim. Życie toczy się dalej. Nie chodzi mi tylko o to, co będzie w chwili, gdy przyjedziemy. Tylko o to, co będzie dalej. A ma być tak, że nikt nie będzie nikogo o nic pytał. Z dziewczynkami nie będzie problemu. Nie jestem pewna chłopców.

- Będzie dobrze. Już ja tego dopilnuję. No, ale w ogóle to Wacek będzie w siódmym niebie. Zaraz mu przekażę. Śpiesz się.
- Spróbujemy.

\*

Powrotny pociąg w dolinę był zatłoczony, więc nie miały okazji porozmawiać, co było zresztą bez większego znaczenia, bo Natasza nie wykazywała najmniejszej chęci ku temu; była w szoku i chwilaми nawet nie zdawała sobie sprawy z obecności Gail. Ale po prześiadce w Spiez zaczęła się budzić pod delikatnym naciskiem Gail. Siedziały jedna obok drugiej w wagonie pierwszej klasy i patrzyły wprost przed siebie, zupełnie jak wtedy, w namiocie w Trzech Kominach. Szybko zapadał wieczór, w wagonie nie było nikogo poza nimi.

- Jestem taka... - wyrwało się Nataszy. Chwyliła Gail za rękę, ale nie potrafiła dokończyć zdania.

- Poczekamy - powiedziała stanowczo Gail w stronę spuszczonej głowy Nataszy. - Mamy czas. Nie przejmujemy się tym, co czujemy, cieszymy się życiem, czekamy. I tylko tyle. Nic więcej nie musimy robić, ani ty, ani ja. Słyszysz mnie?

Skinięcie głową.

- To wyprostuj się. Możesz dalej trzymać mnie za rękę, tylko mnie wysłuchaj. Za parę dni będziesz w Anglii. Nie jestem pewna, czy twoi bracia o tym wiedzą. Wiedzą, że macie jechać na wycieczkę-niespodziankę, i że to już lada dzień. Najpierw musimy zatrzymać się na krótko w Wengen. A w Anglii znajdziemy ci jakąś dobrą panią doktor, moją panią doktor, i wtedy zastanowisz się, co wolisz, i wtedy zdecydujesz. Okej?

Skinięcie.

- A tymczasem nawet o tym nie myśl. Wyrzucamy to wszystko z pamięci. Ty pozbędziesz się tej głupiej sukienki... - Czułe pociągnięcie za rękaw. - I będziesz ubierać się ślicznie i do figury. Możesz mi wierzyć, jeszcze nic nie widać. Zrobisz tak, jak ci mówię?

Zrobi.

- Z wszystkimi decyzjami poczekamy do Anglii. To nie są złe decyzje, tylko rozsądne. I podejmiesz je na spokojnie. Dopiero jak będziesz w Anglii, nie wcześniej. Tak będzie lepiej i dla ciebie, i dla twojego taty. Tak?

- Tak.

- Jeszcze raz.

- Tak.

Czy Gail mówiłaby to samo, gdyby Perry nie powiedział jej, że Luke chce, by właśnie tak mówiła? Bo to najgorsza chwila, by do Dimy dotarły takie straszne wieści...

Na szczęście: tak, mówiłaby tak samo. Wygłosiłaby tę samą mowę słowo w słowo i z całym przekonaniem. Sama kiedyś przez to przeszła. Wiedziała, o czym mówi. I powtarzała to sobie jeszcze kiedy pociąg wjechał na stację Interlaken Ost, gdzie miały połączenie do Lauterbrunnen, a stamtąd do Wengen, i kiedy zobaczyła, że przez pusty peron idzie ku nim szwajcarski policjant w eleganckim, letnim mundurze, i że idzie z nim mężczyzna o tępej twarzy, w szarym garniturze i wypolerowanych brązowych butach, i że policjant uśmiecha się jakoś tak przepraszająco, co w każdym cywilizowanym kraju oznacza, że nie ma się z czego cieszyć.

- Pani mówi po angielsku?

- Jak się pan domyślił? - odwzajemniając uśmiech.

- Może dzięki pani cerze - odpowiedział, co było dość zuchwałe jak na zwykłego szwajcarskiego policjanta. - Ale ta młoda dama nie jest Angielką - zerkając na czarne włosy Nataszy i jej nieco azjatycką urodę.

- No, właściwie mogłaby być, wie pan. Teraz jesteśmy bardzo różni - odpowiedziała Gail tym samym wesołym tonem.

- Panie mają brytyjskie paszporty?

- Ja tak.

Ten o tępej twarzy też się uśmiechnął, co ją zmroziło. I trochę za dobrze mówił po angielsku:

- Szwajcarska Służba Imigracyjna - oświadczył. - Przeprowadzamy losowe kontrole. Niestety, w obecnych czasach otwartych granic znajdujemy niekiedy ludzi, którzy powinni mieć wizy, a nie mają. Niewielu, ale zawsze.

Znowu ten w mundurze:

- Poproszę o bilety i paszporty. Czy mają panie coś przeciwko temu? Jeżeli tak, zapraszam na posterunek, możemy je sprawdzić tam.

- Ależ nie mamy nic przeciwko temu. Prawda, Natasza? Żeby tylko wszyscy policjanci byli tak mili jak panowie... - powiedziała z uśmiechem Gail.

Sięgnąwszy w głąb torebki, wyciągnęła swój paszport i bilety, i wręczyła je policjantowi w mundurze, a ten zaczął przeglądać je z tą wyjątkową powolnością, której uczeni są policjanci na całym świecie, by podnosić poziom stresu uczciwych obywateli. Szary garnitur zaglądał przez ramię mundurowi, po czym sam wziął paszport do ręki i oglądał go od początku, zanim go oddał i skierował uśmiech ku Nataszy, która już trzymała swój paszport w ręce.

A potem - jak później opowiadała Gail Olliemu, Perry'emu i Luke'owi - szary garnitur zrobił coś, co było przejawem albo niekompetencji, albo wielkiego sprytu. Bo zachował się tak, jakby paszport nieletniej Rosjanki był dla niego mniej interesujący niż paszport dorosłej Brytyjki. Otworzył go na stronie z wizą, przerzucił do zdjęcia, porównał z twarzą, uśmiechnął się, jakby z podziwem, na chwilę zatrzymał się nad nazwiskiem wypisanym alfabetem łacińskim

i cyrylicą, po czym zwrócił go jej z beztróskim „dziękuję, pani”.

- Panie na długo do Wengen? - zapytał policjant w mundurze, zwracając Gail bilety.

- Tylko mniej więcej na tydzień.

- Pewnie to zależy od pogody?

- Och, my w Anglii jesteśmy tak przyzwyczajeni do deszczu, że nawet go nie zauważamy!

A najbliższy pociąg już czeka na peronie drugim, odjazd za trzy minuty, to już dzisiaj ostatnie połączenie, proszę się nie spóźnić, bo będą panie musiały nocować w Lauterbrunnen, powiedział grzeczny policjant.

Natasza odezwała się znowu dopiero, gdy pociąg - już po ostatniej przesiadce - znajdował się w połowie góry. Przedtem siedziała jakby zagniewana, gapiła się w czarne okno, chuchając na nie jak dziecko i ze złością zmazując swój oddech. Ale Gail mogła się tylko domyślać, czy gniew skierowany był pod adresem Maksa, policjanta i jego kolegi w szarym garniturze, czy samej siebie. Nagle jednak uniosła głowę i spojrzała Gail prosto w twarz:

- Czy Dima to przestępca?

- Ja myślę, że jest po prostu biznesmenem, któremu świetnie się powodzi, a nie? - odpowiedziała bystra pani mecenas.

- To dlatego jedziemy do Anglii? To jest ta cała wycieczka-niespodzianka? Nagle zaczął nam mówić, że wszyscy pójdziemy do świetnych angielskich szkół. - A nie otrzymawszy odpowiedzi: - Od Moskwy cała rodzina... zachowuje się kompletnie jak kryminaliści. Zapytaj moich braci. To ich nowa obsesja. Mówią tylko o przestępstwach. Zapytaj ich wielkiego przyjaciela Piotra, który mówi, że pracuje w KGB. Przecież KGB już nie istnieje. A może istnieje?

- Nie wiem.

- Teraz nazywa się FSB. Ale Piotr ciągle mówi: KGB. Więc może kłamie. Piotr wie o nas wszystko. Widział nasze wszystkie akta. Moja mama była kryminalistką, jej mąż był kryminalista, Tamara była kryminalistką, jej ojca zabili. Dla moich braci każdy, kto jest z Permu, kompletny kryminalista. Może dlatego ci policjanci chcieli oglądać mój paszport.

„Czy pani jest z Permu, Nataszo?” „Tak, panie policjancie, jestem z Permu. I w dodatku w ciąży”. „To pani jest wielka kryminalistka. Nie może pani iść do angielskiej szkoły z internatem, musi pani natychmiast iść do więzienia!”.

Ale wtedy jej głowa spoczywała na ramieniu Gail i odtąd mówiła już tylko po rosyjsku.

\*

Nad polami kukurydzy zapadał zmrok. Zapadał też wewnątrz wynajętego BMW, bo uzgodnili, że nie będą wewnątrz włączać żadnych świateł. Luke wziął na drogę butelkę wódki. Dima wypił połowę, Luke - ani kropli. Zaproponował Dimie dyktafon, by jeszcze na świeżo nagrał swe wspomnienia z podpisania w Bernie, ale Dima odmówił:

- Ja wszystko znam. Bez problemu. U mnie kopie, u mnie pamięć. W Londynie będę pamiętał wszystko. Wy to powiedzcie Johnowi.

Od wyjazdu z Berna Luke korzystał tylko z bocznych dróg. Ujechał kawałek, znajdował miejsce na poboczu, by się w nim przez chwilę zaszyć i by prześladowcy - jeżeli tacy byli - mogli znaleźć się przed nim. Niewątpliwie zrobił sobie jakąś krzywdę w prawą dłoń, bo wciąż nie miał w niej czucia, ale dopóki używał siły całej ręki i nie myślał o dłoni, prowadzenie samochodu nie stanowiło problemu. Musiał sobie coś uszkodzić, gdy przywalił kościstemu filozofowi.

Rozmawiali po rosyjsku - cicho, jak para przestępców. Luke zastanawiał się, dlaczego ścisiali głos. Ścisiali i już. Za którymś

razem zatrzymał się na skraju sosnowego lasu, ale teraz wręczył Dimie niebieski kombinezon roboczy i czarną czapkę narciarską z grubej wełny, by zakrył swoją łysinę. Dla siebie przygotował dzinsy, zimową kurtkę i czapkę z pomponem. Złożył garnitur Dimy i schował go do walizki w bagażniku BMW. Była już ósma wieczór, robiło się zimno. Zbliżając się do wsi Wilderswil u wylotu doliny Lauterbrunnen, znowu się zatrzymał. Wysłuchali szwajcarskich wiadomości radiowych; Luke usiłował domyślać się treści, obserwując w półmroku twarz Dimy, bo ku swojej rozpaczy nie znał niemieckiego.

- Znaleźli skurwysynów - warknął Dima cicho, po rosyjsku. - Dwóch pijanych ruskich dupków pobiło się w hotelu Bellevue Palace. Nikt nie wie, o co. Spadli ze schodów, potłukli się. Jeden facet w szpitalu, drugi ma się okej. Ten w szpitalu w bardzo złym stanie. To Niki. Może jeszcze udusi się skurwiel. Nagadali kupę głupich kłamstw, ale szwajcarska policja im nie wierzy, bo każdy mówił co innego. Ruska ambasada chce ich przewieźć do kraju. A Szwajcarzy na to: „Nie tak szybko, kurwa, my chcemy się więcej dowiedzieć o tych dupkach”. Ruski ambasador wkurzony.

- Na tych dwóch?

- Na Szwajcarów. - Uśmiechnął się złośliwie, pociągnął kolejny łyk z butelki i pomachał nią przed Lukiem, który kręcił głową. - Wy znacie, jak to jest? Ruski ambasador dzwoni na Kreml: „A co to za walnięte skurwiele?”. Kreml dzwoni do tej suki Księcia: „Co jest, kurwa? Czemu twoje dupki biją się do krwi w eleganckim hotelu w Bernie, w Szwajcarii?”.

- A co Książę na to? - zapytał Luke, nie dzielając dobrego humoru Dimy.

- Ta suka Książę dzwoni do Emilia. „Emilio. Mój przyjacielu. Mój mądry doradco. Co jest, kurwa? Czemu moi dobrzy ludzie biją się do krwi w eleganckim hotelu w Bernie?”.

- A co Emilio na to? - nalegał Luke.

Dima też nagle stracił humor:

- Emilio na to: „Ten gnojek Dima, specjalista od prania brudnych pieniędzy numer jeden na świecie, zniknął, kurwa, z powierzchni ziemi”.

Luke nie jest wielkim specjalistą od intryg, ale zaczyna dodawać jedno do drugiego. Najpierw ci dwaj tak zwani arabscy policjanci w Paryżu. Kto ich przysłał? Po co? Potem dwaj ochroniarze w Bellevue Palace: dlaczego przyszli do hotelu po całej ceremonii? Kto ich przysłał? Po co? Kto wiedział, jak dużo i od kiedy?

Zadzwoił do Olliego.

- Wszystko w porządku, George? - Co oznacza: kto dojechał na melinę, a kto nie? I jeszcze: czy mam też zajmować się zniknięciem Nataszy?

- Paul, nasze dwie spóźnialskie zameldowały się parę minut temu. Wiem, że cię to ucieszy - odpowiedział uspokajająco Ollie. - Trafiły bez większych problemów, wszystko w jak najlepszym porządku. Dziesiąta po drugiej stronie górki? Odpowiada? Będzie już wtedy spokojnie i ciemno.

- Może być o dziesiątej.

- Parking przy stacji Grunds. Śliczne małe czerwone suzuki. Będę zaraz na prawo od wjazdu i jak najdalej od peronów, jak się da.

- Zgoda. - A ponieważ Ollie się nie rozłączył: - W czym problem, George?

- Bo wiesz, słyszałem, że na dworcu Interlaken Ost było dziś trochę policji.

- Mów.

Luke wysłuchał, nic nie powiedział, wsunął komórkę z powrotem do kieszeni.

\*



Mówiąc o „drugiej stronie góry” Ollie miał na myśli wieś Grindelwald, leżąca po przeciwległej stronie masywu Eigeru. Ollie już dawno informował, że do Wengen od strony Lauterbrunnen można dojechać tylko kolejką górską. Letnia droga nadaje się tylko dla kozic i nielicznych naprawdę upartych motocyklistów, ale raczej nie dla dwuśladowego pojazdu wiozącego trzech mężczyzn.

Ale Luke był zdecydowany - podobnie jak Ollie - by Dima, w przebraniu czy bez, jadąc do swojej kryjówki, nie był narażony na spojrzenia urzędników kolejowych, kontrolerów i towarzyszy podróży - a już na pewno nie tak późnym wieczorem, kiedy pasażerów jest mniej, przez co bardziej rzucają się w oczy.

Dotarłszy do wioski Zweilitschinen, Luke skręcił w lewe odgałęzienie drogi, które prowadziło wzdłuż wijącej się nad rzeką drogi na skraj Grindelwaldu. Parking przy stacji Grand był wypełniony samochodami zostawionymi przez niemieckich turystów. Luke wjechał tam i z ulgą spostrzegł postać Olliego w pikowanej kurtce i szpiczastej czapce z kłapkami na uszy, siedzącego za kierownicą czerwonej terenówki suzuki, zaparkowanej z włączonymi światłami postojowymi.

- Tu macie koce, bo zrobi się chłodniej - oznajmił po rosyjsku Ollie, wciągając Dimę na miejsce obok siebie. Luke wręczył Olliemu bagaż, zaparkował BMW pod bukiem i siadł z tyłu. - Droga leśna jest zamknięta, chyba że dla miejscowych, którzy mają uprawnienia, na przykład dla hydraulików, pracowników kolei i tym podobnych. Więc jeśli nie robi to wam różnicy, ja będę gadał, jeżeli nas zatrzymają. Nie żebym był miejscowy, ale ta terenówka jest. A jej właściciel powiedział mi dokładnie, co trzeba mówić.

Jaki „właściciel” i „co trzeba mówić” pozostało tajemnicą Olliego. Dobry włamywacz nie zdradza swych źródeł informacji.

\*

Wąska, betonowa nawierzchnia wspinała się na czerń góry. Z naprzeciwnika zbliżała się para reflektorów. Zatrzymała się, potem cofnęła między drzewa. Ciężarówka firmy budowlanej. Pusta.

- Zawsze cofa się ten, co zjeżdża z góry - stwierdził pod nosem i z aprobatą Ollie. - Taki zwyczaj.

Na środku drogi stał samotny policjant w mundurze. Ollie zwolnił, by policjant mógł odczytać żółtą, trójkątną nalepkę na przedniej szybie suzuki. Policjant cofnął się. Ollie uniósł dłoń w spokojnym pozdrowieniu. Minęli osadę niskich szaletów i jasnych świateł. Z zapachem sosny mieszał się dym palonego drewna. Fosforyzujący napis: BRANDEGG. Szosa zmieniła się w zaniedbaną leśną dróżkę. Naprzeciw nim biegły po niej strugi wody. Ollie włączył długie światła i przerzucił biegi. Silnik warczał teraz wyżej i bardziej żałośnie. Droga była rozjechana przez ciężkie ciężarówki, a suzuki miało twarde zawieszenie. Gniotąc się na tylnym siedzeniu z bagażami, Luke czepiał się obu stron przy każdym podskoku i przechyle. Przed nim podskakiwał w tym samym rytmie opatulony Dima w wełnianej czapce, otulony kocem, który powiewał mu na ramionach jak opończa jeźdźca. Siedzący obok niego i niewiele mniejszy Ollie pochylał się z napięciem do przodu, bo jechali teraz przez otwartą halę i właśnie spłoszyli dwie kozice, które uciekły w podskokach w gęstwinę drzew.

Powietrze stało się rzadsze i zimniejsze, oddech Luke'a - szybszy. Na jego policzkach i czole pojawiła się lodowata błonka rosy. Poczul, że oczy mu łzawią, a serce bije mocniej od woni sosen i podniecenia tą jazdą. Las na powrót zamknął się wokół nich. Z jego gęstwy błyskały czerwone oczy zwierząt, ale Luke nie miał czasu przypatrywać się, czy były duże, czy małe.

Minęli linię lasu i znów znaleźli się na otwartej przestrzeni. Rozgwieżdżone niebo pokrywały z rzadka chmury, ale w samym jego środku wznosiła się czarna, bezgwiezdna pustka, wciskając ich w zboczne, a potem wypychając na skraj świata. Przejeżdżali właśnie pod przewieszoną północną ścianą Eigeru.

- Wy byli na Uralu, Paul? - wrzasnął Dima do Luke'a po angielsku, obracając się w fotelu.

Luke energicznie pokiwał głową i uśmiechnął się, że tak.

- Tu jak w Permii! U nas w Permii też takie góry! A na Kaukazie wy byli?

- Tylko od strony Gruzji - odwrzeszczał Luke.

- Mnie tu podoba się, słyszycie, Paul, podoba się, jeszcze jak! Wam też, co?

Przez krótką chwilę - choć wciąż zamartwiał się tamtym policjantem - Luke'owi rzeczywiście mogło się coś podobać, i podobało mu się dalej, gdy wspinali się na przełęcz Kleine Scheidegg i przemknęli przez krąg sodowych świateł przy królującym na niej wielkim hotelu.

Rozpoczął się zjazd. Po lewej, skąpane w świetle księżyca, wznosiły się potężne, kruczoczarne ściany lodowca. Daleko, po drugiej stronie doliny, widzieli światła Mürren i od czasu do czasu, przez gęstwą przyjmującego ich na powrót lasu, płocze światełka Wengen.

## 16.

Dla Luke'a noce i dnie w Wengen, małej alpejskiej miejscowości wypoczynkowej, toczyły się jakimś tajemniczo stałym torem: raz były nie do zniesienia, raz przepełniał je liryczny spokój wakacji, spędzanych wspólnie z rodziną i przyjaciółmi.

Brzydki, zbudowany na wynajem szalet, wybrany przez Olliego, stał w zacisznym miejscu na skraju wsi na trójkątnej działce w widłach pomiędzy dwiema ścieżkami. W miesiącach zimowych przebywali tu zwykle członkowie pewnego klubu narciarskiego z niemieckich nizin, ale w lecie mógł go wynająć każdy, kogo było na to stać, od teozofów z Południowej Afryki przez norweskich rastafarian po biedne dzieci z Zagłębia Ruhry. We wsi nikogo więc nie zdziwiło przybycie dziwnie niedobranej pod względem wieku i narodowości rodziny. Nikt z rzeszy turystów przewijających się przez miejscowość nawet się nie oglądnał - a przynajmniej tak twierdził Ollie, który spędzał liczne wolne chwile, pełniąc wartę za zasłoniętymi oknami na piętrze.

Z domu świat wydawał się niemal niewyobrażalnie piękny. Wystarczyło spojrzeć w dół z górnego piętra, by zobaczyć panoramę sławnej doliny Lauterbrunnen; wystarczyło spojrzeć w górę, by wyrósł przed oczyma lśniący masyw Jungfrau. Z drugiej strony rozciągały się dziewicze pastwiska i zalesione przedgórza. Za to z zewnątrz szalet był architektoniczną próżnią: przepastny, bez charakteru, anonimowy i niewytapiający się w otoczenie, otynkowany na

biało i ozdobiony różnymi pseudowiejskimi detalami, które tylko podkreślały jego podmiejskie aspiracje.

Luke też trzymał wartę. Gdy Ollie wyprawiał się po zapasy i strzępki miejscowych plotek, wypatrywaniem podejrzanych przechodniów zajmował się Luke, specjalista od zamartwiania się. Ale mógł sobie wypatrywać - żadne wścibskie oko nie zatrzymywało się na dwóch małych dziewczynkach, ćwiczących się w skakaniu na nowych skakankach pod kierunkiem Gail lub zbierających pierwiosnki na skraju łąki za domem, które potem przechowywano na wieczność w słoikach po suszonej szalwii, kupowanej przez Olliego w supermarkecie.

Komentarzy nie wywoływała nawet drobna, uróżowana i upudrowana starsza pani w żałobie i ciemnych okularach, przesiadująca na balkonie, nieruchomo jak lalka, z rękoma złożonymi na kolanach. Szwajcarskie miejscowości wypoczynkowe służą takim ludziom gościnnie od początków przemysłu turystycznego. Zabłąkanego przechodnia nie zdziwiłoby też, gdyby zauważył pod wieczór wielkiego mężczyznę w wełnianej czapce narciarskiej, pochylonego nad szachownicą naprzeciw dwóch nastoletnich przeciwników - Perry sędziował, w drugim kącie Gail z dziewczynkami oglądały DVD kupione w Photo Fritz - jeżeli w tym domu nie mieszkali już kiedyś zapaleni szachiści, to chyba tylko przez przypadek. Po co komu wiedzieć i co to kogo obchodzi, że mierząc się z połączonymi siłami umysłów swych wysoce inteligentnych synów, specjalista numer jeden na świecie od prania brudnych pieniędzy wciąż potrafił być górą?

A gdyby następnego dnia zobaczono tych samych młodzieńców w ich starannie dobranych - by się odróżniały - strojach, jak drapią się stromą skalistą ścieżką, prowadzącą z tyłu domu aż na grań Männlichen, popędzani z góry przez Perry'ego - Aleksy przysięga, że w każdej pieprzonej chwili złamie sobie kark, Wiktor twierdzi, że

właśnie samym tylko wzrokiem przepędził dorosłego jelenia, nawet jeśli była to tylko kozica - no, to co w tym takiego niezwykłego? Perry związywał ich liną, żeby od początku uczyli się jak trzeba. Znalazł im odpowiednią przewieszkę, pożyczył buty i kupił liny - a liny, tłumaczył im surowo, to dla wspinacza rzecz osobista i święta równocześnie - i uczył ich, jak zawisać na nich nad przepaścią, nawet jeżeli przepaść miała tylko trzy i pół metra.

Jeśli zaś chodzi o dwie młode kobiety - jedna około szesnastu lat, druga starsza o jakieś dziesięć, obie piękne - wyciągnięte na leżakach i zaczytane pod rozłożystym klonem, któremu jakoś udało się uciec spod buldożera budowniczych - no, to jeżeli było się szwajcarskim samcem, to by się popatrzyło i udało, że się nie patrzy, a jeżeli Włochem, to by się popatrzyło i urządziło owację. Ale żeby zaraz lecieć do telefonu i szeptać przez słuchawkę policji, że widziało się dwie podejrzane kobiety, czytające książki w cieniu klonu?

A przynajmniej tak mówił sobie Luke, tak mówił sobie Ollie, i zgadzali się z nimi - bo co mieli robić? - Gail i Perry, dokooptowani członkowie straży sąsiedzkiej. Co nie oznaczało, że ktokolwiek z nich - nawet obie dziewczynki - mógł do końca zapomnieć o tym, że się ukrywają i że czas ucieka. Więc gdy Katia pytała przy śniadaniu, nad sporządzonymi przez Olliego naleśnikami z bekonem albo z syropem klonowym: „Czy my jedziemy dziś do Anglii?” lub gdy pytanie to powtarzała bardziej jęklonie Irina: „Dlaczego jeszcze nie pojechaliśmy do Anglii?”, to były wyrazicielkami uczuć wszystkich biesiadników, nie wyłączając Luke'a, głównego bohatera wyprawy, z tą swoją prawicą w gipsie po incydencie w hotelu w Bernie.

- Będiesz się procesował z tym hotelem, Paul? - pytał wojowniczo Wiktor.

- Porozumiem się w tej sprawie z moim adwokatem - odpowiadał Luke, rzucając uśmiech Gail.

A co do tego, kiedy dokładnie wyjadą do Londynu: - Wiesz, Katiu, chyba nie dziś, ale może jutro albo pojutrze - zapewniał ją Luke. - Musimy poczekać na wizy. A wszyscy wiemy, jak to jest z aparaczkami, nawet angielskimi, prawda?

\*

Lecz kiedy, ach kiedy?

Luke zadawał sobie to samo pytanie o każdej porze dnia i nocy, na jawie i w półśnie, wraz z nadejściem kolejnych, pośpiesznych wiadomości od Hectora: czasem było to parę oględnych zdań między jednym a drugim zebraniem, czasem cała jeremiada o świcie kolejnego, niemiłosiernie dłużącego się dnia. Zdezorientowany zalewem sprzecznych informacji Luke najpierw ratował się, popełniając śmiertelny grzech zapisywania ich zaraz po otrzymaniu. Zaczerwienionymi końcami palców prawej ręki, wystającymi z gipsu, pracowicie bazgrał swym własnym, nieczytelnym szyfrem na pojedynczych stronach pojedynczych kartek A4, sprowadzanych przez Olliego z miejscowego sklepiku papierniczego.

Korzystał z wyuczonej na szkoleniach sztuczki: wykraść z jednego z obrazków szybkę i pisał, używając jej jako podkładki, dodatkowo wycierając ją do czysta po zapisaniu każdej strony, a następnie ukrywał swe dzieła za zbiornikiem na wodę, na ten mało prawdopodobny wypadek, że Wiktorowi, Aleksemu, Tamarze czy nawet samemu Dimie przyszłoby do głowy przeszukać jego pokój.

Ale gdy częstość i złożoność Hectorowych wiadomości z pierwszej linii frontu zaczęła go oszalać, wymógł na Olliem, by kupił mu dyktafon, bardzo podobny do tego, którego używał Dima, i by podłączył go do jego zaszyfrowanego telefonu komórkowego - według szefów wyszkolenia kolejny grzech śmiertelny, ale dar z niebios

dla kogoś, kto spędza kolejną bezsenłą noc, czekając na kolejny, typowo Hectorowy raport:

- Postawiłem sprawę na ostrzu noża, Luke, ale wygrywamy.
- Pomijam Billy'ego, idę prosto do szefa. Powiedziałem, że sprawa ma być załatwiona w parę godzin, nie w parę dni.
- Szef mówi, żebym gadał z wiceszefem.
- Wiceszef mówi, że bez zgody Billy'ego on też się nie zgodzi. Sam niczego nie podpisze. Musi mieć za sobą całe czwarte piętro albo nic z tego. Powiedziałem mu, żeby się odpierdolił.
- Nie uwierzysz, ale Billy zaczyna się przekonywać. Wierzga jak cholera, ale nawet on nie może zaprzeczać prawdzie, jak się mu ją podtyka wprost pod nos.

A to wszystko w ciągu pierwszej doby od chwili, gdy Luke zrzucił ze schodów kościstego filozofa, który to wyczyn Hector najpierw uznał za przebłysk geniuszu, ale po namyśle stwierdził, że na razie nie będzie tym zawracał głowy wiceszefowi.

- A czy nasz chłopak rzeczywiście zabił Nikiego, Luke? - zapytał Hector całkowicie obojętnym tonem.
- Ma nadzieję, że tak.
- No cóż. Ale ja nic o tym nie wiem, prawda?
- Nic a nic.
- To jacyś dwaj inni goście, wszelkie podobieństwo jest całkowicie przypadkowe. Zgoda?
- Zgoda.

\*

Po południu drugiego dnia głos Hectora był sfrustrowany, ale jeszcze nie całkiem zrezygnowany. Powiedział, że Kancelaria Premiera



orzekła, że jednak musi się zebrać kworum Komisji Uprawnnień. I że Kancelaria upiera się, że Billy Matlock musi znać wszystkie, ale to wszystkie szczegóły operacji, których dotąd Hector nie zdradzał nikomu. Ewentualnie mogą się zgodzić na czteroosobowy zespół roboczy, po jednym przedstawicielu Biura Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Skarbu i Imigracji. Inni członkowie Komisji będą mogli ratyfikować uzgodnienia *post facto*, co według Kancelarii będzie zwykłą formalnością. Hector przyjął te warunki z największą niechęcią. A potem nagle - był już wieczór tego samego dnia - Hector zaczął podnosić głos. Nielegalny dyktafon Luke'a odtwarzał mu ten moment:

H: Skurwiele jakoś się kapnęli. Billy dostał cynk od swoich ludzi w City.

L: Jak to się kapnęli? Niby jak? Przecież myśmy jeszcze nic nie załatwili.

H: Według źródeł Billy'ego z City Komisja Nadzoru Finansowego zamierza zablokować Arenie możliwość otwarcia banku, a wszystko przez nas.

L: Przez nas?

H: Przez Firmę. Wszystkie wielkie instytucje w City wrzeszczą, że krzywda im się dzieje. Trzydziestu niezależnych parlamentarzystów, którym płacą oligarchowie, już pisze chamski list do Sekretarza Skarbu, oskarżając Komisję Nadzoru Finansowego o antyrosyjskie uprzedzenia i żądając natychmiastowego usunięcia tych nieuzasadnionych przeszkód. Ci sami co zawsze lordowie z Izby Lordów rwą się do boju.

L: Przecież to kompletna bzdura!

H: Spróbuj to powiedzieć Komisji Nadzoru Finansowego. Ona wie jedno: banki centralne nie chcą pożyczać sobie nawzajem, choć właśnie na to dostały miliardy państwowych pieniędzy. Aż tu nagle

Arena pojawia się z odsieczą, na białym koniu, i jest gotowa sypać im setki kurewskich miliardów w te ich małe, chciwe łapki. A kogo to obchodzi, skąd te pieniądze? [*Czy to pytanie? Jeśli tak, to Luke nie ma na nie odpowiedzi.*]

H [*nagły wybuch*]: Przecież to nie są nieuzasadnione przeszkody, kurwa mać! Nikt nawet nie zaczął stawiać nieuzasadnionych przeszkód! Jeszcze wczoraj podanie Areny gniło sobie spokojnie w szufladce spraw do załatwienia w KNF. Komisja ani się nie zebrała, ani nie obradowała, dopiero ledwo zaczęli swoje rutynowe sprawdzanie. Ale to nic! Oligarchowie z Surrey walą w bębny, redaktorom gazet finansowych wpiera się, że jeżeli podanie Areny zostanie odrzucone, londyńskie City zbiednieje tak, że znajdzie się daleko za Wall Street, Frankfurtem i Hongkongiem. I czyja to będzie wina? Firmy, którą przywiódł do tego ten skurwiel Hector Meredith!

Kolejna chwila ciszy - tak długa, że Lukę musiał zapytać Hectora, czy jeszcze tam jest, na co usłyszał kąśliwie:

- A myślisz, kurwa, że gdzie?
- No, przynajmniej Billy się z tobą zgadza - podsunął Luke dla pocieszenia, którego jemu samemu brakowało.
- Zmienił kurs o sto osiemdziesiąt stopni, dzięki Bogu - odpowiedział pobożnie Hector. - Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

Luke też nie wiedział.

\*

Billy Matlock - ni stąd, ni zowąd sprzymierzeńcem Hectora? Nawrócony przez Hectora na słuszną sprawę? Świeżo upieczony towarzysz broni? Zmiana kursu o sto osiemdziesiąt stopni? Billy?

A może Billy po prostu chce sobie trochę ograniczyć ryzyko? Nie żeby Billy był zły, zły w sensie niemoralny, tak zły, jak Aubrey Longrigg, nie, za takiego Luke nigdy go nie uważał. Billy to nie geniusz zła, to nie podwójny czy potrójny agent, prowadzący grę między dwoma wrogimi mocarstwami. To zupełnie nie w jego stylu. Billy jest na to zbyt szczerzy.

W takim razie kiedy dokładnie doszło do to nawrócenia i dlaczego? - zastanawiał się Luke. Bo czy nie może być tak, że Billy już zabezpieczył sobie tyły gdzie indziej, a teraz staje frontem do Hectora, dzięki czemu zyskuje dostęp do jego najpilniej strzeżonych tajemnic?

Bo, na przykład, co działo się w głowie Billy'ego, gdy w tanto niedzielne popołudnie wyszedł z lokalu konspiracyjnego w Bloomsbury po tak upokarzającym potraktowaniu? Przepełniała go miłość do Hectora? Czy poważne obawy o własną przyszłość?

Bo jaką to wielką osobę z City w dniach bolesnych rozważań po spotkaniu w Bloomsbury mógł Billy - znany sknera - zaprosić na lunch i zaprzysiąc do dochowania tajemnicy, wiedząc doskonale, że dla tej wielkiej osoby tajemnica to coś, co mówi się jednej osobie w danej chwili? Wiedząc doskonale, że w ten sposób zdobywa sobie przyjaciela na wypadek, gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót?

A z tych wszystkich małych falek, rozchodzących się po mętnych wodach City po wrzuceniu tego jednego, małego kamyczka - kto wie, która z nich dopłynęła do superczujnych uszu wybitnego znawcy City i wschodzącej gwiazdy Parlamentu, Aubreya Longrigga?

Albo Bunny'ego Pophama?

Albo Gilesa de Salis, konferansjera cyrku medialnego?

Albo innych superczujnych Longriggów, Pophamów i de Salisów, gotowych wskoczyć na karuzelę Areny, kiedy tylko zaczną się kręcić?

Tylko że według Hectora karuzela ta jeszcze nawet nie zaczęła się kręcić. To dlaczego już na nią wskakują?

Luke gorąco pragnął podzielić się z kimś swymi myślami, ale jak zwykle nie miał z kim. Gail i Perry byli spoza zakłętego kręgu, Yvonne wyłączona z akcji. A Ollie... No cóż, Ollie to może najlepszy włamywacz w branży, ale żaden Einstein, gdy chodzi o intrygi na najwyższym szczeblu.

\*

Podczas gdy Gail i Perry świetnie wywiązywali się z roli rodziców zastępczych, reżyserów trupy aktorskiej, partnerów do monopolu i przewodników górskich dla dzieci i młodzieży, Ollie i Luke liczyli znaki ostrzegawcze i albo odrzucali je jako nieważne, albo dodawali do wciąż rosnącej listy powodów do zamartwiania się dla Luke'a.

W ciągu jednego przedpołudnia Ollie zaobserwował tę samą parę, która przeszła obok domu dwa razy od północy i dwa razy od południowego zachodu. Kobieta miała raz żółtą chustkę na głowie i zieloną, tyrolską kurtkę, a raz miękki kapelusz od słońca i krótkie spodenki. Ale buty i skarpety były te same, i niosła tę samą laskę alpejską. Mężczyzna miał na sobie najpierw szorty, a potem luźne, panterkowe spodnie, ale tę samą niebieską czapkę z daszkiem i za każdym razem szedł tak samo - z rękoma sztywno spuszczoneymi po bokach, prawie nie poruszając nimi przy każdym kroku.

A Ollie prowadził kiedyś szkolenia z obserwacji, więc trudno było się z nim nie zgodzić.

Poza tym od spotkania Gail i Nataszy ze szwajcarskimi stróżami prawa na Interlaken Ost Ollie przyglądał się czujnie stacji kolejowej w Wengen. Według jednego ze stacyjnych sprzątaczy, z którym Ollie wypił piwko w Barze Eiger, obecność policji w Wengen, zwykle

widoczna jedynie z okazji sporadycznych bójek lub niezbyt energicznych poszukiwań dealerów narkotykowych, zwiększyła się znacznie w ciągu ostatnich kilku dni. Sprawdzano hotelowe księgi meldunkowe, bileterom na stacji kolejki z Lauterbrunnen i dolnych stacjach kolejek linowych pokazywano ukradkiem zdjęcie łysiejącego, brodatego mężczyzny o szerokiej twarzy.

- Ale Dima chyba nie nosił brody, co? Nawet wtedy, kiedy otwierał swoją pierwszą pralnię pieniędzy w Brighton Beach? - zapytał raz Luke'a podczas spokojnej przechadzki po ogrodzie.

Nie tylko nosił brodę, ale i wąsy, przyznał ponuro Luke. Stanowiły część nowej tożsamości, którą przyjął, aby wpuścili go do Stanów. Zgolił je dopiero pięć lat temu.

Oprócz tego - ktoś mógłby to nazwać zbiegiem okoliczności, ale nie Ollie - gdy poszedł do kiosku na stacji po „International Herald Tribune” i miejscową prasę, zauważył tę samą, podejrzaną parę, która kręciła się wokół domu. Siedzieli w poczekalni i gapili się na ścianę. Minęły dwie godziny, ze stacji odeszło w oba kierunki kilka pociągów, a oni wciąż tam tkwili. Ollie miał tylko jedno wytłumaczenie takiego zachowania - nieporozumienie. Grupa obserwacyjna, która miała ich zluzować, spóźniła się na pociąg, więc ta para czekała, aż ich zwierzchnicy zdecydują się, co z nimi zrobić. Albo, biorąc pod uwagę, że obrali sobie pozycję na wprost peronu pierwszego, patrzyli, kto wysiada z pociągów z Lauterbrunnen.

- Poza tym ta miła pani w sklepie z serami zapytała mnie, ile w końcu osób karmię, co nie za bardzo przypadło mi do gustu, ale mogła też mieć na myśli mój nieco za duży brzusek - zakończył, jakby chciał ulżyć Luke'owi, choć dobry humor raczej przychodził im z trudem.

Luke denerwował się też tym, że w ich grupie znajdowało się czworo dzieci w wieku szkolnym. Szwajcarskie szkoły pracują pełną parą, więc dlaczego nasze dzieci nie chodzą do szkoły? To samo

pytanie zadała mu już pielęgniarka w miejscowej przychodni, gdy poszedł na kontrolę z ręką. Głupia odpowiedź, że szkoły międzynarodowe mają teraz przerwę międzysemestralną, nawet jemu wydała się nieprzekonująca.

\*

Do tej pory Luke zmuszał Dimę, by nie wychodził na zewnątrz, na co Dima godził się z wdzięcznością, acz niechętnie. W nimbie chwasty, zyskanym w szamotaninie na schodach Bellevue Palace, z początku wszystko, co Luke robił, było świetne w oczach Dimy. Ale gdy dzień włókł się za dniem, a Luke musiał wynajdywać wymówkę za wymówką, by usprawiedliwić londyńskich aparatczyków, nastrój Dimy przeszedł w opór, a następnie w bunt. Nie wskórawszy nic z Lukiem, przedstawił swe żądania Perry'emu ze swą charakterystyczną otwartością:

- Jak ja chcę wziąć Tamarę na spacer, to ją wezmę - warczał. - Ja widzę piękną górę, ja chcę jej pokazać. Tu nie zasrana Kołyma. Wy to powiedzcie Paulowi, słyszycie, profesor?

Tamara uznała, że musi mieć wózek inwalidzki, by pokonać łagodnie podejście betonową dróżką do ławek z widokiem na dolinę. Wysiano Olliego. Tamara wyglądała jak straszdyłło z ubarwionymi henną włosami, niezdarnie nałożoną szminką i w ciemnych okularach; Dima w kombinezonie i wełnianej czapce narciarskiej prezentował się niewiele lepiej. Na szczęście dla miejscowych, przyzwyczajonych do wszelkich rodzajów ludzkich aberracji, stanowili wręcz idealną starszą parę, kiedy Dima powoli pchał Tamarę pod górę za domem, by pokazać jej wodospady Staubbach i dolinę Lauterbrunnen w pełnej glorii.

A gdy towarzyszyła im Natasza, bo czasem się to zdarzało, szła już nie jako znieawidzone, nieślubne dziecko miłości Dimy, które Tamara chcąc nie chcąc musiała przyjąć pod swój dach, lecz jak kochająca i posłuszna córka, wszystko jedno, rodzona czy adoptowana. Ale Natasza głównie poświęcała się lekturze i starała się znajdować sam na sam z ojcem, tulić się do niego, głaskać po łysinie i całować ją, jakby to on był jej dzieckiem.

Gail i Perry też należeli nierozdzielnie do tej nowo formującej się rodziny: Gail wciąż wymyślała nowe zajęcia dla dziewczynek, prowadząc je do krów na łąkach i do serowarni, by oglądały, jak hebluje się *Hobelkase*, albo podchodząc sarny i wiewiórki w lesie; tymczasem Perry bawił się w uwielbianego przez swych chłopców drużynowego i kanalizował nadmiar ich energii. Dopiero gdy Gail zaproponowała raz poranną partię debła z chłopcami, Perry odmówił, co było bardzo do niego niepodobne. Przyznał się, że po tym strasznym meczu w Paryżu musi dojść do siebie.

\*

Zachowanie w tajemnicy miejsca pobytu Dimy i jego trupy było tylko jednym z coraz liczniejszych zmartwień Luke'a. Wyczekując po nocy w swym pokoju na piętrze na nieregularnie przychodzące wiadomości od Hectora, miał aż za dużo czasu, by zbierać dowody, że ich obecność w wiosce zaczyna zwracać nadmierną uwagę. Spędzał długie bezsenne godziny na wymyślaniu teorii spiskowych, które z nadejściem ranka wydawały się niepokojąco rzeczywiste.

Martwił się o swojego Brabazona - martwił się, czy skrupulatny Herr Direktor z Bellevue nie skojarzył już dokonanych przez Brabazona oględzin hotelu z dwoma pobitymi Rosjanami u stóp schodów i czy rozpoczęte w tym punkcie wyjściowym śledztwo nie doprowadziło

policji do pewnego BMW, zaparkowanego pod bukiem przy stacji kolejowej Grindelwald Grund.

Najbardziej drastyczny scenariusz, częściowo zainspirowany bez-troską rekonstrukcją zdarzeń dokonaną przez Dimę w samochodzie, przebiegał w sposób następujący:

Jednemu z ochroniarzy - zapewne kościstemu filozofowi - udaje się dowlec po schodach na górę i załomotać w zamknięte drzwi.

W dodatku może domysły Olliego na temat szczegółów funkcjonowania elektronicznego zabezpieczenia wyjścia awaryjnego okazały się mniej szczegółami, a bardziej domysłami.

Tak czy inaczej wszczęto alarm, a wiadomość o zajściu dotarła do uszu lepiej poinformowanych gości wydanego przez Arenę *apéro* w Salon d'Honneur: zaatakowano ochroniarzy Dimy, Dima zniknął.

Teraz wszystko zaczyna dziać się równocześnie. Emilio dell Oro powiadamia Siedmiu Czystych Przedstawicieli, którzy chwytają swe komórki i powiadamiają swych *worskich* braci, ci zaś z kolei powiadamiają Księcia na zamku.

Emilio powiadamia swych znajomych szwajcarskich bankierów, którzy z kolei powiadamiają swoich znajomych na szczytach szwajcarskiej administracji państwowej, nie wyłączając policji i służb bezpieczeństwa, których najważniejszym obowiązkiem jest ochrona reputacji świętych szwajcarskich bankierów i aresztowanie każdego, kto chciałby ją zszargać.

Emilio dell Oro powiadamia też Aubreya Longrigga, Bunny'ego Pophama i de Salisa, którzy powiadamiają każdego, kogo zwykle powiadamiają (patrz poniżej).

Ambasador rosyjski w Bernie otrzymuje z Moskwy pilne instrukcje, na których pilność wpłynął Książę. Ambasador ma domagać się uwolnienia ochroniarzy, zanim zaczną śpiewać, oraz - znacznie



energiczniej - znalezienia Dimy i natychmiastowego odtransportowania go do ojczystego kraju.

Władze szwajcarskie, które do tej pory z przyjemnością dawały schronienie bogatemu finansście Dimie, wszczynają ogólnokrajowe poszukiwania zbiegłego przestępcy Dimy.

Ale i w tej smutnej opowieści jest coś niezrozumiałego - coś, czego Luke nie potrafi odgadnąć mimo najszerszych chęci. *Na podstawie jakich zbiegów okoliczności, podejrzeń lub konkretnych informacji po drugiej uroczystości podpisania dwaj ochroniarze pojawili się w hotelu Bellevue Palace? Kto ich przystał? Z jakimi instrukcjami? I dlaczego?*

Albo, inaczej mówiąc: *czy Księżę i jego bracia już wtedy - podczas drugiego podpisania - mieli powody przypuszczać, że Dima zamierza złamać swe najświętsze worskie słowo i zostać największą suką wszechczasów?*

Tylko że gdy Luke próbuje podzielić się tymi obawami z Dimą - może tylko w nieco oględniejszej formie - ten lekceważy je kompletnie. Hector też nie chce go słuchać:

- Jak będziesz tak myślał, to od początku mamy przesrane. - Prawie krzyczy.

\*

Przeprowadzić się? Czmychnąć nocą do Zurychu, Bazylei, Genewy? I tak naprawdę - po co? Żeby zostawić za sobą gniazdo os: zdumionych sklepikarzy, gospodarzy, agentów nieruchomości, wszystkich wioskowych plotkarzy?

- Jak jesteś zainteresowany, mogę ci załatwić parę spluw - zaproponował Ollie, czyniąc jeszcze jedną i znów nieudaną próbę poprawienia Luke'owi humoru. - Z tego co słyszałem, nie ma takiego domu we wsi, który nie byłby ich pełny, bo nikt tu nie przejmuje

się nowymi przepisami. Trzymają je na wszelki wypadek, jakby weszli Rosjanie. No i co, mają tu Rosjan, i nawet o tym nie wiedzą.

- Miejmy nadzieję - odpowiedział Luke z dzielnym uśmiechem.

\*

Dla Gail i Perry'ego ich codzienna egzystencja miała w sobie coś sielankowego, coś - jakby to tęsknie powiedział Dima - czystego. Zupełnie jakby znaleźli się na jakiejś daleko wysuniętej placówce cywilizacji z misją i obowiązkiem zajęcia się tymi, którzy tego od nich oczekiwali.

Kiedy Perry nie biegał po górach z chłopcami - Luke błagał go, by chodzili nieuczęszczanymi szlakami, Aleksy przekonał się, że jednak nie ma lęku wysokości, tylko po prostu nie cierpiał Maksa - przechadzał się po zmroku z Dimą albo siedział z nim na ławce na skraju lasu i przyglądał się, jak Dima patrzy gniewnie w dolinę z takim samym napięciem, jak wtedy, gdy w ciasnym, rozchwierutanim gnieździe bocianim w Trzech Kominach urwał swój monolog i patrzył w ciemność, a potem wytarł wierzch dłoni o usta, pociągnął łyk wódki i wciąż patrzył gniewnie. Czasem upierał się, że chce zostać w lesie sam ze swoim dyktafonem - wtedy Ollie i Luke trzymali z daleka utajnioną straż w lesie. Ale dla własnego zabezpieczenia kasety przechowywał u siebie.

Perry zauważył jednak, że te wszystkie dni - niezależnie ile ich było - postarzyły Dimę. Być może dopiero teraz zaczynał uzmysławiać sobie wszystkie konsekwencje własnej zdrady. Być może teraz, zapatrzony w wieczność lub konspiracyjnie szepcząc w dyktafon, szukał jakiegoś wewnętrznego pogodzenia się z samym sobą. To sugerowałaby jego demonstracyjna troskliwość o Tamarę. Być może drogę do niej ułatwiły mu *morskie* poglądy na religię:

- Moja Tamara, jak ona umrze, Bóg już będzie głuchy, bo ona tak ciągle się do niego modli - zauważył z dumą, pozostawiając Perry'ego z przekonaniem, że był znacznie mniej pewny własnego zbawienia.

Perry nie mógł nadziwić się cierpliwości, jaką wykazywał względem niego Dima, która zdawała się rosnać w odwrotnej proporcji do pogardy, jaką żywił do półobietnic Luke'a, które, ledwo uczynione, były zaraz z ubolewaniem wycofywane.

- Wy nie bójcie się, profesor. Któregoś dnia wszyscy będziemy szczęśliwi, słyszycie? Bóg załatwi całe to gówno - tłumaczył, spacerując po ścieżce z ręką wspartą gestem posiadacza na ramieniu Perry'ego. - Wiktor i Aleksy uważają was za jakiegoś zasranego gieroja. Może kiedyś zrobią z was *wora*.

Perry'ego nie oszukał ryk śmiechu, który nastąpił po tej propozycji. Już od wielu dni zdawał sobie sprawę, że zaczyna być spadkobiercą długiej linii silnych, męskich przyjaźni Dimy: zmarłego Nikity, który uczynił go mężczyzną; zamordowanego Miszy, jego ucznia, którego ku swej hańbie nie umiał ochronić; i wszystkich tych walecznych, żelaznych mężczyzn, którzy rządili nim podczas kołymskiego wyroku i gdzie indziej.

\*

Za to niespodziewana nominacja Perry'ego na nocnego spowiednika Hectora była jak piorun z jasnego nieba. Zdawał sobie sprawę, podobnie jak Gail - i Luke nie musiał im nic mówić, wystarczyły jego codzienne wykręty - że sprawy w Londynie nie idą tak gładko, jak przewidywał Hector. Odgadywali to z mowy ciała Luke'a - choć krył się z tym, jak mógł - i z tego, że i jemu dawało się we znaki to emocjonalne napięcie.

Więc kiedy pewnego ranka komórka Perry'ego zanuciła mu w ucho swą zaszyfrowaną melodię, sprawiając, że natychmiast usiadł wyprostowany na łóżku - podczas gdy Gail nawet nie czekała, by dowiedzieć się, kto dzwoni, tylko pobiegła sprawdzić, czy dziewczynki jeszcze śpią - jego pierwszą myślą na dźwięk głosu Hectora było, że zostanie poproszony, by podnieść Luke'a na duchu, lub - i tego znacznie bardziej sobie życzył - o odegranie bardziej aktywnej roli w przrzuceniu Dimów do Anglii.

- Milton, będzie ci bardzo nie na rękę, jeżeli chwilę z tobą pogadam?

Czy to naprawdę głos Hectora? - czy tylko nagranie na dyktafonie, któremu wyczerpują się baterie?

- Gadaj śmiało.

- Jest taki polski filozof, którego czytam od czasu do czasu.

- Jak się nazywa?

- Kołakowski. Pewnie o nim słyszałeś.

Perry słyszał, ale nie uznał za stosowne się do tego przyznawać.

- No i co ten Kołakowski? - Czy Hector się spił? Czy przesadził z jednosłodową whisky z wyspy Skye?

- Ten Kołakowski miał bardzo zasadnicze poglądy na dobro i zło. I ja zaczynam je teraz podzielać. Zło to zło, i kropka. W żaden sposób nie zależy od uwarunkowań społecznych. Od tego, czy ktoś jest biedny, czy ktoś jest narkomanem, czy co tam jeszcze. Zło jest absolutnie i całkowicie odrębną, ludzką sprawą. - Długie milczenie. - Jestem ciekawy, co ty o tym myślisz.

- John, dobrze się czujesz?

- Bo wiesz, ja go tak sobie podczytuję. Jak mam jakąś gorszą chwilę. Tego Kołakowskiego. Dziwię się, że o nim nie słyszałeś. On miał takie prawo. Całkiem niezłe w tej sytuacji.

- A co się stało, że teraz masz właśnie gorszą chwilę?

- Nazwał je prawem rogu obfitości. Po naszymu to się nazywa *The Law of Infinite Cornucopia*. Nie wiadomo, czy chodziło mu o jedyne możliwe prawo rogu obfitości, czy po prostu źle napisał po angielsku, bo wiesz, Polacy nie mają przedimka określonego. Nieokreślonego też nie. To zresztą wiele tłumaczy, ale pies z nimi. W tym całym prawie chodzi o to, że każde zdarzenie można wytłumaczyć na nieskończenie wiele sposobów. Ile bądź. A teraz przełożę to na język, który obaj rozumiemy: nigdy nie wiadomo, który skurwiel załatwi człowieka i dlaczego. Pomyślałem sobie, że to w sumie dość pocieszające w tej sytuacji. Nie uważasz?

Gail wróciła. Stała w drzwiach i słuchała.

- Gdybym wiedział, co się dzieje, może potrafiłbym lepiej to ocenić - powiedział Perry, mówiąc teraz również do Gail. – Czy ja mogę w czymś pomóc? Bo chyba jesteś trochę padnięty.

- Wydaje mi się, że już pomogłeś, stary. Dzięki za radę, Milton. Do zobaczenia rano.

Do zobaczenia?

- Jest tam ktoś z nim? - zapytała Gail, wracając do łóżka.

- Nie powiedział.

Według Olliego żona Hectora, Emily, wyprowadziła się od niego z Londynu po wypadku Adriana. Woląta szwedzki domek w Norfolku, bo miała stamtąd bliżej do więzienia.

\*

Luke stoi sztywno przy swoim łóżku z komórką przy uchu i kablem od Olliego, łączącym ją z dyktafonem umieszczonym na umywalce. Jest czwarta trzydzieści po południu. Hector nie dzwonił cały dzień, SMS-y Luke'a pozostawały bez odpowiedzi. Ollie poszedł do sklepu po świeże pstrągi i po *Wienerschnitzel* dla Katii, która nie lubi

ryb. I po frytki domowej roboty dla wszystkich. Ostatnio jedzenie to bardzo ważny temat. Posiłki są celebrowane, bo każdy z nich może być ostatnim spożywanym wspólnie. Niektóre poprzedzane są długą modlitwą po rosyjsku, szeptaną przez Tamarę, co chwila się przy tym żegnającą. Kiedy indziej, choć wszyscy czekają, żeby zrobiła swoje, ona odmawia, najwyraźniej dając do zrozumienia, że towarzystwo nie jest godne łaski boskiej. Tego popołudnia, by czymś wypełnić bezczynne godziny oczekiwania na kolację, Gail postanowiła zabrać dziewczynki do Trümmelbach, by pokazać im straszliwe wodospady, spadające z łoskotem wewnątrz góry. Perry'emu nie za bardzo podoba się ten plan. Prawda, Gail weźmie komórkę, ale przecież nie będzie miała zasięgu w środku góry.

Gail jest niewzruszona. Idą i już. Łąki rozbrzmiewają dźwiękiem krowich dzwonek. Natasza czyta pod klonem.

- No to proszę bardzo - mówi Hector głosem twardym jak skała. - Oto ta cała pieprzona, ponura historia. Słuchasz?

## 17.

Luke słucha. Z pół godziny robi się czterdzieści minut. Pieprzona, ponura historia - dobre określenie.

Potem, ponieważ nie ma pośpiechu, odsłuchuje wszystko jeszcze raz, przez następne czterdzieści minut, leżąc na łóżku. Historia jest krótka. To sztuka, dość zawikłana sama w sobie - dopiero okaże się, czy komedia, czy tragedia. Dziś o ósmej rano Hector Meredith i Billy Matlock zostali postawieni przed zwołaną w trybie doraźnym ławą przysięgłych w wielopokojowym biurze wiceszefa na czwartym piętrze. Odczytano im oskarżenie. Oto parafraza Hectora, która w jego przekazie ozdobiona była pochodzącymi od niego wulgaryzmami:

- Wice powiedział, że wezwał go Sekretarz Kancelarii Premiera i przedstawił mu pewną sprawę: mianowicie niejaki Billy Matlock i niejaki Hector Meredith spiskują wspólnie, by zszargać reputację niejakiego Aubreya Longrigga, członka Parlamentu, grubą rybę City i ulubionego lizusa oligarchów z Surrey, co ma być zemstą za krzywdy, jakich oskarżeni jakoby doznali niegdyś od wspomnianego Longrigga: tzn. że Billy chce się na nim odgryźć za całe gówno, w jakim Aubrey wytarzał go w czasie ich wzajemnych podchodów na czwartym piętrze; a ja za to, że Aubrey chciał doprowadzić do ruiny moje rodzinne przedsiębiorstwo, a potem przejąć je za friko. Sekretarz Kancelarii Premiera widzi tę sprawę tak, że „nasze osobiste zaangażowanie uniemożliwia nam operacyjny ogląd sytuacji”. Słuchasz dalej?

Luke słucha dalej. A żeby jeszcze lepiej słuchać, siada teraz na krawędzi łóżka, oburącz trzymając się za głowę i kładąc dyktafon obok siebie na kołdrze.

- Po czym ja, jako główny inspirator spisku mającego na celu załatwienie Aubreya, zostaję poproszony o wytłumaczenie mojego stanowiska.

- John?

- Paul?

- A jaki niby ma być związek między załatwieniem Aubreya, nawet jeżeli wam obu rzeczywiście by o to chodziło, ze sprowadzeniem naszego chłopaka z rodziną do Londynu?

- Dobre pytanie. Odpowiem ci na nie w tym samym duchu.

Luke jeszcze nigdy nie miał do czynienia z Hectorem, gdy ten był tak wściekły.

- Otóż według wice mówi się, że nasza Firma zamierza zaprezentować na forum publicznym jakiegoś informatora, który skutecznie zdyskredytuje bankowe aspiracje konglomeratu Arena. Czy muszę się tutaj rozwodzić nad tym, co wiceszef łaskaw był określić jako „szersze tło”? Wspaniały, zbawicielski, rosyjski bank, który wyklada na stół miliardy dolarów, a jak będzie trzeba, to jeszcze więcej, i obiecuje nie tylko wypuścić te wszystkie i jeszcze więcej miliardów na nasz złakniony gotówki rynek, ale jeszcze zainwestować w największe dinozaury przemysłu brytyjskiego. I właśnie kiedy dobra wola naszego zbawiciela ma się zrealizować, jakieś dupki z wywiadu chcą wszystko zepsuć, moralizatorsko trując o jakichś przestępczych dochodach.

- Powiedziałeś, że zostałeś poproszony o wytłumaczenie swojego stanowiska. - Luke słyszy własny głos, przypominający o tym Hectorowi.

- I tak też uczyniłem. Muszę przyznać, że całkiem ładnie. Przywaliłem mu wszystkim, co wiedziałem. A czego ja nie powiedziałem,



to dopowiedział Billy. I od słowa do słowa, sam byś się zdziwił, wice zaczął nadstawiać uszu. Niełatwa rola dla kogoś, komu własny szef każe schować głowę w piasek, ale w końcu zachował się jak należy. Wywalił wszystkich z pokoju, zostawił tylko nas dwóch i wysłuchał wszystkiego od początku. Jeszcze raz.

- Ciebie i Billy'ego?

- Bo Billy jest teraz po naszej stronie i walczy za nas jak lew. Nawrócił się jak na drodze do Damaszku, lepiej późno niż wcale.

Luke szczerze w to wątpi, ale z litości postanawia się do tego nie przyznawać.

- To na czym teraz stoimy? - pyta.

- Teraz jesteśmy w punkcie wyjścia. Sprawa załatwiona oficjalnie-nieoficjalnie. Billy się zgadza, czarter samolotu idzie na mój rachunek. Masz gotowy ołówek?

- Pewnie, że nie!

- To słuchaj. Teraz zrobimy tak, i już nie oglądamy się za siebie.

\*

Słucha dwa razy, po czym uświadamia sobie, że tak naprawdę zbiera się na odwagę, by zadzwonić do Eloise, więc dzwoni. Mówi jej: całkiem możliwe, że niedługo będę w domu, nawet już jutro wieczorem. Eloise na to, żeby zrobić, jak uważa. Luke pyta o Bena. Eloise mówi, że u Bena wszystko w porządku, dziękuję. Luke zauważa, że idzie mu krew z nosa i kładzie się do łóżka aż do kolacji, po której musi odbyć krótką rozmowę z Perrym.

Perry siedział właśnie na werandzie i ćwiczył wiązanie węzłów z Aleksym i Wiktorem.

- Masz minutkę?

Luke prowadzi Perry'ego do kuchni, gdzie Ollie zmaga się z upartą frytkownicą, która za żadne skarby nie chce osiągnąć odpowiedniej

temperatury, żeby wyszły dobre frytki.

- George, możesz ulotnić się na chwilkę?

- Nie ma problemu, Paul.

- Dzięki Bogu nareszcie świetna wiadomość - zaczął Luke po wyjściu Olliego. - Hector załatwił, że jutro od jedenastej wieczór czasu londyńskiego czeka na nas w Belp mały samolot. Trasa Belp-Northolt. Ma wszelkie pozwolenia: start, lądowanie, wzięcie i wysadzenie pasażerów. Jak tylko się ściemni, zawieziemy Dimę terenówką przez góry do Grund, a stamtąd prosto do Belp. Jak tylko wylądujemy w Northolt, zabiorą go na melinę, a jak tylko powie im to, co mówi, że ma do powiedzenia, zatwierdzą go oficjalnie i można będzie ściągnąć resztę rodziny.

- Jak powie? - powtórzył Perry, pytając przechylając podłużną głowę na bok w sposób, który wydał się Luke'owi szczególnie denerwujący.

- No, przecież powie, nie? Wiemy, że powie. Innej możliwości nie ma - ciągnął Luke, skoro Perry nic nie powiedział. - Nasi panowie z Whitehall nie chcą mieć na karku całej rodziny, póki się nie przekonają, że Dima jest coś wart. - A gdy Perry wciąż nic nie mówił: - Hector nie mógł utargować nic więcej, bo wszystko musi być na razie nieoficjalne. Niestety, to wszystko.

- Nieoficjalne - powtórzył wreszcie Perry.

- Niestety. Taka jest sytuacja.

- Myślałem, że zależy nam na konkretnych ludziach.

- Bo zależy - odparł Luke ze złością. - I dlatego właśnie Hector chce, żebyś ty powiedział wszystko Dimie. Uważa, że lepiej będzie, jeżeli usłyszysz to od ciebie, nie ode mnie. Ja jestem tego samego zdania. Sugeruję, żebyś nie mówił mu teraz. Zupełnie wystarczy, jak powiesz mu jutro, tak gdzieś pod wieczór. Lepiej żeby się tym nie zamartwiał przez całą noc. Proponuję około szóstej, żeby zdążył się przygotować.

Czy on nie mógłby jakoś zareagować? - zastanawiał się Luke. Jak długo mam wytrzymać ten jego krzywy wzrok?

- A jeśli nie powie tego, co chcę usłyszeć? - zapytał Perry.

- Na razie o tym nie myślimy. Robimy krok po kroku. Niestety, tak się załatwia takie sprawy. Nigdy nie ma pewności. - Po czym mała wpadka, której natychmiast pożałował. - To nie jakaś akademicka dyskusja. U nas się działa.

- Muszę porozmawiać z Hectorem.

- Powiedział, że dokładnie to powiesz. Czeka na twój telefon.

\*

Perry wspinał się samotnie ścieżką do lasu, którą wielokrotnie chodził z Dimą. Doszedł do jednej z ławek, dłonią wytarł z niej wieczorną rosę, usiadł i odczekał, by zebrać myśli. W dole, w oświetlonym domu, widział Gail, czworo dzieci i Nataszę, siedzących w kółko nad położoną w środku planszą do monopoli. Usłyszał oburzony pisk Katii, potem gniewne warknięcie Aleksego. Wygrzebał z kieszeni komórkę i długo gapił się na nią w mroku, nim przycisnął klawisz skrótu do Hectora i natychmiast usłyszał jego głos.

- Chcesz upiększoną wersję czy bolesną prawdę?

To był dawny Hector, ten, którego uwielbiał, ten sam, który potrafił przekonać go w lokalu konspiracyjnym w Bloomsbury.

- Niech będzie bolesna prawda.

- Proszę bardzo. Jak przywieziemy naszego chłopaka, wysłuchają go i podejmą decyzję. Nic więcej od nich uzyskać nie mogę. Wczoraj nawet tego nie mogłem od nich wydębić.

- Od nich?

- Od władz. Takich nich. A ty myślisz, kurwa, że od kogo?  
Jak im się nie spodoba, wyrzucą go z powrotem za drzwi.

- Jakie drzwi?

- Pewnie za rosyjskie. A co za różnica? Chodzi o to, że on im się spodoba. Ja to wiem i ty to wiesz. Jak już się na niego zdecydują, co nie potrwa dłużej niż dzień, może dwa, zdecydują się na cały kram: żona, dzieci, dzieci kumpla, pies, jeżeli ma psa...

- Nie ma.

- Najważniejsze, że w zasadzie zgadzają się na wszystko.

- W zasadzie?

- Daj spokój, dobrze? Od rana słucham, jak przedukowane dupki z Whitehall dzielą włos na czworo, mam dość. Jest *deal*. Jeżeli tylko nasz chłopak da nam, czego od niego chcemy, reszta załatwi się sama. Taką dostałem od nich obietnicę i muszę im wierzyć.

Perry zamknął oczy i zaczerpnął górskiego powietrza.

- Czego ode mnie chcesz?

- Tylko tego, co robisz od samego początku. Żebyś wyrzekł się swych szlachetnych zasad dla większego dobra. Żebyś go odpowiednio nastawił. Bo jak mu powiesz, że tylko „może”, to nie przyjedzie. Jeżeli mu powiesz, że przystajemy na jego warunki bez zastrzeżeń, ale że chwilę potrwa, zanim będzie mógł sprowadzić kochaną rodzinkę, przyjedzie. Jesteś tam jeszcze?

- No, jestem.

- Powiedz mu prawdę, ale wybiórczo. Bo jak dasz mu pretekst, żeby pomyślał, że nie gramy z nim czysto, to się go uchwyci. Bo my może jesteśmy angielskimi dżentelmenami od *fair play*, ale jesteśmy też perfidne, albionskie ścierwa. Dotarło, czy jak grochem o ścianę?

- Dotarło.

- To powiedz mi, że nie mam racji. Powiedz mi, że źle go oceniam. Powiedz mi, że masz lepszy plan. Jak nie ty, to nikt. To twoja najpiękniejsza godzina. Jak tobie nie uwierzy, to nie uwierzy nikomu.

\*

Leżeli w łóżku. Gail, na wpół uśpiona, prawie nic nie mówiła.

- W jakiś sposób sprawa wymknęła mu się z rąk - powiedział Perry.

- Hectorowi?

- Tak uważa.

- Może to od początku nie była jego sprawa - podsunęła Gail. A po chwili: - Zdecydowałeś się już?

- Nie.

- A ja myślę, że już się zdecydowałeś. Ja uważam, że brak decyzji to też decyzja. Uważam, że się zdecydowałeś i właśnie dlatego nie możesz zasnąć.

\*

Był wieczór następnego dnia, za kwadrans szósta. Serowe fondue Olliego zostało pochwalone i sprząnięte. Dima i Perry zostali sami w jadalni; stali twarzą w twarz pod żyrandolem z wielokolorowych metali. Luke taktownie poszedł na spacer po wiosce. Dziewczynki za radą Gail po raz kolejny oglądały *Mary Poppins*. Tamara wyniosła się do salonu.

- Aparatczycy nie mogą nam dać nic więcej - powiedział Perry.  
- Ty jedziesz dziś w nocy do Londynu. Rodzina dojedzie za parę dni. Aparatczycy chcą, żeby tak było. Muszą stosować się do reguł. Bo mają reguły na wszystko. Nawet na to.

Mówi krótkimi zdaniami i wypatruje choćby najmniejszych zmian na twarzy Dimy - choćby odrobiny sympatii, przebłysku zrozumienia, choćby nawet oporu - ale twarz, do której przemawia, jest nieodgadniona.

- Chcą, żebym ja przyleciał sam?

- Nie sam. Paul poleci z tobą do Londynu. Jak tylko formalności zostaną załatwione i aparaczczyki zrobią to, czego wymagają reguły, wszyscy jedziemy za tobą do Anglii. A Gail zajmie się Nataszą - dodał, usiłując uspokoić Dimę co do tego, o co troszczył się najbardziej.

- A co, ona chora, moja Natasza?

- Mój Boże, nie. Nie chora! Jest młoda. Jest piękna. Pełna temperamentu. Czysta. Chodzi tylko o to, że w obcym kraju trzeba będzie się nią opiekować.

- Koniecznie - zgadza się Dima, kiwając łysiną na potwierdzenie. - Koniecznie. Ona tak piękna jak jej matka.

A potem gwałtownie szarpnął głową w bok i w dół, jakby zaglądał w głąb lęków czy wspomnień, do których Perry nie miał wstępu. Czy on wie? Czy Tamara już mu powiedziała w przyływie szczerości albo zapomnienia? Czy Dima, wbrew wszelkim oczekiwaniom Nataszy, wziął jej tajemnice i cierpienie na siebie, zamiast pędzić na poszukiwanie Maksa? Dla Perry'ego jedno było pewne: zamiast wybuchu wściekłości i odmowy, na które się nastawiał, miał do czynienia z budzącym się właśnie uczuciem rezygnacji u więźnia, który wie już, że nie pokona biurokratycznej maszyny władzy. I ta świadomość wstrząsnęła Perrym znacznie mocniej, niż najgwałtowniejszy nawet wybuch.

- Za parę dni, tak? - powtórzył Dima, ale zabrzmiało to jak dożywotni wyrok.

- Mówią, że za parę dni.

- John tak mówi? Że za parę dni?

- Tak.

- On dobry chłop, ten John, tak?
- Wydaje mi się, że tak.
- Paul też dobry chłop. Mało nie zabił tamtego skurwiela.

Razem trawili tę myśl.

- A Gail, ona zaopiekuje się moją Tamarą?
- Gail zajmie się twoją Tamarą. Bardzo troskliwie. I chłopcy jej pomogą. Ja też tu będę. Wszyscy zaopiekujemy się twoją rodziną, dopóki nie przyjadą do Anglii. A tam zresztą też.

Dima zastanowił się chwilę. Widać było, że uczeplił się tej myśli.

- Moja Natasza pójdzie do Roedean School?
- Może nie do Roedean. Tego obiecać nie mogą. Może gdzie indziej, gdzie będzie jeszcze lepiej. Znajdziemy dobre szkoły dla wszystkich. Wszystko będzie dobrze.

Razem malowali sobie ten fałszywy obraz. Perry dobrze o tym wiedział. Dima chyba też, i chyba nawet sprawiało mu to przyjemność, bo pochylił plecy i wypiął piers, a twarz rozjaśniła mu się tym delfinim uśmiechem, który Perry zapamiętał z ich pierwszego spotkania na korcie na Antigui.

- Wy lepiej szybko ożeńcie się z tą dziewczyną, profesor. Słyszycie?
- Dostaniesz zaproszenie.
- Warta wiele wielbłądów - mruknął i uśmiechnął się z własnego kawału. W oczach Perry'ego nie był to uśmiech porażki, lecz upływającego czasu, jakby znali się obaj przez całe życie. A Perry powoli zaczynał wierzyć, że właśnie tak długo się znają.
- Zagrać kiedyś ze mną na Wimbledonie?
- Pewnie. Albo w Queen's. Tam nawet ciągle jestem członkiem.
- I nie będziecie grzeczni, okej?
- Nie będę.
- Chcecie się założyć? Żeby było ciekawiej?

- Nie stać mnie. Bo mógłbym przegrać.
- Tchórzycie, tak?
- No niestety.

Potem uścisk, którego się tak bał, przeciągające się w nieskończoność uwięzienie przez wielki, wilgotny, drżący tors, i jeszcze raz, i jeszcze. Ale gdy odsunęli się od siebie, Perry zobaczył, że z twarzy Dimy uleciało życie, a z piwnych oczu światło. A potem Dima obrócił się na pięcie jak na rozkaz i pomaszerował do pokoju, gdzie czekała na niego Tamara i zgromadzona wokół niej reszta rodziny.

\*

Nie było nawet mowy o tym, by Perry mógł lecieć do Anglii z Dima, ani tej nocy, ani żadnej innej. Luke wiedział o tym od początku i tak naprawdę nie musiał zadawać tego pytania Hectorowi, by uzyskać w odpowiedzi stanowcze „nie”. Bo gdyby z jakiegoś nieprzewidywanego powodu odpowiedź brzmiała „tak”, Luke sam by ją oprotestował: eskortowanie ważnych defektorów przez niewyszkolonych, pełnych entuzjazmu amatorów po prostu nie godziło się z jego profesjonalizmem.

Więc nie tyle z współczucia dla Perry'ego, ile z czysto operacyjnych względów Luke zgodził się, by Perry towarzyszył im w drodze na lotnisko Berne-Belp. Musiał przyznać z niechęcią, że kiedy zabiera się ważne osobowe źródło informacji z łona rodziny i przekazuje się je bez żadnych gwarancji do dyspozycji własnej Firmy, to owszem: lepiej dać źródłu na otarcie łez towarzystwo ulubionego opiekuna.

Ale jeżeli Luke spodziewał się rozpaczliwych scen pożegnalnych, to zostało mu to oszczędzone. Zapadł zmrok. W domu było cicho, jak makiem zasiał. Dima sprowadził Nataszę i obu synów na werandę i tam do nich przemówił, podczas gdy Perry i Luke czekali



dyskretnie w sieni, a Gail z rozmysłem znowu oglądała *Mary Poppins* z dziewczynkami. Na spotkanie z londyńskimi dżentelmenami-szpiegami Dima założył swój garnitur w niebieski prążek. Natasza wyprasowała mu najlepszą koszulę, Wiktor wypucował mu włoskie buty - Dima martwił się o nie: co będzie, jeżeli ubrudzą się w drodze do miejsca, gdzie Ollie zaparkował terenówkę? Ale tu nie docenił Olliego, który na jazdę przez góry przygotował nie tylko koce, rękawice i grube wełniane czapki, ale również parę nakładanych gumowych kaloszy w odpowiednim rozmiarze, które już czekały na Dimę w sieni. A Dima musiał chyba powiedzieć rodzinie, żeby za nim nie szła, bo pojawił się sam, a wyglądał tak żywo i tak beztrosko jak wtedy, gdy stanął w wahadłowych drzwiach hotelu Bellevue Palace z Aubreyem Longriggiem u boku.

Na jego widok serce Luke'a urosło tak, jak jeszcze nigdy od czasów Bogoty. Oto nasz koronny świadek - a drugim będzie sam Luke. Luke będzie świadkiem A, ukrytym za parawanem albo po prostu Lukiem Weaverem bez parawanu. A potem będzie pariasem, podobnie jak Hector. Ale między innymi dzięki niemu przyskrzyni się Aubreya Longrigga i jego wesołych kompanów, i do diabła z pięcioletnim kontraktem w centrum szkolenia i dogodnie usytuowanym eleganckim domem, morskim powietrzem i dobrymi szkołami dla Bena, podwyższoną emeryturą i wynajęciem komuś, a nie sprzedaniem domu w Londynie. Wreszcie przestanie mylić rozwiązłość seksualną z wolnością. Tak bardzo postara się wszystko naprawić z Eloise, aż ona mu uwierzy. Wreszcie rozegra do końca wszystkie partie szachów z Benem i znajdzie pracę, z której będzie wracał do domu o rozsądnej porze i będzie miał prawdziwe weekendy, bo przecież, na litość boską, ma dopiero czterdzieści trzy lata, a Eloise jest jeszcze przed czterdziestką.

I dlatego Luke zrównał krok z Dimą z poczuciem, że coś się kończy i coś zaczyna, cała trójka zaś zrównała krok z Olliem, by razem

zejść do gospodarstwa, gdzie czekała na nich terenówka.

\*

Z całej jazdy zapalony wspinacz Perry zachował z początku bardzo mgliste wspomnienia: ukradkowy podjazd przez las pod Kleine Scheidegg w świetle księżyca. Prowadził Ollie, przy nim siedział z przodu Luke, a wielkie cielsko Dimy pchało się miękko w bark Perry'ego za każdym razem, gdy Ollie pokonywał kolejną serpentynę, bo Dima nie chciał zapiąć pasów, wołał, żeby nim rzucało. Tak, oczywiście: przybliżający się widmowy, czarny cień północnej ściany Eigeru był jednak dla Perry'ego symboliczny - mijając pośrednią stacyjkę Alpiglen, patrzył w zachwycie na oświetlonego przez księżyc Białego Pająka, obmyślał, jaką wybrać drogę i obiecywał sobie, że jako ostatni przejaw niezależności przed małżeństwem z Gail musi spróbować tutaj swych sił.

Tuż przed dotarciem na grzbiet Scheidegg Ollie całkowicie wygasił światła terenówki - przedtem jechał na światłach mijania - więc jak złodzieje przekradli się przed bliźniaczymi bryłami wielkiego hotelu. W dole pojawiła się łuna Grindelwaldu. Rozpoczął się zjazd, wjechali w las i zobaczyli mrugające do nich wśród drzew światelka Brandegg.

- Teraz już bita droga - zawołał przez ramię Luke, na wypadek gdyby Dima dotkliwie odczuwał skutki wyboistej jazdy.

Ale Dima albo nie usłyszał, albo było mu wszystko jedno. Odrzucił głowę do tyłu i wsunął dłoń za kurtkę, podczas gdy druga tkwiła wzdłuż tylnego oparcia za ramionami Perry'ego.

Na środku drogi dwaj mężczyźni machali ku nim ręczną latarką.

\*

Ten bez latarki podnosi rozkazująco dłoń w rękawiczce. Jest ubrany po miejsku, w długi płaszcz, szalik, ale z gołą, choć częściowo łysą głową. Ten z latarką ma na sobie policyjny mundur i pelerynę. Ollie już woła do nich wesoło, zwalnia i zatrzymuje się.

- Ej, chłopcy, a co wy tu wyprawiacie? - pyta śpiewnym, szwajcarsko-francuskim *argot*, którego Perry dotąd nie słyszał w jego wykonaniu. - Ktoś z Eigeru spadł? Psa z kulawą nogą nie widzieliśmy.

Na ostatniej odprawie Luke powiedział, że Dima jest bogatym Turkiem. Mieszkał w hotelu Park, ale w Stambule poważnie zachorowała jego żona. Zostawił samochód w Grindelwaldzie, a my jesteśmy dwoma Anglikami, też gośćmi z hotelu, którzy postanowili zabawić się w dobrych Samarytan. Jak to sprawdzą, mamy przechlapanie, ale na jednorazowy użytek powinno wystarczyć.

- A dlaczego taki bogaty Turek nie wsiadł do pociągu z Wengen do Lauterbrunnen i nie objechał góry taksówką? - zapytał wtedy Perry.

- Bo nie da mu się wytłumaczyć - odpowiedział Luke. - Uparł się, że jak pojedzie terenówką przez góry, to zaoszczędzi godzinę. Potem ma o północy lot z Kloten do Ankary.

- A ma?

Policjant świeci latarką na purpurowy trójkącik naklejony na szybę terenówki. Na trójkączku widnieje litera G. Ten w miejskim ubraniu trzyma się za nim, zasłonięty blaskiem latarki. Ale Perry ma silne przeczucie, że bardzo dokładnie przypatruje się jowialnemu kierowcy i jego trzem pasażerom.

- Czyja to terenówka? - pyta policjant, powracając do oględzin purpurowego trójkączka.

- Arniego Steuriego. Hydraulika. To mój kumpel. Tylko niech mi pan nie mówi, że nie zna pan Arniego Steuriego z Grindelwaldu.

Ma zakład na głównej ulicy, zaraz koło elektryka.

- Panowie zjechali dziś z Scheidegg? - pyta policjant.
- Z Wengen.
- Pod górę z Wengen do Scheidegg?
- A jak? Przelecieliśmy?
- Jeżeli jechaliście w górę z Wengen do Scheidegg, to powinniście mieć drugą winietkę, wydaną w Lauterbrunnen. Ta na waszej szybie jest wyłącznie na przejazd Scheidegg-Grindelwald.
- A pan jest z której strony? - mówi Ollie, z uporem zachowując dobry humor.
- Właściwie to jestem z Mürren - odpowiada spokojnie policjant.

\*

Zapada milczenie. Ollie zaczyna mrużyć jakąś melodię - tego też Perry dotąd nie słyszał w jego wykonaniu. Podśpiewuje i korzystając ze światła latarki policjanta, grzebie w papierach upchniętych w kieszeń przy drzwiach kierowcy. Pot sływa Perry'emu po plecach, choć siedzi nieruchomo obok Dimy. Siedzi, ale nigdy jeszcze tak się nie poccił, nawet na trudnej górze, nawet na szóstkowej ścianie. Ollie dalej podśpiewuje, dalej szuka, ale jego podśpiewywanie staje się coraz mniej bezczelne. Jestem gościem hotelu Park, powtarza sobie Perry. Luke też tam mieszka. Bawimy się w dobrych Samarytan, pomagamy kopniętemu Turkowi, który nie mówi po angielsku i którego żona umiera. Na jednorazowy użytek powinno wystarczyć.

Cywil podchodzi krok bliżej i pochyla się nad terenówką. Mrużenie Olliego staje się jeszcze mniej przekonujące. Wreszcie opiera się na fotelu, jakby się poddawał, a w ręce trzyma pomiędzy papierek.

- To może to się nada - proponuje i podtyka policjantowi pod nos drugą winietkę, tym razem żółty trójkącik, nie purpurowy, i bez litery G.

- Następnym razem proszę pamiętać, żeby nakleić obie na przednią szybę - mówi policjant.

Latarka gaśnie. Znowu jadą.

\*

Dla niećwiczonego w takich sprawach Perry'ego zaparkowane BMW zdawało się czekać spokojnie tam, gdzie Luke je zostawił - bez blokady na kołach, obelżywych wiadomości na karteczkach za wycieraczką, po prostu zwykła limuzyna na parkingu - a czegokolwiek szukał Luke, gdy wraz z Olliem ostrożnie obchodzili samochód, podczas gdy Perry i Dima pozostali, zgodnie z poleceniem, na tylnym siedzeniu terenówki, najwyraźniej tego nie znalazł, bo oto teraz Ollie już otwierał drzwi od strony kierowcy, Luke ponaglał ich gestem, by się przesiedli, i zajęli miejsca w BMW w tej samej co przedtem konfiguracji: Ollie za kierownicą, obok niego Luke, Perry i Dima z tyłu. Perry uświadomił sobie, że podczas policyjnej kontroli Dima ani nie poruszył się, ani nie uczynił najmniejszego gestu. Czuje się jak więzień, pomyślał Perry. Jest przewożony z więzienia do więzienia, szczegóły to nie jego sprawa.

Perry zerkał w boczne lusterka, czy nie zobaczy podejrzenie trzymających się z tyłu światła. Od czasu do czasu wydawało się, że śledzi ich jakiś samochód, ale gdy tylko Ollie zwalniał i usuwał się na pobocze, samochód ich wyprzedzał. Rzucił okiem na siedzącego obok Dimę. Drzemał. Wciąż miał na głowie czarną, wełnianą czapkę, ukrywającą łysinę. Luke się uparł, podobnie jak na garnitur w prążki. Od czasu do czasu Dimę zarzucało na Perry'ego i wtedy zatłuszczona wełna łaskotała go w nos.

Wjechali na autostradę. W świetle sodowych lamp twarz Dimy stała się błyszczącą, śmiertelną maską. Perry spojrzął na zegarek, nie wiedząc po co, ale potrzebował pocieszyć się wiedzą, która godzina. Pojawił się niebieski drogowskaz z napisem LOTNISKO BELP. Trzy pasy - dwa pasy - teraz skręt na zjazd z autostrady.

\*

Na lotnisku było ciemniej, niż powinno być na jakimkolwiek lotnisku. To była dla Perry'ego pierwsza niespodzianka. W porządku, było po północy, ale jednak człowiek spodziewa się znacznie więcej światła, nawet na tak małym, nieważnym lotnisku jak Belp, które właściwie nie ma potwierzonego statusu lotniska międzynarodowego.

I nie było żadnych formalności - chyba że potraktuje się jako formalność poufną rozmowę, którą Luke przeprowadzał właśnie ze znużonym mężczyzną o szarej twarzy i w niebieskim kombinezonie, najwyraźniej jedyną oficjalną osobistością na miejscu. Teraz Luke pokazywał mu jakiś dokument - na pewno za mały na paszport, więc czy to jakaś legitymacja, prawo jazdy, a może mała wypchana koperta?

Tak czy inaczej mężczyzna o szarej twarzy musiał oglądnąć to sobie w lepszym świetle, bo obrócił się w tył i pochylił ku światłu jarzeniówki, a gdy z powrotem odwrócił się do Luke'a, tego, co przedtem trzymał w dłoni, już w niej nie było, więc albo wziął to sobie, albo tak oddał Luke'owi, że Perry nie zauważył.

A gdy szary mężczyzna zniknął bez słowa w jakimkolwiek języku, oni musieli przejść przez szykanę z szarych parawanów, ale nikt nie pilnował, jak przez nią przechodzą. Za szykaną nieruchomy podajnik bagażu i ciężkie, elektryczne, wahadłowe drzwi, które otwały

się przed nimi - to już jesteśmy po odprawie? niemożliwe! - a potem pusta sala odlotów z czterema szklanymi drzwiami prowadzącymi wprost na płytę lotniska: i znów ani żywej duszy, nikogo, kto prześwietliłby im bagaż albo ich samych, kazał im zdjąć buty i kurtki, patrzył na nich groźnie przez pancerne szyby, pstrykał palcami, by szybciej podawali paszporty albo zadawał celowo denerwujące pytania o długość i cel pobytu w kraju.

Więc jeśli ten uprzywilejowany brak uwagi był wynikiem prywatnych działań ze strony Hectora - jak Luke dał do zrozumienia Perry'emu i co zdążył mu jeszcze potwierdzić sam Hector - to Perry mógł powiedzieć tylko: brawa dla Hectora.

Drzwi na płytę wydawały się Perry'emu zamknięte i zablokowane, ale świetnie zorientowany Luke podszedł bez chwili namysłu do drzwi po prawej, lekko za nie pociągnął i - a co to? - szyba posunęła się posłusznie w swym łożysku, wpuszczając do środka świeży powiew chłodniejszego powietrza, które zatańczyło po sali i musnęło twarz Perry'ego, co przyjął z wdzięcznością, bo nie wiadomo dlaczego było mu gorąco i miał wrażenie, że ocieka potem.

Drzwi były otwarte, noc przyzywała. Luke położył dłoń - delikatnie, nie władczo - na ramieniu Dimy i oddalając go od Perry'ego, poprowadził przez drzwi na płytę lotniska. Dima nie stawiał oporu. Na płycie Luke wykonał nagły skręt w lewo - jakby był z góry na to przygotowany - prowadząc Dimę ze sobą, przez co Perry musiał iść za nimi, czując się trochę jak nieproszony gość. W Dimie tymczasem zaszła jakaś zmiana. Perry uświadomił sobie, co to było. Bo wychodząc przez drzwi, Dima zdjął wełnianą czapkę i wrzucił ją do stojącego obok kosza na śmieci.

A gdy Perry skręcił za nimi, zobaczył to, co Luke i Dima musieli już zauważyć wcześniej: dwusilnikowy samolot, bez włączonych świateł, z cicho obracającymi się łopatami śmigieł, stojący pięćdziesiąt

metrów dalej, z widmowymi zarysami dwóch pilotów widocznymi w kabinie na dziobie.

Pożegnań nie było.

Czy było to coś, z czego można było się cieszyć, czy smucić, Perry nie wiedział - ani wtedy, ani potem. Już wcześniej było tyle uścisków, tyle prawdziwych lub udawanych powitań, taki natłok pożegnań, powitań i wyznań miłości, że w sumie spotkań i rozstań było tyle samo, i może nie było już miejsca na jeszcze jedno.

A może - choć wciąż tylko „może” - Dima był zbyt przejęty, by mówić, by się odwrócić, by w ogóle za nim popatrzeć. Może płynęły mu po twarzy łzy, gdy szedł w stronę małego samolotu, stawiając jedną zaskakująco drobną stopę przed drugą, tak równo, jakby odbywał spacer po desce.

A Luke, idący teraz o parę kroków za Dimą, jakby pozwalał mu się nacieszyć brakiem kamer i reflektorów, też nie miał do powiedzenia Perry'emu ani słowa: Luke widział tylko kroczącego przed nim prawdziwego, uformowanego mężczyznę, a nie stojącego samotnie z tyłu Perry'ego. Bo Dima szedł dumnie, jak na defiladzie: z gołą głową, odchylony w tył, utykając dyskretnie, lecz z godnością.

No i oczywiście w pozycji Luke'a względem Dimy była pewna taktyka. Luke nie byłby Lukiem, gdyby nie było w tym choć odrobiny taktyki. Był sprytnym, energicznym pasterzem z kumbryjskich wzgórz, po których wędrował w młodości Perry, prowadzącym swą najcenniejszą owcę po schodkach wprost w czarną dziurę kabiny każdą cząstką swej umysłowej i fizycznej koncentracji, owcę gotową w każdej chwili na ostatnie wierzgnięcie, próbę ucieczki albo choćby zarycie się kopytami w ziemię.

Ale Dima nie wierzgał, nie uciekał, nie zarywał się. Wstąpił pewnie na schodki i w czerń, i gdy tylko czerń go pochłonęła, mały Luke wbiegł po schodkach za nim. I albo był tam jeszcze ktoś w środku,



kto zamknął za nimi drzwi, albo Luke zrobił to sam: nagłe westchnienie zawiasów, podwójny stuk metalu, gdy zabezpieczano drzwi od wewnątrz, i już zniknęła czarna dziura w kadłubie samolotu.

Samego startu Perry nie pamiętał - pamiętał tylko, że pomyślał, czy nie powinien zatelefonować do Gail i powiedzieć jej, że Orzeł Odleciał albo coś w tym stylu, i że potem trzeba będzie znaleźć autobus albo taksówkę, a może po prostu pójść na piechotę do miasta. Miał dość mgliste pojęcie o tym, gdzie znajduje się względem centrum Belp - jeżeli Belp w ogóle miało jakieś centrum. Potem ocknął się i zorientował, że stoi przy nim Ollie, i że przecież ma czym wrócić do Gail i do pozbawionej ojca rodziny w Wengen.

Samolot wystartował, Perry nie machał. Patrzył, jak wznosi się ostro w górę, bo lotnisko Belp jest otoczone wzgórzami i górkami, więc piloci muszą nieźle się uwijać. Ci się uwijali. Lot wyglądał na komercyjny czarter.

A wybuchu nie było. A przynajmniej Perry nic nie usłyszał. Po-tem żałował, że nie. Tylko dźwięk jak uderzenie rękawicy pięściarskiej w worek treningowy i długi, biały rozbłysk, który sprawił, że czarne wzgórza wokół wybiegły mu na spotkanie, a potem absolutnie nic - nic, na co można by patrzeć, czego słuchać, dopóki nie rozległy się ta-tuu-ta-tuu policji, pogotowia i straży pożarnej, dopóki błyski ich świateł nie zaczęły odpowiadać tamtemu światłu, które już zgasło.

\*

Półoficjalnie mówi się o awarii przyrządów. I o awarii silnika. Szeroko rozważa się niedopatrzenia anonimowego personelu technicznego. Biedne, małe lotnisko w Belp od dawna służyło ekspertom jako chłopiec do bicia, więc teraz nikt nie żałuje bata. Poza tym część winy może leżeć po stronie kontroli naziemnej. Dwie komisje

ekspertów wydały sprzeczne opinie. Ubezpieczyciel prawdopodobnie zawiesi wypłatę odszkodowań do czasu wyjaśnienia przyczyn wypadku. Wciąż niewyjaśniona pozostaje sprawa zwęglonych zwłok. I raczej nie chodzi tu o pilotów - to prawda, czarterowych, ale z wielką liczbą wylatanych godzin, porządnych, żonatych, ani śladu nielegalnych substancji czy alkoholu, nic podejrzanego w aktach, żony utrzymujące sąsiedzkie stosunki w Harrow, gdzie mieszkały obie rodziny. Dwie tragedie - z punktu widzenia mediów warte, by mówić o nich tylko przez jeden dzień. Ale dlaczego tym samym samolotem podróżował były pracownik ambasady brytyjskiej w Bogocie i „podejrzany rosyjski minigarcha zamieszkały w Szwajcarii” - tego nie umiały wytłumaczyć nawet tabloidy. Seks? Narkotyki? Handel bronią? Nie było ani krztyny dowodów na jedno, drugie czy trzecie. Brano również pod uwagę terroryzm, bo to uniwersalne wytłumaczenie w obecnych czasach, ale szybko tę hipotezę odrzucono.

Żadne ugrupowanie nie przyznało się do zamachu.

# Podziękowania

Składam serdeczne dzięki Federicowi Varese, profesorowi kryminologii na Uniwersytecie w Oksfordzie i autorowi pierwszorzędnych opracowań na temat mafii rosyjskiej, za jego twórcze i nieskończenie cierpliwe rady; Berengere Rieu, która wprowadziła mnie za kulisy Stadionu im. Rolanda Garrosa; Ericowi Deblickerowi, który oprowadził mnie po ekskluzywnym klubie tenisowym w Lasku Bulońskim, który wygląda całkiem podobnie jak mój Club des Rois; Buzzowi Bergerowi za poprawianie moich zagrań tenisowych; Anne Freyer, mojej mądrej i wiernej francuskiej pani redaktor; Chrisowi Bryansowi za rady co do giełdy w Bombaju; Charlesowi Lucasowi i Johnowi Rolleyowi, uczciwym bankierom, którzy dzielnie opowiadali mi o praktykach stosowanych przez mniej sumiennych ludzi w tym zawodzie; Ruth Halter-Schmid, która wielokrotnie ocaliła mnie przed pogubieniem się w moich szwajcarskich podróżach; Ursowi von Almen, który prowadził mnie przez co dziksze ostępy Oberlandu Berneńskiego; Ursowi Bühlerowi, dyrektorowi hotelu Bellevue Palace w Bernie, który pozwolił mi zainscenizować pożalowania godne zajście w swym nieporównanym zakładzie; i Vicki Phillips, mojej bezcennej sekretarce, że do swych licznych umiejętności dodała też wykonywanie korekty.

Składam też hołd mojemu przyjacielowi Alowi Alvarezowi, mojemu najłaskawszemu i najbystrzejszemu czytelnikowi.

John le Carré, 2010